



Dominik Rutkowski
**Ile kroków
do domu**

Powieść chłopacka,
inteligentna i trzymająca w napięciu.
Gotowy scenariusz na film.

Marcin Meller

Dominik Rutkowski

Ile kroków do domu

Projekt okładki: *Karolina Michałowska-Filipowicz*

Redakcja: *Aleksandra Jakubowska*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Irma Iwaszko*

Tekst ten, choć inspirowany autentycznym wydarzeniem, jest fikcją literacką, a wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób i zdarzeń jest niezamierzone i przypadkowe.

© by Dominik Rutkowski

© for this Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

ISBN 978-83-7758-222-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2012

Wydanie I

Część I
GRANICE

1

Uniósł ręce wysoko nad głowę, pragnąc zyskać nieco na czasie, i przeciągnął się szeroko, aż wierzchem zgrabiałej dłoni dotknął zimnej metalowej żerdzi ogrodzenia zamkniętej o tej porze roku Jutrzenki; odwrócił się powoli, położył łokcie na oparciu parkowej ławki, na której siedział, i zajrzał do wnętrza letniego kina. Pierwszy śnieg przykrył cienkim całunem długie rzędy drewnianych ławek, a stada gawronów przechadzających się sennie w poszukiwaniu ostatniego posiłku ryły w świeżej bieli ostre ślady. Przyglądał się przez chwilę ptakom i zanim spojrział w prawo na brukowaną, biegnącą w górę skarpy w kierunku sejmu alejkę, rzucił jeszcze okiem na kamienny wewnętrzny płot, wymalowany zwietrzałymi zapowiedziami zachodnich filmów (większość z nich oglądał we Francji ponad trzy lata temu), a następnie, wzruszając ramionami, przeniósł wzrok na siedzących naprzeciw, na drugiej ławce, kumpli. Czekali w napięciu na to, co powie.

– W kółko pytacie, jak TAM jest? No jak? – Ponownie wzruszył ramionami, wyrwał Sysemu alpage i zanim przytknął butelkę do ust, dodał jeszcze: – Przecież już wam mówiłem, że trudno jest to wytłumaczyć komuś, kto TAM nie był. Widzieliście *Fantomas wraca*? – Wskazał kciukiem za siebie w stronę plakatów.

– Jasne. Super – powiedzieli niemal jednocześnie.

– Kiedy?

– Jakoś tak w czerwcu, chyba – próbował sobie przypomnieć Sysy.

– Właśnie, a ja tę chałę widziałem TAM już trzy lata temu.

– Ale to o niczym nie świadczy, to francuski film – bronił się Sysy.

– Dobra, a *Majora Dundee*? Amerykański.

– Pewnie. Świetny western.

– Ja go oglądałem TAM dwa lata temu i nie była to wtedy żadna nowość, kapujecie?

Chłopaki pokiwali głowami, ale czy kapowali? Do tej pory nie znali nikogo, kto byłby TAM chociaż przez kilka dni, a teraz Kochan po trzech latach wrócił z Francji i opowiadał dziwne rzeczy. Od małego razem biegali po podwórku, grali w piłkę, w kapsle, przesiadywali na trzepaku, łazili po drzewach, razem w krzakach jałowca niedaleko fontanny pili pierwsze wino i palili pierwsze podkradane rodzicom papierosy. To był ich park, ich ławka, ich kino. Potem była szkoła i znów razem w jednej klasie. Zawsze, wszędzie razem, we czwórkę: Kochan, Sysy, Szczota i Maniek; aż nagle w 1965 Kochan wyjechał do Francji, do matki, która siedziała na Zachodzie już od pewnego czasu, ściągnięta tam przez brata, wojskowego krawca, szyjącego mundury najpierw dla armii Andersa, a potem, po demobilizacji, już we Francji dla legii cudzoziemskiej, w niewielkiej fabryczce, którą otworzył razem z poznanym jeszcze w 1944 we Włoszech francuskim wspólnikiem. Bez Kochana nic nie było już takie samo; to on zawsze miał najwięcej szalonych pomysłów, jak wtedy, gdy namówił ich do przeskokowania wczesnym wieczorem płotu w Muzeum Wojska Polskiego i po odkręceniu drutu kolczastego, którym zabezpieczony był wjazd do czołgu, wejścia do wnętrza pojazdu. Przez chwilę, do czasu, kiedy zobaczyli w peryskopie sylwetkę sadzącego w ich kierunku wielkimi susami ciecia, czuli się jak pancerni. Później był wyścig w kierunku wysokiego parkanu i to Kochan, pomimo że najszybciej z nich wszystkich biegał, dostał się w potężne łapska odzianego w beret z antenką, kufajkę i gumofilce stróża. Podejrzewali, że zrobił to specjalnie, by ich ochronić przed twardymi razami drewnianej lagi, jakie spadły tylko na jego grzbiet, ale także po to, aby móc z mołojecką dumą chwalić się swoją odwagą i obnosić z sińcami. Bo to Kochan był ich szefem. To on najlepiej z nich grał w piłkę, miał najwięcej wyobraźni, charyzmy, ale i tego łobuzerskiego uroku, dzięki któremu wiele mu uchodziło – a przy okazji i pozostałym – na sucho. Po wyjeździe Kochana chudy Sysy, który ciągle stał tuż za przywódcą, w naturalny sposób przejął po nim schedę, ale to już nie było to samo, bo chociaż Sysemu zawsze najbardziej zależało na zajęciu miejsca na czele, to jego pomysłem brakowało jednak tej naturalnej lotności, szelmowskiego wdzięku cechującego Kochana. A Kochan, tak jak obiecał, pisał. Wprawdzie rzadko i nieregularnie, ale pisał. Tylko te listy jakies dziwne były, jakby ktoś w nich grzebał, jakby czegoś w nich brakowało, jakby brakowało w nich Kochana, tego, którego znali i za którym tęsknili. Teraz, po trzech latach, przyjechał i opowiadał, jak TAM jest, a wszystko, co mówił, brzmiało nierealnie jak bajka.

– Ty, Kochan, a dziewczyny, jakie TAM są? Łatwe pewnie, co? – Mańkowi zaświeciły się oczy.

Kochan nie miał wielkiego doświadczenia w tej materii. Do małej miejsciny, w której mieszkał we Francji, nie dotarł jeszcze nawet strumyczek z wartkiej fali rewolucji seksualnej, jaka przetoczyła się z impetem przez zachodnią Europę pod koniec lat sześćdziesiątych. W załatwionej przez wuja szkole częściej niż spódniczki widział czarne sutanny, ponieważ placówka prowadzona była przez księży, a po lekcjach, zamiast włóczyć się po barach i parkach, kopał piłkę w miejscowym klubie, do czego zresztą przejawiał wyjątkową smykałkę. Jędrność kobiecych piersi, ciepło ud i kędzierzawą wilgoć tego, co kryło się pomiędzy nimi, poznał dopiero podczas zasadniczej służby wojskowej, ale było to już w Polsce i na pewno nie o takie dziewczyny Maniek się dopytywał. O francuskich kobietach pojęcie miał raczej mgliste i dlatego pytanie wprowadziło go w nie lada zakłopotanie. Nie dał jednak tego po sobie poznać; wydał buńczucznie wargi, przymknął zawiadacko lewe oko.

– Wiesz, Maniek, Francuzki to Francuzki, nie ma o czym mówić, możesz się sam domyślić – powiedział, cmokając i robiąc nad głową niedbały gest zmarzniętą dłonią.

– Ale po francusku robią, co? – dopytywał, rozgrzewając się na samą myśl, Maniek.

– No pewnie, jeszcze jak.

– O kurwa! Ty to zawsze potrafisz się ustawić.

Kochan przytknął szybko butelkę do ust, aby uniknąć dalszych pytań na ten śliski temat, i pociągnął kilka głębokich haustów. Ssysy przyglądał mu się z niepokojem, odmierzając jednocześnie w duchu ilość wypitego przez Kochana taniego wina. Ten spojrział na niego znad niemal pustej alpagi.

– Nic się nie bój, następną flachę ja stawiam. – Puścił butelkę w obieg.

– Oczywiście, byle tylko było gdzie kupić – burknął Ssysy.

– I to jest kolejna różnica! – triumfował Kochan. – TAM zawsze wszystko można kupić. O każdej porze. I niczego nigdy nie zabraknie. Nie czekasz na dostawę, nie chwytasz tego, co akurat rzucą na półki, tylko chodzisz i wybierasz. Nie zastanawiasz się, czy na święta zdąży dotrzeć statek z Kuby z pomarańczami. Idziesz i kupujesz. – Wstał z ławki, zamachnął się i rzucił pustą butelką. Leciała szerokim łukiem i zanim wpadła w śnieg, nad głowami

chłopców zerwał się mroźny podmuch wiatru, który poruszył ogołoczone z liści, strzeliste topole; drzewa zaskrzypiały, a na ziemię poleciało kilka drobnych gałązek. Kochan wsadził zgrabiałe ręce do kieszeni brązowej ortalionowej kurtki, przytupnął i krzyknął:

– Dobra, koniec pierdolenia, chodźcie do sklepu! – Jego głos poniósł się po ciemnym, cichym parku.

– Do jakiego sklepu? – dopytywał się Sysy.

– Po butelkę.

– Kochan, pogięło cię, o tej porze już wszystko pozamykane.

– Teraz to najwyżej na metę możemy pójść – powiedział wolno Szczota – ale tam wina nie kupimy, a wódka będzie dwa razy droższa niż w sklepie, ze stówę trzeba będzie wybulić.

– Nic się nie bójta, chłopcy, ja stawiam – rzucił wesoło Kochan i chłopcy, powłócząc zziębniętymi nogami, ruszyli w stronę ciągnących się wzdłuż Rozbratu kamiennych fontann. Szli przez okolicę ich dziecięcych zabaw, teraz pogrążoną w wieczornej ciszy. Z przystanku na Rozbrat doleciał syk zamykanych drzwi autobusowych, potem ostry zgrzyt wrzucanego biegu i za moment w prześwitach tui rosnących szpalerem wzdłuż ulicy zobaczyli przemykającą obłą sylwetkę czerwonego „ogórka” linii 166, który nawet nie przyhamowując, z impetem skręcił w Górnośląską. Chłopcy bez słowa okrążyli Jutrzenkę, zasluchani w skrzypiące na śniegu własne kroki. Na końcu alejki nad szerokimi schodami górował masywny przedwojenny gmach z białej cegły, w którym mieścił się zespół szkół budowlanych. Światła w budynku były wygaszone, a w parku nie paliła się żadna latarnia.

Kochan wciągnął nosem mroźne rześkie powietrze, wypuścił ustami kłąb pary i spojrzął z ukosa na idących w milczeniu, zamyślonych kolegów. Najbliższy zawsze był mu Sysy, z nim rywalizował o pierwszeństwo na podwórku, we wszystkim; w grach, wpływie na pozostałych, w tym, kto wyżej wejdzie na drzewo... – i z reguły wygrywał. Sysemu na pozór trudno było pogodzić się z rolą drugiego. Wyższy od Kochana, szczupły, z opadającą na oczy blond grzywką, uśmiechał się zawsze wyłącznie prawą stroną ust, a mówiąc, wciągał powietrze przez krzywe zęby, próbując powstrzymać wypływającą ślinę. Był ambitny i inteligentny, ale pozbawiony uroku i sprytu, i dlatego skazany na pozostawanie w cieniu pełnego fantazji Kochana, którym zresztą – tak jak pozostali – był całkowicie zafascynowany i któremu po

każdej przegranej rywalizacji poddawał się z pełną rezygnacji ulgą. Bo chociaż jego ambitna natura nie pozwalała mu oddawać pola bez walki, to przywództwo Kochana przyjmował jako stan naturalny i gdyby role miały się odwrócić, byłby zażenowany i czułby ogromny dyskomfort. Obok Sysego jak zwykle ze spuszczoną głową człapał Szczota. Wielki i silny jak tur, wpatrzony w Kochana niczym w święty obraz. Ksywkę zawdzięczał twardej czuprynie porastającej mu gęsto czaszkę, każdy sztywny jak drut włoszek sterczał w innym kierunku, nie pozwalając się okiełznać żadnemu grzebieniowi czy szczotce; mimo to Szczota próbował wciąż przyglądać na czole niepoddające się jego zabiegom, niesforne kłaki i dlatego zawsze patrzył spode łba. Myślał i działał powoli, kochał jedynie Kochana i młodszą siostrę, dla których gotów był do każdego poświęcenia, Mańka i Sysego darzył sympatią, na resztę świata patrzył z obojętnością, dlatego nie ulegał żadnym wpływom, żadnym złym podszeptom. W przeciwieństwie do małego Mańka, który był jak drobna skacząca iskierka – wszędzie było go pełno, nie usiadł ani chwili na miejscu, cały czas w ruchu, dowcipny, skory do żartów, łatwo poddawał się urokowi zakazanych owoców, jeśli tylko ktoś umiejętnie mu je podsunął. I ta skłonność wpędziła go w kłopoty; Maniek ostatni rok przed pełnoletnością spędził w poprawczaku. Pozbawiony szalonych pomysłów Kochana zaczął się nudzić; jak wybawienie przyjął propozycję przygodnie – w Rybitwie przy piwie – poznanego nieznajomego, by wziąć udział w nocnej tajemniczej eskapadzie w miasto; miał stać na rogu ulic i patrzeć, czy nikt nie nadchodzi, a pech chciał, że nadszedł... patrol milicji, i to w chwili, kiedy do uszu Mańka (i milicjantów także, niestety) doleciał brzęk tłuczonej w kiosku Ruchu szyby. Chłopak zdążył tylko wykrzyknąć ostrzeżenie, a po chwili, leżąc na chodniku twarzą do ziemi, czuł na grzbiecie piekące razy milicyjnych pałek. W czasie rozprawy nikogo nie wydał, chociaż nie z poczucia lojalności, tylko dlatego że naprawdę nie znał żadnego z członków szajki. Jednak zdaniem prokuratora uparcie krył współników, drwił z sądu (rzeczywiście Mańkowi, jak zawsze, także na sali sądowej, trudno było zachować powagę) i nie współpracował z organami socjalistycznej sprawiedliwości. Rok w poprawczaku ciągnął się w nieskończoność.

Minęli Rozbrat i szli w milczeniu całą szerokością chodnika ulicy Górnośląskiej, rozchlapując topniejący śnieg. Nagle Maniek przystanął.

– Ty, Kochan, skoro TAM jest tak cudownie, to po kiego chuja wracałeś,

co? – powiedział to, o czym wszyscy myśleli przez całą drogę od Jutrzenki.

– Ja nie wróciłem – odpowiedział Kochan, patrząc po kolei na każdego z kolegów. – Przyjechałem odwalić wojo i zaraz wyjeżdżam z powrotem.

Konsylium rodzinne, które zebrało się dziewięć miesięcy wcześniej w przestronnym salonie francuskiej „rezydencji” rodziny Andrzeja Kochańskiego, miało do rozstrzygnięcia ważką kwestię przyszłego obywatelstwa Kochana. Andrzej, pomimo że świetnie czuł się na francuskiej ziemi, zawsze z bijącym sercem czekał na wiadomości z Polski. Pisała do niego siostra, pisał ojciec, pisali koledzy, pisał wreszcie starszy brat, i to właśnie list od Zbigniewa Kochańskiego wywołał nerwową naradę w domu Stefana Moczydły, wuja Andrzeja; brat zawiadamiał w nim, że w skrzynce pocztowej warszawskiego mieszkania Kochańskich znalazł urzędowe pismo, podkreślające pośrednio pełnoletność jego młodszego brata, bo oto ojczyzna upominała się o poborowego Andrzeja Kochańskiego i za nic miała, że ten wolał kopać piłkę na ciepłym słońcu pod francuskim niebem. Do tej pory Andrzej posługiwał się paszportem konsularnym, wydanym przez polską ambasadę w Paryżu, i nie zawracał sobie głowy tym, jak długo taki stan będzie trwał. Było dobrze, jak było. List Zbigniewa niszczył ten kruchy stan równowagi i stawiał Andrzeja oraz jego zatroskaną rodzinę przed trudnym dylematem. Usadowieni w głębokich klubowych fotelach matka i wuj rozważali różne opcje; odmowa powrotu wiązała się z utratą na zawsze polskiego obywatelstwa i – być może – stałą rozłąką z warszawską częścią rodziny, powrót z kolei powodował przerwanie na dłuższy czas nauki, która i tak przychodziła Andrzejowi z trudem. Chłopak, namawiany przez francuskich kolegów, trenera, księży nauczycieli, a nawet posterunkowego, znajomego wuja, skłaniał się raczej do wystąpienia o azyl, przyjęcia obcego obywatelstwa i pozostania we Francji.

– Andrzejku, ja też jestem za tym, żebyś skończył szkołę, sam ci ją przecież, panie, załatwiłem – przekonywał Stefan Moczydło – ale pomyśl: jak wystąpisz o azyl, to komuchy, panie, przez wiele lat, a być może nigdy, nie wpuszczą cię do Polski. Przecież sam widzisz, panie, jak ja strasznie tęsknię za krajem i nie mogę tam pojechać. Brata, panie, nie widziałem od wojny, ale moje uczucia Gomulki, panie, nie interesują.

– Wiem, wuju. Ale ojciec mógłby mnie odwiedzić tutaj.

– Zapomnij o tym, panie. Komuchy doskonale wiedzą, że twoja matka do Polski już nie wróci. Twoi rodzice, panie, są rozwiedzeni, a rodzeństwo pełnoletnie. Ty mogłeś tu przyjechać, bo jesteś, panie, najmłodszy i kiedy matka cię ściągała, byłeś niepełnoletni. Nawet komuchy nie mogły, panie, zabronić ci wyjechać do matki, a i tak ile było z tym problemów.

– Synku, pojedź. Odsłużysz wojsko i wrócisz tutaj – prosiła Marianna Kochańska. – Dwa lata zlecaj szybko. Wuj dogada się z księżmi, po powrocie skończysz szkołę.

– Akurat szkołę najmniej się przejmuję.

– A powinienes, bo orłem, panie, nie jesteś – powiedział surowo wuj i potarł wąsa.

– No dobrze, a jaką mam gwarancję, że komuchy – jak ich wuj nazywa – nie będą mi robiły problemów z ponownym wyjazdem?

– Gwarancji, panie, oczywiście nie ma, bo z nimi, cholerka, to w ogóle brak jakichkolwiek gwarancji. – Stefan uderzył się dłonią w kolano. – Ale z drugiej strony – dodał po krótkiej pauzie – dlaczego miałoby ci robić kłopoty. Skoro już raz cię, panie, wypuścili... Andrzejku – argumentował dalej wuj – mężczyzna, panie, do wojska pójść musi, nie ma o czym gadać, bo to i krzepy, panie, nabierzesz, i zawodu się wyuczysz. Popatrz tylko, panie, na mnie, gdzie ja się szyć mundury nauczyłem? Przecież, że we wojsku. I patrz, co teraz mam. – Zatoczył ręką dokoła. Potem zniżył głos i dodał: – Postrzelasz sobie, panie. A może i do tanków cię wezmą, ho, ho. A skoro masz mundur, panie, nosić, to lepiej, żeby, panie, on polski był, nawet i komunistyczny, niż obcy jakiś.

– Nie obcy, tylko przez wujka szyty.

– A nawet i przeze mnie, to, panie, bez orzełka.

Dyskusja ciągnęła się późno w noc, a decyzja, która zapadła, miała zaważyć na całym dalszym życiu Kochana. W końcu myśl, że już nigdy mógłby nie zobaczyć ojca, rodzeństwa, Warszawy i kumpli, przeważała. Andrzej na swoje nieszczęście postanowił wrócić. W kwietniu wysiadł z pociągu na zakurzonej dworcu Warszawa Główna Osobowa, a już w pierwszomajowe święto Anno Domini 1968 odstrojony w gustowne moro zamiatał chodniki w jednostce w Trześnikowie pod Szczecinem.

– Tak, chłopaki, wojsko już odsłużyłem, ku chwale ojczyzny, a pojutrze odbieram paszport, kupuję bilet i spier-da-lam.

Zapadła cisza. Tego żaden z nich się nie spodziewał. Kiedy siedem miesięcy temu Kochan niespodziewanie wrócił, wydawało się, że wszystko znów będzie jak dawniej; kiedy zaraz potem poszedł do wojska, wiedzieli, że będą musieli poczekać na przyjaciela dwa lata; a gdy już po pół roku zwolniono go z armii, swoją radość celebrowali ogromnymi ilościami wypitego taniego wina. Tak miało już pozostać. Myśli, że Kochan może z powrotem wyjechać do Francji, w ogóle do siebie nie dopuszczali. Teraz byli w szoku.

– No, nie stójcie tak z rozdziawionymi gębami. Może kiedyś mnie TAM odwiedzicie – zawołał wesoło Kochan, po czym nabrał z parapetu okna Ośrodka Sportu i Rekreacji pełną garść mokrego, klejącego się śniegu, wrzucił go Szczocie za kołnierz kraciatej marynarki i zaczął uciekać w stronę Wisły. Chłopcy otrząsnęli się z niemiłego wrażenia, jakie wywarły na nich słowa przyjaciela, i rzucili się za nim w pogoń, co chwila tracąc równowagę na śliskim chodniku. Biegając, wśród śmiechów i pokrzykiwań, zauważyli nagle żarzący się pomarańczowy punkcik w oczodole ciemnej bramy odartej z tynku przedwojennej ceglanej kamienicy, która wciąż nosiła na sobie znaczony dziurami po pociskach i odłamkach, niezabliźnione wojenne rany. Zatrzymali się. W tej samej chwili pociągnięty papieros rozżarzył się mocniej i oświetlił twarz opartego o ścianę niskiego typka o mętnych oczach i czerwonym, przekrzywionym po złamaniu nosie.

– Kochan, to gdzieś tu – szepnął Sysy.

– Koledzy sobie życzom? – zapytał typek ochryłym głosem, przeciągając „l”, strzelił kciukiem i środkowym palcem niedopałkiem sporta na ulicę, wypluł na chodnik drobinę tytoniu, która została mu na języku, odkleił się od brudnej ściany kamienicy i zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę chłopaków. Owionął ich mdlący zapach zabójczej mieszanki alkoholu, czosnku, papierosów i niemytych od lat zębów.

– Wódkę chcieliśmy kupić.

– A sie rozumie, jezely tak, to chwileczkie. – Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, jakby zatrzymywał pędzącą taksówkę, i kiwnął głową. – Panowie pozwolom za mnom. – Obrócił się na pięcie, machnął ręką, wskazując kierunek, i wszedł w bramę prowadzącą na nieoświetlone

podwórko studnię. Chłopcy ruszyli w ciemną czeluść, w nozdrzach poczuli kwaśny odór moczu. Typek zatrzymał się przed wyłamanymi, wiszącymi na jednym zawiasie drewnianymi pokrytymi łuszczącą się farbą drzwiami, które prowadziły na pomalowaną olejną lamperią, cuchnącą pleśnią klatkę schodową i wyciągnął przed siebie rękę.

– Uprzejmie pieniądze proszę – powiedział z pijacką galanterią.

– Kochan, zwariowałeś? – Maniek złapał za przegub dłoni sięgającego do kieszeni Andrzeja. – Nie zobaczysz więcej ani wódki, ani kasy.

– A! Jak nie, to nie. Same sobie radźcie – wychrypiał obrażony typ, wyciągnął z kieszeni wymiętoszoną paczkę sportów i zaczął w niej szperać żółtymi paluchami.

– Spokojnie, Maniuś. Ludziom trzeba ufać, nie, szefie? – powiedział uśmiechnięty Kochan i puścił do typa oko, wręczając mu dwieście złotych. – Dwie, proszę, starczy?

– Sie wie, kerowniku, za chwileczkę jezdem z powrotem – ucieszył się typ i chwiejnym klusem wbiegł w mrok klatki.

Chłopcy zostali sami na pogrążonym w ciemności, cuchnącym szczynami podwórku; gdzieś przy śmietniku rozdarł się kot, przerywając na moment ciszę. Szczota postąpił krok w stronę Kochana.

– Andrzej, a ty musisz tam wracać? Tak od razu? – zapytał powoli.

– Muszę, Waldziu, muszę. Tu mnie nic nie trzyma. Co ja tu mam? W dwóch pokojach z kuchnią ojca, z którym nie mam o czym gadać, siostrę z nową rodziną – mężem i małym dzieckiem – i brata wracającego nad ranem, zawsze na cyku, z nocnej szychty w hucie?

– Ale może byś został troszkę dłużej, rozejrzał się? – namawiał Szczota.

– Nie, nie. – Kochan pokiwał przecząco głową. – Co mnie tu czeka? Mam skończoną ledwie podstawówkę i żadnych perspektyw. A tam wujo załatwił mi szkołę, która wprawdzie nie bardzo mi się podoba, ale jak będę się uczył, to wujo, który sam nie ma dzieci, zostawi mi zakład. A to już jest coś. Poza tym, co tu jest za życie? Rozejrzyjcie się...

– Ech, Kochan! Gdybym tylko miał taką możliwość, też bym pierdolnął to wszystko i wyjechał na Zachód. Ale nie mam jak. – Szczota powiedział to, co czuli również pozostali, którzy w milczeniu pokiwali aprobowująco głowami.

– Waldziu, chłopaki, jak już urządzę się TAM po swojemu, to was

zaproszę. Słowo – obiecał, obejmując czule Szczotę. – Może was wypuszczą. Przyjdziecie i sami zobaczycie, jak tam jest i czy miałem rację, nie chcąc zostawać w tym syfie.

Na klatce, przed którą stali, zadudniły drewniane schody, a po chwili wytoczył się na podwórko typek.

– Wszystko pyjane śpi. Ale... załatwyłem he, he – rzucił swoim charakterystycznym chrapliwym dyszkantem. Spojrzał na chłopców triumfująco i wyciągnął ze spodni dwie butelki żytniej, unosząc je wysoko nad głowę. – Chiba jakaś premia mie sie należy, kerowniku? – dodał w kierunku Kochana.

Andrzej sięgnął ponownie do kieszeni.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył szybko typek, potrząsając butelką, po czym wskazał znacząco wzrokiem na flaszkę.

– Jasne, *bon appétit* – zażartował Kochan.

– Że jak? – zapytał typek groźnie.

– Nie, nic. SzeF się częstuje.

Zadowolony typek wszedł do bramy i mocnym, szybkim uderzeniem łokcia w dno butelki zerwał banderolkę, zdjął nakrętkę i przytknął flaszkę do ust. Jego grdyka poruszała się miarowo, a kiedy oddał wódkę Kochanowi, ocierając gębę zatłuszczonym rękawem, butelka była w trzeciej części opróżniona. Chłopcy spojrzeli na niego z podziwem. Typek ponownie sięgnął do paczki sportów.

– Może szef zapali mojego? – Kochan podetknął mu pod krzywy nos kupioną w dewizowym sklepie paczkę cameli.

– E, nie, perfumów nie palę.

– To może klubowego? – zaproponował Maniek.

– Z filtrem – skrzywił się typek. – No dobra, dawaj.

Oderwał ustnik i wsadził papierosa pomiędzy spękane usta. Trzasnęła zapalka, którą przypalił kolejno wszystkim, na koniec sobie.

– To my już polecimy, szefie. – Kochan zaciągnął się dewizowym camelem.

– Siemanko, chłopacy.

Typek oparł się o poszarpaną odłamkami ceglaną ścianę. Oglądając się,

odchodzący przyjaciele zobaczyli jedynie pomarańczowy, żarzący się punkcik w oczodole ciemnej bramy.

– To co? Do parku na ławkę? – rzucił Kochan, rozcierając zziębnięte dłonie.

2

Pograżony w czarnych myślach Kochan siedział bez ruchu już czwartą godzinę na twardej ławce Poczty Głównej, gdzie zamówił rozmowę międzynarodową z Francją, i próbował ogarnąć niewesołą sytuację, w jakiej się znalazł. Pani z okienka wywoływała kolejne numerki do kabin, podając jednocześnie kierunek połączenia, ale to wszystko przelatywało jakby obok Andrzeja – jemu pięć godzin temu świat zwałił się na głowę. Stał wtedy oparty o filar w poczekalni warszawskiego wydziału paszportów przy ulicy Kruczej, obserwując twarze wychodzących z pokoju interesantów, szczęśliwe i dumne, należące do tych, którym udało się wejść w posiadanie wymarzonego dokumentu uprawniającego do przekroczenia granicy PRL, i smutne, zawiedzione, wręcz zszokowane tych, którym odmówiono prawa do opuszczenia – choć na krótką chwilę – ukochanej ojczyzny. Dochodził do wniosku, że radość jest nudna, znacznie ciekawsze wydawały mu się oblicza i reakcje petentów załatwionych odmownie. Był tu cały wachlarz zachowań: od pełnego rezygnacji żalu, łez, spuszczonej wstydliwie głów i oczu, po zawzięte rozczarowanie, złość, mówione półgębkiem lub wykrzykiwane pełną piersią wymyślne przekleństwa. Kochan mógł sobie pozwolić na dystans i poniekąd cyniczne rozbawienie towarzyszące tym obserwacjom, ponieważ jego pozycja wydawała się prosta, wręcz oczywista; tydzień temu złożył wniosek, który został przyjęty bez żadnych zastrzeżeń, do dokumentu dołączył podanie wyjaśniające dokładnie jego sytuację rodzinną i podkreślające obywatelską – patriotyczną nawet – postawę wobec kraju, a wyrozumiała urzędniczka wyznaczyła mu iście ekspresowy termin odbioru paszportu. Chociaż odczuwał już solidne zmęczenie ponad pięciogodzinnym oczekiwaniem w długiej kolejce na audiencję u funkcjonariusza wydziału paszportów, to zachowywał spokój i z rozbawieniem, ale i odrobiną nostalgii wspominał, jak trzy i pół roku temu, jako piętnastoletni chłopak, przyszedł z ojcem w to samo miejsce złożyć wniosek o wydanie paszportu, wsparty zaproszeniem od matki, a potem kolejną wizytę, kiedy z bijącym sercem

oczekiwał na decyzję władz.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich niewysoki, starszy mężczyzna w za ciepłym jak na pogodę kożusku, zaciskający na piersi pięść w geście zwycięstwa. „Kolejny szczęśliwiec – ziewnął Kochan – no, zaraz ja”, pomyślał jeszcze. Do pokoju weszła czekająca w kolejce przed nim młoda kobieta. „Pewnie ją odstrzelą – rozważał dalej – ten juhas w kożuchu to już drugi z rzędu załatwiony pozytywnie, czas na gilotynę”. Żał mu się zrobiło dziewczyny, która podczas wielogodzinnego oczekiwania opowiadała współkolejkowiczom o rodzinie w Wiedniu i studiach na wydziale historii sztuki, jakie miała nadzieję rozpocząć po przyjeździe do stolicy Austrii. Podejrzanie szybko drzwi ponownie się otworzyły i dziewczyna pewnym krokiem opuściła pomieszczenie, a cała jej postać – przede wszystkim roześmiane ciemne oczy – wyrażała wielką radość. Minęła Kochana, unosząc w górę kciuk i puszczając do niego oko. „Urzędasy mają chyba godzinę litości dla zwierząt. To już trzecia, ja będę czwarty, odkąd tu jestem, takiej pomyslniej serii nie było”, myślał Andrzej, przekraczając próg pokoju.

Za biurkiem siedział niski, ostrzyżony na jeża brunet w błękitnej koszuli z odstającymi małymi uszami i poruszał krótko przyciętymi wąsikami. „Wołodyjowski, kurwa mać”, uśmiechnął się w duchu Kochan.

– Andrzej Kochański po odbiór paszportu – zameldował wesoło.

– Przecież wiem, że nie marynarki z pralni, he, he – zaśmiał się, chrumkając niczym wieprz, urzędnik. – Tak, mam tu was – dodał już poważnie, przeglądając teczkę z dokumentami. – I przychodzicie sobie po odbiór, a nie odbierzecie, bo dokumentu uprawniającego do opuszczenia naszego kraju nie otrzymacie. Jest odmowa wydania.

– Jak to odmowa?

– No tak, tu, widzicie, pisze, że właśnie wyszliście z wojska.

– Bo ja właśnie, żeby wojsko odsłużyć, przyjechałem z Francji od matki i teraz chcę z powrotem. Tam wszystko wyjaśniłem. – Pokazał na teczkę z podaniem, z którego jeszcze przed chwilą był tak dumny.

– Słuchajcie no, obywatelu Kochański, nie bądźcie dzieckiem. Że przyjechaliście spełnić swój obowiązek wobec ojczyzny, to wam się chwali. Ale, jak sami słyszycie, jest to wasz o-bo-wią-zek i nikt za to orderu wam nie przyzna. Nie liczcie na to. A teraz chcecie wyjechać do kraju kapitalistycznego. Wrogiego nam kraju kapitalistycznego, dodam. Dajmy na

to, członka NATO. I wy w tym wrogim nam kraju kapitalistycznym, nawet nieświadomie, nawet nie wiedząc, że zdradzacie tajemnice wojskowe, takie sekrety dotyczące naszej armii moglibyście przypadkiem wyjawić. Ichnie służby już mają swoje sposoby, żeby wszystko, co je interesuje, z takich jak wy wyciągnąć. Nawet nie będziecie wiedzieć, kiedy. A my naszych tajemnic umiemy strzec i dlatego paszportu na razie wam nie damy.

Kochan z rozdziawionymi ustami opadł na krzesło i z osłupieniem wlepił szeroko otwarte oczy w urzędnika. „O czym on bredzi, jakie tajemnice? Przecież to całe wojsko było jedną wielką farsą”, myślał.

Zaledwie pół roku po wcieleniu poborowego Andrzeja Kochańskiego do Ludowego Wojska Polskiego jak co rano kapral Mroczek stanął w progu sali, w której spał Kochan, przekreślił kontakt i z właściwym sobie wdziękiem wrzasnął:

– Pobudka, koty jebane!!! Do umywalni, ruszać się!!! Wylegiwać się z kutasem w garści będzie tu jeden z drugim!!!

Zaspany Andrzej próbował zebrać wyciągnięte z szafki przybory toaletowe, które po kolei leciały mu z rąk. Nagle zorientował się, że Mroczek stoi tuż za jego plecami, odwrócił się pospiesznie i starając się opanować dygot (sala mimo listopadowych chłódów nie była ogrzana), wyprężył się w postawie zasadniczej. Kapral zbliżył ospowatą twarz do twarzy Andrzeja i spojrzał mu prosto w oczy.

– A ty, Kochański, kocie, już żeś się, kurwa twoja mać, nawojował – syknął. – Zbieraj się i do oficera dyżurnego wypierdalaj. Do cywila wychodzisz, łajzo.

Od samego początku zasadniczej służby wojskowej w ludowym wojsku nic nie przebiegało zgodnie z wyobrażeniami Andrzeja. Mundurowi dysponenci na komisji wojskowej uznali po krótkiej rozmowie, że poborowy, który po trzyletnim pobycie na Zachodzie przyjeżdża z Francji specjalnie po to, żeby odsłużyć wojsko w socjalistycznej armii, jest co najmniej podejrzany i jako element niepewny, w najlepszym razie jedynie skażony wrogimi ideami przywleczonymi z zagranicy (a niewykluczone, że – być może – przekabacony na służbę obcemu wywiadowi), powinien być wysłany do jakiejś peryferyjnej jednostki, gdzieś, gdzie, jak stwierdził odpowiedzialny za przydział major, „psy dupami szczekają”, i wyznaczony do nieistotnych z

punktu widzenia obronności kraju zajęć. Wybór padł na jednostkę piechoty w Trzešnjowie koło Szczecina, a dyspozycja była wyraźna: Andrzejowi Kochańskiemu broni nie powierzać, ze sprzętem wojskowym go nie obznajamiać i najlepiej trzymać z daleka od wszystkiego, co mogłoby być interesujące dla wrogiego wywiadu, jednocześnie dać szkołę, po której serdecznie odechce mu się wszelkiego węszenia. Z początku wojskowi zwierzchnicy Andrzeja gorliwie stosowali się do poleceń przełożonych i Kochan, rozpoczynając służbę, dostał solidnie w kość, na przemian ćwicząc musztrę i będąc wyznaczanym – zawsze poza kolejnością – do najbardziej niewdzięcznych prac porządkowych w jednostce. Z czasem jednak oficerowie doszli do wniosku, że szeregowy Kochański znalazł się w polskiej armii na skutek nieszczęśliwych dla niego zbiegów okoliczności i z powodu zbyt prostolinijnie pojętego poczucia obowiązku, a nie w jakichś wrogich ojczyźnie zamiarach, i zaczęli uważać go za niegroźnego wariata i fantastę, a nie niebezpiecznego szpiega, obróbkę zaś, którą podoficerowie wobec Andrzeja w dalszym ciągu stosowali, tolerowali bardziej jako potrzebny kompanii wentyl bezpieczeństwa niż sposób na odwrócenie uwagi agenta od jego wrogiej działalności.

Potem, już po przysiędze, na którą do większości żołnierzy przyjechały ich dziewczyny, a do Kochana jedynie ojciec i starsza siostra (o której rzekomych możliwościach seksualnych nasłuchał się później sporo niewybrednych komentarzy), nacisk na Andrzeja zelżał i wojskowa egzystencja stała się dla poborowego całkiem znośna. Wkrótce razem z całą kompanią został przydzielony do prac polowych w pobliskim PGR-ze.

Kwaterowali w ogromnych, rozbitych w szczerym polu brezentowych namiotach, ogrodzonych drutem kolczastym. Wewnątrz zaduch był straszliwy, wodę musieli nabierać w budynkach biurowych PGR-u i donosić w wiadrach, a jedyną możliwość kąpieli dawało niedalekie jezioro, w którym woda była mętna, ale ponoć czysta, mimo że na powierzchni unosiły się podejrzane sine glony. Prace w polu okazały się dla Andrzeja równie ciekawym, co trudnym doświadczeniem. Urodzony i wychowany w Warszawie, do tej pory wieś znał jedynie z okien autokaru czy pociągu. Na wsi nie miał żadnej rodziny, widły kojarzyły mu się z diabelskim atrybutem, a z kosą przychodziła śmierć, ewentualnie biegali z nią kosynierzy Kościuszki. Jedzenie znajdował na talerzu i nie zaprzętał sobie głowy pytaniami, skąd się na nim wzięło (wiedział tylko, że w Polsce smaczny kąsek należało z

możem zdobyć, a we Francji wystarczyło sięgnąć po niego na sklepową półkę). Po pierwszych dniach pracy na dłoniach porobiły mu się twarde odciski, do których dość długo nie mógł się przyzwyczać, w końcu jednak nabrał doświadczenia i zasmakował w ciężkiej fizycznej robocie. Andrzej zmężniał i powoli stawał się mężczyzną. I to w każdym calu, bo wieczorami młodzi żołnierze wymykali się z obozu nad jezioro i do PGR-owskich stodoł pić tanie wino, rzadziej wódkę, z niedomytymi, roztaczającymi wokół siebie kwaśną woń potu robotnicami rolnymi, z którymi umawiali się w ciągu dnia, by potem – po wypiciu alkoholu – w szybkim, gwałtownym akcie, na mchu czy sianie, bez choćby odrobiny czułości, spuszczać się pomiędzy ich brudne uda, nie myśląc o konsekwencjach. Wymykał się też Kochan, a jego wesoły sposób bycia sprawiał, że pegeerówki oddawały mu się nad wyraz chętnie.

Miesiące mijały i po pracach związanych ze żniwami, zwózką ziarna i słomy z pól, podorywkami i sianiem poplonu przyszła pora na wykopki. Słoneczna do tej pory pogoda popsuka się, a chłód i deszcz w połączeniu z lepką gliniastą ziemią, z której zgięci wpół żołnierze wydłubywali drobne ziemniaki, dawały się Andrzejowi mocno we znaki. Dni stawały się coraz krótsze, a dziewczyny we wsi coraz bardziej rozdrażnione. Kochan nie tracił mimo to dobrego humoru – do czasu jednak. Kapral Mroczek rzadko uczestniczył w nocnych eskapadach nad jezioro i do stodoły, i to nie dlatego, że nie miał ochoty – wręcz przeciwnie – ale dlatego, że jego paskudna ospowata twarz w połączeniu z zawsze zawziętą miną i wyjątkowo chamskim, nawet jak na niewygórowane przecież pegeerowskie standardy, sposobem bycia odrzucała wiejskie robotnice, które specjalnie wybredne przecież nie były. Coraz bardziej sfrustrowany kapral upatrzył sobie młodziutką dojarkę Jolkę i bezskutecznie smalił do niej cholewki; łąził za nią, nagabywał, czynił propozycje – bez skutku. Raz kompletnie zalany przez pół nocy, dopóki znużony nie zasnął pod płótem, wyśpiewywał pod jej chałupą piosenki i wykrzykiwał miłosne zaklęcia, a nawet ponoć próbował się oświadczyć. Ta nieszczęśliwa kaprańska miłość była powodem żartów w całym rozbitym w polu obozie. Andrzej wiedziony bezmyślną przewrotnością i charakterystyczną dla siebie skłonnością do ryzyka, podpuszczony przez kolegów, na oczach aż gotującego się ze złości kaprała umówił się z Jolką nad jeziorem, gdzie bez specjalnych ceregieli przeleciał ją szybko na mokrych liściach, objijając sobie przy okazji łokcie i kolana o świeże żółędzie, którymi usiana była wilgotna ziemia. I może nie wyniknęłaby z tego

żadna afera, gdyby nie to, że dziewczyna oprócz krótkiej chwili przyjemności obdarzyła Andrzeja całym rojem gryzących bez litości mend. Wściekły na nią, na siebie, a najbardziej chyba na Mrocza, zamiast, jak podpowiadał mu instynkt, podzielić się tą niemiłą nowiną wyłącznie z obozowym felczerem, mszcząc się na kapralu, opowiedział szczegółowo o całej historii wszystkim, którzy byli skłonni go wysłuchać. Wysłuchał też Mroczek, a doznanego upokorzenia nigdy już Andrzejowi nie wybaczył.

Od tej pory skończyły się dla szeregowego Kochańskiego spokojne dni. Kapral z mściwą, sadystyczną przyjemnością odgrywał się na nim na każdym kroku. Kiedy w październiku kompania powróciła do koszar, Mroczek nasilił ataki, a jego postępowanie stało się wręcz niebezpieczne dla życia Andrzeja i zaczęło wywoływać zgorszenie nie tylko u zwykłych żołnierzy, ale i coraz bardziej zaniepokojonej rozwojem sytuacji kadry oficerskiej. Na nic zdały się rozmowy mediacyjne, które oficerowie próbowali przeprowadzać, kapral nie chciał albo po prostu nie potrafił odpuścić. Starszyzna zaczęła rozważać różne opcje; przenieść Mrocza do innej jednostki nie chciała, bo z jej punktu widzenia był to dobry, doświadczony i cenny podoficer, z kolei wystąpienie o przeniesienie szeregowego Andrzeja Kochańskiego byłoby przyznaniem się do niekompetencji i niewypełnienia cichych dyspozycji przełożonych. W końcu postanowiono, że najrozsądniejszym rozwiązaniem będzie uznanie szeregowego za niezdolnego do dalszej służby w Ludowym Wojsku Polskim i przeniesienie go do cywila, z tajną notatką w aktach informującą, że dla dobra kraju Andrzej Kochański, jako jednostka niepewna i politycznie podejrzana, powinien być trzymany jak najdalej od wszelkich struktur wojskowych.

Kochan wszystkich tych niuansów oczywiście nie znał, dlatego słowa wyrzeszczane przez kaprala Mrocza o zwolnieniu do cywila przyjął z niedowierzaniem i węszył w nich podstęp. Wizyta u oficera dyżurnego przekonała go jednak, że tak nie jest, i już w listopadzie z kartą zwolnienia w ręku podróżował ospałym pociągiem osobowym relacji Szczecin–Warszawa do domu.

Siedzący z rozdziawionymi ustami na wprost urzędnika Kochan wciąż rozważał, jakie to tajemnice wojskowe mógłby wywieźć na Zachód, szczegóły akcji żniwnej na Pomorzu Zachodnim czy może dyslokacji wialni i młockarni na Ziemiach Odzyskanych, kiedy dotarł do niego zniecierpliwiony

głos:

– No, co tak jeszcze siedzicie?

– Proszę pana, ale ja w tym wojsku to tylko kartofle kopałem.

– Widzisz, chłopcze – urzędnik zniżył głos i pochylił się w stronę Andrzeja – ja to cię nawet rozumiem i tak prywatnie jest mi cię po prostu żal. Osobiście to ja bym cię puścił, ale takie są przepisy. A przepisy to przepisy. Bezpośrednio po wyjściu z wojska paszportu wydać ci nie mogę i nic nie poradzimy... Tak więc, obywatelu Kochański – cofnął się i wrócił do dawnego tonu – znajdźcie sobie jakąś ciekawą pracę, uzbrojcie się w cierpliwość i przyjdźcie do nas za dwa lata. A może przez ten czas zrozumiecie, gdzie wasze miejsce, gdzie wam będzie lepiej, i za żadną zagranicę już wyjeżdżać nie będziecie chcieli. Serwus. – Pokręcił głową i wsadził nos w dokumenty.

Andrzej powoli wstał z krzesła i powlókł się w stronę drzwi, otworzył je, stanął w progu i spojrzał na hol pełen oczekujących na swoją kolej petentów, którzy jak na komendę odwrócili od niego wzrok, tak jakby samo spojrzenie jego zawiedzionych oczu mogło zarażać nieszczęściem niczym ospa. Zawstydzony swoją wcześniejszą, bezpodstawną, jak się okazało, pewnością siebie, przeszedł w szpalerze milczących ludzi, a przez głowę przeleciała mu myśl, że teraz to on jest obiektem obserwacji jakiegoś aroganckiego bubka – o nie, radość jednak nie jest taka nudna, jak uprzednio sądził – wściekły pchnął drzwi i wyszedł na ulicę. Ostre światło oślepiło go, jak na złość wróciła piękna jesień, po przedwczorajszym mokrym śniegu nie pozostało już śladu, a ulice tonęły w promieniach grzejącego nieśmiało słońca. Nie rozglądając się na boki, przeciął Kruczą w miejscu niedozwolonym na wprost biurowca Mostostalu – na szczęście nigdzie w pobliżu nie czaił się z gwizdkiem czujny milicjant – i ruszył w kierunku przystanku. W wąskim, znaczonego rzędem niskich młodych akacji wąwozie ulicy Pięknej, gdzieś na wysokości willi Raua, dostrzegł zbliżającą się w jego kierunku szczupłą sylwetkę trolejbusu z pałakami niczym zajęcze uszy, sunącymi po nisko zawieszonych przewodach elektrycznych. Po chwili wsiadł do pojazdu i nie kasując biletu, stanął przy oknie. Trolejbus skręcił w prawo, w Kruczą, a Kochan zobaczył wymalowaną na całej powierzchni szczytowej ściany czteropiętrowej przedwojennej, ceglanej kamienicy ogromną sylwetkę czarnego, stojącego na tylnych łapach kota, ściskającego w przednich jeszcze większy żółty but. Była to stara reklama pasty do butów. Malunek wprawdzie

trochę wyblakł, ale poza tym nie miał żadnych śladów zniszczenia. „Ciekawe, jak on się tu w powstaniu uchował? – pomyślał Andrzej. – Swoją drogą, jakie to miasto musiało być kiedyś kolorowe”. Ruch o tej porze był niewielki, trolejbus minął Aleje Jerozolimskie, potem odcinający się od szarego tła szklaną, lekką, nowoczesną sylwetką Centralny Dom Towarowy i potoczył się ulicą Szpitalną. Na placu Powstańców Kochan wysiadł na przystanku przy ciągnącej się od lat budowie gmachu banku narodowego i pomaszerował Świętokrzyską obok masywnego prostopadłościanu przedwojennego drapacza chmur, hotelu Warszawa, w kierunku Poczty Głównej. W okienku hali rozmów międzymiastowych i międzynarodowych zamówił połączenie z Francją, odebrał kwitek z dalekim numerkiem, usiadł w kącie na twardej drewnianej ławce i pogрузił się w czarnych myślach.

Siedział tak bez ruchu ze wzrokiem wbitym w jeden punkt już czwartą godzinę, nie zważając na przelewający się obok tłum, ostre głosy gwałtownych kłótni, wywoływanych przez czekających w nieskończoność na połączenie rozmówców, i zapadający za oknem zmierzch, kiedy z odrętwienia wyrwał go jazgotliwy kontrakt wydobywający się zza szyby okienka:

– Numerek siedemdziesiąt dziewięć, międzynarodowa do Francji, kabina trzecia! Ile razy mam powtarzać?!

Kochan drgnął i spojrzął na ścienny zegar, dochodziła osiemnasta. Poczł ostre ukłucia w zdrętwiałej nodze, wstał i kulejąc, powłókl się do rozmównicy. Podniósł bakelitową słuchawkę, usłyszał trzask, a potem kobiecy głos.

– Mamusia?... Nie dali mi paszportu... Niech się mamusia nic nie martwi... Coś wymyślę... Obiecuję mamusi, że na Boże Narodzenie będziemy już razem...

3

Pociąg powoli wtoczył się na stację, zatrzymał, a wpadające na siebie z łoskotem wagony szarpnęły gwałtownie. Kochan, Sysy, Maniek i Szczota wyskoczyli na pokryty śniegiem peron i w kłębach pary wydobywającej się spod kół lokomotywy rozejrzeli się dokoła zaspanymi oczami. Wyróżniali się bez choćby jednej sztuki bagażu na tle tłumu wczasowiczów obładowanych walizkami, turystów w butach do górskich wędrówek z wypchanymi plecakami, ubranych w wełniane golfy i czapki, narciarzy opierających się o deski i kijki oraz tubylców w cuchnących kożuchach z kosztami góralskich produktów zawieszonymi na przedramionach. Z dworcowych głośników wydobywał się niezrozumiały bulgot i mieszał z sapaniem parowozu.

– Orkiestra witać nas tu nie będzie, zbieramy się – powiedział Kochan i chłopcy ruszyli wzdłuż odpoczywającego po całonocnej podróży pociągu w stronę metalowej bramy prowadzącej na ulicę.

– Kochan, a gdzie jest Giewont, co? – spytał Maniek.

– Tam. – Andrzej wyciągnął przed siebie rękę. – Ale go nie zobaczysz, śnieg pada. No dobra, teraz musimy poszukać sklepu.

– A może byśmy się tak najpierw rozgrzali? – Sysy wskazał wzrokiem na duży bar po przeciwnej stronie ulicy. – Wygląda na czynny.

– Dobra, ale potem do sklepu i gazem do wujostwa. Trzeba będzie jeszcze chwilę zdrzemnąć się przed wieczorem, czeka nas długa noc.

W barze panowała senna atmosfera. Pod ścianą spało kilku niedobitków – weteranów odchodzącej nocy; ktoś w kącie perorował bełkotliwym głosem nad uchem nieruchomych „zwłok”, drzemiących z nosem na blacie stolika, co chwila szarpiąc za kołnierz „truposza”; ktoś inny toczył heroiczny, acz z góry skazany na porażkę bój z siłą grawitacji, próbując bezskutecznie poderwać się z krzesła, a jeszcze inny starał się zaintonować patriotyczną pieśń, ale nim skończył pierwszy wers, poplątał słowa, zaciął się i opadł w zdumionym milczeniu na metalowe krzesło.

Na widok nowych gości opasła bufetowa podniosła ciężko okazały zad z taboretu.

– Panowie przyjezdni życzą? – stęknęła, rozgniatając w popielniczce niedopałek sporta.

– Cztery sety i dwie porcje parówek – zarządził Sisy.

– Złotko, wódkę tylko z konsumpcją wydajemy. Cztery sety, cztery porcje.
– Otrzepała bluzkę trzeszczącą w szwach pod naporem obfitego biustu.

– Królowo astrachańska, księżno zimowej stolicy naszego pięknego kraju – Maniek uśmiechnął się do pulchnej bufetowej – miej litość nad biednymi studentami. – W błagalnym geście uniósł w górę ręce. Spojrzała zalotnie spod sztucznych rzęs i poprawiła czepek na tlenionych włosach, ale wesoły ogień w jej oczach zgasł równie nagle, jak się pojawił.

– Chopcy, albo bierzecie porcje do każdej wódki, albo leję tylko dwie. Decydujcie się, bo mnie nogi boją.

Maniek porozumiał się wzrokiem z Kochanem. Andrzej skinął aprobująco głową.

– W takim razie jeszcze nóżki dwa razy.

Usiedli przy stoliku i unieśli literatki.

– Żeby tylko wszystko się udało. Zgodnie z planem.

Szkoło brzęknęło, wypili, chuchnęli, zakąsili.

– Ale z funduszami robi się krucho – martwił się Sisy.

– Fakt. Spróbuję pożyczyć coś od wujka. W tej chwili – Kochan wyciągnął z kieszeni pieniądze i policzył, przesuwając dużym palcem bilon po szklanym blacie – odliczając forszę na bilety, które musimy kupić, zostało jeszcze na siedem flaszek. Jedna dla wujka, zostaje sześć. Jeśli ciotka zrobi nam kanapki, to od biedy wystarczy.

– Byle tylko chcieli kupić, pepiki teraz zestrachane są. – Sisy wciąż szukał słabych punktów w planie.

– Kupią, kupią, a jak nie, to sami wypijemy. – Kochan starał się zarazić kolegów optymizmem. – Mapa jest? Sprawdź jeszcze raz. To najważniejsze.

– Jest. – Szczota klepnął się po kieszeni.

– To idziemy.

– A daleko to?

– Kawalek. Na Grunwaldzkiej. Trzeba iść na wprost aż do Giewontu (hotelu, a nie góry, Maniek), a potem dalej Krupówkami. Zobaczycie Zakopane w pełnej krasie.

Pół godziny później, stojąc przed metalową furtką, Andrzej naciskał z furią na bakelitowy przycisk dzwonka. Drzwi do betonowej, pokrytej szarym tynkiem willi bez stylu i wyrazu uchyliły się i na zewnątrz wyjrzała kobieca nieuczesa głowa.

– A czego tam?

– Cioteczko, nie poznaje mnie ciocia?

Kobieta otworzyła szerzej drzwi i przyjrzała się przymrużonymi oczami Kochanowi, nagle wyskoczyła na zewnątrz, odziana jedynie w różową halkę i kapcie.

– Jezusie Nazareński, Andrzejek? A skądże się tu wziął, dziecko? Zachodźże prędko. – Zwolniła blokadę furtki i wyciągnęła do Kochana obie ręce. Andrzej uściskał ją serdecznie.

– Ciociu, ale ja z kolegami jestem.

– Zachodźcie, chopcy, bo mróz.

Usadowili się w wąskiej kuchni na taboretach i senni, oparci łokciami o przykryty ceratą blat stołu, obojętnym wzrokiem obserwowali, jak krzątająca się i posapująca z niedowierzaniem ciotka, pobrzękując szklankami, przygotowuje herbatę. Jedynie Andrzej rozglądał się radośnie i zatrzymywał wzrok na każdym przedmiocie, a wszystko dookoła przypominało mu dzieciństwo – wakacje oraz zimowe ferie spędzane u wujostwa, i pełną swobodę, jakiej u nich zawsze zażywał.

– Ciociu, a wujek gdzie jest?

– Zaraz będzie. O, zdaje się już przyszedł.

W drzwiach stanął wysoki, krzepki brunet z krótką brodą poprzetykaną nitkami siwizny i otrzepując ze śniegu wolną ręką (w drugiej trzymał skórzaną teczkę) kołnierz kozucha, przyglądał się nieufnie przybyszom. Ciotka w milczeniu wymieniła rozbawione spojrzenie z Kochanem, który obserwując zdezorientowanego wujka, starał się bezskutecznie zachować powagę; w końcu nie wytrzymał, parsknął śmiechem i poderwał się od stołu.

– Andrzejek?! Nie może być! – wykrzyknął Antoni Moczydło, zaciągając z galicyjska, chwycił w dłonie głowę ukochanego siostrzeńca, wycałował z

dubeltówki, a następnie przycisnął do wielkiej piersi.

– Tajoj, co za radość, co za radość! To już będzie zaraz cztery lata. Andrzejek, jak wyrósł. A Stefcio zdrow? A Marianka? Opowiadaj, wszystko opowiadaj.

– Wujciu, udusisz. – Andrzej, na przemian śmiejąc się i krztusząc kudłami góralskiego kozucha, próbował wyswobodzić się z żelaznego uścisku.

W domu, we Lwowie, było ich czworo: starsi bracia Ksenia i Stefan zawsze trzymali się razem, mieli swoje tajemnicze sprawy i nie dopuszczali do nich znacznie młodszych dzieciaków, Marianki i Antoniego, skazanych w zabawach wyłącznie na własne towarzystwo. Bracia często znikali na całe noce, łązиковali, a w roku trzydziestym dziewiątym, który rozproszył rodzeństwo po świecie, mieszkali już we wspólnie odnajmowanym mieszkaniu poza rodzicielskim domem, co prawdopodobnie uchroniło młodsze rodzeństwo od wywózki na wschód. Kiedy bolszewicy zajęli miasto i rozpoczęli jego systematyczny drenaż z elementu, który w ich przekonaniu nie pasował do grubo ciosanych ram nowej, socjalistycznej Republiki Zachodniej Ukrainy, na ich liście do wywózki w naturalny sposób znalazł się Ksenia, pracujący jako szofer w miejskiej komendzie policji. Łomot karabinowych kolb o drzwi poderwał braci z łóżek w środku nocy, a już pół godziny później obaj (enkawudziści niejako przy okazji zgarnęli również przyuczającego się dopiero do zawodu krawca Stefana) ze skromnym dobytkiem na plecach człapali ze spuszczoneymi głowami w pęczniejącej z każdą chwilą kolumnie aresztantów na dworzec kolejowy. Tam braci brutalnie rozdzielono. Stefana wrzucono do niemiłosiernie wypchanego transportu, który dopiero po wielotygodniowym exodusie zatrzymał się i opróżnił bydłące wagony na bezkresnych, wyludnionych kazachstańskich stepach; od Kseni nie nadeszła już nigdy żadna wiadomość.

Najmłodszy z rodzeństwa, piętnastoletni Tońcio, owego roku wakacje spędzał u wiejskiej rodziny szkolnego przyjaciela, Kazia Czarnowskiego. Pod koniec sierpnia, wobec niepewnej sytuacji politycznej, wdowa Moczydło po szybkiej naradzie z rodzicami Kazia zgodziła się, aby syn, pomimo zbliżającego się rozpoczęcia roku szkolnego, pozostał na prowincji kilka dni dłużej i, przynajmniej dopóki nadciągająca zawierucha wojenna się nie rozwieje, do Lwowa nie wracał. Skąpe wiadomości z frontu, jakie

docierały na wieś, z jednej strony przerażały chłopców, z drugiej pobudzały do działania. Wychowani na legendzie Lwowskich Orląt nastolatkiem wmówili sobie, że ojczyzna bezwzględnie potrzebuje ich młodej krwi, i siedemnastego września wspólnie z miejscowym zabijaką Robertem Kozakiem dosiedli przyprowadzonych przez niego koni, po czym ruszyli lasem na odsiecz oblężonej Warszawie. Następnego dnia natknęli się na zmierzający w tym samym kierunku duży, około dwutysięczny, oddział kawalerii, do którego się przyłączyli. Przez tydzień żołnierze, a wraz z nimi chłopcy, poruszali się lasami i polnymi ścieżkami, starając się unikać panoszących się po głównych drogach krasnoarmiejców, zresztą również niekwapiących się do walki z tak silnym oddziałem, a jedyną potyczką, jaką kawalerzyści stoczyli, był atak na ukrytą głęboko w leśnych ostępach leśniczówkę, bronioną, jak się okazało, jedynie przez gajowego wraz z rodziną, który na skutek tragicznej pomyłki ostrzelał polskich żołnierzy, biorąc ich za sowiecki zwiad, a ci w odpowiedzi obrzucili dom granatami, zabijając wszystkich w środku. W niedzielę, dwudziestego czwartego września, po długim marszu żołnierze odpoczywali na leśnej polanie, korzystając z jesiennego słońca, kiedy ciszę rozdarł terkot karabinu maszynowego, a na skraju lasu pojawiła się sowiecka tankietka, w ślad za nią wyłoniły się kolejne, siekąc na oślep bezlitosnymi seriami, za pojazdami skokami posuwała się piechota. W ogólnym rozgardiaszu, wśród biegających we wszystkich kierunkach, oszalałych z bólu rannych koni, piekielnej kanonady, tracących głowę zaspanych kawalerzystów chłopcom udało się cało doczołgać do lasu, a następnie biegiem dotrzeć do najbliższego miasteczka, gdzie funkcjonariusze komunistycznej komendantury, która już tam się zainstalowała, przesłuchali ich i kazali oddać orzełki z czapek, a potem odesłali pociągiem do Lwowa, do domów. I na tym skończyło się wojenne bohaterstwo Tońcia.

Po aresztowaniu Kseni i Stefana wdowa Moczydło nie czekała, aż radzieckie władze przyjdą po resztę rodziny, zabrała młodsze dzieci i w gęsto padających płatach śniegu powędrowała w stronę granicznego Sanu, uznając, że w sytuacji, w jakiej znaleźli się jej najbliżsi, lepszy będzie niepewny los pod niemiecką okupacją niż niemal gwarantowana pod bolszewickim panowaniem wywózka na skuty lodem Wschód. Podczas nocnej przeprawy przez rzekę oddzielającą zakreślone przez Ribbentropa i Mołotowa strefy wpływów w tej części Europy doszło do straszliwego zamieszania. Dwie

grupy uciekinierów z obu brzegów, zarówno ta składająca się z ludzi, którym wydawało się, że nic gorszego od hitlerowskiego terroru spotkać ich już nie może, jak i ta składająca się z myślących na odwrót, wpadły na siebie, czyniąc niesamowity rwetes, i zdeorientowane, pozostawione własnemu losowi przez sowicie opłaconych przewodników, którzy przy pierwszych kłopotach wzięli nogi za pas, rozbiegły się we wszystkich kierunkach, ścigane seriami karabinowymi, wystrzeliwanymi przez pijanych sowieckich żołnierzy bardziej dla sportu i postrachu niż z chęci zatrzymania zbiegów. W ogólnym chaosie, jaki zapanował, Antoni zgubił matkę i siostrę, a ponieważ matka celu podróży mu nie wyjawiała (bo prawdę powiedziawszy, sama go do końca nie знаła), odnaleźli się dopiero kilka miesięcy później, kiedy chłopakowi, którym zaopiekował się spotkany na przemyskiej stacji kolejarz z Zakopanego, udało się ustalić warszawski adres, pod jakim zatrzymali się jego najbliżsi. Resztę wojny Antoni spędził pod Giewontem, ucząc się zawodu kolejarza pod czujnym okiem swojego nowego opiekuna, na co świadoma zagrożeń czyhających w okupowanej Warszawie na patriotycznie usposobionego młodzieńca wdowa Moczydło z westchnieniem ulgi, choć i tęsknoty, wyraziła zgodę.

Nigdy już nie spotkali się w komplecie. Po Kseni wszelki słuch zaginął. Stefan po szaleńczej pogoni przez pół Związku Sowieckiego dopadł wreszcie w Iranie armię Andersa, z którą przewędrował cały szlak bojowy i wraz z nią przełknął gorzką pigułkę londyńskiej demobilizacji, a ponieważ od angielskiego lepiej znał francuski, po zrzuceniu munduru osiedlił się w niewielkiej miejscowości po drugiej stronie kanału. Antoni dalej mieszkał w Zakopanem i pracował na kolei, dzięki czemu mógł w miarę często odwiedzać swoją ukochaną siostrę Mariankę i matkę, które wysiedlone po powstaniu z Warszawy do Pruszkowa wobec utraty Lwowa wróciły do stolicy jeszcze w czterdziestym piątym roku.

Ród Moczydłów nie doczekał się potomka w męskiej linii; żaden z trzech braci nie miał syna, żaden w ogóle nie miał dzieci (Ksenia prawdopodobnie zginął w którymś z sowieckich łagrów, Stefan nie ożenił się, a Antoni wprawdzie żonę posiadał, ale potomstwa z tego małżeństwa już nie), trójki za to dochowała się Marianka – wyszła za mąż jeszcze w trakcie okupacji, w czterdziestym piątym urodziła Anię, a potem, w odstępie dwóch lat, Zbyszka i pupilka całej rodziny, Andrzeja. Najmłodsze z dzieci Marianki było także faworytem Antoniego, który przelał na siostrzeńca wszystkie

niezagospodarowane uczucia ojcowskie i rozpieszczał go, jak tylko potrafił, podczas częstych odwiedzin w stolicy, ale także w trakcie ferii i wakacji spędzanych przez Andrzeja w Zakopanem. Od wyjazdu Kochana do Francji Antoni Moczydło czuł się tak, jakby ktoś wyrwał mu pół wątroby. Tęsknił.

Antoni odsunął od siebie Andrzeja na wyciągnięcie ramion i przyglądał się ukochanemu siostrzeńcowi śmiejącymi się oczami.

– Tajoj, aleś wyrósł. Prawdziwy z ciebie mężczyzna.

– Właśnie wujku, dlatego pozwoliliśmy sobie przynieść wujkowi... – Kochan sięgnął za pazuchę, po czym wyciągnął w stronę wujka pół litra żytniej – razem z kolegami. Proszę, niech wujek pozna: to jest Marian, to Waldziu...

Wuj witał się po kolei z chłopcami.

– A my to się chyba znamy. Boguś? – przypomniał sobie Antoni, przyglądając się Sysemu, który kiedyś towarzyszył Andrzejowi podczas ferii w Zakopanem, i serdecznie go wyściskał.

– To pięknie, pięknie, chopcy. Tajoj, w takim razie na pokoje zapraszam panów, skoroście już tacy dorośli. Napijemy się...

– Tońciu, tak od rana pić będziecie?

– Tajoj, Duszko, dajże spokój, siostrzeniec z kolegami przyjechał, czeba to opić, nie? Zróbże nam, Duszko, jajecznicę.

Ciotka westchnęła ciężko, a panowie wyszli z kuchni – wujek po drodze niedbałym ruchem zerwał kartkę z kalendarza, „2 grudnia, Balbiny i Pauliny”, przeczytał pod nosem, złożył papier na pół i wsadził do kieszeni – i przeszli do niewielkiego salonu. Andrzej niemal wszystko zastał tu takie jak kiedyś: ta sama czerwona tapeta, biała pożółkła od tytoniowego dymu firanka, zielony za krótki dywan, pod ścianą ciężki orzechowy kredens, na którym obok rozklekotanego radia z rozczuleniem dostrzegł rodzinne zdjęcia – wujka Ksenię w harcerskim mundurze, wuja Stefana na tle paryskiej Notre Dame, matkę jako nastolatkę z warkoczykami gdzieś na lwowskim podwórku i babcię na wsi, na przedzie stała jego fotografia w stroju piłkarskim, przysłana wujostwu z Francji – na środku pokoju nad ławą wciąż smętnie zwisał trójramienny żyrandol z jednym zbitym kloszem, pamiątką po igrzyskach w Rzymie, w trakcie których we wrześniu (przed matką

symulował chorobę, aby tylko nie wracać przed końcem olimpiady z wakacji do Warszawy) słuchali radiowej relacji z biegu Krzyszkowiaka, i kiedy polski champion wyprzedził na mecie ruska Sokołowa o dwie sekundy, wujek wystrzelił w górę jak z katapulty, wrzeszcząc i machając rękami, a kolorowy abażur rozsypał się w drobny mak. Jedynym nowym mieszkańcem pokoju był telewizor, ustawiony w kącie na wysokim stoliku, na którym wcześniej stała zawsze zakurzona paprotka, kwiatka nigdzie nie zauważył. Antoni z siostrzeńcem rozsiedli się w głębokich fotelach, reszta chłopców obsiadła przykrytą wzorzystą kapą amerykańską. Za chwilę na niskiej ławie wylądowały kieliszki wyszperane przez wujka z kredensu oraz pół litra postawione przez Sysego.

– Kurzycie? – zapytał wujek, podsuwając w stronę Andrzeja i kolegów kryształową popielnicę, paczkę sportów i pudełko zapalek z czarnym skaczącym kotem na etykiecie. Chłopcy zapalili, a Antoni w tym czasie napełnił kieliszki, potem wysupłał z kieszeni marynarki okopconą lulkę, wetknął w nią papierosa i potarł zapalką o draskę.

– Na narty przyjechaliście?

Chłopcy spojrzeli po sobie bezradnie, nic nie odpowiedzieli.

1. – Tajoj, rebiata, szto by diengi byli i chuj stajał, he, he. – Antoni uniósł kieliszek.

– Wujku, my za granicę pryskamy.

Antoni Moczydło zamarł, dłoń z kieliszkiem zatrzymała się w połowie drogi do szeroko otwartych już ust, powoli, bardzo powoli, ręka opadła na stół, ale usta przez dłuższą chwilę, mimo wysiłków wujka, nie chciały się zamknąć. Zaalarmowana przedłużającą się ciszą ciotka stanęła w progu pokoju.

– Duszko, tajoj, ty wiesz, co te wariaty chcą zrobić? – wykrztusił z siebie w końcu wujek. – Oni chcą za granicę uciekać!

– Jezusie, Mario, oszaleli do reszty! Gdzie? Jak?

– Niech się ciocia nie martwi, mamy dobry plan, wszystko obmyśliliśmy. Najpierw przez Czechosłowację do Wiednia, a potem do matki. Przecież wujek też przez zieloną granicę z matką i babcią wiał.

– Tajoj, ale to czasy były inne, wojenne, a poza tym jak to się skończyło? Ja tu, ona w Warszawie. Zobaczycie, złapią was i do ciupy wsadzą, jeszcze pod sąd wojskowy pójdziecie, przecież wiecie, co teraz dzieje się w Czechosłowacji! Nikt się z wami cackać nie będzie! – krzyczał zdenerwowany Antoni. – Ojciec wie?!

Andrzej przecząco pokręcił głową. Zajrzał w patrzące z trwogą, przepelnione miłością oczy wujka. Jak miał mu wyjaśnić to wszystko, co w sobie nosił? Jakimi słowami wyrazić tę trudną do określenia potrzebę wydostania się stąd, wyjechania tam, gdzie czuł się inaczej, swobodniej, radośniej, pewniej? Jak przekonać, że ta tak spontanicznie podjęta decyzja o ucieczce, choć u podstawy miała młodzieńczą bezrefleksyjną fantazję, wynikała także z potrzeby serca, z czegoś, co wryło mu się głęboko w duszę? Mógł oczywiście opowiadać o duszącej ciasnocie, w jakiej mieszkali w siedmioro w skąnym metrażu warszawskiego mieszkania; o nieskończonej szkole; o atakującym w tym kraju z każdej strony brudzie, szarości ulic i ludzi; o ciągłych kłopotach z zaopatrzeniem; o tym, że ojciec od piętnastu lat czeka na decyzję o przyznaniu telefonu; o tym, że w Polsce nic go nie trzyma, że kto raz dał się przesadzić, tego korzenie już tak mocno nie chwytają się jednego miejsca. Mógłby wreszcie mówić o łatwym, dostatnim życiu, jakie poznał we Francji, wygodnym, przestronnym domu wuja Stefana, fabryczce, którą miał nadzieję odziedziczyć, pełnych sklepowych półkach, gdzie bez trudu mógł znaleźć swoje ulubione banany, znakomitym winie, luksusowym Citroënie, jakim wuj zabierał go z matką na wycieczki. Wiedział jednak, że te proste, odnoszące się do materialnej sfery życia argumenty nie przekonają Antoniego – dla jego kresowej duszy zawsze liczyły się przede wszystkim uczucia.

Wujek wilgotnymi oczami wpatrywał się w siostrzeńca, a Andrzej nie wiedział, jak ubrać w słowa to coś, co poczuł, mieszkając we Francji, a czego brak tak dotkliwie dawał mu się we znaki po powrocie; coś, czego jasno nie potrafił nazwać i określić, a co siedziało głęboko w sercu i teraz jedną urzędniczą decyzją, opartą na absurdalnych przepisach, próbowano mu odebrać. Przypomniawszy mu się obraz, którego autora i tytułu nie pamiętał, a który oglądał w Luwrze, dokąd zabrał go wuj podczas wycieczki samochodem do Paryża. Na wpół goła facetka, trzymając trójkolorowy sztandar, przechodziła nad leżącymi pokotem ciałami i prowadziła gdzieś małego łebka, wymachującego wielkimi pistoletami. Andrzej stał przed

ogromnym płótnem jak zahipnotyzowany, takiego obrazu nigdy nie widział, to nie była porażająca dosłownością, budząca niepokój bitwa pod Grunwaldem czy piątka smętnych mężczyzn, siedząca pod ceglanym murem i nazywająca siebie Wielkim Proletariatem, malowidła, jakie oglądał prowadzany przez nauczycieli w podstawówce na wystawy. Kobieta dzierżąca chorągiew posiadała w sobie taką moc, że Kochan miał ochotę wejść do obrazu i maszerować razem z nią, gdziekolwiek. Wuj Stefan patrzył na oniemiałego siostrzeńca z mieszaniną dumy i radości, stanął obok, objął go ramieniem i powiedział, że postać ta ma na imię Wolność.

Andrzej nie potrafił jednak znaleźć słów, które we właściwy, przekonujący sposób oddałyby te wszystkie nagromadzone uczucia. Gorączkowo szukał jakiegoś przykładu mogącego przekonać Antoniego. W końcu desperacko wypalił:

– A czy wujek nie tęskni czasami za przedwojennym Lwowem, za atmosferą, jaka tam panowała, o której tyle mi wujek opowiadał, jak byłem mały? Za czymś, czego już teraz w tym kraju znaleźć nie można?

– Tajoj, Andrzejku, oczywiście, że tęsknię, ale tego miasta, takiego, jak je pamiętam, już nie ma. Tam teraz jeszcze gorzej niż tu. Tam ruskie.

– Ale gdyby, tak hipotetycznie, to miasto było, właśnie takie jak przed wojną, z tą wolnością w nim panującą, i znajdowało się za granicą, to czy wujek nie uciekałby do niego, nawet gdyby było to ryzykowne?

Antoni wwiерcił w Andrzeja przenikliwe spojrzenie, w jego oczach pojawił się cień zrozumienia.

– Którędy chcecie iść? – zapytał już łagodniej.

– Szczota, dawaj mapę – zawołał Kochan do przyjaciela, który podobnie jak pozostali niewiele rozumiał z tej rozmowy.

Szczota wyciągnął z wewnętrznej kieszeni wojskową mapę Podhala.

– A skąd ty, chopcze, to cudeńko masz?

– Ojciec pracuje w drukarni i MON takie rzeczy u nich zamawia, a stary czasami znosi do domu – wyjaśnił jak zwykle flegmatycznie Szczota.

Panowie pochyłili się nad mapą, a zde gustowana, oparta o framugę i przysłuchująca się rozmowie ciotka pokręciła z dezaprobatą głową, odwróciła się na pięcie i strzepując ścierkę, poczłapała z powrotem do kuchni.

4

Niebieski „ogórek” ze zgrzytem silnika piał się w górę zaśnieżonymi serpentynami. W zimnym wnętrzu autobusu – ogrzewanie nie działało i pasażerowie zawzięcie chuchali na pokryte szronem szyby, próbując odmrozić chociaż niewielkie kółeczka, by obserwować za oknami tańczące w ciemności płatki śniegu – kierowca rozgrzewał się, opowiadając pieprzne dowcipy zaśmiewającej się rubasźnie, okrytej wzorzystą chustą dziewoi, rozwalonej na obłej pokrywie silnika, a Kochan, Sysy, Maniek i Szczota, którzy rozsiedli się na końcu pojazdu, co chwila ziewając, liczyli przystanki; mieli wysiąść tuż przed Witowem. Byli zaspani i trochę bolały ich głowy, bo na jednej flaszcze biesiada u wujka się nie skończyła, ale za to wypity alkohol pomógł zasnąć na kilka godzin w środku dnia i zregenerować siły przed nocną eskapadą. Wiezione za pazuchami pięć butelek wódki były ich jedynym majątkiem, bo pieniędzy od wujka nie udało się pożyczyć. Antoni zarzekął się, ciotka mu przy tym wtórowała, wymieniając z mężem porozumiewawcze spojrzenia, że nie otrzymał jeszcze poborów za ostatni miesiąc, a z kolejarskiej pensji żyją od pierwszego do pierwszego i nie mają odłożonego grosza, którym mogliby chłopców poratować. Andrzej miał poważne wątpliwości co do prawdziwości tych ze wstydem przez Antoniego wypowiedzianych tłumaczeń, ale pierwszy w życiu opór, na jaki natrafił w kontaktach z wujostwem, tak go zaskoczył, że nie był w stanie ich docisnąć pomimo niecierpliwych poszturchiwań kolegów.

Hamulce zapiszczały przenikliwie i autobus wtoczył się powolutku w zatoczkę przystanku. Chłopcy wyskoczyli w głęboki śnieg, trzasnęli niebieskimi drzwiczkami i przytupując zziębniętymi nogami, poczekali, aż czerwone lampki pekaesu schowają się za zakrętem, wtedy dopiero Szczota wyciągnął i rozłożył mapę. Kochan zapalił blaszaną ręczną latarkę kolejarską z czerwonym, zielonym i żółtym szkiełkiem, którą przed samym wyjściem z domu Antoni wsunął mu do kieszeni kurtki.

– Tu gdzieś powinien być strumień, rozejrzyjcie się – zakomenderował Szczota, znający mapę niemal na pamięć; odkąd postanowili wspólnie z resztą chłopaków uciekać razem z Kochanem na Zachód, studiował ją setki razy, analizując każdy detal ukształtowania terenu przyszłej trasy, takie dostał zadanie od Andrzeja i wywiązał się z niego perfekcyjnie. Teraz miał pełnić rolę przewodnika, co mu nieco ciążyło, ponieważ nie był przyzwyczajony do wydawania poleceń. Jedyнным mankamentem, jaki znajdował w całym planie, był ograniczony zasięg mapy obejmującej tylko niewielki, zaledwie kilkukilometrowy przygraniczny pas po stronie czechosłowackiej. Wierzył jednak w geniusz Kochana i nie miał wątpliwości, że kiedy po doprowadzeniu chłopców w okolice wsi Sucha Hora, ostatniej miejscowości na zachodnim krańcu mapy, przekaże komendę w ręce przyjaciela, ten doprowadzi ich do wymarzonej Francji.

– Tu jest! – zawołał gdzieś zza rowu Maniek, któremu śnieg sięgał powyżej kolan.

– Ale późni. – Ssys naciągnął czapkę na uszy.

– I dobrze. Zawieje ślady. – Kochan zaświecił mu w oczy.

– Kochan, zgaś tę latarkę.

– Jeszcze przez chwilę można świecić, potem robimy zaciemnienie. Która godzina?

– Minęło wpół do ósmej.

– Teraz musimy pójść w górę wzdłuż strumienia – wtrącił się Szczota.

– No to w drogę, długa noc przed nami.

Od pół godziny kierowali się jedynie węchem, w ciemnościach brnąc i klucząc w śniegu po pas, co chwila wygrzebując się i zapadając ponownie. Natrafiali niekiedy na własne, na wpół zasypane, ślady, ale byli pewni, że drapiący zapach dymu z każdą minutą staje się wyraźniejszy. Nie wiedzieli, co mógł zwiastować; leśniczówkę, placówkę WOP-u, rozpalone przez jakieś ciemne typy ognisko czy – i tej nadziei kurczowo się trzymali – góralską chałupę i to być może po czechosłowackiej stronie. Tak długo, jak posuwali się wzdłuż strumienia, wszystko szło gładko, potem musieli odbić w prawo i zaczęły się problemy. Śnieg zrobił się jeszcze głębszy, padał gęściej i zasypał wszystkie punkty odniesienia na trasie. Na próżno Szczota wyteżał w

ciemności wzrok, próbując dopasować mapę do terenu, na próżno też prosił Kochana o odpalenie latarki – światło mogło ich zdradzić, tak jak i podniesione głosy, gdy doszło do sprzeczki pomiędzy Kochanem i Sysym o zapalenie papierosa, na co Andrzej pod żadnym pozorem nie chciał się zgodzić. Obaj tłumili wściekłość i dławili krzyk do pełnego irytacji szeptu, a kiedy Kochan postawił ostre veto pomysłowi rozgrzania się wódką, bo wyczytał kiedyś, że alkohol pozornie tylko rozgrzewa organizm, w rzeczywistości go schładzając, w końcu nastąpił otwarty bunt. Sysy i Maniek odłączyli się od reszty i pewnie dalej poszliby własną drogą, gdyby ta nagle nie zaczęła prowadzić ostro w dół, co mogło oznaczać, że wreszcie znaleźli się po czechosłowackiej stronie. Schizmatycy wrócili po kolegów wciąż próbujących rozwikłać w ciemności meandry mapy i dalej, oblepieni śniegiem, mokrzy, ale z nową nadzieją, wędrowali już razem. Teraz zaczęło sprzyjać im szczęście, wiatr wiał od dołu, przynosząc w ich stronę nieśmiały zrazu, potem wyraźniejszy swąd dymu, który wyznaczył im nowy azymut.

Zbliżała się północ. Coraz częściej Szczocie wydawało się, że okolica, którą wolno przemierzali, pokrywa się z odnajdywanym w pamięci obrazem mapy, a nozdrza ostro drażniły wyraźne już, pełzające smużki dymu. Przez gęsto padające tłuste płaty śniegu przebiło się nie tak odległe migotanie światła. Chłopcy odnieśli wrażenie, że do ich uszu doleciało krótkie, niecierpliwe ujadanie psa.

– Jezu, nareszcie. Chyba dotarliśmy. Kochan, nie pierdol już, daj tę latarkę, teraz to i tak wszystko jedno, nawet gdyby to miał być WOP, to przecież dalej nie damy rady się wlec – argumentował Sysy.

– To nie WOP, to będzie Sucha Hora – rzucił Szczota.

– Skoro to już Sucha Hora, to nie ma sensu sprawdzać na mapie i ryzykować zapalaniem latarki. – Kochan nie chciał ustąpić.

– Będziemy mogli wybrać przynajmniej jakąś chałupę na uboczu. Nie, Maniek? Powiedz coś.

Maniek nie był w stanie wykrztusić słowa przez szczękające zęby, już od dłuższego czasu nic nie mówił, wlokąc się ze zwieszonymi rękoma pomiędzy kolegami, a teraz dygotał i toczył dookoła szklanym, niewiele rozumiejącym wzrokiem.

– Popatrz na niego. Jak zaraz nie posadzimy go przy ogniu, to nam się tu przekręci, jeszcze moment i trzeba będzie go nieść, a ja już nie mam siły.

Dawaj mapę, Szczota, trzeba się na którąś z tych ruder zdecydować.

– To gdzie jesteśmy? – Kochan poświecił zielonym światłem na wymiętoszony papier, nad którym się pochylili i któremu w milczeniu przez chwilę się przyglądali.

– Ta chyba będzie dobra – powiedział z wahaniem Szczota, wskazując na symbol oznaczający zabudowania, oddalony, jak wynikało z podziałki, o kilkaset metrów od innych.

– Kochan, a jak my się z nimi dogadamy, bo ja pepików za cholere nie rozumiem?

– Ale tu jest Słowacja, a słowacki jest bardzo podobny do polskiego, poza tym w tej wsi w większości mieszkają Polacy. Przed wojną przez jakiś czas nawet należała do Polski, ale potem coś pomieszali z granicami i teraz znów jest w Czechosłowacji. A mówiłem wam, że mniej więcej tą samą trasą, którą szliśmy, w czterdziestym pierwszym przedostał się do Polski Rydz-Śmigły? Czytałem w jednej broszurce u wuja we Francji.

– Ciekawe, czy też się tak upieprzył? – szyderczo zaśmiał się Sysy. – Takie czasy, kiedyś przedzierano się do Polski, a teraz każdy tylko patrzy, jak z niej spierdolić. Ciekawe też, czy nasze tanki szły wtedy w sierpniu na Pragę?

– Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że nie, bo nikt nas wtedy z otwartymi ramionami witać tu nie będzie. Dobra, chodźmy już, gdzieś tam powinna być droga. – Kochan ruszył przed siebie, a chłopcy wzięli Mańka pod rękę i pomaszrowali za nim w stronę migoczącego światelka, zostawiając w śniegu głębokie ślady.

Maniek stał oparty plecami o rozgrzany kaflowy piec i powoli, bardzo powoli wracał do życia; przestał się trząść, a usta zamiast trupiej siności, którą straszły jeszcze kwadrans temu, pałały, podobnie jak policzki, pulsującą czerwienią. Reszta chłopaków siedziała w milczeniu przy stole, uwalanym resztkami potraw, których nazw nawet nie starali się zapamiętać. Najedzeni i znużeni, wspierając głowy na opartych o drewniany blat łokciach, przyglądali się słoikowi wypełnionemu syropem z cebuli, który gospodarz postawił przed nimi kilka minut wcześniej, zanim wyszedł, machając uniesionym wskazującym palcem, po coś do stodoły, i czuli, jak panujące w kuchni ciepło rozchodzi się po ciele, potęgując uczucie zmęczenia. Toczyli też heroiczny bój z atakującą coraz zajadłej sennością i

kiedy powieki zaczęły ciążyć im już nie do wytrzymania, trzasnęły zewnętrzne drzwi, a w progu stanął gospodarz, trzymający w jednym ręku flaszkę z przezroczystym płynem, a w drugim dwa gliniane kubki. To im przypomniało, że przed zaśnięciem mają do załatwienia jeszcze jedną sprawę, której woleli nie odkładać do rana. Mężczyzna siadł przy stole, na którym postawił naczynia – chłopców owionął kwaśny zapach potu – położył palec na usta i puścił oko.

– Ano, szto by tylko stara moja się nie obudziła – powiedział śpiwną polszczyzną, stawiając akcent na pierwsze sylaby.

Sięgnął po słoik, zdjął nakrętkę i ostrożnie nalał po odrobinie gęstej cieczy do kubków. Potem odkorkował butelkę – w izbie silnie zapachniało alkoholem – i uzupełnił naczynia spirytusem.

– To go na nogi postawi, on jutro zdrow będzie, a i wam, kolegowie, wypić tego medykamentu nie zawadzi. Dziad mój zawsze tak się leczył i u mnie już sześćdziesiąt років jest i jak żyję, nigdy nie chorowałem. Pijcie, kolegowie, pijcie.

Sysy złapał kubek za ucho i próbował wychylić cuchnącą zawartość na raz, ale w połowie zabrakło mu oddechu, zaczął się krztusić i kaszleć.

– O cholera, ale mocne – zdołał z siebie wyrzucić, a gospodarz ukazał w uśmiechu rząd poczerńiałych wprawdzie, ale mocnych zębów.

– A skąd pan bierze spirytus? – zapytał cicho Kochan.

– Ano, tam w obórce taką maszynkę mam i na niej sam spiryt gotuję.

„Niedobrze – pomyślał Andrzej, przyglądając się, jak gospodarz kładzie na stole kawałek gazety, na który wysypuje tytoń, i zaczyna skręcać papierosa. – Cały plan szlag może trafić”. Spojrzał znacząco na kolegów zajętych opróżnianiem kubków. Mimo koszmarnych prawie pięciu godzin drogi wszystko jak do tej pory wydawało się iść gładko: byli już w Czechosłowacji, wybrana przez nich chałupa istotnie stała na uboczu wsi, pies był uwiązany, więc nic sobie nie robiąc z jego wściekłych wrzasków, mogli wejść przez skrzypiącą drewnianą furtkę na biedne, skąpo oświetlone podwórze i mijając okrwawiony pieniek z wbitą na sztorc siekierą, podejść pod drzwi wejściowe. Tam przez chwilę stali niezdecydowani, a potem wszyscy naraz zaczęli walić pięściami, rozklekotane zawiasy potęgowały rumor. Po jakimś czasie w progu pojawiła się rozczochrana, zarośnięta, zaspana, śmierdząca łojem postać w długiej, nieświeżej koszuli nocnej oraz

welnianych skarpetach i po słowacku dopytywała się, kto tak dobija się po nocy. Sysy ze zdziwieniem stwierdził, że Kochan miał rację, język, którym posługiwała się zjawą, przy odrobinie koncentracji dawał się zrozumieć, a tymczasem Andrzej już tłumaczył mrużącemu oczy gospodarzowi, jak i skąd wzięli się na progu jego chałupy. Kłamał jak z nut, przedstawiając ustaloną wcześniej z kolegami wersję, według której byli zbłąkanymi na szlaku polskimi turystami, zaopatrzonymi we wszelkie niezbędne pozwolenia na przekroczenie granicy, niestety, w trakcie drogi jeden z kolegów zasłabł i potrzebował pomocy lub przynajmniej ogrzania się przy ogniu. Gospodarz nawet nie dosłuchał do końca tych, prawdę mówiąc, mało przekonujących tłumaczeń, otworzył szeroko drzwi, wprowadził chłopców do nagrzejanej dusznej izby, i mówiąc specyficzną polszczyzną: „Ano, kolegowie tutaj na mnie poczekają, ja zaraz wrócę”, wyszedł. Nie byli pewni, czy przypadkiem nie poszedł ich zadenuncjować, ale nie mieli siły przedsięwziąć żadnych kroków, które powstrzymałyby gospodarza od tego ruchu. Postawili Mańka pod piecem i czekali w napięciu. Po chwili mężczyzna wrócił ubrany w gruby welniany sweter, niosąc dwie miski z jakimś dziwnym jedzeniem, które z łoskotem postawił przed siedzącymi już przy stole chłopcami. Wygłodniali rzucili się na nie, pakując żarcie rękoma do ust i nie słuchając, jak gospodarz prezentuje menu: „To *bryndzove haluški, pirohý* i *sunkova rolka* z chrzanem”. Mężczyzna jeszcze raz wyszedł, na co przyjaciele nawet nie zwrócili uwagi, zajęci zaspokajaniem zwierzęcego głodu, a kiedy powrócił, miał w ręku słoik z żółtawą, mętną cieczą. „To z cebuli sok. Ano, kolegowie tutaj siedzą i cicho będą, żeby mojej baby nie budzić, lepiej niech śpi. Ja jeszcze na chwilę wyjdę”. Założył ciężkie saboty i tupiąc o świerkową podłogę, ponownie ich opuścił. A teraz, zawijając tytoń w gazetę, z rozbawionym zdziwieniem obserwował, jak na dany przez Kochana znak przyjaciele zaczęli stawiać przed nim butelki wódki.

– Bo my, proszę pana, chcieliśmy panu tę wódkę sprzedać – powiedział nieśmiało Andrzej.

– No tak, kolegowie, ale widzieliście, ja sam spirytus sobie robię, mnie nie potrzeba.

– To może ktoś we wsi by kupił?

– Ano, ja, skąd wy przyszli i dokąd poszli, nie pytam, ale nie wszystkie we wsi tak cicho siedzieć będą. Wy lepiej po wiosce nie chodźcie. Kłopotów sobie narobicie. – Przypalił zapalką skręta.

– Ale my nie mamy koron, nie mieliśmy skąd wziąć, a musimy jutro bilety kupić – prosił Andrzej.

– No tak, kolegowie, ale u mnie pieniondzów nie ma. Polska wódka dobra jest, dlatego jedną flaszkę od was kupię. Więcej nie mogę. – Wziął butelkę i znów wyszedł.

– Kurwa, Kochan, i co teraz!?! – krzyknął Sisy.

– Cicho, nie wrzeszcz. Trzeba będzie coś wykombinować, ale to już jutro.

Wszedł gospodarz i położył przed Andrzejem banknoty.

– Biletów to za to nie kupimy – powiedział smutno Andrzej.

– A tak, inaczej poradzić sobie musicie. Ale teraz kolegowie spać idziecie. Ten tu – pokazał na Mańka – w izbie się położy. O tutaj. Zaraz koce ja jemu przyniosę. A was do stodoły na siano zaprowadzę. Ciepło będzie, jak dobrze się zagrzebiecie.

Nic nie odpowiedzieli, patrząc bezradnie na Mańka. W trakcie obficie zakrapianych tanim owocowym winem ławkowych narad za Jutrzenką ustalili, bez żadnego głosu sprzeciwu, że podczas całej ucieczki będą, bez względu na okoliczności, trzymać się razem. Razem dojdą do wymarzonego celu lub razem zostaną złapani. Z drugiej strony, widząc rozpalone gorączką policzki Mańka, mieli poważne wątpliwości, czy mogą narażać przyjaciela na spanie w zimnej stodole, a na nocowanie w izbie całej czwórki po prostu nie było miejsca. Siedzieli skonsternowani, nie wiedząc, co zrobić. Z kłopotu wybawił ich sam Maniek, który wyszczerzył zęby w swoim szelmowskim uśmiechu i pokiwał z aprobatą głową, a potem wskazał palcem na stojącego w progu gospodarza. Unieśli się ciężko, stara podłoga zaskrzypiała pod ich ciężarem. Ruszyli w stronę wyjścia. Na podłodze pod stołem zostały trzy ciemne mokre plamy.

5

Porucznik Śmiarowski postawił kołnierz beżowego płaszcza i wściekły wsadził ręce do głębokich kieszeni. Perspektywa kolejnej zarwanej poza dyżurem nocy drażniła napięte i tak do granic możliwości nerwy młodego obiecującego oficera milicji. Kiedy przed kilkoma miesiącami dowiedział się o przydziale służbowego M3 w supernowoczesnym, właśnie wybudowanym wieżowcu na nowo powstającym osiedlu Za Żelazną Bramą, radości nie było końca. Kiedy później, po odebraniu kluczy i otwarciu nie bez drobnych kłopotów drzwi, zobaczył na maleńkim stoliku szary, błyszczący nowością aparat telefoniczny, a z ust jego ślicznej żony wyrwał się okrzyk zachwytu, Śmiarowski poczuł, co to znaczy być szczęśliwym. Wtedy nie wiedział jeszcze, że jest najmłodszym stażem i wiekiem oficerem wydziału kryminalnego stołecznej milicji obywatelskiej posiadającym telefon. Wkrótce dla porucznika i jego młodej żony zaczęła się gehenna: telefon dzwonił niemal każdej nocy, wzywając do zajęcia się kolejnymi sprawami, na które oficerowi dyżurnemu brakło czasu, a najczęściej trzeźwości. Śmiarowski chodził notorycznie niewyspany i stale, jak sam to ujmował z właściwym sobie wdziękiem: „wkurwiony jak sto chujów”. Dzisiaj też, krótko po pierwszej, aparat zaterkotał, porucznik niechętnie odkleił się od gorącego, pełnego jędrnych krągłości ciała swojej seksownej żonki i podniósł słuchawkę, z której doleciał go skrzekliwy głos dyspozytorki, wzywający do włamania na ulicę Rutkowskiego. Nie zapalając światła, wciągał na siebie ubranie i jednocześnie coraz bardziej zirytowany słuchał ponętnych pomrukiwań zagrzebanej pod kołdrą żony, której – był tego pewien – zazdrościli mu wszyscy koledzy z pracy, i może właśnie dlatego z taką zawziętą radością niemal co noc wyciągali go z łóżka. „Jak tak dalej pójdzie, zacznie mi się puszczać”, pomyślał, zamykając po cichu drzwi. W bezszelestnie sunącej windzie pocierał kciukiem złotą obrączkę na serdecznym palcu – ten gest go uspokajał – potem odczekał chwilę przed szklanymi wyjściowymi drzwiami na ziewającego ciecica, któremu wsunął

pięćdziesiąt groszy w niezbyt czystą dłoń. Przed domem stał już radiowóz.

Ulica Rutkowskiego, główna aorta krwioobiegu warszawskiego handlu detalicznego, dopływająca ongiś wprost do jego serca, w które ludowa władza wbiła osikowy kołek w postaci Pałacu Kultury i Nauki, a teraz na swój scentralizowany sposób próbowała je reanimować, budując Domy Towarowe Centrum, pulsowała niebieskim światłem milicyjnego koguta.

– Wyłączcie to, do cholery – rzucił za siebie wściekły Śmiarowski, a do zbliżającego się w jego stronę rudego sierżanta zawołał. – No, co tam mamy, Boczek?

– Włam do Domu Mody „Ewa”, obywatelu poruczniku.

Śmiarowski spojrział na seledynowy, pełen zawijasów neon układający się w fantazyjny napis EWA i wciągnął wściekle nosem mroźne powietrze.

– A dziękuję wam, Boczek, za tę informację, bez was w życiu bym się, kurwa mać, nie domyślił. Taki podwładny to prawdziwy rarytas. Delicja, można powiedzieć.

– Ale...

– Wy mi tu zaraz, Boczek, mówcie, czy technicy już coś ustalili?

– Fachowa robota, obywatelu poruczniku. – Sierżant odetchnął. – Diamentem wycięli otwór w szybie i otworzyli sobie okno.

– Wycięli, mówicie. A skąd wy, Boczek, wiecie, że było ich kilku?

– Bo tyle towaru wytachali, że jeden by nie dał rady – odpowiedział z triumfem sierżant.

– A krata?

– Pracownik nie do końca opuścił, pewnie się spieszył do domu, do pościeli. – Boczek ugryzł się w język i ze strachem spojrział z ukosa na porucznika. Śmiarowski na szczęście nie chwycił, a może nie chciał chwycić, aluzji. Odpowiedział właściwym sobie absurdalnym dowcipem:

– Albo przygotowywać dzieciakowi górniczą czapkę z tektury na Barbórkę, he, he. To już jutro.

– Dzisiaj, obywatelu poruczniku, już po północy.

– Tak, rzeczywiście. To teraz beknie za tę górniczą czapkę, czy do czego tam się spieszył.

– Nie sądzę. Pewnie nawet nie sprawdzą, kto był za to odpowiedzialny.

Wie pan, jak to u nas jest.

– A jebał to pies. Chodźcie, przyjrzymy się temu bajzłowi z bliska.

Chrzęszcząc podszewkami po świeżym śniegu, podeszli do witryny, gdzie wśród wirujących, mieniących się na seledynowo płatków uwijali się technicy, próbując bezskutecznie znaleźć jakieś ślady.

– Można? – spytał Śmiarowski.

– Proszę, już kończymy. Nic z tego, żadnych śladów. Profesjoniści. – Brodaty technik bezradnie rozłożył ręce.

– A na zewnątrz?

– W tej zadymce? Obywatelu poruczniku, wszystko zasypało. Ani na zewnątrz, ani w środku. Proszę, niech pan zajrzy do wnętrza, nawet bałaganu specjalnie nie narobili.

Porucznik w towarzystwie sierżanta wszedł do środka i rozejrzał się po ogołconych półkach; rzeczywiście, wyglądało, jakby sklep szykował się do przeprowadzki, a nie został obrabowany: puste regały, nagie wieszaki, żadnych zniszczeń, żadnego potłuczonego szkła, połamanych mebli.

– Weszli jak po swoje. – Pokiwał głową technik. – Obłowili się, koszule, garnitury, płaszcze, wszystko z importu, z Francji. Sprowadzone specjalnie przed świętami. Będzie tego na kilkadziesiąt tysięcy, jak nie lepiej.

– Widzę, pan dobrze poinformowany. A skąd, jeśli wolno zapytać?

– A bo... byliśmy tu z żoną w poniedziałek – odpowiedział zawstydzony. – Taki fajny płaszcz sobie upatrzyła, prezent gwiazdkowy. Ponad dwa tysiące kosztował, ale cudo, mówię panu.

– Kupiliście?

– Właśnie że nie, mieliśmy przyjść pojutrze, w piątek. Z książeczki chciałem pieniądze wypłacić.

– Zaoszczędzi pan.

– A niech pan da spokój, obywatelu poruczniku.

Śmiarowski jeszcze raz rozejrzał się po splądrowanym sklepie i westchnął ciężko.

– No to jesteśmy w ciemnej dupie.

– Myśli pan, że to trabanciarze? – wtrącił nieśmiało sierżant.

– A jak wam się, Boczek, zdaje? Na robotę pionierów z Artka to mi raczej

nie wygląda. Szef nas zajebie.

Sprawa nieuchwytej, niepozostawiającej żadnych śladów na miejscu przestępstwa szajki obrabiającej warszawskie sklepy odzieżowe prześladowała porucznika Marka Śmiarowskiego od ponad pół roku, odkąd znalazł na biurku akta z odręczną notatką majora Gryzia, informującą, że to właśnie on, młody obiecujący oficer, najlepiej nadaje się do rozwikłania tej tajemniczej sprawy. Rozpierała go duma, oto wreszcie nadarzała się okazja, żeby się wykazać. Do tej pory, od czasu, gdy jako gwiazda milicyjnej szkoły oficerskiej w Szczytnie, którą ukończył z wyróżnieniem, przydzielony został do wydziału kryminalnego komendy stołecznej, zajmował się samymi pierdołami: obrobiony kiosk, złapany na gorącym kieszonkowiec, ukradziony rower. Słyszał wprawdzie wszędzie pochwały na swój temat, major Gryź wciąż powtarzał, jak wielkie nadzieje wydział z nim wiąże, ale nie szły za tym przydziały jakichś spektakularnych spraw. Teraz nareszcie miał zająć się czymś na miarę swojego talentu, śledztwem, które będzie trampoliną do szybkiego awansu i kariery, o jakiej wydział kryminalny stołecznej milicji od dawna nie słyszał. Jednak miesiące mijały, kolejne sklepy padały łupem szajki, a sprawa nie posuwała się naprzód. Żadnych śladów, po prostu nic. Grupę nazwali trabanciarzami, bo jeden ze świadków zeznał, że widział oddalającego się z miejsca przestępstwa, w podejrzanym pośpiechu i tumanach spalin, błękitnego trabanta kombi. Ale nawet tej informacji nie udało się potwierdzić. Sprawdzili wszystkie zarejestrowane w kraju błękitne trabanty kombi; jeden wydał im się podejrzany – trop prowadził do Żyrardowa i tam się urywał, nie dając żadnej nadziei na zaczepienie, zresztą teoria, że tak sprytni złodzieje poruszają się hałaśliwym, kartonowym wytworem enerdowskiej myśli technicznej, od początku wydawała się porucznikowi absurdalna. Do tej pory nie wytypowano nawet grupy potencjalnych podejrzanych. Początkowo życzliwie nastawiony major Gryź z czasem zaczął się niecierpliwić, w końcu – sam ulegając naciskom z góry (podobno kierowniczką jednego z okradzionych sklepów, która czegoś tam nie dopilnowała, była teściowa wysoko postawionego pracownika resortu) – natarczywie żądać wyników i grozić konsekwencjami, a tymczasem śledztwo uparcie tkwiło w martwym punkcie. Śmiarowski niemal co rano zaczynał dzień od zdawania majorowi relacji z postępów w sprawie, a raczej ich braku, i codziennie bezradnie rozkładał ręce. Wiedział, że wraz z utratą

zaufania protektora czas na rozwikłanie tajemnicy gwałtownie mu się kurczy.

– Tak, tak, towarzyszu Boczek, jak nie dobierzemy się temu towarzystwu do dupy, to z awansem i noworoczną premią możemy obaj się pożegnać.

– O Boże.

– Sądzę, że jako podoficer milicji obywatelskiej na protekcję Najwyższego nie powinniście, Boczek, liczyć. Tu solidnie za robotę trzeba się wziąć. Kto nas zawiadomił o włamie?

– Też nie wiadomo. Jakiś facet dzwonił na dyżurkę z budki na rogu, ale nie podał żadnych danych personalnych. Od razu się rozłączył.

– A co z kierownikiem sklepu?

– Już go tu wiozą, obywatelu poruczniku.

– Dobra, Boczek. Pokażecie mu ten burdel i wystawicie wezwanie na jutro na jedenastą. Ja się zbieram do domu, żona mi w pościeli stygnie. Czołem.

6

Bratysławskie ulice, tak jak ulice wszystkich miast po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, wyludniły się po dwudziestej drugiej – kraje demokracji ludowej szykowały się do snu.

Wierzchem dłoni Sysy zgarnął cienką warstwę białego puchu z parkowej ławki, na resztkach śniegu pozostały czerwone plamy. Ze złością zrzucił je na ziemię.

– Sysy, ta łapa ciągle ci się babrze. – Zaniepokoił się Kochan.

– Spokojnie, zagoi się, jak zawsze.

Kochan pokiwał głową: to prawda, nie ma powodu do niepokoju, bo na Sysym wszystkie z taką łatwością nabywane rany goiły się jak na psie. A kaleczył się wszędzie, w każdych okolicznościach, i Kochan był pewien, że gdyby zdarzyło im się wędrować nie przez Czechosłowację, a przez pustynię, na której znajdowałby się choć jeden jedyny okruch szkła milimetrowej wielkości, Sysy bez wątpienia wlaźby na niego, raniąc się boleśnie, tak jak wtedy, gdy bawili się na podwórku w chowanego. Wszyscy rozbiegli się, wypełniając znane sobie skrytki i zamierając w bezruchu. Krył Szczota, który liczył oparty głową o mur, odwrócony plecami do trzepaka, i kiedy doszedł do czterdziestu ośmiu, a dzieciaki wstrzymywały oddech, aby tylko nie zdradzić swoich kryjówek, ciszę rozdarł nieludzki wrzask Sysego. Piwnica była najlepszym miejscem do schowania się, można było do niej wejść – a co najważniejsze, również wyjść – z dwóch różnych stron, z dwóch oddzielnych klatek schodowych, i w ten sposób oszukać kryjącego, istotne było, aby nie zapalać światła. Tym razem także wszyscy chętnie korzystali z ciemnych piwnicznych korytarzy, nic nikomu się nie stało aż do czasu, gdy do ulubionej kryjówki pognał Sysy. Krzyk nie ustawał. Wszystkie dzieciaki opuściły swoje skrytki i pełne najgorszych przeczuć zbiegły po stromych schodach do piwnicy. Kiedy zapaliły światło, zobaczyły zwijającego się z bólu na betonowej posadzce Sysego, który nie przestawał wrzeszczeć i kołysał się

miarowo, trzymając się obydwoma rękoma za kostkę prawej nogi. Pod stopą, zamiast gumowej podeszwy trampka, tkwił sękaty kawałek drewna, z drugiej strony niczym róg nosorożca sterczał okrwawiony gruby gwóźdź. Przerazone dzieci uciekły z piskiem, przy Sysym zostali tylko Kochan i Maniek, Szczota pobiegł po pomoc, na karetkę czekali całe wieki.

Wśród szeregu mniej lub bardziej finezyjnych blizn, którymi niczym tatuażami naznaczone było ciało Sysego, najefektowniej prezentował się zygzak na szyi, zaczynający się tuż obok grdyki i biegnący ostrymi zakosami w stronę ucha, pamiątka po drągu drabiny, na który nadzieiał się, kiedy jako ośmiolatkiem biegali (nielegalnie rzecz jasna) po rusztowaniach remontowanej po drugiej stronie Rozbratu kamienicy. Wiele innych blizn było nie mniej okazałych. Na Sysym zawsze albo goiła się stara rana, albo właśnie w jakiś dramatyczny sposób powstawała nowa; a to ściał końcówkę środkowego palca metalowym szkieletem łóżka polowego, które złożyło się pod nim niespodziewanie; a to spadł z roweru, rozbijając sobie łuk brwiowy, i chłopcy musieli zakrwawionego odprowadzać do domu; innym razem na huśtawce zerwał paznokieć, a kiedyś, w lesie, wdepnął nawet w gniazdo os i chodził potem spuchnięty przez kilka dni.

W Suchej Horze, kiedy o świcie gramolili się z siana, zastanawiając się, w jaki sposób zdobyć gotówkę na bilety do Bratysławy, Sysy skoczył z góry na betonowe klepisko, potknął się, a ręka wpadła mu do skrzynki z metalowymi rupieciami. Do Kochana i Szczoty doleciał najpierw przeciągły syk, a później gromkie, wykrzyczane przez zęby „kurrrwa mać!”. Wychylili się znad skrajy strychu i w rzednącym z każdą sekundą mroku obserwowali, jak Sysy wyszarpuje ze skrzynki prawą dłoń, podtrzymując ją w nadgarstku drugą ręką; potem dojrzelili dwie wielkie dziury, z których niczym ze stygmatów obficie lała się krew. Dojrzał je też Sysy, nachylił się wściekle nad skrzynką, wyciągnął pozbawione trzonka, zardzewiałe trójzębne widły i z rozmachem rzucił nimi o drewnianą ścianę. Upadły z łoskotem, a Sysy krzyknął: „Dawajcie szybko wodę”. Zbiegli po drabinie na dół i odkorkowali butelkę. Sysy najpierw przytknął ją do ust, pociągając kilka głębokich haustów, a następnie polał alkoholem dłoń. Piekło jak cholera! We flasce została może jeszcze jedna trzecia żytniej; wypili, podając sobie butelkę. Wódka miło paliła wewnątrz i szumiała w głowie, ale sytuacja powoli stawała się niewesoła: zostały już tylko trzy flaszki, których i tak nie było gdzie w tej chwili sprzedać, koron mieli w najlepszym razie tyle, żeby kupić chleb i

może coś do niego, a w perspektywie czekała ich trzystupięćdziesięciokilometrowa droga do Bratysławy, którą według planu zamierzali pokonać autobusem w jeden dzień, tymczasem zanosilo się na dłuższą podróż, bez pieniędzy i z rannym Sysym. Należało jak najszybciej znaleźć alternatywny, niewymagający gotówki środek transportu. Nieszczęście Sysego było pierwszym z całego pasma, które jeszcze chłopaków czekały. Ale na razie należało wyciągnąć Mańka z chałupy.

Sysy siadł na ławce, podniósł owiniętą zakrwawioną szmatą dłoń, przyglądał się jej przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na stojącego pod rozłożystą topolą, trawionego gorączką Mańka, który, mimo że opatulony czterema szalikami i kocem, prezentem od pana Rysia, polskiego tirowca, w pożyczonej od Szczoty czapie uszatce, z naciągniętym kapturem i postawionym kołnierzem kurtki, na przemian to trząsał się z zimna, to walczył z napadami wyrywającego mu z płuc grudki zielonej flegmy kaszlu.

– Mówię ci, Kochan, ty się moją ręką nie przejmuj. Lepiej pomyśl, co z nim zrobić? Jeszcze jedna noc na zewnątrz i dostanie zapalenia płuc.

– Słuchajcie, nie ma co go dłużej męczyć. Trzeba zakraść się do tych bloków – Kochan pokazał ręką za siebie – i przenocować na klatce schodowej.

– We czterech? Za duże ryzyko. – Sysy miał wątpliwości. – Zróbmy inaczej; ty weź Mańka i idźcie na klatkę, a ja ze Szczotą zostaniemy w parku. We dwóch jest większa szansa, że nikt was nie podpierdoli, jakoś się schowacie. Może piwnica będzie otwarta?

– Masz rację – zgodził się Kochan. – Pomóżcie mi.

Szczota ruszył w stronę Mańka i za chwilę, razem z Kochanem, podtrzymując w pasie chorego, powlekli się parkową alejką, powoli, bardzo powoli, w stronę bloku po drugiej stronie ulicy, w którym od godziny, jedno po drugim gasły światła w oknach (teraz paliło się w zaledwie dwóch). Niewzruszony Sysy siedział na ławce, poprawiając opatrunek na ręku. Był wściekły, ale nie wiedział, co było powodem tego rozdrażnienia, bo z jednej strony od pewnego czasu, od kiedy plan ucieczki zaczął się sypać, miał nadzieję, że uda się utrzyć nosa Kochanowi, z drugiej jednak podświadomie wcale tego nie chciał. Z początku, gdy Andrzej poinformował kolegów, że zamierza pryskać z kraju przez zieloną granicę, a Szczota zawołał: „Nie ma

chują, idę z tobą”, tak jak pozostali dał się zarazić pomysłem ucieczki i ponieść entuzjazmowi. Wszystko wydawało się banalnie proste; pociąg do Zakopanego, myk przez granicę, potem za korony ze sprzedanej wódki mieli kupić bilety na autobus do Bratysławy, by najdalej w „górnicy święto” powitać wolność na austriackiej ziemi. Tymczasem była już noc z szóstego na siódmego, a oni głodni, z ostatnią butelką wódki, której tej nocy wypić nie wolno było (może to był jeden z głównych powodów irytacji Sysego), z ledwo trzymającym się na nogach Mańkiem dopiero dotarli do Bratysławy. „Genialny” plan Kochana walił się. Sysis nie potrafił – a nawet nie chciał – znaleźć remedium na trudną sytuację, w jakiej się znaleźli, tymczasem pozostałym nawet na chwilę nie przyszło do głowy, aby pozbawić Andrzeja przywództwa, bo wprawdzie z problemami, i nie tak jak sobie to wcześniej założyli, ale jednak posuwali się do przodu; od żelaznej kurtyny dzielił ich już tylko Dunaj i kilka kilometrów pól. To uzależnienie od Kochana i własna niemoc doprowadzały Sysego do furii, ale na otwarty bunt nie miał siły i odwagi, dlatego ograniczał się do gniewnie wyszczekiwanym uwag. Teraz przymrużonymi oczami obserwował kolegów, którzy właśnie dotarli do ulicy.

– Dobra, Szczota, dalej pójdziemy już sami. Wracaj do Sysego.

– Uważaj na niego, Andrzej!

– Spokojnie, poradzę sobie. Dasz radę, Maniuś?

– Nie mam innego wyjścia, co? – wychrypiął Maniek przez spękane usta i zacisnął gorące powieki, spod których pociekły łzy. Otworzył oczy, świat wokół był zamazany, ale brakowało mu siły, aby wytrzeć ślepią, zrobił to za niego Kochan, troskliwie ocierając przyjacielowi twarz rękawem.

– Pewnie, że nie masz! – odpowiedział Andrzej, uchylając drzwi prowadzące na klatkę schodową, i nie zapalając światła, wtaszczył Mańka po schodach na półpiętro; pomógł mu usiąść na lastrykowej podłodze i oprzeć się o rozgrzany kaloryfer.

– Tu ci będzie dobrze. Rozgrzejesz się – wyszeptał.

Kochan nasłuchiwał, czy hałas, jakiego narobili, nie zaniepokoił któregoś z lokatorów, ale klatka schodowa, podobnie jak cały blok, pogrążona była w ciszy. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności i mógł przyjrzeć się drzemiącemu ze zwieszoną głową Mańkowi, który oddychał szybko i płytko, twarz pulsowała mu niezdrową czerwienią, a na czole pojawiły się krople potu, by za chwilę, kreśląc nieregularne meandry na skroniach, zacząć

splywać w dół. Kochan martwił się o przyjaciela. Wprawdzie nikogo do tej wyprawy nie namawiał, chłopaki sami podjęli decyzję o przyłączeniu się, ale to on był autorem planu, on podejmował najważniejsze decyzje, on nie przewidział komplikacji, jakie ich spotkały. Targały nim wyrzuty sumienia, ale też niepewność i strach, uczucia, które do niedawna – do czasu powrotu do Polski – były mu w zasadzie obce. Do tej pory wszystko przychodziło Andrzejowi łatwo, może nawet zbyt łatwo, tak jakby od życia wszystko mu się należało. Przed wyjazdem do Francji był oczkiem w głowie całej rodziny, pupilkiem nauczycieli, idolem kolegów, potem, już na Zachodzie, żył pod kłosem, jaki rozpostarli nad nim matka z wujem, i niczym nie musiał się martwić. Dawał innym tę właściwą sobie pogodę ducha, przyciągał maniczną osobowością, zarażał fantazją, w zamian cieszył się beztruską, ale i bezgranicznym zaufaniem, jakim obdarzał go każdy, z kim się zetknął. Teraz, po raz pierwszy, musiał zmierzyć się z prawdziwymi problemami i bał się, że może nie podołać, zawieść zaufanie, stracić autorytet, obawiał się reakcji kolegów, jednak wiedział, że cofnąć się już nie mogą, bo czekał ich zaledwie jeden, ostatni wysiłek – Austria, a wraz z nią upragniona wolność, była na wyciągnięcie ręki. Tak, teraz kroku w tył zrobić już nie mogli – ostatnia okazja, żeby się wycofać, była jeszcze w Suchej Horze, kiedy szli przez podwórko do chałupy, po Mańka, a Andrzej podjął wewnętrzne postanowienie, że jeśli cudowna mikstura gospodarza nie postawiła przyjaciela na nogi, zawrócą.

Pchnęli skrzypiące drzwi i ostrożnie weszli do środka, gdzie w śmierdzącej smażonym tłuszczem chałupie zobaczyli Mańka siedzącego w półmroku na tapczanie, toczącego po zatechłej izbie lekko zaspanym, ale wesołym wzrokiem. Zmieszany ze spirytusem sok z cebuli wydawał się sprawić cuda, Maniek wyglądał rześko i jak dawniej epatował dobrym humorem.

– Czołem, próżniaki! Jak tam, szczury jajec wam nie odgryzły, co?

– Dobrze się już czujesz? – zapytał Szczota.

– A nie widać, co? – Maniek wyskoczył z łóżka i stanął na środku izby w samych kalesonach. W kuchni obok stuknęły metalowe drzwiczki, Maniek wskazał głową w tamtym kierunku, położył palec na usta i puścił do chłopaków oko. Po cichu, na palcach, podeszli do progu; pochyłona tęga

kobieta ubrana w kwiecistą zatłuszczoną podomkę, mrużąc pod nosem, dokładała pod kuchnię wyciągane z metalowego wiadra szczapy; na płycie stała wielka patelnia, na której skwierczał tłuszcz, przy pokrytej białymi kaflami ścianie leżało kilkanaście jaj. Równie cicho wycofali się do izby i podczas gdy Maniek naciągał spodnie, obsiedli wysprzątany już drewniany stół, zajmując dokładnie te same co dzień wcześniej miejsca. Po chwili, stukając sabotami, przyczłapała kobieta i nie mówiąc ani słowa, rozstawiła przed chłopcami gliniane talerze, a na środku blatu położyła cztery łyżki. Wyszła i zaraz wróciła, niosąc dymiącą patelnię i wielki dzban; nałożyła na każdy talerz okazałą porcję jajecznicę, po czym po kolei topiła je w lanym z dzbana łoju.

– Ja dziękuję, nie... – próbował zaprotestować Sysy, ale kobieta spojrzała na niego groźnie; zamilkł przygwożdżony jej wzrokiem, a z dzbana na jajka pociekła gęsta struga cuchnącego tłuszczu. Wzięli łyżki i zaczęli grzebać w talerzach, a kobieta nie wydając z siebie żadnego dźwięku, cofnęła się kilka kroków i obserwowała chłopców, oparta plecami o framugę prowadzących do kuchni drzwi. Nabierali jak najmniejsze porcje skąpanej w łoju jajecznicę i starając się jak najkrócej trzymać ją w ustach, łykali, nie gryząc. Zadowolona kobieta pokiwała głową i ponownie wyszła do kuchni. Łyżki opadły na talerze.

– Kurwa mać, zaraz się zerzygam – stęknął Sysy.

– Ja też nie dam rady – poparł go Maniek.

– A co zrobisz? Postawisz się tej wiedźmie? – spytał powoli Szczota, dziobiąc łyżką w talerz.

– Pewnie, że nie – przestraszył się Maniek. – Ale tego ścierwa nie zeżrę, nie ma siły. – Wyciągnął z kieszeni brudną chustkę do nosa, rozłożył na stole i zaczął ładować w nią tłustą jajecznicę. – Potem to wywalę. Główka pracuje, co? – Wydał z dumą wargi.

Chłopcy patrzyli niezdecydowani to na Mańka, to na stygnącą na talerzach jajecznicę. Tymczasem od strony kuchni doleciało miarowe stukanie sabotów.

– Ożeż... – Maniek zaczął pospiesznie zwijać chustkę. Wpakował ją do kieszeni akurat w chwili, kiedy kobieta, trzymająca przed sobą talerz z ogromnymi pajdami chleba i kubki z gorącą czarną kawą, weszła do izby. Chłopcy natychmiast pochyłili się nad jedzeniem, z wyjątkiem Mańka, który wyprostowany uśmiechał się do gospodyni szeroko, pokazując puste

naczynie. Skinęła z aprobatą głową, ganiąc jednocześnie resztę towarzystwa wzrokiem. Chłopcy sięgnęli po chleb i z wysiłkiem, popijając kawą, ponownie zaczęli łykać jajecznicę. Po pajdę sięgnął również Maniek, co spotkało się z pomrukiem aprobującego zadowolenia ze strony stojącej w drzwiach gospodyni.

Kręcąc kulki z chleba, które następnie kciukiem sprytnie wrzucał do ust, Maniek przyglądał się Sysemu trzymającemu niezręcznie łychę w lewej dłoni.

– Sysy, co jest?

– A nic takiego – odpowiedział, unosząc prawą rękę owiniętą białą, niezbyt czystą szmatą, na której od wewnętrznej strony dłoni przesiąkały dwie czerwone plamy. – Widły.

– Pewnie zardzewiałe? – dopytywał Maniek. – Będzie się babrać.

– Spokojnie. Zdezynfekowaliśmy wódką.

– Co?! To ile zostało? Trzy? Nie ma co, z takim zapasem to nie tylko do Bratysławy, ale do Tokio i z powrotem możemy drałować. Kochan, co teraz?

– Chcesz zawrócić?

– No nie.

– To się uspokój. Coś trzeba będzie wymyślić, ale na razie musimy się stąd zbierać.

Wstali od stołu i pożegnali się z uparcie milczącą kobietą, która na progu chałupy złapała Mańka za rękę i wcisnęła mu do kieszeni *oravski korbáčik*, natrafiając przy tym na wypełnioną czymś miękkim tłustą chustkę do nosa. Zdumiona spojrzała Mańkowi prosto w oczy, jakby domagając się wyjaśnień, zamiast tego Maniek stuknął obcasami, zasalutował sprężysto, uklonił się szarmancko i cmoknął kobietę w dłoń, po czym dał wielkiego susa na podwórko, gdzie gospodarz ciągnął w stronę obory rozsypujący się snopek owsa. Chłopcy podeszli i po kolei wyciągali ręce.

– Ano, kolegowie w tamtą stronę idą. Ruch u nas maleńki jest, ale może jakąś okazję wypatrzeć się uda.

– Dziękujemy za wszystko – zaczął Kochan – a gdyby ktoś o nas pytał...

– A tak, ja nic nie widział, a w nocy śniegu dużo było, ślady zawiało. Ano, z Bogiem, kolegowie.

Szli cały dzień zasypaną śniegiem drogą na zachód. Gospodarz miał rację,

po szosie prawie nic nie jeździło; tylko dwa razy, kiedy akurat szli przez las, z daleka usłyszeli warkot samochodowego silnika. Chowali się wtedy za drzewami i z lękiem zerkali, czy to nie zbliża się gazik poszukującej ich Straży Granicznej. Ale nie, najwyraźniej nikt nie podążał ich śladem, nikt ich nie tropił. Gdy już zdali sobie z tego sprawę i przestali tak obsesyjnie dbać o bezpieczeństwo, z utęsknieniem zaczęli wypatrywać samochodu, jednak okazja złapania autostopu już się nie powtórzyła. Raz jeden minęła ich stara skoda, ale była tak wyładowana jakimiś baraniami skórąmi, że z trudem, rycząc silnikiem, pięła się pod górę, niemal szorując „brzuchem” o głębokie koleiny wyryte w śniegu. Szli więc szosą pieszko, wsie starali się omijać, brnąc w zaspach i nadkładając drogi – w końcu nie każdy gospodarz musiał okazać się tak gościnnie jak ten wczorajszy. Zaczęło zmierzchać, a oni pokonali zaledwie kilka kilometrów i wtedy, na chwilę, uśmiechnęło się do nich szczęście. Siedzieli za wsią w rowie i żuli wyciągnięty przez Mańka ser z czerstwiejącym chlebem, którym rano przed wyjściem z chałupy wypchali sobie kieszenie, a zapalkami próbowali podgrzać dno wypełnionej śniegiem butelki, gdy do ich uszu doleciało miarowe skrzywienie, dźwięk dzwoneczków i charakterystyczne stukanie podkutych kopyt na zmrożonej szosie. Wskoczyli na drogę, z daleka zbliżały się w ich stronę zaprzężone w konia sanie. Obudzili drzemiącego na koźle woźnicę (poculi ostry odór przetrawionego alkoholu), który, zanim zdążyli cokolwiek wytłumaczyć, kiwnął głową i wskazał batem na tył pojazdu. Umościli się na słomie pomiędzy metalowymi bańkami, chłop ponownie zapadł w drzemkę, a niepoganiany koń ruszył ospale przed siebie. Sanie wlokły się niemiłosiernie, ale chłopcy byli szczęśliwi, że mogą choć przez chwilę posuwać się do przodu, nie tracąc sił.

Jechali godzinę, może trochę dłużej, minęli pogrążony w ciemnościach Liesek, gdy nagle, tuż za wsią, na wprost ostrego zakrętu w prawo koń się zatrzymał, co nie obudziło woźnicy, który wymruczał jedynie coś pod nosem, poprawił kołnierz kozucha i, oparty o bat, drzemał dalej. Facet nie wzbudzał zaufania. Chłopcy po cichu zeskoczyli z sań na śliską drogę i bezszelestnie ruszyli w stronę zakrętu. Od granicy oddalili się nie więcej niż piętnaście kilometrów.

– No pięknie, w tym tempie to do Bratysławy dotrzemy w sam raz na sylwestra – narzekał Sysy.

– I co takie gadanie da? – bronił się Kochan. – Jutro dojdziemy do głównej

drogi i złapiemy stopa. Nie ma się co załamywać. Lepiej pomyślmy, gdzie tu dziś się wtulić.

– A ja myślę, że ciągle jesteśmy za blisko granicy, żeby ryzykować chodzenie po chałupach – mówił wolno Szczota. – Jak jeździłem do babki na wieś, to spaliśmy w takich wielkich stogach siana, w środku mają rusztowania i wolną przestrzeń, jest ciepło i wygodnie.

– Myślisz, że tu taki znajdziemy? – pytał z niedowierzaniem Sysy.

– Widziałem takie po drodze. Tu, w Czechosłowacji, jest dużo kołchozów, to duże pola mają i dużo siana zbierają. A jak dużo zbierają, to i duże stogi muszą stawiać.

– Patrz pan, jaki logik! – zaśmiał się Maniek.

– Po lewej widziałem, że jest rzeka, a o ile pamiętam, przez żaden mostek nie przejeżdżaliśmy. Po prawej powinny być pola – ciągnął Szczota.

– Kochan, chyba tutaj możemy już zapalić latarkę? – zapytał Sysy.

– Jasne.

Oświetlając pola wątlym światłem kolejarskiej latarki, szli wolno szosą i próbowali wypatrzeć masywną sylwetkę stogu. Bez skutku. I kiedy po kolejnej godzinie marszu tracili już nadzieję, Szczota dojrzał na środku dużej białej przestrzeni przysypaną śniegiem dwuspadzistą konstrukcję.

– Stóg albo chałupa. – Sysy nie był pewien.

– Chałupa nie – przekonywał Szczota. – Dymiłoby się z komina.

– Dobra, próbujemy szczęścia – postanowił Kochan i pierwszy rzucił się w chrzęszczący w ciszy śnieg, przedzierając się na przelaj w stronę wypatrzzonego kształtu. Po chwili nie było już wątpliwości, że znaleźli stóg, którego szukali. Obeszli pachnące intensywnie siano dookoła, nie mogąc trafić na wejście.

– I gdzie teraz? – Sysy jak zawsze miał wątpliwości.

– Nie wiem, zaraz znajdziemy. Jest trochę inaczej zbudowany niż te u nas. Do naszych wchodzi się tu, na szczycie – tłumaczył Szczota.

– Mam! – usłyszeli wołającego z drugiej strony, od dłuższej ściany, Mańka. Zanim dobiegli, zdążył już odwalić drewniane żerdzie broniące dostępu do wnętrza stogu. Wciągnęli mdły zapach stęchlizny, ale poczuli też delikatne ciepło wydobywające się ze środka. Wczołgali się przez wąskie, niskie

wejście. Szczota miał rację, zбитy z desek i bali szkielet stogu dawał w sam raz tyle miejsca, żeby mogli się wygodnie rozsiąść lub ułożyć w poprzek. Znużeni i głodni wybrali drugą opcję. Przytuleni jeden do drugiego spali twardo aż do chwili, kiedy zaczęły ich budzić nawracające napady mokrego kaszlu, które co pewien czas dopadały Mańka. Minęły dopiero nad ranem i dlatego, gdy w końcu przebudzili się i wychylili głowy przez wąskie wyjście upstrzone słomianymi belkami, słońce już jasno oświetlało przysypaną śniegiem bezludną okolicę. Wrócili do wnętrza. Głód doskwierał im coraz dotkliwiej.

– Jest jedno wyjście. – Maniek sięgnął do kieszeni, wyciągnął i rozłożył na ziemi zatłuszczoną chustkę do nosa.

– Boże, tylko nie to – jęknął Szczota.

– Może gdyby tak przepić wodą, to by jakoś weszła – zaproponował Ssysy.

Jedli łączywie rękoma, popijając palącą gardło żytnią.

Kolejny dzień nie przyniósł przełomu. Wprawdzie po kilkudziesięciu minutach marszu w okolicach Trsteny dotarli w końcu do głównej drogi, ale okazji w dalszym ciągu złapać nie mogli, samochody mijaly ich, nie reagując na rozpaczliwe machania. Około południa jajecznicą upomniała się o swoje ofiary; biegali kolejno w krzaki, a za papier służyła im do niczego niepotrzebna już mapa. Znów przez cały dzień uszli ledwie kilkanaście kilometrów. Dopiero pod wieczór, kiedy byli w okolicy wsi Podbiel i przechodzili obok oświetlonej zachodzącym krwawym słońcem pionowej skały, minęła ich, a następnie zatrzymała się kilka metrów dalej zdezelowana skoda 1200, której kierowca, uchylając drzwiczki, zaprosił ich wesoło do środka. Wsiedli, ale samochód nie ruszył. Szofer był kompletnie zalany, przedstawił się jako Janek, wyciągnął spod siedzenia sporą bańkę z żółtawym płynem i szklaneczkę. Przepił. Przepili też chłopcy. Od kilku godzin nic nie jedli i bimber szybko uderzał do głowy. Janek przyjrzał się im mętным wzrokiem, podrapał po nieogolonych policzkach, pokiwał głową i ponownie sięgnął pod siedzenie. Na zabrudzonej, kremowej niegdyś, desce rozdzielczej rozwinął bawełnianą ściereczkę, w której zapakowane były słonina, ser i zakrzywiony nożyk. Kroili intensywnie pachnące rarytasy i żuli z rozkoszą.

Po opróżnieniu bańki Janek przekręcił w końcu kluczyki w stacyjce, silnik niechętnie odpalił, a kierowca, grożąc gałce skrzyni biegów wskazującym palcem, zaczął z nią bełkotliwą dyskusję. Wreszcie złapał drążek i

obydwoma rękoma wrzucił bieg. Samochód powoli, kreśląc na drodze finezyjne zakosy, potoczył się szosą w dół. Siedzący na przednim fotelu Kochan obejrzał się lekko skonsternowany, ściśniętym na tylnym siedzeniu chłopakom było wyraźnie wszystko jedno, w jakim stanie jest kierowca, byle tylko nie kazano im znów iść piechotą na mrozie. Andrzej też odpuścił i oparł głowę o boczną szybę. Janek, ściskając kierownicę, przymknął prawe oko i próbował utrzymać się na wąskiej nitce drogi. Wjechali do Podbieli. Mijali zabudowania, nikt nic nie mówił, o nic nie pytał, w aucie panowała atmosfera skupienia. Na skraju wsi, kiedy myśleli, że pojedą dalej i że czeka ich dłuższa podróż, Janek zatrzymał nagle samochód i wskazał na jeden z kilku sześciennych klocków pozbawionych jakiegokolwiek architektonicznej finezji.

– Idźcie do mojej chałupy i poczekajcie na mnie. Ja tylko coś załatwię – włożył wskazujący palec prawej ręki w dziurkę zrobioną z kciuka i wskazującego palca lewej i puścił do Andrzeja oko – i zaraz do was przyjadę.

Pokonali kilka oblodzonych kamiennych schodków i uchylili drzwi; z wnętrza ciemnego domu dolatywał stłumiony męski śpiew, z prawej strony przedpokoju zobaczyli dobywające się spod progu przymkniętych drzwi błyski siniego światła; udali się w tym kierunku i weszli do salonu; na środku regału migotał telewizor, a na ekranie, przez który z góry na dół – w regularnych odstępach – zmierzały poprzeczne ciemne pasy, trzymając delikatnie w trzech palcach mikrofon, wesoło podrygiwał Karel Gott. Chłopcy (z wyjątkiem Kochana) spojrzeli na siebie i parsknęli tłumionym śmiechem. Andrzej nie zrozumiał ich rozbawienia, od momentu wejścia do pokoju wpatrywał się w majaczący w kącie kształt. Reszta podążyła za jego wzrokiem i z zażenowaniem spostrzegła utkwione w siebie szeroko otwarte wilgotne oczy osadzone w pooranej zmarszczkami twarzy staruszki, która leżała na wersalce, przykryta pod samą brodę pasiastą pierzyną, rzadkie siwe włosy rozrzucone były na poduszce. Przyjaciele ukłonili się: „My przepraszamy, Janek prosił, żebyśmy tu na niego zaczekali”, starali się opanować wesołość. Starowinka nie zareagowała, więc chłopcy usiedli na podłodze i w fotelach obok niewysokiej ławy. Po chwili już spali twardo, i tej nocy nawet powracające coraz częściej napady kaszlu wstrząsające Mańkiem nie zakłócały im snu.

Obudziły ich natarczywe promienie słońca, wpadające do pokoju pod ostrym kątem przez szeroką szparę pomiędzy nie do końca zaciągniętymi

zasłonami. Zgrzani, ale wypoczęci rozejrzeli się po pokoju; Janka nigdzie nie było, telewizor pulsował obrazem kontrolnym, a w kącie pod pasiastą białobłękitną pierzyną leżała w identycznej jak wczoraj pozycji staruszka; wyglądała, jakby od poprzedniej nocy nie poruszyła się ani o milimetr, „Ki czort? Trup czy woskowa lalka”, pomyśleli niemal jednocześnie chłopcy, lecz kiedy Andrzej zbliżył się, aby dotykem ręki rozwiązać wątpliwości, babina zamrugła szybko nieruchomymi dotąd oczami. Kochan odskoczył wystraszony, a pozostali zachichotali.

– Janka nie ma? – zapytał skonsternowany Andrzej.

Staruszka wciąż się nie poruszała.

– Będą jaja, jak się okaże, że pomyliliśmy chałupę – śmiał się Sysy.

– Eee tam. – Machnął ręką Maniek. – Szanowna pani pozwoli, że skorzystamy z latryny? – A wobec milczenia kobiety dodał w stronę chłopaków: – Pomyliliśmy czy nie, wszystko jedno, chodźcie, przynajmniej się umyjemy.

Łazienkę znaleźli bez trudu. Szczota został na zewnątrz, na czatach, na wypadek gdyby okazało się, że dom, z którego gościny korzystali, nie był jednak chałupą Janka, albo gdyby powracający nad ranem Janek nie potrafił sobie przypomnieć o tym, że zaprosił gości. Obyło się jednak bez komplikacji, nikt nie nadszedł, babina nie wychyliła nosa spod pierzyny, a chłopcy mogli beztrudnie wypłuskać się w zimnej z początku, ale szybko nagrzewającej się w emaliowanej wannie wodzie.

Odświeżeni, rozgrzani, głodni wprawdzie, ale w doskonałych nastrojach wyszli na zewnątrz.

– Zapaliłoby się – rzucił, przytupując wesoło Sysy.

Kochan sięgnął do kieszeni, wyciągnął wymiętoszoną paczkę giewontów i zajrzał do jej wnętrza.

– Mam jeszcze dwa. Jaramy wszyscy na spółę. I musimy podjąć decyzję, czy za te kilka koron, które nam zostały, kupujemy fajki, czy chleb.

Papieros krążył, a chłopcy w kłębach dymu lustrowali okolicę: po prawej rzeczka, wokoło porośnięte lasem wzgórze, za plecami wieś, na wprost szosa, która za chwilę skręcała zdecydowanie w lewo, a na zakręcie w zaspie... zakopana po przednie osie czerwona skoda 1200. Janek! Podbiegli do samochodu i przez zamarznęte szyby usiłowali zajrzeć do środka;

nieruchoma, przystrojona w pasiastą wełnianą czapkę z pomponem głowa opierała się o kierownicę.

– Żyje? – dopytywał się Maniek.

– Chyba nic mu nie jest – odpowiedział Szczota, ścierając lód z zamarniętej bocznej szyby. – Krwi nie widać.

Kochan nacisnął przycisk klamki i delikatnie otworzył drzwiczki – poczuli kwaśno-słodki odór bimbrowy – pozbawiona oparcia ręka kierowcy wypadła na zewnątrz, ciągnąc za sobą resztę ciała, na końcu z kierownicy zsunęła się głowa. Wyrwany ze snu Janek rozejrzył się dokoła nieprzytomnym wzrokiem i trzymając się za rozsadzaną pulsującym bólem łepetyną, usiłował sobie przypomnieć, kim jest ta przyglądająca mu się nachalnie banda. Zamknął oczy, które bolały tak, jakby jakaś siła starała się je wcisnąć do wnętrza czaszki, otworzył ponownie i powoli – bardzo powoli – zaczęły przypominać mu się obrazy z poprzedniej nocy: słonina na desce rozdzielczej, przetykany z wysiłkiem zimny bimber, cztery machające rękoma postaci na tle białej skały, roześmiane twarze w aucie.

– Polaki! – krzyknął, przypominając sobie, i złapał się ponownie za pękającą głowę. – Spaliście u mnie w domu? A babka coś powiedziała? Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym i teraz sam z babką mieszkam, ale ona prawie z łóżka nie wychodzi, zupełnie zdziwaczała po śmierci rodziców. Gdzie jedziecie, chłopaki? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, przekręcił kluczyki w stacyjce. Silnik zakręcił i ucichł. Kolejne próby też nie przyniosły rezultatu. – Nic to, zaraz zapali i wtedy podwiozę was, gdzie tylko chcecie. Byle nie za daleko, he, he.

Silnik uparcie milczał, więc Janek wysiadł, najpierw nabrał pełną garść śniegu, który przyłożył sobie do pulsujących skroni, a potem zagonił chłopaków do wyciągania samochodu z zasy. Kiedy im się to po wielu próbach w końcu powiodło, usiłowali odpalić auto „na pych”; zgrzali się, ale poza tym efektu nie było żadnego.

– Jak nie kijem go, to pałą. – Janek nie tracił humoru, przytknął dłoń do ucha i nasłuchiwał przez chwilę. – Chyba coś jedzie. Nie chce „na pych”, to zapali z holu.

Rzeczywiście, po kilku sekundach zrazu niewyraźny i odległy warkot zaczął nabierać siły, aż wreszcie zza zakrętu wyłonił się toczący się majestatycznie robur, by po chwili zatrzymać się przy wymachującym czapką

Janku. Kierowcy przez moment naradzali się, po czym podczepili krnąbrną skodę do linki holowniczej.

– Czekaście tu na mnie i nigdzie się nie ruszajcie. Zaraz odpalę rumaka i po was wrócę.

Stali w milczeniu, minuty mijały, a Janek nie wracał... w końcu, gdy już ich cierpliwość była na wyczerpaniu, od strony wsi doleciało znajome pykanie, a za moment na drodze zamajaczyła obła sylwetka. Robur minął chłopców, ciągnąc wciąż niedającą się odpalić skodę. Zblokowane na biegu koła auta ślizgały się na oblodzonej jezdni, nie stawiając oporu, a wychylony przez odkręconą szybę Janek pomachał wesoło i zawołał, przekrzykując rżenie diesla: „Czekajcie, zaraz wracam”. Przyjaciele popatrzyli na siebie w rozbawionym skonsternowaniu i wybuchli śmiechem.

– To jakiś absurd. – Sisy rozłożył ręce niczym ksiądz nad stołem ołtarza i pokiwał głową na boki.

– Zaczynam rozumieć czeskie komedie. – Maniek na przemian krztusił się ze śmiechu i kaszlu. – Wydają się bez sensu, a to są zwyczajnie sytuacje prosto z życia wzięte.

Ruszyli w swoją stronę i zanim po dwóch kilometrach dotarli do kolejnej wsi, ciągnięty przez robura Janek minął ich jeszcze dwukrotnie, za każdym razem machając czapką niczym kowboj kapeluszem na rodeo. Przy wjeździe do Krivy, po lewej, zobaczyli rozłożony na opadającym ku drodze stoku stary cmentarz. Sisy z Mańkiem uznali to za zły omen. Głód intensywnie ssał w żołądkach i niedawny dylemat, fajki czy chleb, zdawał się coraz prostszy do rozstrzygnięcia. Nagle Kochan zatrzymał się.

– Mam! Będą i fajki, i żarcie!

– Oby! – podchwycił Sisy. – Bo mi już tak kichy grają, że Szostakowicz całą symfonię mógłby z tego ułożyć.

– Przecież tu jest Słowacja – Andrzej wskazał na wiekowy kościół stojący na skraju cmentarza – a to jest katolicki naród, jak my. Walimy na zakrystię, ksiądz na pewno da nam coś do jedzenia.

Maniek jęknął, potem ciężko westchnął, otworzył oczy i popatrzył nieobecny wzrokiem przed siebie, wymamrotał coś niezrozumiale i ponownie zapadł w płytki sen. „Nie ma wyjścia, albo mi się tu przekreśli,

albo, jak powiedział pan Rysio, przyjdzie przesilenie i jutro obudzi się zdrów jak ryba – pomyślał Kochan, przysunął się do przyjaciela i troskliwie okrył go kocem. – Dlaczego akurat musiało to spotkać Mańka?”, zastanawiał się. Gdyby ta choroba przytrafiła się komukolwiek innemu, Andrzej nie miałby aż takich wyrzutów sumienia. Sisy pomimo braku cech przywódczych, ciągłego malkontenctwa, rywalizacji z Kochanem, do której przystępował z zawsze negatywnym dla niego skutkiem – był twardzielem; wszystkie niepowodzenia znosił mężnie, gderając wprawdzie pod nosem, ale w gruncie rzeczy nie wyrzekając zbytnio losowi; z ciosów, może niekoniecznie bolesnych, ale zawsze dokuczliwych, które od czasu do czasu wymierzało mu życie, wychodził po nietzscheańsku silniejszy, w myśl zasady: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Choroba, która dewastowała Mańka, byłaby dla Sysego kolejną przykrością, z jaką przyszłoby mu się zmierzyć, i zaciskając zęby, narzekając, ile wlezie na słabe punkty planu ucieczki, przewalczyłby ją zapewne już w początkowym stadium. O Szczotę Kochan też by tak się nie martwił, bo Szczota, pomimo pozornej nieporadności, był po swojemu sprytny, myślał wolno, ale nadzwyczaj logicznie, potrafił zaskoczyć kolegów w najmniej oczekiwanym momencie wnioskowaniem, o jakie nikt go nawet nie podejrzewał; jego organizm był silny i z mikrobami, które od kilku dni pustoszyły ciało Mańka, poradziłby sobie momentalnie, poza tym to Szczota pierwszy rzucił hasło przyłączenia się do Andrzeja, podchwycił je Sisy, a Maniek najdłużej się wahał, mając na uwadze przede wszystkim kuratelę milicji, pod jaką się znajdował ze względu na wyrok, który wciąż na nim ciążył. Tak, naiwny i prostoliniorny Maniek był najmniej przekonany do pomysłu ucieczki na Zachód, jednak nie wypadało mu skrewić, a teraz siedział oparty o kaloryfer, mokry, trawiony koszmarną gorączką, na skraju zapalenia płuc, czym wywoływał w Andrzeju na zmianę fale czułości i odpowiedzialności, jaką wziął na siebie, zabierając w drogę tego drobnego, chorowitego chłopaka.

Pomysł z udaniem się na zakrystię okazał się strzałem w dziesiątkę; ksiądz rzeczywiście ich nakarmił, poczęstował herbatą, zalecił gospodyni zrobić chłopcom kanapki na drogę, a coraz brzydziej kaszłacemu Mańkowi wlał do gardła ohydny gorzki syrop – na moment pomogło. Duchowny o nic się specjalnie nie dopytywał, jednak, kiedy usłyszał, że goście zmierzają bez grosza przy duszy do Bratysławy, uśmiechnął się i rozłożył ręce, twierdząc,

że parafia u niego uboga i poratować pieniędzmi ich nie może, ale dodał za to, pokazując przed siebie, że mniej więcej dwa kilometry dalej we wsi Dlhá jest stacja kolejowa, na której często zatrzymują się pociągi towarowe. Zrobił znak krzyża nad głową każdego z przyjaciół i wręczył im, ściskając po kolei obydwiema dłońmi ręce chłopców, po obrazku ze świętym Krzysztofem.

– Kochan, to był twój najlepszy pomysł, odkąd wyruszyliśmy z Zakopanego – przyznał Ssys, kiedy z powrotem znaleźli się na szosie. – Teraz rozejrzyjmy się za sklepem. Z tą wałową, którą zrobiła nam gospodyni, chyba możemy sobie pozwolić na fajki?

– Maniek, a ty jak się czujesz? Bo u księżula wyglądałeś nieszczęśliwie – zainteresował się Andrzej, ignorując pytanie Sysego.

– Teraz trochę lepiej. To paskudztwo, którym mnie nafutrował, rzeczywiście zadziałało. Chociaż ciągle mną trochę telepie i mam dreszcze. Byle z tymi pociągami się udało, to jakoś dam radę.

Ruszyli przez niemal wyludnioną Krivę, szukając sklepu. Udało się dopiero po kilkuset metrach, gdy pod szczytową ścianą dwupiętrowego domu, na której widniał napis POTRAVINY, zobaczyli dwie postaci leniwie, w milczeniu sączące piwo z butelek. Kochan, zgrabnie wymijając podchmielonych gości, wbiegł do sklepu, starannie odliczając korony, kupił dwie paczki papierosów Lip i nie zważając na zaczepki podpitych facetów, wrócił na drugą stronę jezdni, gdzie czekali na niego przyjaciele.

– Co to za dziadostwo? I dlaczego tak mało? – dopytywał się Ssys, wyciągając z żółtej paczki papierosa bez filtra.

– Pakują je po dziesięć sztuk, ale nie narzekaj, kosztowały tylko dwie korony za paczkę, kupiłem dwie – bronił się Andrzej.

– Ty, Ssys, a od kiedy to taki smakosz się zrobiłeś, co? W Warszawie kopcisz sporty aż miło, a te nie są gorsze – uciał dyskusję Maniek, zaciągając się i spluwając resztkami tytoniu.

Ksiądz miał rację; nie uszli daleko, kiedy zobaczyli tabliczkę „Dlhá nad Oravou” i zaraz za nią niewielki ceglany budynek, który zapewne był budką dróżnika, obok ciągnął się zasypany śniegiem peron. Pojedynczy tor przy stacji na moment rozwidłał się, tworząc mijankę – to tu zatrzymywały się pociągi towarowe, aby przepuścić nadciągające z naprzeciwka składy osobowe. Usiedli na brzegu peronu i czekali. Wypalili paczkę papierosów, zjedli na spółkę dwie kanapki z pieczonym kurczakiem. W tym czasie przez

stację przejechały trzy pociągi, jeden pasażerski i dwa towarowe, ale żaden z nich się nie zatrzymał. „Musielibyśmy mieć kupę szczęścia, żeby jakieś pociągi się tu mijaly i jeszcze ten towarowy jechał akurat w naszym kierunku”, sarkał Sisy. I wczesnym popołudniem taką właśnie „kupę szczęścia” mieli; od wschodu dojrzeli zbliżający się w ich stronę parowóz, który przed samą stacją zaczął zwalniać biegu, po czym powolutku skręcił na boczny tor, gdzie zatrzymał się, sapiąc i stukając kilkunastoma wagonami. Maszynista wysiadł z lokomotywy i z rękawa ogromnej pompy zaczął uzupełniać wodę w zbiorniku. Chłopcy na palcach przemknęli na drugą stronę torów i zaczęli po kolei szarpać zaplombowane drzwi wagonów towarowych, jednak żadne nie chciały ustąpić, minęli rząd cystern i wtedy do ich uszu doleciał odległy przeciągły gwizd – z naprzeciwka zbliżał się pociąg pasażerski – nie kombinując dłużej, wdrapali się gęsiego po drabince odkrytego wagonu służącego do przewozu materiałów sypkich i wskoczyli do środka, gdzie okazało się, że wagon wypełniony jest... węglem. Na zamianę było już za późno, na stację właśnie wtaczał się z łoskotem skład osobowy.

– Dobrze chociaż, że to nie wapno. I w ogóle węgiel brudzi, ale przynajmniej się tak nie pyli – powiedział Sisy, dotykając dłońmi czarnych brył, następnie potarł palcami policzki Szczoty, na których pozostały po dwie ciemne pręgi. – No, Szczota, teraz to prawdziwy Winnetou z ciebie.

– Ożeż ty! – Szczota ruszył w stronę Sysego, ale w tym momencie pociąg gwizdnął i szarpnął wagonami; chłopcy, śmiejąc się, poupadali na twarde grudy.

Wspinając się z wysiłkiem pod górę, parowóz ciągnął powoli wagony, rozpędzał się na rzadkich odcinkach, kiedy trasa wiodła w dół. Przed zmierzchem zdążyli jeszcze minąć Dolny Kubin i nacieszyć oczy cudownymi widokami przełomu Orawy. Tory biegingy po wrzynającej się w zalesione stoki półce skalnej, kręcąc się niemiłosiernie, poniżej wiła się szosa, a jeszcze niżej wartko płynęła rzeka. Pociąg co chwila zniknął w tunelach, w których – jeśli tylko ciągnęły się dłużej – chłopcy krztusili się niemogącą wydostać się na zewnątrz parą. W Kralovanach czekał ich dłuższy postój. Zapadł zmierzch. Potem pociąg mknął już rażno w ciemnościach i chłopcy zaczęli straszliwie marznąć w nieosłoniętym wagonie. Położyli się blisko siebie na wznak i patrzyli w rozgwieżdżone niebo, próbując połączyć w wymyślne kształty rozsypaną nad głowami świecącą kaszę, starali się też grać w pamięci w „inteligencję”, popijali z butelki wódkę, zjedli do końca podarowane przez

księdza kanapki. W końcu przyszedł sen.

Obudził ich przeraźliwy huk. Świtało. Wagon stał na bocznicy odczepiony od składu razem z kilkoma innymi. Na torze obok kolejarze, hałasując, otwierali drzwi bydlęcych wagonów. Umorusani chłopcy, siadając na węglu, rozprostowywali obolałe gnaty, tylko Maniek nie mógł się podnieść; leżał zapuchnięty, trzęsąc się z zimna i gorączki, jego drobnym ciałem co chwila wstrząsał kaszel.

– Przewiało go do cna. – Sysy pokręcił głową.

– Maniuś, już Bratysława – próbował dodać otuchy koledze Kochan. – Już dziś w nocy będziemy w Austrii. Chodź, pomożemy ci.

Wzięli Mańka pod pachy i posadzili na węglu.

– Dajcie mi chwilkę, zaraz dojdę do siebie – wychrypiał.

Rzeczywiście, po kilku minutach zebrał na tyle sił, żeby zejść po metalowej drabince na nasyp, reszta podążyła jego śladem. Nie zważając na groźne nawoływania kolejarzy, pobiegli wzdłuż torów w stronę dworca. Mieli nadzieję znaleźć na stacji tablicę z mapą miasta i istotnie, kiedy weszli już do dworcowego budynku, na taką mapę się natknęli.

– O kurwa! Nie wierzę! – Kochan opadł na ławkę.

Pozostali siedli koło niego i bezmyślnie wpatrywali się w okazały plan Żiliny.

– Gdzie to, kurwa, jest? – pierwszy ocknął się Maniek.

– Jakieś dwieście kilometrów od Bratysławy.

– Przynajmniej ciepło jest, nie? – próbował, jak nigdy, znaleźć jakiś pozytyw Sysy.

– Chłopaki, chodźcie lepiej się umyć, bo wyglądamy jak kominiarze. Zaraz ktoś nas zgarnie – powiedział przytomnie Szczota.

W łazience był tylko jeden kranik, z którego ciurkała lodowata woda. Długo szorowali twarze i dłonie, zanim doprowadzili się do jako takiego porządku. Wrócili do poczekalni, siedli na ławce, a Kochan podszedł do bufetu i wysypał ostatnie drobnaki na ladę; starczyło akurat na jedną kanapkę. Podzielili się nią sprawiedliwie. Żując bułkę, zapadli w odrętwienie. Od granicy nie przebyli jeszcze nawet połowy drogi, stan Mańka gwałtownie się pogarszał, została im ostatnia butelka wódki i kilka papierosów, byli brudni i nieludzko zmęczeni, perspektywy rysowały się

raczej nieciekawie. Z dworcowego głośnika dolatywał śpiewny kobiecy bulgot, podróżni wchodzili do poczekalni i z niej wychodzili, stukając wahadłowymi drzwiami, a oni siedzieli jak zahipnotyzowani, tracąc rachubę czasu. W końcu, po godzinie może, Kochan klepnął się w kolano i powiedział:

– Słuchajcie chłopaki, przez tę cholerną Žilinę prowadzi międzynarodowa droga od naszej granicy do Bratysławy i dalej, do Wiednia. Zrobimy tak: weźmiemy tabliczkę, na której napiszemy Bratysława, ale po polsku. Na pewno kierowca jakiejś naszej ciężarówki ulituje się i nas zabierze. Jak już złapiemy stopa, to te dwieście kilometrów nie będzie aż tak daleko.

Pomysł Andrzeja nie wzbudził entuzjazmu, ale też nikt nie oponował. Chłopaki obojętnie podnieśli się z ławki i szurając zmęczonymi nogami, powlekli się w stronę wyjścia.

Od dworca do szosy było zaledwie kilka kroków. Ustawili się za mostem, w pobliżu skrzyżowania, z wypisanym węglem na tekturze po polsku napisem „Bratysława”. Nie czekali długo, najwyżej dziesięć minut, kiedy w zatoczce przystanku autobusowego zatrzymał się polski tir; stali przez chwilę skonsternowani, nie mogąc uwierzyć w fart, jaki ich spotykał i jakiego w tej wyprawie jeszcze nie mieli, w końcu podbiegli raźnie do ciężarówki i wpakowali się do środka.

– Szybko, smyki, bo tu stawać nie wolno, a pepickie gliny ostre są – ponaglał kierowca. Zasyzczały zwalniane hamulce i ciężarówka gładko włączyła się ponownie do ruchu. – Na wycieczkę się wybraliście? Pewnie studenty gołodupce. Rysiek jestem – przedstawił się szofer, przyjmując milczenie chłopców za potwierdzenie swoich przypuszczeń. Jego łagodny tembr głosu i sympatyczna powierzchowność kontrastowały ostro z prostackim sposobem wysławiania się; podrapał się w kędzierzawą czuprynę, w którą nad czołem głęboko wrzynały się bezlitosne zakola, i rozpoczął monolog:

– A bagaży to nie macie? Tak z pustymi rękoma na wycieczkę się wybieracie? Ech smyki, smyki. Ledwo tacy od ziemi odrosną, wykształcenia trochę złapią, a już by za granicę wyjeżdżali. Zamiast najpierw trochę zarobić, ojczysty kraj zwiedzić, to od razu zagranica i zagranica. Ja już od piętnastu lat za kółkiem siedzę i trochę tej zagranicy widziałem, i wiecie co, smyki? Zawsze z radością do kraju wracam. Bo dom to dom. Za granicą człowiek się tuła jak to drzewo z korzeniami przesadzone. Zawsze obcy. Niby

na Zachodzie bogaciej i mamona lepsza, ale i u nas pieniądze porządne zarobić można. Ino trzeba wiedzieć, jak. Bo pieniądz kosić to trzeba umieć.

A pan Rysio „pieniądz kosić umiał” jak mało kto. Warszawskie bazyry, budki prywaciarzy, sklepy agentów, komisje pełne były szmuglowanych przez pana Rysia w zaplombowanych kontenerach dżinsów, kurtek i różnych ciuchów, gum do żucia, świerszczyków, czekolad, słodyczy oraz innych towarów luksusowych. Obrotny kierowca miał na swoich usługach sowicie opłacanych dostawców „lewego towaru”, niecierpliwie czekających na kolejne dostawy odbiorców, ale i celników z obu stron żelaznej kurtyny, urzędników skarbowych, kontrolerów, cinkciarzy. W warszawskim półświatku nielegalnego handlu pan Rysio to była instytucja, bo z wartko płynącego, dzięki jego przedsiębiorczości, strumienia pieniędzy pełną garścią czerpał potężny sztab ludzi.

– A wy, co? Golasy? Mizernie się prezentujecie. A ten tu, zdechłak, coś mi na chorego wygląda. Pokaż no mi się, bracie. – Dotknął wolną, prawą, ręką czoła Mańka. – Uuu, cieniutko. Ładuj się zaraz do tyłu na półkę i wygrzej się, bo do reszty zmarniejesz. – Maniek wgramolił się na tył szoferki i zagrzebał w ciepłe koce. – A wy jedliście coś? Nie? Co wyście się z choinki urwali czy jak? I pewnie jeszcze groszem nie śmierdzicie?

– No nie, ale możemy panu wódkę sprzedać – zaproponował Kochan, wyciągając flaszkę zza pazuchy.

– A daj ty spokój, schowaj to z powrotem – powiedział pan Rysio, zatrzymując ciężarówkę niemal na środku jezdni, przed sklepem. – Poczekajcie tu na mnie. Tylko niczego mi nie ruszać!

Wrócił po chwili i rzucił chłopcom na kolana papierową torbę pełną drożdżówek i butelkę wody mineralnej.

– Jeździ człowiek całymi dniami i gęby nie ma do kogo otworzyć, to pogadamy sobie trochę, nie? – I pogadał sobie pan Rysio przez całą drogę do Bratysławy, nie dopuszczając nikogo do głosu, bo w końcu co go obchodzili ci dziwni chłopcy, którzy bez żadnych rzeczy na zmianę, bez pieniędzy i w zasadzie nie wiadomo po co tłukli się przez całą Czechosłowację? Żal tylko było mu Mańka, bo chłopak wyglądał bardzo marnie, więc już w samej Bratysławie pan Rysio zatrzymał ciężarówkę, nie gasząc silnika i reflektorów przecinających ciemności słabo oświetlonej ulicy, obejrzał się i stwierdziwszy, że chory wcale nie ma się lepiej, zawołał do Sysego:

– Ty, dryblas, sięgnij no pod siedzenie i weź termos, tylko ten czerwony z herbatą, bo w niebieskim jest kawusia. Dobra, a teraz z apteczki – o tam – podaj mi te zielone pastylki. Dostałem je kiedyś od kolegi z NRF-u, dla dzieciaka, bo ja nigdy nie choruję. Mówię wam, jak mu dałem, to na drugi dzień zdrów jak ryba był. Niemiecka robota, Bayera. Wrzuć od razu trzy.

Sysy nalał letniej herbaty do kubka-nakrętki i rozpuścił w niej trzy musujące intensywnie tabletki; podał Mańkowi, który duszkiem wypił miksturę.

– No to trzymajcie się, chłopaki. Ty, konus, weź sobie ten koc. Wielbłądzia węża, prezent od kolegi z Hiszpanii. – Wysiadającego Kochana pan Rysio złapał jeszcze za rękaw. – Jak te pastylki do jutra nie zadziałają, to musicie z nim iść do szpitala. To wygląda na coś poważnego. Chłopak dostanie zapalenia płuc i się wam zawinie. Czołem.

Tir ruszył w tumanach spalin, a pan Rysio zadumał się nad swoim dobrym sercem i w duchu zaczął obliczać, ile to ta kilkugodzinna pogawędka go kosztowała: „drożdżówki, mineralna, herbata, pastylki, koc... ech, dobry samarytanin, kurwa mać”. Przyjaciele tymczasem udali się do pobliskiego parku, gdzie zamierzali spędzić noc.

Na którymś z wyższych pięter trzasnęły metalowe drzwi od windy. Świtało. Maniek ocknął się, zamrugał oczami i spojrzał przytomnym wzrokiem na Kochana. Nieobeznane z osiągnięciami zachodniej farmacji polsko-czechosłowackie mikroby, choć, jak przystało na komunistów, walczyły dzielnie do ostatka, w końcu jednak musiały ulec technologicznej przewadze kapitalistycznego wroga – poległy wszystkie, w komplecie. Maniek zdrowiał.

– Jak się czujesz?

– Świetnie. Trochę osłabiony jestem i kręci mi się w głowie, ale poza tym świetnie.

– Bogu dzięki.

Plutonowy Janik mocował się z klamerką przewieszoną przez ramię skórzanej aktówki, a kiedy w końcu ustąpiła, wysupłał z wnętrza torby czarny notes i stukając piórem w sztywną oprawę, westchnął z rezygnacją.

– I co ja mam zanotować, pani Adamczykowa? Że nie wie pani, gdzie syn od tygodnia przebywa? Ja mam w to uwierzyć?

– Ale tak jest, panie dzielnicowy, przecież nic nie wymyślę. Jak wyszedł tydzień temu z domu, tak do tej pory go nie widziałam – broniła się, oparta o framugę drzwi, przepasana fartuchem kobieta.

– Pani Adamczykowa – plutonowy spojrzał w górę na stojącą o kilka stopni schodów nad nim kobietę – przecież pani wie, że syn ma wciąż na głowie dozór milicyjny, jeszcze za tę sprawę z kioskiem. Ja muszę złożyć raport.

– Wiem... – Umilkła, zerkając w lewo, gdzie stuknęła furtka metalowej ażurowej bramy, którą wszedł elegancki postukujący laską mężczyzna. Mijając Adamczykową i Janika, uchylił szarmancko kapelusza.

– Dzień dobry, pani dozorczyńni.

– A dzień dobry dla pana mecenasa. – Poczekała, aż mężczyzna skęci w wyasfaltowane podwórko, ogrodzone wysokim pomalowanym na żółto murem, i zwróciła się do plutonowego. – Może pan dzielnicowy wejdzie do środka. Zręcznie będzie.

– A chętnie. Mąż w domu?

– W domu, ale śpi. Wczoraj bez przerwy z kluczem do bramy latał, pijaki po nocy wracali. Skaranie boskie z nimi.

– To grosza trochę przynajmniej zarobił.

– A daj pan spokój, panie dzielnicowy, sam pan przecież widzi, jaka bieda. – Potoczyła ręką po skromnie umeblowanym pokoju, po czym gestem zaprosiła Janika do zajęcia miejsca przy starym okrągłym stole nakrytym

dzierganą szydełkiem serwetą. – Herbatki zrobić?

– A chętnie, poproszę.

Adamczykowa, szurając kapciami, wyszła do kuchni, a plutonowy Janik rozejrzał się po dobrze sobie znanym pokoju. Odkąd awansował na dzielnicowego na tym trudnym odcinku warszawskiego Powiśla, był częstym gościem w mieszkaniu dozorczy, gdzie wypytywał o zwyczaje mieszkańców kamienicy, z których niejeden miał sporo za uszami, a gadatliwa gospodyni łatwo dawała się podpuścić do zwierzeń na temat sąsiadów. I tak było do czasu, aż Maniek, syn dozorczy, sam nie wpakował się w kłopoty, dając się namówić do udziału w skoku na kiosk Ruchu. Od kiedy chłopaka zamknięto w poprawczaku, Adamczykowa zrobiła się nieufna, na pytania odpowiadała niechętnie, tłumacząc się zawodzącą pamięcią, słabym zdrowiem i szukając na każdym kroku oparcia w burkliwym, chamowatym i wiecznie zaspanym mężu. Teraz wizyty dzielnicowego miały na celu nie tylko węszenie w prywatnych sprawach lokatorów, ale także sprawowanie milicyjnego dozoru nad resocjalizacją Mańka, która, jak dotąd, przebiegała bez większych problemów. Aż nagle chłopak zniknął. „Co ta cieciowa kombinuje – myślał plutonowy – przecież niemożliwe, żeby nie wiedziała, gdzie podziewa się ukochany jedynaczek”. Wróciła, trzymając w rękach dwa spodki, na których brzęczały szklanki wypełnione mocną herbatą, na dnie wirowały frędzle czarnych fusów; postawiła naczynia na serwecie i zza szkła kredensu wyciągnęła metalową cukiernicę.

– Pan słodzi, prawda?

– Dziękuję. – Plutonowy, stukając o brzegi szklanki łyżeczką, przyglądał się dozorczy. Ogarnęło go przeczucie, że tym razem Adamczykowa nie kręci, że naprawdę nie ma pojęcia, gdzie synalek prysnął. Otrząsnął się jednak szybko z tych myśli i ponownie zabrał za maglowanie gospodyni. – Pani Adamczykowa, znamy się nie od dziś, przecież pani wie, że jeśli nie napiszę w raporcie, gdzie Maniek przebywa – bo nie w domu – to syn znowu wpakuje się w kłopoty.

Dozorczynię denerwował ten wścibski glina i, być może dla świętego spokoju, byle tylko już się nie czepiał, zaspokoiłaby jego ciekawość, gdyby tylko miała chociaż mgliste pojęcie, co się z Mańkiem dzieje. Chłopak tydzień temu wychodząc z domu, rzucił tylko przez ramię, że nie będzie go kilka dni, a kto wie, może i dłużej, po czym trzasnął drzwiami, aż szyba zadźwięczała. Tyle go od tamtej pory widziała.

– Wiem, ale nie wiem, gdzie on jest, panie dzielnicowy. Chłopak jest już dorosły i robi, co mu się podoba, a nam z mężem nic do tego. Ale powiem panu, że tak naprawdę problemy zaczęły się, odkąd ten Kochański z zagranicy wrócił.

– Andrzej Kochański?

– No przecież mówię. Podobno najpierw we wojsku był, ale potem... Ciągle latają gdzieś we czterech. Zdarza się, że Maniek na cyku do domu wraca. Stary próbował z nim gadać, ale gdzie tam, tylko Kochan to, Kochan tamto. A ja to się boję, że on znowu w coś się wplącze. Pan wie, jaki Manius ma słaby charakter.

– Wiem, wiem, pani Adamczykowa. Mówi pani, że we czterech latają? A z kim jeszcze?

– A z tymi dwoma miglancami, Waldziem i Bogusiem.

– Kim? – zapytał znad herbaty.

– No, z Wypijewskim i z Czerwonką.

– Aha, wiem, którzy to. – Zanotował coś w kapowniku. – A oni też znikli, razem z Mańkiem?

– A skąd ja mam wiedzieć? Chociaż chwileczkę, chyba pan dzielnicowy ma rację, bo jakoś ostatnio ich nie widuję. I to rzeczywiście tak będzie, że od tygodnia chyba. To pan myśli, że oni razem gdzieś pojechali?

– Teraz to pani chce, żebym ja z fusów wróżył – zaśmiał się Janik, podnosząc pustą szklankę do światła. – Ale popytam. Jak czegoś się dowiem, dam pani znać. A tymczasem dziękuję uprzejmie za herbatkę. Tylko... – zawahał się przez chwilę, znów stukając piórem w czarną oprawę milicyjnego notesu – pani rozumie, ja w raporcie muszę napisać, że Maniek zniknął i nie wiadomo, gdzie przebywa.

– A niech pan pisze, co uważa, ja nic nie wiem i nic nie poradzę. Trudno.

– Ci Czerwonka i Wypijewski pod którym mieszkają?

– W bramie wisi lista lokatorów, niech pan sobie sprawdzi – powiedziała obrażona Adamczykowa i wstała od stołu. Janikowi nie pozostało nic innego, jak przytknąć dwa palce do daszka milicyjnej czapki i pożegnać dozorczynię.

Stanął przed listą lokatorów. „Coś mi tu śmierdzi – pomyślał, odnajdując podane przez Adamczykową nazwiska. – Zacznę chyba od Kochańskiego. To najbardziej podejrzany element”, dodał jeszcze w myślach, wchodząc na

asfaltowe podwórko.

8

Stali na moście imienia Armii Czerwonej i przechyleni przez metalową barierkę, paląc ostatnie papierosy, spoglądali w dół na płynący wartko Dunaj; w oddali, na wprost, mrok przecinały ostre reflektory rozświetlające budowę nowego mostu. Ogromne dźwigi targały w górę betonowe bloki, na kołowrotekach wędrowały potrzebne do szalunków deski, trwała rozbiórka starych kamienic dawnej dzielnicy żydowskiej. Ssysy wyciągnął w tamtym kierunku lewą rękę, w której żarzył się pomarańczowy ognek.

– Ale im mościcho stawiają.

– Nie ma się co podniecać, Ssysy, już jutro nie takie cuda techniki zobaczysz – pouczał Kochan. – Nawet się nie spodziewasz, jak szybko runie w twojej głowie mit gospodarczej wyższości obozu socjalistycznego nad zgniłym kapitalizmem. Panowie, za ostatni dzień w okowach komunizmu, dziś w nocy powitamy wolność! – Andrzej przytknął do ust butelkę, którą po wypiciu kilku łyków przekazał Szczocie, następny był Ssysy, na końcu flaszka dotarła do Mańka.

– Maniuś, jesteś pewien, że już możesz? – zapytał Kochan. Łamał chleb i rozdając po kawałku kolegom, mówił: – Może nie powinieneś jeszcze pić, w końcu dopiero dziś nad ranem powstałeś z martwych.

– Andrzej, tylko jeden, no dwa łyżki. Po tych niemieckich opłatkach zupełnie mi przeszło, rosółek też mi pomógł. Naprawdę czuję się znakomicie. Trochę wódeczki może mnie tylko bardziej wzmocnić.

Kochan machnął przyzwalająco ręką. Przez cały dzień, od samego rana, odkąd z Mańkiem wyszli z klatki schodowej i wrócili do parku (Szczocie i Sysemu noc minęła w zasadzie spokojnie z wyjątkiem momentu, kiedy na skraju ogrodu pojawił się patrol milicji, na szczęście zanim zdążył podejść do ławki, na której siedzieli, rozległ się brzęk szkła i przeraźliwy kobiecy krzyk, milicjanci pognali w tamtym kierunku i do parku już nie wrócili), chłopcy szukali sposobów na wzmocnienie ozdrowiałego nagle, ale bardzo

jeszcze osłabionego przyjaciela. Najpierw Kochan ze Szczotą poszli do sklepu, skąd wynieśli pod kurtkami dwa bochenki chleba i butelkę tłustego mleka. Ale to była zaledwie przekąska, Maniek potrzebował czegoś znacznie bardziej pożywnego. Kochan, uzbrojony w umytą w śniegu butelkę po mleku, tym razem z Sysym wyszedł jeszcze raz na ulicę, odnalazł elegancką restaurację, przed którą zdjął kurtkę i wręczył przyjacielowi; wszedł do wnętrza lokalu, minął zdumionego szatniarza i przy stoliku zasłanym białym wykrochmalonym obrusem u zgiętego w pół kelnera zamówił bulion i rumsztyk. Po chwili miseczka z zupą wylądowała na blacie stołu. Wywar przyjemnie pachniał. Andrzej nie mógł się powstrzymać, zanurzył łyżkę w zupie i dwa razy podniósł ją do ust. Ale przecież Maniek był najważniejszy. Wykorzystał moment, kiedy nikt na niego nie patrzył, i przez skonstruowany z resztek mapy lejek przelał bulion do butelki po mleku. Wstał, pozorując wyjście do toalety, i ponownie mijając coraz bardziej skonsternowanego szatniarza, wyszedł na zewnątrz. Pobiegnął za róg, gdzie czekał na niego Ssysy. Wrócili do parku. Rumsztyk długo jeszcze samotnie stygnął na stole.

Maniek koniecznie chciał podzielić się zupą z kolegami, ale ci, chociaż woń bulionu natrętnie drażniła nozdrza, po kolei rycersko odmawiali. Wypił. Ciepły, tłusty rosół zdziałał cuda, Mańkowi szybko powracały siły. Resztę dnia chłopcy spędzili w parku – to wydawało im się bezpieczniejsze niż kręcenie się po ulicach nieznanego miasta – dla zabicia czasu grając jak dzieci na śniegu patykami w państwa-miasta, rzucając z nudów kamieniami w przechadzające się po zasypanych białym puchem trawnikach wrony, roztaczając wizję przyszłego życia na Zachodzie i tak naprawdę oszczędzając energię, która miała być im potrzebna w nocy. W końcu, kiedy wreszcie zaczęło się zmierzchać, ruszyli w stronę Dunaju; za rzeką była miejscowość Petrzałka, dalej granica, a za nią upragniona Austria.

Rzucona przez Mańka butelka plasnęła o taflę wartko płynącej wody. Od rzeki ciągnęło chłodem. Chłopcy postawili kołnierze kurtek i wąskim chodnikiem gęsiego, podziwiając metalową konstrukcję mostu, pomaszzerowali w stronę Petrzałki. W oddali, po lewej, majaczyła masywna sylwetka pojedynczego podłużnego wzniesienia, nad którym mimo późnej pory stada mew z wrzaskiem walczyły o wygrzebane skądś kęsy.

– Jezu, co to takiego? – przestraszył się Maniek.

– Wygląda na wysypisko śmieci, ale nie jestem pewien – odpowiedział Kochan.

Maniek wzdrygnął się, starał się nie patrzeć w tamtą stronę; te mewy, samotny kształt góry, kleiste błocko budów, w które wdepnęli po drugiej stronie mostu, puste kontury pozbawionych jeszcze okien, rosnących jak okiem sięgnąć mrówkowców nie napawały go optymistycznie, starał się ukryć niepokój, ale zauważył, że przyjaciele równie posępnie spoglądali dookoła.

– Jakoś tak nieswojo, co? – przerwał milczenie Maniek.

– Mam złe przeczucia – krakał Sysy.

– Masz rację. Te mewy to zły znak – ciągnął Maniek.

– A te budowy? Wyglądają jak jakieś gigantyczne cmentarzysko.

– Przestańcie pierdolić – zdenerwował się Kochan. – Całe szczęście, że są budowy. Trzeba rozejrzeć się za jakąś deską.

– A po chuj ci deska? – dopytywał się Sysy.

– Nie bądź taki ciekawy, zobaczysz.

Aprobująco kiwając głową, Szczota z podziwem spojrział na Kochana. Poszedł w stronę zagrzebanej w błocie koparki, do której prowadziła ułożona z desek ścieżka, poszperał i z kleistej, lekko przymarzniętej mazi wydłubał jedną.

– Ta będzie dobra? Nie za krótka?

– W sam raz. Weźmy na wszelki wypadek jeszcze jedną. – Andrzej ściągnął inną, pomalowaną w biało-czerwone pasy, którą zabezpieczony był głęboki otwór wykopu.

Maniek i Sysy stali, nic nie rozumiejąc.

– Co się tak gapicie? Łapcie się za dechy i idziemy do granicy. To jeszcze kawałek.

Siedzieli zagrzebani w krzakach na rzuconych w płytki mokry śnieg deskach, wpatrując się w kilkaset metrów pustej, niedającej żadnej możliwości ukrycia się przestrzeni, którą co kilka minut, w regularnych odstępach, przecinał dwuosobowy patrol pograniczników, i próbowali wyczuć najlepszy moment do skoku. Widok granicy ich nie zdziwił, z wyjątkiem może tego, że aż tak szeroki pas poprzedzający linię niewysokich zasieków był całkowicie wygolony z wszelkiej wyższej niż kilka

centymetrów roślinności.

– Kochan, a dlaczego my forsujemy granicę akurat w tym miejscu? – Sisy wyartykułował szeptem nurtujące go od jakiegoś czasu pytanie.

– Jakbyś uważał na lekcji geografii, tobyś wiedział – odpowiedział również szeptem zdenerwowany Andrzej. – W całej okolicy granica biegnie wzdłuż rzeki. Chciałbyś dawać nura do wody w taką pogodę, bo ja nie, dziękuję. Tutaj jest jedyne miejsce, w którym, nie wiem dlaczego, granica się wybrzusza i zostawia rzekę za plecami. Poza tym stąd są tylko dwa kroki do Wiednia, a tam zgłosimy się na policję.

– Wracają – powiedział Maniek, pokazując ręką na maszerujący patrol. – Niewiele ponad osiem minut. Zdażymy?

– Chyba musimy.

– A ten drut nie jest przypadkiem pod prądem? – drażył Sisy.

– Nawet gdyby był, to jak myślisz Sisy, po co te dechy targales? – wtrącił się, jak zwykle flegmatycznie, Szczota. Sisy i Maniek otworzyli ze zdumienia gęby. – A tak w ogóle, jak ty chciałeś przez ten drut kolczasty przeleźć?

– Bądźcie już cicho.

Milczeli. Z oddali dolatywały stłumione odgłosy miasta, słyhać było niewyraźny stukot przejeżdżającego przez most pociągu, na międzynarodowej szosie monotonnie szumiały pędzące samochody. Na tym tle kroki maszerujących po wydeptanym śniegu żołnierzy niosły się bardzo wyraźnie. To komplikowało sytuację, chłopcy wiedzieli, że będą musieli odczekać mniej więcej dwie minuty po przejściu patrolu, żeby do uszu strażników nie doleciał żaden odgłos, a to dawało im zaledwie sześć minut na doskoczenie do drutu i pokonanie go. „Niewiele, ale, jeśli nie będzie żadnych niespodzianek, powinno wystarczyć”, główkował Kochan.

– Po następnym nawrocie idziemy – zdecydował.

Czekali osiem minut, aż znów usłyszeli na śniegu miarowe kroki, potem zobaczyli małe figurki pograniczników z karabinami na plecach. Patrol przeszedł niespiesznie. Andrzej spojrzął na zegarek, odliczył dwie minuty i dał znak. Złapali deski i skuleni ruszyli biegiem w stronę granicy. Śnieg chrzęścił pod butami. Na kilkanaście metrów przed wydeptaną przez żołnierzy ścieżką zatrzymali się i obrócili. Dystans ten pokonali tyłem, rozsypani w tyralierę. Sądzieli, że w ten podpatrzony na westernach sposób

zdezorientują na chwilę czechosłowackich wopistów. Kiedy znaleźli się na dróźnie, znów puścili się kłusem udeptanym traktem w kierunku przeciwnym, niż odeszła straż graniczna. Liczyli, że dzięki temu zyskają nad pogonią kilkadziesiąt dodatkowych sekund. Jednak nie mogli odbiec zbyt daleko, żeby nie zauważyli ich żołnierze patrolujący kolejny odcinek granicy. W końcu zbiegli ze ścieżki i zbliżyli się do niewysokich, najwyżej metrowych, zasieków. Unieśli jedną z desek i rzucili ją na drut, który zaszprzynował, chwilę walczył z ciężarem, wreszcie ugiął się nieznacznie. Na tyle jednak, na szczęście, że chłopcy po kolei mogli przejść po desce niczym po równoważni na drugą stronę. Pierwszy był Andrzej.

– Szczota, przełaż razem z drugą dechą, tu jest kolejna linia zasieków – zawołał teatralnym szeptem.

Szczota przebiegł po kładce z deską pod pachą. Rzucił ją na drugą serpentynę z drutu kolczastego. Tak jak poprzednio przeszkoda ugięła się, tworząc może niezbyt komfortowe, ale wystarczająco łatwe do pokonania przejście. „Jak Morze Czerwone”, pomyślał Szczota, włączając deskę. Pozostali chłopcy, czekając na swoją kolej, spojrzeli za siebie. W miejscu, gdzie weszli na wydeptaną żołnierskimi buciorami ścieżkę, zobaczyli dwa snopy szperających w śniegu świateł. Słychać było podniesione głosy. Nie tracąc czasu, przebiegli po prowizorycznym pomoście przez kolejną przeszkodę i w komplecie pognali w stronę Austrii.

To było prostsze, niż przypuszczali; żelazna kurtyna nie okazała się barierą nie do sforsowania. Dziwili się w duchu, dlaczego tak niewielu wybierało ten banalny, zdawałoby się, sposób wydostania się na wolność, chociaż sami (a przynajmniej nie wszyscy) teraz, gdy przekroczyli granicę, nie byli w stu procentach pewni, czy ucieczka na Zachód to tak naprawdę właściwy krok. Oprócz Kochana – który, mimo że decyzję podjął w zasadzie spontanicznie, wiedział od dawna, właściwie odkąd wysiadł z pociągu na Dworcu Głównym, że przyszłość chce związać z Francją, i pragnął wrócić do niej jak najszybciej – najmniej wątpliwości miał Szczota. Żal oczywiście mu było rozstawać się z młodszą siostrą, ale przecież wcześniej czy później musieli wyfrunąć ze wspólnego gniazda i poszybować w swoje strony, a o Zachodzie marzył od dawna, przynajmniej od sześćdziesiątego piątego, kiedy wyjechał tam Kochan. Nieraz, najczęściej w chorobie, gdy całymi dniami leżał w łóżku, brał na kolana encyklopedię i czytał o tych bliskich geograficznie, a tak odległych krajach. Największym sentymentem darzył z wiadomych względów

Francję. A dziś, nareszcie, jego sen się spełniał. Poza tym plan ucieczki nakreślił Kochan i to w przekonaniu Szczoty wykluczało jakiejkolwiek wątpliwości, Andrzejowi ufał bezgranicznie. Takiej pewności brakowało natomiast Sysemu, bo w końcu co on na tym Zachodzie miał do roboty bez znajomości języka, bez szkoły, w nieznanym świecie, w którym Bóg jeden wiedział, jak się poruszać? Że tam bogaciej, może to i prawda, ale z drugiej strony, jak pan Rysio powiedział, a Ssys się z nim zgadzał, i w Polsce można porządnie zarobić, tylko trzeba wiedzieć jak, i on na pewno znalazłby jakiś sposób. Za wolnością też nie tęsknił aż tak bardzo, był zdania, że w każdym systemie ma się tyle swobody, ile uda się dla siebie wyszarpnąć, i wystarczy w pewne obszary się nie zagłębiać, by móc w innych operować spokojnie, nieniepokojony przez władze. Ssys wyruszył na wyprawę, bo wydawało mu się, że będzie to szalona przygoda, nie mógł też okazać chłopakom słabości, ale w głębi duszy miał nadzieję, że coś się nie uda i wróci do kraju, bo tak naprawdę wolał żyć w Polsce niż gdzie indziej. Poza tym taka porażka poniesiona przez Kochana inaczej ustawiłaby ich relacje w grupie. Z kolei Maniek chciał popробować Zachodu; jego ciekawska natura zawsze dążyła do skosztowania czegoś nowego, a jedyna, za to bardzo natrętna wątpliwość, która go dręczyła, dotyczyła jego przeszłości i – co się z tym wiązało – smutnej przyszłości, gdyby wyprawa się nie powiodła. Wiedział, że w takim wypadku więzienia by nie uniknął.

Teraz już te wszystkie dywagacje nie miały znaczenia. Stąpali – tak przynajmniej przypuszczali – po austriackiej ziemi, po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Przebiegli kilkanaście metrów i nagle stanęli jak wryci. Przed nimi ciągnęła się złowieszczo trzecia linia zasieków.

– I co teraz? – wycedził przez zaciśnięte zęby Ssys, rozglądając się bezradnie.

– Trzeba wrócić po deskę. – Andrzej starał się zachować spokój.

– Wrócić? Przecież tamci już się zbliżają.

– A jak chcesz przejść przez ten drut? Poszatkuję cię na wiedeński sznycel – próbował żartować Kochan. Pozostali milczeli. – Dobra, ty z Mańkiem tu zostańcie, a ja ze Szczotą wrócimy po deskę. Jak nas złapią, to może chociaż wam uda się nawiać.

– Nic z tego, mieliśmy trzymać się razem i będziemy do końca. Trudno, idziemy z wami – wtrącił Maniek. Ssys potakująco kiwnął głową.

Zawrócili. Na kilka metrów przed drugą linią zasieków położyli się na śniegu i czołgając, zbliżali się w stronę deski. Patrol dotarł już do pierwszej zapory z drutu. Żołnierze lustrowali zrobioną przez chłopców kładkę. Szczota jako najsilniejszy podczołgał się do opartej na drutach deski. Złapał ją i powoli, centymetr po centymetrze, przyciągał do siebie. Pogranicznicy przeszli na drugą stronę pierwszej linii zasieków. Wolno ruszyli śladem uciekinierów. Chłopcy przywarli twarzami do śniegu i czekali w napięciu. Nad ich głowami raz i drugi prześlizgnęła się smuga światła z wojskowej latarki. W końcu żołnierze dostrzegli drugą deskę. Zatrzymali się. Starali się ocenić sytuację. Do uszu uciekinierów doleciał suchy trzask przeładowywanej broni. „Po zabawie. Jak zaczniemy uciekać, to wpakują nam kulkę w plecy”, pomyślał Maniek. Z wolna wstał na kolana i uniół ręce wysoko nad głowę.

– Nie strzelać! My Polacy! Zgubiliśmy drogę! Zabłądziliśmy! – wołał.

Po chwili w jego ślady poszli pozostali i z podniesionymi rękoma ustawiali się obok siebie w ostrym świetle latarki. Tylko Kochan wciąż leżał z twarzą w puchu i z bezsilną wściekłością walił dłonią w ziemię, gryząc jednocześnie zaciśniętą pięść drugiej ręki. Kiedy wreszcie jeden z żołnierzy podszedł do niego i szarpiąc za ramię, podniósł z mokrego śniegu, chłopcy po raz pierwszy zobaczyli spływające po twarzy przyjaciela łzy.

Wódka powoli wypełniała stojącą samotnie na biurku szklankę, a po gabinecie rozeszła się ostra woń alkoholu, którą oparty brodą o leżące na blacie przedramię, wpatrzony w lejący się z butelki przezroczysty płyn porucznik Śmiarowski wciągnął z westchnieniem głęboko w płuca. Od godziny, odkąd przyszedł do pracy, walczył z przemożną ochotą wychylenia stakańczyka 1 żytniej, bo z jednej strony tak pić od rana wydawało mu się przyznaniem się do klęski i równaniem w dół, czego do tej pory, mimo ogromnych problemów w pracy, udało mu się uniknąć (a przecież codziennie mijał na korytarzach komendy stołecznej zapijaczonych starszych kolegów, alkohol był najlepszym i najłatwiejszym środkiem na odreagowanie stresów, zapomnienie porażek, nudę papierkowej roboty, której w milicji nie brakowało, ale ambitny porucznik stronił od takiego sposobu na uciekanie od kłopotów), z drugiej jednak perspektywa ponownego stawienia się przed surowym obliczem majora Gryzia, tłumaczenia z braku postępów w śledztwie i zbierania opieprzu od coraz bardziej zniecierpliwionego przełożonego na trzeźwo wydawała się nie do zniesienia. Śmiarowski wiedział, że major potrafi wściekać się o różne rzeczy, ale na cuchnący alkoholem oddech i lekko zamglony wzrok przymknie oko, a być może nawet takie objawy zestresowania pracą wywołają na jego twarzy choć na moment wyraz litości i zrozumienia.

Porucznik odstawił butelkę i wciąż trzymając głowę opartą na przedramieniu, bawił się wypełnioną w dwóch trzecich szklanką. Analizował chyba po raz tysięczny swoją nieciekawą sytuację – włam na Rutkowskiego, gdzie znów nie udało się zabezpieczyć żadnych śladów rokujących nadzieję na posunięcie śledztwa naprzód, okazał się kroplą, która przelała czarę cierpliwości majora Gryzia i innych wysoko postawionych oficerów; lada dzień miała zapaść decyzja – o czym poinformowano porucznika – o odsunięciu go od śledztwa, do tej pory nie stało się tak tylko dlatego, że ktoś ważny, kto miał kontrasygnować rozkaz, pojechał na szkolenie na Wschód.

Dalsze perspektywy jawiły się w niemniej ciemnych barwach; znowu prowadzenie jakichś gównianych spraw, przesunięcie do jednej z lokalnych komend z etykietą śledczego, który nie potrafi poradzić sobie z trudniejszymi wyzwaniem, brak awansu przez lata, być może nawet konieczność opuszczenia służbowego mieszkania. A tego Jola już by nie zniosła. Jak dotychczas Śmiarowskiemu udawało się ukrywać przed żoną kłopoty, jakie spotykały go w pracy; w zamian za ciepłe, pachnące ciało oferowane mu niemal co noc, gotów był roztaczać nad nią kłosz bezpieczeństwa i słodkiej niewiedzy, jednak gdyby okazało się, że muszą wynieść się z gniazdka, które uwili sobie przy ulicy Granicznej, zapał, z jakim Jola pochylała się nad jego męskością, bez wątpienia by osłabł. Osłabłaby też na pewno chęć dzielenia z nim nowych, trudnych warunków życia z nie najlepszymi widokami na przyszłość. Bo dla Joli liczył się tylko ruch do przodu – o żadnym cofaniu się czy spadaniu w dół po to, żeby odbić się od dna, nie mogło być mowy – a ten musiał wiązać się zawsze z coraz bardziej komfortową egzystencją.

Wyglądało na to, że życie porucznika może posypać się na całej linii, we wszystkich aspektach. Najgorszy w tym był całkowity brak przesłanek na odwrócenie się tej koszarnej tendencji. Z włamania na Rutkowskiego, tak jak z poprzednich skoków, żadnego materiału dowodowego nie uda się już zebrać, a gdyby podczas kolejnej kradzieży trabanciarze popełnili jakiś błąd, to cały splendor i tak spłynie na innego oficera, który zajmie się tą sprawą, a on, Śmiarowski, pójdzie w całkowitą odставку. Już teraz część kolegów zaczęła omijać go jak trędowatego, skończyły się nawet telefony wzywające poza dyżurem do nocnych akcji, co w pierwszej chwili – dopóki nie zorientował się, że jest to kolejny przejaw traktowania go jak zadżumionego – przyjął z uczuciem ulgi.

Dłużej nie było sensu się opierać, porucznik uniósł szklankę do ust i wtedy ktoś zastukał do drzwi. Niewypita wódka z powrotem stanęła na biurku, a Śmiarowski wściekle zawołał:

– Wlazł!

Drzwi uchyliły się powoli i w szparze pojawiła się ruda czupryna.

– A, to wy, Boczek. Czego tyłek zawracacie? – zapytał niechętnie.

– Był pan już dzisiaj u majora Gryzia, obywatelu poruczniku?

– Jeszcze nie, a o co chodzi? – Śmiarowski zerknął tęsknie na wódkę.

– Bo mam tu bardzo ciekawy raport od jednego dzielnicowego z Powiśla.

Może to nic takiego, ale wolałem pokazać go obywatelowi porucznikowi. Mnie się wydaje, że to może mieć jakieś znaczenie.

Sierżant położył na biurku cienką teczkę, a Śmiarowski bez przekonania zaczął przewracać kartki raportu.

– No i co to takiego wielkiego? Że gówniarze nawiali z domu? Dorośli są, nie? Oj, Boczek, po jaki chuj mi skołatana głowę tymi duperelami zawracacie? – Śmiarowski wyciągnął teczkę w kierunku sierżanta.

– Ale niech obywatel porucznik zwróci uwagę na daty i na to, że ten Adamczyk miał dozór, a mimo to gdzieś zniknął.

Śmiarowski ponownie kartkował raport, kiedy na biurku zaterkotał szary telefon. Porucznik wzdrygnął się, podniósł słuchawkę i wcisnął przycisk w aparacie.

– Porucznik Śmiarowski. Tak jest, obywatelu majorze. Nie... a właściwie tak, obywatelu majorze – powiedział z ociąganiem, spoglądając kątem oka na przyniesioną przez Boczka teczkę. – Pojawił się nowy, bardzo interesujący trop... Oczywiście, obywatelu majorze. Ale jeśli potwierdzą się moje przypuszczenia, może być przełom w sprawie... Całkowicie. Jeśli obywatel major pozwoli, upewnię się jeszcze tylko i przyjdę do obywatela majora na naradę... Tak jest! – Odłożył słuchawkę i spojrzał wesoło na Boczka. – No dobra, towarzyszu, trzeba by zerknąć w teczkę tego Adamczyka.

Na twarzy Boczka pojawił się uśmiech, porucznikowi powracał dobry humor, to wprawdzie oznaczało, że znów z sierżanta – jak dawniej – będzie darł łacha, ale rudzielec wolał zdecydowanie to niż napięcie i milczące zdenerwowanie, z którym od kilku dni Śmiarowski pojawiał się w pracy.

– Już sprawdziłem. U nas mamy dwie tecki. – Wyciągnął zza pleców szarobłękitne aktówki i położył je przed porucznikiem. – Tu jest Marian Adamczyk, a tu Andrzej Kochański. Bogusława Czerwonki i Waldemara Wypijewskiego nie mamy.

Śmiarowski oparł łokcie o blat biurka, schował głowę w dłoniach i pogрузił się w lekturze, która z każdą przeczytaną linijką, z każdym raportem, zeznaniem kolegów, wychowawców Adamczyka z poprawczaka, oficerów Ludowego Wojska Polskiego, którzy mieli do czynienia z szeregowym Kochańskim, dawała porucznikowi coraz więcej do myślenia. Kiedy dotarł do ostatniej kartki, przewrócił obie tecki i jeszcze raz uważnie strona po stronie przeczytał wszystkie akta. W końcu, po ponownym zapoznaniu się z

całością, sięgnął po szklankę i jednym haustem wypił wódkę. Skrzywił się, poderwał od biurka i wyczałował zbaraniałego sierżanta z dubeltówki.

– Boczek, kurwa wasza mać, mamy ich.

– Myśli pan, że to trabanciarze?

– A kto? Szkółka niedzielna imienia profesora Korczaka? To oni, Boczek, czuję to nosem. Spójrzcie na daty: dzień przed włamem wyszli z domu i gdzieś się zadekowali. Pewnie przygotowywali się do skoku. A potem prysnęli z trefnym towarem. Może paser im nawalił, a może popełnili jakiś błąd, którego my jak do tej pory nie zauważyliśmy, i boją się, że wpadną.

– Myśli pan, że oni tacy dobrzy są?

– Poczytajcie sobie w aktach, Boczek – Śmiarowski pokazał palcem na teczki – z kim ten Adamczyk w poprawczaku siedział. Nie ma co, nie takich cudów go tam nauczyli. Poznał techniki i ludzi. A to w tym fachu najistotniejsze, reszta to fart. Ten drugi też niezły aparat. Widzieliście, Boczek, że go nawet z naszej bohaterskiej armii wywalili. Stamtąd za nic się nie wylatuje. Wuj mundury dla legii cudzoziemskiej szyje, czy wy wiecie, z jakim elementem on musiał się w tej Francji stykać? – Porucznik ruszył w marsz od okna do drzwi i z powrotem, zgrabnie omijając po drodze biurko, i z każdym krokiem coraz bardziej zapalał się do swojej teorii. – Mówię wam, sierżancie Boczek, to oni. W końcu dopadliśmy skurwysynów. Gwarantuję wam, że jak tylko ich capniemy, przyznają się do wszystkiego raz-dwa, już ja osobiście o to zadbam.

Szklanka ponownie napełniła się wódką, którą Śmiarowski znów wychylił na raz, w porucznika wstępowała dawna energia, w jednej chwili zostawił za sobą wszystkie problemy, teraz miał tylko jedno pragnienie – działać.

– Słuchajcie, Boczek, co zaraz zrobicie. Weźmiecie cztery ekipy na moje polecenie, jasne, i pojedziecie do domów tych gówniarzy. Zrobicie tam kipisz. Macie znaleźć jakieś fanty.

– Ale przecież ich od włamania nie było w domu, obywatelu poruczniku.

– Ruszcie tą rudą łepetyną, Boczek. Oczywiście, że nie było. Wy macie znaleźć fanty z poprzednich włamów. Weźcie ze sobą listę i szukajcie metodycznie, we wszystkich czterech mieszkaniach jednocześnie. Macie te chałupy wywalić do góry nogami. Nie zapomnijcie też o piwnicach.

– A nakaz?

– Nakazem się nie przejmujcie. Potem się załatwi. Tylko jakiegoś mundurowego ze sobą weźcie. A jakby ktoś się stawiał, to nie pierdolić się, Boczek, tylko wsadzać bez pardonu na cztery osiem. Te mendy muszą wreszcie zobaczyć, że żarty się skończyły!

Nalał sobie po raz trzeci i po raz trzeci wlał jednym ruchem całą zawartość szklanki do gardła. Rozejrzał się po gabinecie mętnym wzrokiem i kiedy zorientował się, że w zasadzie niczego nie szuka, zniecierpliwiony zwrócił się do Boczka.

– No, Boczek, co tak stoicie jak chuj na weselu, zbierajcie się już, a ja tymczasem pójdę do majora zdać mu relację z naszego odkrycia. Tak, tak, Boczek, bo to też wasza zasługa, nie bójcie się, nie zapomnę o was, jak trzeba będzie wypiąć pierś do orderu.

Kiedy za Boczkiem zamknęły się drzwi gabinetu, Śmiarowski usiadł przy biurku i zawył z radości niczym wilk, potem odwrócił się i otworzył zakratowane okno. Przed udaniem się do majora chciał jeszcze wciągnąć kilka haustów świeżego mroźnego powietrza, bo wprawdzie wciąż myślał trzeźwo, ale język zaczynał mu się plątać, wskazujący palec charakterystycznie wędrował pouczająco w górę, a w głowie pojawiła się typowa, cechująca pierwsze zderzenie organizmu z alkoholem, wulgarność. Pomyślał o śpiącej pod pachnącą seksem kołdrą nagiej Joli, wypełnionej po brzegi sokami, które w niej zostawił dziś w nocy i nad ranem, spojrzął na telefon, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. „Halo”, usłyszał zmysłowo schrypnięty, zaspany głos i poczuł, jak przez jego podlane trzema szklankami wódki ciało ponownie przebiega dreszcz podniecenia.

10

Wielkie płaty śniegu gęsto niczym z rozdartej poduchy zasypywały polsko-czechosłowacką granicę, pokrywając ją białym kożuchem. Żłobiąc głębokie koleiny w świeżym śniegu, do parterowych baraków zbliżały się od słowackiej strony dwa wojskowe gaziki z łańcuchami na oblepionych puchem kołach; reflektory próbowały przebić się przez lecącą z nieba zasłonę, a pozbawione płynności wycieraczki raczej rozmazywały topniejące na szybie płaty, niż ścierały je na bok. Dlatego samochody jechały bardzo powoli, spóźniając się już półtorej godziny na umówione z polskimi gazikami spotkanie w Chyżnem. W końcu dotarli na miejsce i ustawiły się naprzeciw – niemal nos w nos – bratnich polskich maszyn. Drzwiczki otworzyły się, skrzypiąc, i z wnętrza samochodów wyskoczyło czterech żołnierzy, którzy po zlustrowaniu okolicy wsadzili do środka aut głowy i wywołali na śnieg czterech spiętych w pary kajdankami aresztantów. Szczota z Sysym i Kochan z Mańkiem, kuląc się przed padającym śniegiem, podreptali do wnętrza rozgrzanego baraku.

Od tygodnia, odkąd zostali schwytani na granicy, chłopcy byli poddawani drobiazgowemu śledztwu prowadzonemu przez czechosłowackie służby graniczne. Początkowo szli w zaparte, twierdząc uparcie, że wprawdzie przedostali się nielegalnie, przez zieloną granicę, na terytorium Czechosłowacji, ale była to wyprawa mająca na celu zwiedzenie na własną rękę zaprzyjaźnionego kraju socjalistycznego i o żadnej ucieczce na Zachód nawet przez chwilę nie myśleli. Sądziło ponadto, że zasieki, na które się natknęli, zagradzały wejście na jakąś budowę, ewentualnie na teren zakładu pracy, w którym mogliby przenocować, ale w żadnym razie nie przypuszczali nawet, że mają przed sobą fragment żelaznej kurtyny. Wersji tej trzymali się zawzięcie przez dwa dni. Pierwsza od długiego czasu noc spędzona w wygodnych – komfortowych rzecz można, jak na to, co ostatnio przeszli – warunkach, na zasłanych siennikami pryczach, w cieplej celi, sprawiła, że wypoczęci chłopcy twardo opierali się przesłuchującym ich oficerom. Jednak

po kolejnej nocy, w czasie której dyskretnie przykręcono ogrzewanie, po ciągnących się w nieskończoność przesłuchaniach, kiedy wreszcie zdali sobie sprawę, że do kraju nie wrócą tak długo, dopóki nie zaczną współpracować ze śledczymi, zaczęli w końcu zeznawać.

Przez pięć dni skrupulatnie, punkt po punkcie, prowadzący śledztwo oficerowie weryfikowali podawane przez aresztantów informacje i w końcu doszli do wniosku, że za udaremnioną próbą ucieczki nie kryje się nic ponad kaprys młodzieńczej, pozbawionej głębszej refleksji fantazji, że nie mają przed sobą żadnej groźnej szajki przemytników i w zasadzie najwygodniej będzie pozbyć się nieproszonych gości, przekazując ich stronie polskiej. W tym celu odpowiadający za zbiegów kapitan skontaktował się ze swoim polskim odpowiednikiem i po kurtuazyjnej wymianie grzeczności oraz przedstawieniu sprawy umówił się z nim na granicy w Chyżnem.

Drzwi baraku otworzyły się ponownie, ukazując rozświetlone wnętrze, w którym czechosłowaccy żołnierze rozkuwali aresztantów, by po chwili na ich nadgarstkach wylądowały kajdanki związane przez polskie służby, na zewnątrz wyszedł czechosłowacki kapitan, a zaraz za nim jego polski kolega. Oficerowie bez słowa zapalili papierosy, po czym Słowak wyciągnął zza pazuchy teczkę, którą przekazał Polakowi, uścisnęli sobie serdecznie dłonie i czechosłowacki gość w asyście podoficerów, którzy tymczasem opuścili barak, poszedł w stronę gazików. Polski kapitan wrócił do wnętrza.

– Ale napiżdżilo, co, obywatelu kapitanie? – powiedział wystrojony w moro i czapę uszatkę kapral, kiedy wraz z kapitanem, uciekinierami i eskortą znaleźli się przy zasypanych śniegiem samochodach.

– Nie gadajcie tyle, tylko weźcie się za odwalenie tego śniegu i zmykamy stąd – odpowiedział zniecierpliwiony kapitan, któremu wcale ta cała wyprawa na granicę się nie uśmiechała, a szczególnie zirytowało go, czego starał się bezskutecznie po sobie nie dać poznać, półtoragodzinne oczekiwanie na spóźniających się pepików. – A wy to dopiero macie przesrane – rzucił jeszcze w stronę przytupujących, zakutyh w kajdanki chłopców.

Po kilku minutach śnieg z samochodów został odgarnięty, na kołach zainstalowano łańcuchy, całe towarzystwo zapakowało się do pojazdów i gaziki, zanurzając się w ciemność, pomknęły w stronę Nowego Targu.

Korytarze komendy stołecznej milicji, którymi wesoło pogwizdując, kroczył Śmiarowski, rozświetlone były wpadającym z ukosa przez wielkie okna słońcem. Od kilku dni w życiu porucznika też jasno świeciło słońce, które – jak mu się wydawało – piętnaście minut temu przyjemnie zbliżyło się do zenitu; kończyli właśnie z majorem Gryziem kolejną naradę w sprawie trabanciarzy, zaszczytzeni tym razem obecnością samego pułkownika Pawłowskiego, przysłuchującego się z aprobatą podejmowanym decyzjom i wysuwanych wniosków na temat dalszego prowadzenia śledztwa, kiedy nagle dostojny gość, bawiąc się okularami w grubej rogowej oprawie, zwrócił się do Śmiarowskiego z niespodziewanym pytaniem:

– Bardzo pięknie, poruczniku. A powiedzcie mi, tak na marginesie, czy macie jakieś plany sylwestrowe?

– Żadnych, towarzyszu pułkowniku – skłamał Śmiarowski.

– Doskonale, poruczniku. Co byście w takim razie powiedzieli, gdybym zaprosił was na naszego resortowego sylwestra, który odbędzie się w restauracji Kongresowa, w gościnnych progach Pałacu Kultury i Nauki?

Śmiarowskiego zatkało. O sylwestrowych zabawach w Kongresowej w kuluarach komendy krążyły legendy, pojawiały się na nich niemal wyłącznie najwyższe szarże, znaleźć się tam, znaczyło wstąpić w krąg wtajemniczonych, kto będąc w randze porucznika, w ten szczególny dzień płaśał wokół słynnej marmurowej fontanny, przyszłość w resorcie miał w zasadzie zapewnioną, awanse i splendory stały przed nim otworem. Dlatego Śmiarowski zaskoczony propozycją stał, nie mogąc wykszusić z siebie słowa.

– Co to, nie cieszycie się z mojej propozycji? Nie odpowiada wam nasze, przyznam, posunięte w latach towarzystwo? – żartował pułkownik.

– Ależ skąd, jestem zaszczycony. Na pewno przyjdę.

– Znakomicie, poruczniku – ucieszył się pułkownik, wkładając na nos

okulary, i spoglądając na Śmiarowskiego przez grube szkła, dodał: – I nie zapomnijcie zabrać ze sobą swojej wspaniałej małżonki, o której urodzie krążą, wiecie, legendy – cmoknął lubieżnie pułkownik, nazywany przez podwładnych satyrem z uwagi na niewyszukaną atencję, z jaką traktował wszystkie bez wyjątku młode kobiece krągłości, które znalazły się w zasięgu jego słabego wzroku; żadna stażystka, doświadczona milicjantka, a czasem nawet i przesłuchiwana dziewczyna w pobliżu pułkownika nie mogła czuć się bezpiecznie.

– Tak jest. Oczywiście – dodał już z mniejszym entuzjazmem porucznik.

Wracając teraz tanecznym krokiem z narady, zastanawiał się, w jakim stopniu zaproszenie zawdzięcza własnemu sukcesowi, a w jakim ponętym kształtom Joli. „A pies to trącał, najważniejsze to tam być”, pomyślał właśnie, kiedy dogonił go zdyszany sierżant Boczek.

– Obywatelu poruczniku, musimy koniecznie porozmawiać – powiedział przejęty, pokazując wzrokiem na trzymaną pod pachą teczkę.

– Poczekajcie na mnie w moim gabinecie, Boczek. Najpierw skoczę do bufetu, potem pogadamy.

– Obywatelu poruczniku, to bardzo ważne. I chyba bardzo pilne.

– Co wyście tacy sieriozni, Boczuś?

– Bo to naprawdę ważna sprawa.

– Ważne to jest... – Porucznik urwał i mijając Boczka, machnął lekceważąco ręką. – Zresztą nieważne. Powiedziałem, żebyście zaczekali, to zaczekajcie. Przyjdę za kwadrans.

Rudzielec zwiesił głowę i poszedł w stronę gabinetu przełożonego. Tak czy inaczej wiedział, że ochrzan dzisiaj go nie ominie. Tymczasem zadowolony z siebie Śmiarowski w drodze do bufetu po raz nie wiadomo już który analizował swoje ostatnie zawodowe dokonania. Wszystko wskazywało na to, że nieszczęsna sprawa włamań do warszawskich salonów odzieżowych powoli zmierza do szczęśliwego rozwiązania. Wprawdzie pierwsze zarządzane przez porucznika, a nadzorowane przez Boczka rewizje nie zakończyły się spodziewanym sukcesem – w żadnym z mieszkań nie natrafili na ślad poszukiwanych fantów, jedynie u Wypijewskiego znaleźli podejrzaną kolekcję wojskowych map, które, jak się później okazało, znosił do domu pracujący w drukarni ojciec poszukiwanego chłopaka i które zabezpieczyli na wszelki wypadek – jednak udało się odkryć kolejną poszlakę, potwierdzającą

wysnutą przez porucznika tezę, że wytypowani młodzieńcy i trabanciarze to jedna i ta sama grupa przestępcza: ojciec Bogusława Czerwonki był właścicielem trabanta kombi! Nie błękitnego, niestety, a jedynie kremowego, ale w końcu w nocy wszystkie koty są czarne, poza tym świadek też mógł się mylić, przecież samochód z miejsca przestępstwa oddalał się w pośpiechu i, jak to z trabantami bywa, w kłębach zamazujących obraz spalin. Jak następnie milicjanci sprawdzili, żaden z podejrzanych chłopaków nie posiadał prawa jazdy, ale to przecież jeszcze nie świadczyło, że nie potrafili prowadzić samochodu. Nie można było również wykluczyć, że szajka składała się z większej liczby podejrzanych indywiduali, ale, jak na razie, nie udało się tego potwierdzić.

W trakcie pierwszych – wstępnych i nieoficjalnych, odbytych w mieszkaniach podejrzanych – przesłuchań wszyscy członkowie ich rodzin, matka i ojciec Adamczyka, ojciec i starsze rodzeństwo Kochańskiego, rodzice Czerwonki, młodsza siostra Wypijewskiego (matka od lat nie żyła, a ojca nie było w domu), w zadziwiająco zgodny sposób, jak mantrę powtarzali, że nie wiedzą, gdzie chłopcy przebywają i co się z nimi od ponad tygodnia dzieje. W związku z tym sierżant Boczek wystawił wszystkim wezwania na komendę i zostawiwszy za sobą rozbebeszone mieszkania, wrócił do Pałacu Mostowskich.

Pierwszy dzień wielogodzinnych przesłuchań, w trakcie których trudne pytania stawiano rodzinom Wypijewskiego i Czerwonki, nie przyniósł nic nowego. Śmiarowski nie potrafił nawet z całą pewnością stwierdzić, czy maglowani na wszystkie sposoby ludzie coś kręcą, czy może jednak rzeczywiście nic nie wiedzą i mówią prawdę. Na wszelki wypadek wydał decyzję o przymknięciu na czterdzieści osiem godzin osiemnastoletniej siostry Wypijewskiego i ojca Czerwonki, właściciela podejrzanego trabanta. Tym gestem chciał pokazać całemu towarzystwu, że żarty naprawdę się skończyły i lepiej będzie rozpocząć z organami ścigania rzetelną współpracę, niż uparcie tkwić w zaciętym milczeniu. Drugiego dnia planował powrócić do przesłuchiwania zatrzymanych oraz przepytac Adamczykową i w razie potrzeby też ją przymknąć. I kiedy wydawało się już, że i ten dzień nie przyniesie żadnych rewelacji, na komendzie sam, z własnej woli, pojawił się – wzywany dopiero na następne popołudnie – ojciec Kochańskiego, Dionizy. Zeznał, że tego samego dnia, rano, odwiedził go mieszkający na stałe w Zakopanem brat byłej żony i poinformował, że cała czwórka zbiegów była u

niego, pod Giewontem, drugiego grudnia i zamierzała uciekać przez zieloną granicę na Zachód. Chociaż daty nie zgadzały się (porucznik zrzucił to na karb nieudolnego usiłowania ochrony synalka), to kierunek wydawał się właściwy; gówniarze domyślają się, że milicja depcze im już po piętach, i pryskają za granicę, wcześniej upychając gdzieś towar. Na wszelki wypadek Śmiarowski nakazał zamknąć Dionizego Kochańskiego i wysłał telefonogram do Zakopanego z prośbą o pilne przesłuchanie Antoniego Moczydły i jego żony, co zakopiański posterunek z ochotą wykonał, a ponieważ zeznania wujka podejrzanego nie wniosły nic nowego do sprawy, Antoniego również zatrzymano na czterdzieści osiem godzin do dyspozycji organów ścigania.

Następnie zaczęli wspólnie z Boczkim weryfikować alibi podejrzanych na czas, kiedy miały miejsce poprzednie włamania, i tu ponownie – jak to mówią w amerykańskich filmach – bingo. Jedynie Andrzej Kochański, spędzający ostatnie pół roku w jednostce wojskowej, wykluczony został z udziału w tamtych skokach, pozostałą trójkę niebieskich ptaków kryły wyłącznie rodziny i o żadnym bezspornym alibi nie mogło być mowy.

Tak, śledztwo posuwało się rażno do przodu, a jedynym zmartwieniem porucznika była szorstka i wyboista współpraca z wrogiem mu od dawna prokuratorem, który nie podzielał entuzjazmu, z jakim milicja uchwyciła się wątku powiślańskiej szajki. Szczególnie niepokojący był jego opór w wydawaniu zgody na zastosowanie środków represji, przystawał na nie w końcu, ale robił to z długim ociąganiem i wyraźną niechęcią, a aby wydębić nakazy aresztowania (ile razy w końcu można było stosować środek zapobiegawczy w postaci zatrzymania na cztery osiem), potrzebna była nawet osobista interwencja majora Gryzia.

Natomiast stosunki z majorem układały się wręcz idealnie; oficerowie niemal codziennie odbywali w idyllicznej atmosferze pełne nowych pomysłów narady, na których wspólnie ustalali taktykę dalszych działań, rozdzielali zadania, razem szukali sposobów na skruszenie opornych świadków. Śmiarowski czuł pełne poparcie ze strony Gryzia, a to z kolei dawało mu wielki komfort w podejmowaniu trudnych czasami decyzji.

Sukcesy śledztwa – umiarkowane na razie, ale głośnie już w komendzie – przyciągnęły uwagę wyższych rangą oficerów, stąd dzisiejsza wizyta na naradzie samego pułkownika Pawłowskiego, na którego rzadkie, lecz celne pytania odpowiadał osobiście Śmiarowski. Wyjaśnienia udzielane przez porucznika wyraźnie zadowalały wysoko postawioną osobistość. I kiedy

wydawało się, że już wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, pułkownik zapytał:

– Tak, poruczniku, wszystko to pięknie wygląda, ale pozostaje jeden, za to bardzo istotny szczegół: jak zamierzacie tych nieuchwytnych do tej pory przestępców schwytać? Rozesłaliście już listy gończe?

– Jeszcze nie, towarzyszu pułkowniku, wysłaliśmy za to telefonogramy do wszystkich placówek granicznych, ze szczególnym uwzględnieniem tych na południu kraju, bo, jak już referowałem wcześniej, zachodzi poważne podejrzenie, że złodzieje uciekli za granicę. Teraz czekamy na odpowiedzi. Jednak, moim zdaniem, nie ma obaw, wcześniej czy później ich złapiemy.

– Kiedy słucham tego wszystkiego, wydaje mi się, że lepiej dla nas tu wszystkich byłoby, gdybyście jednak ich... nie złapali – powiedział tajemniczo Pawłowski, ściągając z nosa okulary.

– Jak to? – Porucznik postawił oczy w ślup.

– Nieważne – odpowiedział pułkownik, machając wymijająco ręką. – Wyśmienita robota, poruczniku. Działajcie dalej.

To zaskakujące zdanie wypowiedziane przez wysokiego przełożonego w dalszym ciągu dręczyło porucznika. „Co on, do cholery, miał na myśli?”, zastanawiał się, otwierając drzwi do swojego gabinetu. Boczek zerwał się na równe nogi.

– A, to wy, Boczek.

– Tak jest, obywatelu poruczniku. Dostaliśmy...

– Zaczekajcie – przerwał mu Śmiarowski, siadając przy biurku. – Zanim wyjaśnicie, z czym do mnie przychodzicie, powiedzcie najpierw, Boczek, czy oglądaliście wczorajszą transmisję w telewizji?

– Nie, obywatelu poruczniku.

– To bardzo niedobrze, Boczek. To wielki błąd – *balszaja aszybka*, jak mawiają nasi wschodni *druzja*.

– Bo ja, obywatelu poruczniku, to telewizora jeszcze nie posiadam.

– Ech, Boczek, ofermo. Taki telewizor to jest współczesne okno na świat. Że tak powiem, nośnik cywilizacji, probierz technicznego rozwoju społeczeństwa. Dzięki takiej telewizji możecie sięgać dalej, Boczek, zobaczyć rzeczy, o jakich w tej waszej rudej łepetynie nawet się nie śniło. Wczoraj po raz pierwszy w telewizji pokazano transmisję z kosmosu,

możliśmy oglądać obraz naszej matki Ziemi. Dziedzina, której izraelicki, katolicki, indiański czy jaki tam jeszcze bóg tak zazdrośnie dotąd strzegł, stała się dostępna dla całej ludzkości. Dla każdego, nawet dla was, Boczek. Wyobrażacie sobie: mieć przed oczami widziany z kosmosu obraz naszej planety. Jak tak dalej pójdzie, niebawem człowiek po Księżycu będzie spacerował. Amerykańcy tym swoim Apollem już tam szperają, a ruscy też pewnie nie są daleko w tyle, tylko że oni to wszystko bardziej w tajemnicy trzymają. Dante coś tam pierdolił o kręgach niebieskich, a my mu, towarzyszu sierżancie, zagramy na nosie i bez przenoszenia się na tamten świat przechadzki po Srebrnym Globie, a potem i innych planetach, będziemy sobie urządzać. Wspomnicie, Boczek, moje słowa. Radzę, zapamiętajcie sobie wczorajszą datę, dwudziesty trzeci grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego.

– Obawiam się, obywatelu poruczniku, że my obaj raczej zapamiętamy dzisiejszą, i to z zupełnie innych powodów – wyrzucił z siebie sierżant, zdobywając się wreszcie na odwagę.

– O, to ciekawe. Cały zamieniam się w słuch.

– Dzisiaj rano dostaliśmy te kopie dokumentów z jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza w Nowym Targu.

Położył przed Śmiarowskim grubą teczkę z aktami, którą porucznik otworzył z zaciekawieniem, spróbował odczytać pierwszy dokument, ale niewiele rozumiejąc, spojrzał pytająco na Boczka.

– Co wy mi tu...

– Bo to po czzechosłowacku, obywatelu poruczniku.

– Po czzechosłowacku, mówicie. Uff, to dobrze, że nie po wielkobrytyjsku! Bo widzicie, Boczek, taki na ten przykład wielkobrytyjski to za chuja do naszego nie jest podobny, a czzechosłowacki może trochę. Spróbujmy odcyfrować, o co tu biega. – Ponownie pochylił się nad papierami.

– Ja już rozmawiałem z tymi wopistami, obywatelu poruczniku – wtrącił sierżant. – Wszystko wskazuje na to, że potwierdza się wersja tego kolejarza z Zakopanego.

– Co wy mi tu pierdolicie, Boczek. Przecież wiecie, że to niemożliwe.

– Niemożliwe, ale jednak możliwe. Tak było. Czechosłowacy przeprowadzili śledztwo, z którego wynika, że oni przekroczyli granicę w

nocy z drugiego na trzeciego grudnia.

– Nie chcę nawet tego, kurwa twoja mać, słuchać, skurwysynie! – Porucznik zerwał się od biurka, wywracając krzesło, doskoczył do sierżanta i złapał go za klapy munduru. – Słyszysz, Boczek, nawet mi tego nie mów! – wrzeszczał, potrząsając podwładnym. Po chwili uspokoił się i starał ułożyć galopujące myśli.

– Przepraszam was, Boczek, ale czy wiecie, co to może oznaczać?

– No, że to nie oni...

– To by była ka-ta-stro-fa! Dzwonście prędko do tych wojaków, niech przysyłają tu tę gówniarzerię jak najszybciej. Jak ich, kurwa, wezmę w obroty, to zaraz mi się do wszystkiego przyznają i przypominają sobie właściwe daty!

Boczek spuścił wzrok i jakby zawstydzony odpowiedział porucznikowi:

– Już do nich dzwoniłem...

– I co? Jadą?

– Nic z tego. Ten kapitan, który prowadzi sprawę, powiedział, żebyśmy „przestali im się wpierdalać”, tak powiedział, i dodał jeszcze, że to jest ich sprawa, w gestii wojskowej, i nam nic do tego. A skoro daty się nie zgadzają, to tamta banda nie jest tą, której szukamy. A na koniec powiedział, żebym mu więcej „dupy nie zawracał i zajął się łapaniem prawdziwych przestępców”.

– O Boże, Boczek! O Matko Święta, wjebaliśmy się w bagno i już z niego nie wyleziemy!

Sierżant zamarł, pierwszy raz, odkąd pracował z porucznikiem, przywoływał on imię boskie, sytuacja rzeczywiście musiała być dramatyczna.

– Kogo my tam jeszcze w tej sprawie na dołku trzymamy? – zapytał Śmiarowski cichym, złamanym głosem.

– Siedzi ojciec Kochańskiego, Adamczykowa i jeszcze ten kolejarz w Zakopanem.

– Zwolnić wszystkich i to jak najszybciej.

– A samochód?

– Jaki znowu samochód?

– No, ten trabant Czerwonki, stoi na naszym milicyjnym parkingu.

– Oddać. Natychmiast. I posłuchajcie, Boczek, uważnie. Dla waszej

przyszłej kariery radzę wam: nigdy, nikomu, pod żadnym pozorem nie przyznawajcie się, że maczaliście palce w tej sprawie. Dla waszego dobra zapomnijcie o niej jak najszybciej.

– Ale, panie poruczniku...

– Milczeć i odmaszerować, Boczek, to rozkaz.

Kiedy drzwi za sierżantem się zamknęły, porucznik sięgnął do bocznej szuflady biurka, wyciągnął butelkę żytniej i przytknął ją do ust; pił długo, a kiedy skończył, opadł czołem na przyniesione przez Boczka dokumenty.

W sali posiedzeń nowotarskiego sądu w ławkach przeznaczonych dla publiczności siedziało zaledwie kilka osób, wszystkie z zatroskanymi minami czekały na powrót składu orzekającego z narady, na którą sędziowie udali się pół godziny temu. Podczas procesu, a także wcześniej w trakcie śledztwa, ani oskarżeni, ani ich rodziny nie przypuszczali nawet, że stali się przedmiotem wielkiego sporu pomiędzy służbami mundurowymi. Zaalarmowany przez Śmiarowskiego major Gryź użył wszelkich dostępnych środków nacisku na WOP w celu przejścia aresztantów, na próżno, nie pomogła nawet dyskretna interwencja pułkownika Pawłowskiego, wojsko za nic nie chciało oddać swojej zdobyczy. Milicjanci w akcie desperacji uknuli nawet intrygę i próbowali namówić pograniczników do wysłania zbiegów z powrotem w cholerę za granicę, na Zachód, w końcu w ciągu ostatnich miesięcy setki, o ile nie tysiące, zostały wypchnięte z kraju z biletem w jedną stronę, czterech „nadprogramowych” nie zrobiłoby różnicy! (Liczyli, że być może prawdziwi trabanciarze nie uderzą już więcej, a jeśli nawet, to można by potraktować to jako atak nowej szajki, stosującej jedynie podobny modus operandi). Ale i to na próżno. Wojsko uparło się doprowadzić sprawę do końca i właśnie za moment ten koniec miał nastąpić.

Oskarżeni siedzieli z opuszczonymi głowami. Czy żałowali czegokolwiek? Każdy na swój sposób, każdy czego innego i... nie wszyscy. Najbardziej rozczarowany był oczywiście Kochan, w końcu byli już tak blisko. Może gdyby zlustrowali granicę wcześniej, w ciągu dnia, wdrapując się na jeden z budowanych w Petrzalce wieżowców, dostrzegliby, że w nocy będą mieli do pokonania aż trzy linie zasieków, a mając taką informację, zabraliby ze sobą nie dwie, a trzy deski, i dzisiaj byczyliby się we Francji. Może też powinni rozdzielić się w ostatnim momencie, komu zależało najbardziej na ucieczce, powinien próbować się schować, pozostali w tym czasie odciągaliby uwagę pograniczników, ale czy wtedy mogliby nazywać siebie przyjaciółmi? Szczota czuł wstyd. Przede wszystkim przed siostrą, której nic nie powiedział

o ucieczce i którą naraził na milicyjne szykany, ale też przed ojcem – żałował, że przez jego bezmyślność tata stracił pracę. Gdyby chociaż ucieczka się powiodła, mógłby wtedy próbować siostrę ściągnąć do siebie, a ojca wspomagać zarobionymi frankami, a tak, zamiast być bohaterem, siedział na ławie oskarżonych i nie potrafił spojrzeć w smutne oczy bliskich, trzymających za niego kciuki w ławkach dla widzów. Maniek najbardziej ze wszystkich obawiał się wyroku, stracił nawet swój dobry humor i z niepokojem oczekiwał powrotu sędziów. Żałował, że dał się namówić na tę szaloną wyprawę, żałował, że skoro już poszedł, prawie całą drogę przechorował, żałował, że jako pierwszy skrewił na granicy i poddał się żołnierzom, żałował wreszcie, że przez niego matka spędziła kilka dni w areszcie, co później poważnie odchorowała (dzisiaj nawet nie było jej w sali sądowej). Najmniej powodów do zmartwień miał tak sarkający przez całą drogę Sisy; w końcu przeżył przygodę, którą przez długie lata będzie mógł się chwalić, na Zachód się wprawdzie nie dostał, ale tego wcale tak bardzo nie pragnął, a przecież nie dopuścił się aż tak ciężkiego przestępstwa, żeby miał Bóg wie jak długo gnić w mamrze. Dla Sysego cała ta historia była przeżyciem, którego jak do tej pory ani przez chwilę nie żałował, i gdyby miał się decydować raz jeszcze, znając jej koniec, to długo by się nie wahał.

Niewielkie drewniane drzwi otworzyły się cicho i do sali powrócili ubrani w czarne togi sędziowie, usiedli za tomami akt, po czym przewodniczący, z grubym łańcuchem i godłem na szyi, zwrócił się w stronę chłopców:

– Oskarżeni, proszę wstać, zostanie odczytany wyrok.

Podnieśli się wolno, stanęli z opuszczonymi głowami i wpatrywali się w czubki butów. W sali donośnie zabrzmiały karcące słowa socjalistycznej sprawiedliwości.

– Wyrok wydany w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Sąd Powiatowy w Nowym Targu, w składzie..., po rozpatrzeniu w dniu jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, na posiedzeniu jawnym, sprawy z oskarżenia publicznego przeciwko Marianowi Adamczykowi, synowi Eugeniusza i Czesławy z domu Kilińskiej; Bogusławowi Czerwonce, synowi Ludwika i Anny z domu Stec; Andrzejowi Kochańskiemu, synowi Dionizego i Marianny z domu Moczydło oraz Waldemarowi Wypijewskiemu, synowi Stanisława i Anny z domu Borek, oskarżonym o to, że działając razem i w porozumieniu w okolicy wsi

Chochółów bez posiadania stosownych zezwoleń przekroczyli świadomie granicę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i wniknęli na teren Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, to jest o czyn wypełniający znamiona artykułu trzydziestego paragraf pierwszy Dekretu z dnia dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku o ochronie granic państwowych, uznaje oskarżonych winnymi zarzucanych im czynów i na mocy artykułu trzydziestego paragraf dwa wyżej wymienionego Dekretu wymierza kary po jednym roku pozbawienia wolności. Jednocześnie oskarżonym Czerwonce, Kochańskiemu i Wypijewskiemu sąd postanowił zawiesić wykonanie orzeczonej kary na trzyletni okres próby. Wobec oskarżonego Adamczyka, z uwagi na kryminalną przeszłość podsądnego, sąd postanowił takiego środka łagodzącego nie zastosować, zaliczyć natomiast na poczet wykonywanej kary okres przebywania oskarżonego w areszcie śledczym. Dziękuję, oskarżeni mogą usiąść, sąd przedstawi teraz uzasadnienie wyroku...

Część II
POCIĄGI

Na sieczoną strugami zimnego październikowego deszczu płytę lotniska na Okęciu wjechał z animuszem wojskowy gazik i rozpryskując kałuże, pomknął w stronę miejsca wyznaczonego do zatrzymywania samolotów, gdzie w oczekiwaniu na krążącą w powietrzu maszynę stały już metalowe schodki. Gazik zaparkował obok, a dwóch siedzących wewnątrz wopistów zapaliło papierosy i przez zamazaną deszczem szybę, zadzierając głowy w górę, próbowało obserwować wysiłki, jakie podejmował targany podmuchami porywistego wiatru iljuszyn, który od kilkunastu minut usiłował sięść na mokrym pasie. Twarze żołnierzy zastygły w napięciu, na dopalających się w nieruchomych dłoniach papierosach przyrastał słupek popiołu, tymczasem pilot już po raz trzeci ustawiał do lądowania maszynę, tańczącą w powietrzu jak narowisty koń; skrzydła samolotu kołysały się w górę i w dół, dziób podrywał się co chwila, maszyna leciała przekrzywiona, bokiem, niczym scentrowany rower, ale jednak systematycznie obniżała pułap i wreszcie dotknęła stęsknionymi kołami pasa, wzbijając za sobą pióropusze wody. Śmigła silników zawyły, prawe koło – a wraz z nim cała prawa część samolotu – odbiło się od betonu, wystrzeliło na moment w górę i ponownie opadło na pas, pilot z trudem stabilizował pozycję iła i powoli, stopniowo wytracał prędkość. Siedzący w gaziku żołnierze poczuli ulgę, a jednocześnie coś w rodzaju zawodu, bo w końcu być świadkiem – i to z tak bliska – katastrofy, to byłaby dopiero gratka, teraz przyjdzie wrócić do nudnych żołnierskich obowiązków, chociaż dzisiaj i tak czekało ich odstępstwo od codziennej rutyny, bo za chwilę mieli przejąć dwóch przewożonych lotem z Budapesztu aresztantów.

Biało-niebieski samolot z emblematem żurawia na ogonie niespiesznie kołował na wyznaczone miejsce, silniki zgasły, śmigła przestały wirować, pomost zbliżył się do przednich drzwi maszyny, a plutonowy Koszał oraz towarzyszący mu szeregowy, stawiając kołnierze kurtek, kulili się na deszczu obok wojskowego samochodu i czekali, aż pasażerowie opuszczą maszynę,

wsiadą do podjeżdżającego właśnie lotniskowego autobusu i udadzą się w kierunku budynku odpraw paszportowo-celnych. Procedury były jasne; aresztantów można było przejść dopiero w opustoszałym samolocie, ponieważ zdarzało się, że podróżni nie słuchali wezwań o pozostanie dłużej na miejscach, wywołując zamieszanie i dając w ten sposób przewożonym w eskorcie więźniom szansę na ucieczkę. Nikt wprawdzie w ten sposób jeszcze nie przysnął, ale wiadomo – ryzyko należało zminimalizować.

– Słuchaj – zwrócił się szeregowy do plutonowego – a to jacyś poważni przestępcy?

– Zdaje się, że nie. Gówniarze, którzy próbowali uciekać, zdaje się, na Zachód.

– Samolotem?

– Nie, zdaje się, że pociągiem, ale nie jestem pewien. Mamy ich wstępnie przesłuchać, zatrzymać na noc, a rano odesłać dalej, zdaje się, na południe.

– Szkoda – ziewnął szeregowy, któremu odkąd tylko dostał przydział do Wojsk Ochrony Pogranicza na warszawskim Okęciu, marzyła się jakaś szeroko zakrojona akcja przeciwko zarośniętym, posługującym się zakrzywionymi nożami groźnym przemytnikom, ewentualnie handlarzom żywym towarem lub terrorystom zagrażającym bezpieczeństwu państwa, tymczasem nie działo się nic takiego, co dawało choćby namiastkę tych wyczekiwanych emocji; codzienna kontrola dokumentów, od czasu do czasu – bardziej dla sportu niż z rzeczywistego podejrzenia o fałszerstwo – zatrzymanie kogoś na dłużej w celu wyjaśnienia wątpliwości co do oryginalności paszportu. I tyle. Nuda. Już ciekawszą robotę mieli celnicy, którzy mogli wyciągać frajerów na kontrole osobiste i trochę sobie z nimi potańcować, a jak trafiła się atrakcyjna babka... wprawdzie rozbierać musiała się jedynie przy kobietach, ale – umówmy się – drzwi pomieszczeń, w których odbywał się taki striptiz, nie grzeszyły szczelnością. W szparach i dziurach niejedno można było dostrzec.

Pasażerowie gęsiego opuszczali samolot i zapełniali wnętrza podstawionego autobusu w milczeniu, bladzi, wspominający wciąż paraliżujący strach, dławiący ich gardła jeszcze kilka minut temu. „He, he, ciekawe, ilu narobiło w gacie przy tym lądowaniu. Odechce się jednemu z drugim po świcie wałęsać”, pomyślał z satysfakcją plutonowy i spojrzał na szeregowego, w którego oczach dojrzał tę samą nutę zawistnego

zadowolenia. Wreszcie za ostatnim podróżnym zamknęły się z sykiem drzwi pojazdu, a stewardesa, wychylając się z samolotu i przytrzymując na wietrze lewą ręką granatowy toczek, spod którego wyrwały się niesforne blond kosmyki, prawą przywołała żołnierzy do środka. Wbiegli po trapie, pokonując po dwa schodki na raz. Wewnątrz, na końcu długiego szeregu pustych rzędów foteli, siedzieli, zerkając na wopistów spode łba, spięci w parę kajdankami Kochan i Sysy, pilnowani przez znudzonego, grzebiącego w zębach wykałaczką tajniaka.

– No nareszcie – powiedział, ziewając, funkcjonariusz i rzucił wykałaczkę na wykładzinę. – Młodzieży, gasić papieroski. Koniec wycieczki. Zbieramy się. – Po czym, biorąc w garść gabardynowy płaszcz, zwrócił się do żołnierzy: – Samochód macie?

– Tak jest – odpowiedział plutonowy.

– Znakomicie. Porucznik Gęsicki – przedstawił się tajniak, wyciągając w stronę Koszała rękę. – Podwieziecie mnie na Puławską, a potem zabierzecie tych ancymonków do siebie. Instrukcje dostaliście?

– Zdaje się, że tak.

– Zdaje się, czy dostaliście?

– Dostaliśmy, obywatelu poruczniku – poprawił się plutonowy.

– Dobra. Rozkujemy ich w samochodzie i wtedy dam wam teczkę z dokumentami – powiedział Gęsicki, popychając Kochana w stronę wyjścia.

– Tylko że nam zdaje się nie wolno wyjechać z nimi poza teren lotniska, obywatelu poruczniku – powiedział niepewnie plutonowy, kiedy zajęli już miejsca w samochodzie.

– A co wy, kurwa, myślicie, że ja w takie wypizdowo będę autobusem zaiwaniał? Mowy nie ma! – zdenerwował się as kontrwywiadu. – Nic się nie martwcie, wszystko biorę na siebie – dodał już łagodniej. – Odpalaj tego gruchota – zwrócił się do szeregowego, po czym zgromił wzrokiem podśmiewającego się Sysego, by na końcu puścić do niego z uśmiechem oko. Silnik gazika zawarczał i samochód popędził na przełaj przez płytę lotniska w stronę bramy.

Pół godziny później byli z powrotem na lotnisku, gdzie wopiści zdjęli przemoczone kurtki, otrzepali je i powiesili na wieszaku przy drzwiach. Plutonowy podsunął dwa metalowe taborety w stronę biurka, sam siadł po

przeciwległej stronie na wygodnym krześle z poręczami, rzucił teczkę na blat i wskazał na stołki.

– Siadać! – próbował bezskutecznie nadać swojemu głosowi ostry ton.

Kochan i Ssys zajęli miejsca, a pogranicznik zapalił lampkę, którą starał się obrócić w stronę chłopców – w ten podpatrzony na filmach sposób pragnął przydać powagi przesłuchaniu, które miał zamiar przeprowadzić – jednak niesforny metalowy przedmiot uparcie odmawiał współpracy, giął się i wciąż opadał powoli na blat biurka, niczym osadzona na długiej giętkiej szyi głowa rannej żyrafy.

– Ożeż ty... – plutonowy w ostatniej chwili połknął przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. – Co się tak gapisz? – zwrócił się do kolegi, nie przestając majstrować przy niepoddającej się lampce. – Stań... To znaczy, szeregowy, ustawcie się przy drzwiach i nie spuszczaście oka z aresztantów.

Wreszcie wykręcona o trzysta sześćdziesiąt stopni szyja lampki zeszywniała i plutonowy zwrócił ją w stronę chłopców, przez chwilę wahał się, na którego z mrużących oczy zatrzymanych skierować snop światła, macał reflektorem jednego, to znowu drugiego, w końcu zdecydował się na Sysego, otworzył na chybił trafił teczkę z aktami i z satysfakcją patrzył na chłopców, przeczesując palcami blond jeża.

– Ha, zdaje się, że w niezłe szambo się wpakowaliście – zawołał i podkreślając swoje ostre słowa, uderzył otwartą dłonią w blat stołu. Lampka ponownie powoli pochyliła zemdloną główkę, a plutonowy rzucił się do reanimacji. Ssys uniósł się lekko na taborecie i wyjął plutonowemu metalowy przedmiot z rąk, przesunął na brzeg biurka, popatrzył na żołnierza i spytał:

– Czyżby?

– A nie? – Wopista tracił resztki pewności siebie, której, prawdę mówiąc, od początku nie posiadał zbyt wiele. – Nielegalne...

– Posłuchaj – kontynuował Ssys, siadając z powrotem na stołku – co nas może spotkać? Chyba nie pluton egzekucyjny, panie plutonowy. Posiedzimy chwilę w mamrze i to wszystko. Ja już tam byłem i powiem ci, że to nic strasznego. Ale wszystko, co przeżyliśmy, to nasze. I trochę świata widzieliśmy, a ty? Lecieliśmy samolotem. Leciałeś kiedyś? Codziennie tylko się na nie gapisz, ale nie leciałeś, a my tak!

Plutonowemu podobał się ten hardo spod blond grzywki patrzący mu w oczy, młodszy raptem może o dwa, najwyżej trzy lata, chłopak i najgorsze, że

mówił w zasadzie to, o czym jeszcze niedawno wopista sam pomyślał, bo Koszał – podobnie jak szeregowy – dość miał tego nudnego lotniskowego życia; codzienne obserwowanie podróżnych udających się do tych nieznanych mu krajów i wracających, opalonych, uśmiechniętych, jakichś takich innych niż ten siermiężny tłum, z którym stykał się każdego dnia na warszawskich ulicach, budziło w plutonowym tęsknotę za innym, weselszym yciem, jakie tętniło na drugim końcu smugi kreślonej przez samoloty na niebie, a jakiego pewnie w tym wcieleniu już nie zazna. Dlatego z zazdrosnym podziwem spoglądał teraz na siedzących po drugiej stronie biurka chłopców. Przez chwilę wahał się, czy nie lepiej byłoby rozwiać te przykre myśli kilkoma machnięciami przygotowanej na tę okoliczność pałki spoczywającej na parapecie okna, ale sympatia do patrzącego mu prosto w oczy Sysego wzięła górę i postanowił tym razem oszczędzić młode grzbiety przesłuchiwanym, czym wywołał niezadowolony pomruk patrzącego z dezaprobatą na całą sytuację szeregowego.

– W porządku. Mógłbym tu sobie, zdaje się, z wami potaćcować, maglować was całą noc i przekonać, że jednak pływacie w szambie, z którego, zdaje się, wyjścia nie macie, ale mi się nie chce. Powiem wam więc, co was czeka. Dzisiejszą noc spędzicie u nas na dołku, będziecie mieli, zdaje się, okazję jeszcze raz sobie przemyśleć swoją sytuację. A jutro, konwojem, zostanieie przetransportowani do, zdaje się... zdaje się, do... – zaczął szperać nerwowo w aktach – a właśnie, zdaje się, do Zebrzydowic.

– Super – odpowiedział Ssysy teatralnym szeptem. – A ty zostaniesz tutaj i co? Dalej będziesz się w cudze paszporty gapił całymi dniami.

Jasnobłękitne oczy plutonowego zwięziły się groźnie, a Ssysy pomyślał, że tym razem być może przesadził, ale nie stchórzył i wciąż patrzył krnąbrnie na Koszała. Chwilę mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie pogranicznik wybuchnął śmiechem.

– Ha, to dobre. Starczy tych wygłupów. Zabierz ich – zwrócił się do stojącego z rozdziawioną gębą szeregowego – to znaczy zabierzcie... a zresztą wszystko jedno... odprowadź ich do celi i niech im dadzą coś do jedzenia.

Milczący przez cały czas Kochan, jakby budząc się ze snu, wolno wstał z krzesła i popychany przez zachwyconego sobą Sysego ruszył za szeregowym w jasno oświetlony korytarz. Kiedy trzasnęły drzwi, plutonowy odchylił się na krześle, amerykańskim zwyczajem oparł ciężkie wojskowe bucioro o blat

biurka i po raz nie wiadomo już który zaczął się zastanawiać, czy wybierając po zakończeniu zasadniczej służby wojskowej karierę zawodowego żołnierza w WOP-ie, stanął tak naprawdę po właściwej stronie barykady?

Tymczasem za Kochanem i Sysym z głuchym łoskotem zamknęły się drzwi niewielkiej lotniskowej celi, szcęknął zamek, stuknął skobel, chłopcy siedli naprzeciwko siebie na twardych pryczach przykrytych szorstkimi, szarymi kocami.

– Andrzej, przestań się w końcu zamartwiać. – Sysy wychylił się i położył rękę na ramieniu przyjaciela. – Posiedzimy najwyżej rok, a potem wszystko będzie po staremu.

Kochan spojrzał na Sysego z mieszaniną złości i politowania. Przed oczami stanął mu obraz wiszący na ścianach Luwru. Nie miał wątpliwości, że Sysy nic by z niego nie zrozumiał, nie pozwoliłby nigdzie porwać się dziewczynie, takie pierdoły dla Bogusia się nie liczyły, on zauważyłby na płótnie najwyżej gołe cycki, i nic więcej.

– Czyżby? – szydził wściekły Kochan. – Nie denerwuj mnie, Sysy. Ty nic nie rozumiesz! Łatwo jest ci mówić, bo ty tam nie byłeś, nie wiesz, jak to jest. Znasz tylko to polskie piekielko. Tu masz wszystko, co ci bliskie, a ja tam miałem plany, z Francją wiązałem swoją przyszłość, tam chciałem żyć, nie tutaj. A teraz pewnie nie wydestanę się z tego zasrajewa do końca życia. Tobie odpowiada babranie się w tym syfie, życie w tym grajdole. Ja chciałem czegoś innego, chciałem być kimś, a tu będę już tylko kryminalistą z numerem na plecach, któremu nie przysługuje paszport, lepsza praca, dla którego nie będzie żadnych perspektyw.

– To może trzeba było o tym wcześniej pomyśleć?

– Przecież wiem, ale tym razem plan wydawał się doskonały. Gdyby nie te buble, mogło się udać...

Przeciskali się we czterech, prowadzeni przez Mańka wąskimi ciemnymi korytarzami, potrącając co chwila uśpionych monotonnym kołysaniem pociągu, siedzących na walizkach podróżnych, którzy wytrąceni ze snu ścigali chłopców mamrotanymi pod nosem przekleństwami. W stojącym zatechłym powietrzu (na zewnątrz padał zimny jesienny deszcz i nikt nawet nie próbował otwierać okien) zapach wilgotnych, nieświeżych ubrań mieszał się z ostrą wonią potu i papierosowego dymu. Nieliczni szczęśliwcy, którym

udało się zająć miejsca w przedziałach, tarasowali przeszklone drzwi i zazdrośnie chroniąc swój fart, szczelnie zaciągali zasłony. Życie towarzyskie kwitło jedynie obok cuchnących moczem kibli, tu amatorzy mocniejszych trunków częstowali się nawzajem wniesionymi do pociągu specjałami polskiego monopolu spirytusowego; cmokając i mrużąc z zadowoleniem oczy, kosztowali słodkawe krupniki, miódówki i – szydzącą smakiem ze swojej nazwy – żołądkową gorzką, raczyli się wytwornym winiakiem klubowym, przeżykali z lubością swojską żytnią, wdychali orientalny aromat gruzińskich koniaków, delektowali się cytrynowką, wymieniali zalety domowego bimberku, a prawdziwi koneserzy-sportowcy wlewali do gardeł przesączoną przez chleb „jagodziankę na kościach” [2](#). Kolejne wychylone toasty zagryzane kiszonym ogóreczkiem, słoninką, smalczykiem czy po prostu zwykłym razowym chlebkiem z chrupiącą ciemną skórką przepalano sportami, klubowymi, giewontami z filtrem lub bez, grunwaldami, aromatycznymi carmenami, lubianymi, choć kosztownymi caro, a damy rozsiewały wokół siebie miętową woń zefirów. Z przodu i z tyłu każdego wagonu atmosfera była wesoła, rozmowy toczyły się wartko, zawierano tu nowe znajomości, może nawet zaczynało kiełkować niejedno uczucie (w tym demokratycznym towarzystwie przewijały się również nieliczne wprawdzie, ale tym bardziej głośnie i rej wodzące kobiety), a rzadkie kłótnie i mordobicia jedynie podkreślały ten swojski radosny klimat.

Przeciskający się z wagonu do wagonu chłopcy wielokrotnie zapraszani byli do wzięcia udziału w zachęcająco wyglądających libacjach, jednak mimo tęsknych spojrzeń Sysego idący na czele krótkiego pochodu Maniek nie zwalniał kroku i ponaglał do dalszego marszu. Pokonali kolejny łącznik, minęli następną wesołą kompanię, weszli w korytarz i w końcu Maniek przystanął przed zasuniętymi drzwiami, na których przyklejona była prostokątna karteczka: „przedział zarezerwowany”.

– No i co? – spytał podirytowany Sisy.

– No i to – odpowiedział Maniek, podciągając do góry kurtkę i sweter; za paskiem spodni srebrzył się jakiś metalowy podłużny i zakrzywiony przedmiot. – Co wy na to, co? – dodał, wyciągając kolejarski klucz do otwierania przedziałów z trójkątną nasadką. Pomajstrował przy zamku i po chwili drzwi powoli i bezszelestnie przesunęły się na bok. Siedzący na okazałym czemadanie [3](#) pasażer podniósł głowę i mrużąc zaspane oczy, przyglądał się chłopcom, którzy na palcach, jeden za drugim, wślizgiwali się

do przedziału. Drzwi ponownie się zasunęły, podróżny patrzył na nie jeszcze przez jakiś czas, po czym wzruszył ramionami, oparł głowę o ścianę wagonu i ponownie zapadł w niespokojną drzemkę. Wewnątrz było pusto i cicho. Chłopcy umościli się na kanapach, a Sisy wyciągnął i postawił na stoliku dwie butelki wódki i flaszkę taniego owocowego wina.

– Co to właściwie za przedział jest? – dopytywał się Szczota.

– Jakaś rezerwa, dla posłów czy inszych szych. W każdym składzie jest co najmniej jeden taki – odpowiedział wesoło Maniek. – Jak jechaliśmy w poprzednią stronę, też go zauważyłem.

– To dlaczego do niego nie wsiedliśmy?

– Bo... nie miałem wtedy jeszcze klucza.

– Maniek, skąd ty właściwie ten klucz wytrzasnąłeś? – spytał Kochan. Nagle oparł głowę o zagłówek siedzenia, położył dłoń na czole i wzniosł oczy ku niebu. – Nie, nie wierzę. Zabrałeś wujkowi?

– Tak jakoś wyszło. Leżał, to wziąłem. Pomyślałem, że się przyda.

– Jezu, Maniek, czego cię w tym więźniu nauczyli? Ładne mi przeprosiny!

– Faktycznie, głupio wyszło, co?

Wujka Antoniego chcieli przeprosić od razu, zaraz po zwolnieniu z aresztu, ale jakoś się nie składało; nie było okazji, pieniędzy na bilety, brakło odwagi, poza tym czekali na Mańka, który skończył odsiadkę dopiero na początku października, pół roku po nich. Przez cały ten czas siedzieli cicho, bojąc się wychylić, dawali tylko pani Adamczykowej papierosy, aby dokładała je – od nich – do paczek, które zanosila podczas comiesięcznych odwiedzin synowi do więzienia. Nie rozrabiali, pili niewiele, często przesiadywali na ławce za Jutrzenką i wspominali. Andrzej wysłał do Zakopanego długi list, w którym opisał, co wydarzyło się podczas ucieczki, przeproszał wujka i wujenkę za wszystkie przykrości, jakie ich przez niego spotkały, i obiecywał pojawić się osobiście pod Giewontem, kiedy tylko ochłonie oraz stanie na nogi. W końcu, w jeden z tych ciepłych słonecznych październikowych dni, gdy cały park rozciągający się wokół ich kamienicy poraża narkotycznymi barwami, Maniek, zwolniony dwa miesiące przed terminem za dobre sprawowanie, przyszedł na ławkę za kinem, odkorkował butelkę alpagi, odlał odrobinę na ziemię na poźółkłe liście, mówiąc: „Za tych, co garują” i przytknął flaszkę do ust. Wypił niemal do dna, a następnie wyciągnął przed siebie trzymane za szyjkę wino, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu. Rzucili się na niego

we trzech i w uściskach obalili na zasypaną liśćmi zwiędłą trawę, butelka potoczyła się w stronę ławki. W końcu znów byli w komplecie, w końcu mogli zacząć wszystko jeszcze raz, od początku. Tarzali się przez chwilę, próbując pakować sobie nawzajem liście do ust. Tydzień później Kochan zakomunikował kolegom, że zamierza jechać do Zakopanego przeprosić wujostwo za wszystkie szykany, którym zostali przez ich głupotę poddani, a przyjaciele spytali, czy mogą zabrać się razem z nim. Wujek Antoni przyjął ich zrazu chłodno, próbował się boczyć, zdawkowo odpowiadał na pytania, ale nieprzeparowane uczucie do siostrzeńca szybko wzięło górę nad urazą i jeszcze pierwszego wieczora, siedząc w salonie i popijając wódeczkę (ciocia raczyła się wiśniówką), wujostwo z szeroko otwartymi oczami, kiwając od czasu do czasu z niedowierzaniem głowami, wysłuchali opowieści wstawionych już przyjaciół o ich przygodach w trakcie ucieczki. W Zakopanem zabawili trzy dni – zostaliby chętnie dłużej, czym ucieszyliby Antoniego, ale musieli zameldować się u kuratora sądowego w Warszawie – w ciągu dnia chodząc na spacerów w góry (w czym szczególnie zasmakował Szczota), a wieczorami prowadząc z wujkiem długie dysputy i słuchając jego barwnych opowieści o przedwojennym Lwowie. Teraz w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wracali do stolicy.

Wódka popijana owocowym winem szybko uderzała do głów i z każdym wypitym łykiem alkoholu w chłopcach rosła ochota na zabawę, jednak lęk przed natknięciem się na zabłąkanego konduktora sprawiał, że rozparci wygodnie na kanapach starali się nie wychylać z przedziału.

– Kochan, a co ty teraz masz zamiar w Polsce robić? – zainteresował się bełkotliwie Sisy.

– Nie wiem jeszcze. Pewnie to samo, co wy. Muszę za jakąś pracą się rozejrzeć. Tylko z siedmioma klasami podstawówki nie będzie łatwo.

– Coś ty, w tym kraju nie trzeba mieć uniwersytetów, żeby porządnie zarabiać.

– Nawet chyba jest na odwrót – wtrącił się Maniek. – To właśnie profesory biedę klepią.

– Otóż to, bo w Warszawie liczy się tylko Uliczny Uniwersytet Życia – zapalił się Sisy.

– I co po takiej uczelni można robić? Bić się, wino na ławce z menelami pić? – powątpiewał Kochan.

– I tu się mylisz. Jak obrotny jesteś, to możliwości masz naprawdę wiele. Możesz na przykład konikiem zostać. Tylko do nich niełatwo jest się wkręcić – roztaczał wizję Sysy, sięgając po butelkę.

– Kim?

– Oj, Kochan, ty to na filmy chyba tylko przez płot do Jutrzenki chodziłeś. Konikiem. Takim faciem, który bilety pod kinem sprzedaje. Ale też na inne imprezy, różne zawody sportowe, koncerty. Jak u nas dwa lata temu Stonsi w Kongresowej grali, to bilety u koni chyba dziesięciokrotne przebicie miały. Człowieku, ty wiesz, jakie na tym pieniądze można kosić? Przecież w tym mieście, jak coś ekstra się dzieje, to bilety na pół roku z góry są wykupione. Tu ludzie do kultury się garną, a oferta ubożuchna. A tak na co dzień pozostaje handelek pod kinem. – Sysy pociągnął spory łyk wódki.

– Rzeczywiście, piękna kariera. Jakies inne propozycje? – zapytał z przekąsem Kochan, odbierając od Sysego butelkę.

– Pewnie. Powiedzmy cinkciarz.

– Taki, co walutą handluje?

– Dokładnie.

– A owszem, podoba mi się, praca na świeżym powietrzu, z dreszczykiem emocji – szydził Andrzej.

– Za to jakie pieniądze! Czego się czepiasz? – bronił się Sysy. – Można też na Różyku [4](#) pohandlować. Mówię ci, opcji jest mnóstwo.

– A ja to bym chciał na taksie jeździć – wtrącił się Maniek. – Tylko być takim, wiecie, prywaciarzem, a nie w państwowym zakładzie. Cały dzień za kółkiem, jest z kim pogadać, zajeżdżasz na postój, ludzie na ciebie czekają, a jak nie masz humoru, to wołasz, powiedzmy, że na Pragę, i sam sobie kurs i klienta wybierasz. Ech! I babeczki. Słyszałem, że nie ma chuja, raz na jakiś czas zdarza się, że pakuje ci się taka lala na przednie siedzenie i wtedy już wiadomo, o co jej chodzi. A te wszystkie kursy ekstra, za które porządne pieniądze się dostaje. Mówię wam, taksjarsz to ma życie. Tylko najpierw bym musiał na wózek zarobić.

– Maniek, a może ty sałaciarzem [5](#) zostać? – ożywił się nagle Szczota. – Będiesz mógł z koniem pogadać, w dryndzie będziesz miał więcej miejsca na obracanie babek niż w taryfie i praca na Starówce, a od czasu do czasu ekstra kurs nad Wisłę.

– Ty nie bądź taki mądry, Szczota. Ciekawe, co tobie się marzy, co?

– Masz rację. – Szczota zwiesił głowę. – Ja to sam nie wiem. Chciałem z Andrzejem do Francji, a tak, skoro nie wyszło, to może jak ojciec, w drukarni. Tylko czy teraz, z wyrokiem, to mnie przyjmą?

– A ja wam mówię, nieważne jak, byle z tego pieniędzy konkretny był – upierał się Sysy.

Zapadło milczenie, opróżnione butelki wały się po podłodze, przetaczając się spod jednej kanapy pod drugą, chłopcy poczuli zmęczenie alkoholem, dyskusją i po kolei zaczęli zapadać w płytką drzemkę.

– Maniek, otwórz drzwi, muszę iść do kibla – powiedział szeptem Kochan, potrząsając ramieniem przyjaciela.

Po cichu wymknął się z przedziału. Pędzący przez noc pociąg pogrążony był we śnie, imprezy w końcach wagonów wygasły utopione w alkoholach, uwędzone w papierosowym dymie. Doszedł do toalety i szarpnął drzwi, nie ustąpiły, ktoś siedział – może spał – wewnątrz. Przedostał się do następnego wagonu, do jego uszu doleciały niewyraźne dźwięki; oparty o drzwi przed wucetem stał na chwiejnych nogach zalany gość o kanciastej, grubo ciosanej, poprzecinanej szerokimi bruzdami twarzy z silnie zarysowaną szczęką, ciemne falujące włosy opadały na czoło i zakrywały uszy, brzdąkał w struny gitary brudnymi palcami trzymającymi dopalającego się papierosa, próbując ochryplym głosem zaimprovizować jakąś pieśń. Gruby przemoczony sweter, pełen łat i dziur, sięgał mu do połowy ud. Miał w sobie coś z barda, Kochanowi przypominał Włodzimierza Wysockiego, o którym oglądał we francuskiej telewizji film dokumentalny.

– *Ej, Wysocki, kak diela?* – spytał Andrzej po rosyjsku.

– *Chujowa* – odpowiedział również po rosyjsku, nie odrywając wzroku od gitary, i zaciągnął się resztką papierosa.

Kochan ze śmiechem odsunął go od drzwi i wszedł do cuchnącej amoniakiem ubikacji, zasunął zamek i spojrzał mętym wzrokiem w zabrudzone lustro. Przetarł twarz, obrócił się i stanął nad muszlą. Miotany na wszystkie strony przez kołyszący się na krzywych szynach wagon usiłował trafić parującym strumieniem do metalowego otworu, jednocześnie znudzonym spojrzeniem, zadzierając do góry głowę, lustrował ściany toalety. „Plan instalacji wodnej...”, przeczytał bez zainteresowania na przytwierdzonej obok sedesu tabliczce. Skończył, zapiął się i podszedł do

umywalki, gdzie naciskając nogą pedał, bezskutecznie próbował wydusić choć odrobinę wody z kranu. „Nieźle działa ta cała instalacja”, pomyślał i tknięty ciekawością, jakby coś sobie przypomniał, wrócił do planu. „Zaraz, zaraz”, starał się rozgryźć skomplikowany labirynt wykresów, wodząc po nim wskazującym palcem, i nagle doznał olśnienia. „O kurwa mać, niemożliwe”, spojrzał na sufit, po czym biegiem wyskoczył z ubikacji; Wysockiego nigdzie już nie było, Andrzej nawet tego nie zauważył, pognął jak najszybciej z powrotem do przedziału. Szarpnął za drzwi, ale te ani drgnęły, zaczął się więc do nich gwałtownie dobijać.

– Andrzej, nie wal tak, bo przyleci konduktor i nas wypieprzy. – Maniek wychylił głowę z przedziału.

– Chłopaki, chodźcie szybko za mną, pokażę wam, co odkryłem – Kochan nie zwracał uwagi na przestrogi i wołał na przyjaciół z korytarza. – A ty, Maniek, weź koniecznie ze sobą ten klucz.

– Pewnie, że wezmę. Przecież trzeba zaryglować przedział, bo ktoś nam jeszcze się wpakuje.

Zaspani, z budzącym się bólem głowy, zbierali się niechętnie, jednak podniecenie Kochana zaczynało im się udzielać i po chwili szli już zaintrygowani gęsiego korytarzem w stronę toalety. Wślizgnęli się we cztery do wnętrza kabiny.

– I co takiego wielkiego odkryłeś w tym smrodzie? – sarknął Sysy.

– Spójrzcie na plan tej instalacji – pokazał Andrzej. – Wiecie, gdzie ona biegnie?

– No, gdzie?

– Zwróćcie uwagę, jak wagon wygląda z zewnątrz, jaki ma dach?

– No, taki półokrągły – odpowiedział niepewnie Maniek.

– Właśnie. A sufit wewnątrz jest płaski. Na górze, tam, gdzie biegnie ta instalacja, między sufitem a dachem, musi być mnóstwo przestrzeni. Przestrzeni, w której można się schować! A teraz proponuję przyjrzeć się tej oto kłapie. – Andrzej wskazał na sufit, na którym rysował się wielkości mniej więcej metr na metr kwadrat kłapy prowadzącej na strych. – Widzicie te dwa zamki?

– O rany, rzeczywiście! – zorientował się Szczota. – Zamykane na trójkątny klucz do otwierania przedziałów.

– Szczota, podsadź mnie, a ty, Maniek, dawaj ten klucz – dyrygował Kochan.

Trzymany przez Szczotę w pasie Andrzej majstrował kluczem przy zamkach i po chwili kłapa opuściła się, zwisała, kołysząc się na zawiasach i jednocześnie odsłaniając czarną czeluść pod dachem. Kochan złapał się krawędzi włazu i podciągnął, położył górną część ciała na podłodze, poszukał nogą oparcia i wreszcie wczołgał się w ciemną przestrzeń. Zamknął oczy, próbując przyzwyczaić je do mroku, jedyne bowiem oświetlony fragment strychu znajdował się wokół włazu, gdzie właśnie w jasnym kwadracie ukazała się najpierw równo przyszyżona grzywka, a za nią ciekawie rozglądająca się, mrugająca oczami głowa Mańka.

– I jak? Jest miejsce, co?

– Nie wiem, nic nie widać. Potrzebujemy zapalek.

Maniek wdrapał się na strych, po nim wszedł Sysy, a na koniec na brzegu włazu zobaczyli kurczowo łapiące się krawędzi palce Szczoty. Chwycili go za nadgarstki i pomogli mu wgramolić się na górę. Sysy wyciągnął zapalnik, trzasnęła draska i w słabym świetle płomienia chłopcy zobaczyli długą niską przestrzeń, poprzecinaną jedynie do połowy szerokości wagonu cienkimi ściankami, będącymi przedłużeniem ścian dzielących wagon na przedziały; przestrzeń nad korytarzem była wolna od przeszkód i można było ją swobodnie, choć na klęczkach, pokonać, z kolei za ściankami tworzyły się wygodne wnęki dające wystarczająco dużo miejsca do ukrycia się kilku osobom.

– Rozumiecie, co to oznacza? – pytał Kochan.

– Że będziemy mogli jeździć po całej Polsce bez biletu, co? – podrzucił nieśmiało Maniek.

– Słuchajcie, pociągi z Warszawy jeżdżą po całej Europie. Jak się tutaj zadekujemy, to możemy zwać praktycznie bez ryzyka.

– Ale my akurat jedziemy do, a nie z Warszawy.

– Maniek, przestań się w końcu wygłupiać i posłuchaj: bez żadnej Austrii, bez drutów kolczastych, nie musimy się telepać przez całą Czechosłowację, po prostu ładujemy się w pociąg relacji Warszawa–Paryż, włączymy na strych i po dwudziestu czterech godzinach wysiadamy nad Sekwaną. Genialnie proste.

– Chyba dłużej – powiedział powoli Szczota.

– Co dłużej?

– Pociąg do Paryża. Moim zdaniem jedzie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

– Nawet jeśli tak, to co z tego? Dwadzieścia cztery czy czterdzieści osiem, wszystko jedno, w cieple i spokoju siedzimy sobie i czekamy na koniec podróży. Przecież tego właśnie chcieliśmy, wtedy było blisko, a teraz, jeśli dobrze się przygotujemy, musi się udać.

– Lepiej wracajmy już do przedziału, bo zaraz ktoś zacznie dobijać się do toalety i nas urządzi – zauważył przytomnie Maniek.

Po kolei opuszczali się z powrotem do brudnej ubikacji, potem zakręcili włącz i po cichu wrócili do zarezerwowanego przedziału. Siedzieli w milczeniu, starając się przemyśleć nową sytuację.

– Kochan, wybacz, ale ja nie jadę – przerwał ciszę Maniek. – Siedziałem, wiem, co to znaczy. Nie chcę tam wrócić, nie chcę ryzykować. Zrozum mnie.

– Jasne, że rozumiem. Przecież nikogo nie zmuszam do ucieczki – odpowiedział urażonym tonem Andrzej. – A wy?

– Ja zawsze z tobą, przecież wiesz. – Szczota nie wahał się długo, odpowiedział szybciej, niż zdążył przetrwać pytanie.

– Sysy, a ty?

Boguś przyglądał się badawczo Andrzejowi spod półprzymkniętych powiek. Mimo że podobnie jak niemal rok temu nie miał najmniejszej ochoty opuszczać kraju, to wiedział, że znów nie ma wyjścia, że nie może stchórzyć, że nie wolno mu pozostać w tyle za Kochanem, że i tym razem musi przyłączyć się do tej szalonej eskapady. Irytowało go, że decyzja zapadła w zasadzie poza jego wolą, ale z drugiej strony zanosilo się na kolejną niezwykłą przygodę, a dla Sysego kolekcjonowanie mocnych wrażeń miało szczególnie przyciągający urok.

– Chyba nie sądzisz, że puszcze cię samego. – Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. – Przecież beze mnie nie dasz sobie rady.

Zgniłozielona więźniarka z wymalowanym na białym napisem WOP w strugach deszczu zbliżała się niespiesznie do Częstochowy. Mimo

wielogodzinnej podróży, jaką mieli już za sobą aresztanci i konwojujący ich żołnierze, nikt wewnątrz zdezelowanej nysy ani przez moment się nie nudził; od samego początku, odkąd samochód ruszył z Okęcia w stronę południowej granicy, pomiędzy strażnikami a zamkniętymi za drobną kratą na pace więźniami zrodziła się nic porozumienia. Rozmowę rozpoczął Ssysy kilkoma standardowymi pytaniami o wiek (okazało się, że wszyscy są rówieśnikami), miejsce urodzenia (obaj wojacy pochodzili ze wsi), dziewczyny (nie mieli, co starali się ukryć wymijającymi odpowiedziami). Konwojujący z początku odpowiadali niechętnie, aż do czasu, kiedy Boguś rzucił niby od niechcienia: „A za granicą byli?”. Nie byli. Wówczas pałeczkę przejął Kochan, roztaczając przed żołdatami rzeczywiste i zmyślane uroki życia we Francji, mieszając w głowach coraz bardziej ogłupiałym żołnierzom. Później z kolei włączył się Ssysy i już obaj przyjaciele razem – na wyścigi – kreślili przed wopistami marszrutę „słynnej” wyprawy przez Czechosłowację, której byli bohaterami, a przygody, jakie przy tej okazji przeżyli, rosły z każdym kolejnym słowem niczym ryba złapana przez wędkarza w jego własnej opowieści. Nim dotarli do Piotrkowa Trybunalskiego, podziw żołnierzy dla aresztantów urósł do tego stopnia, że gotowi byli na jedno ich słowo zamienić się miejscami. Na szczęście nikomu taki pomysł nie przyszedł do głowy.

Przed samą Częstochową, kiedy deszcz siekący bezlitośnie od początku drogi nieco zelżał, przechodząc w ciepły kapuśniaczek, Kochan zaproponował, a żołnierze chętnie na to przystali, aby zatrzymać się w lesie i nieco rozprostować kości. Nyska zjechała na szutrowe pobocze, silnik zgasł, a kierujący konwojem starszy kapral, otwierając tylne drzwi więźniarki, rzucił bardziej z obowiązku niż przekonania:

– Chłopaki, nie będę was kuł, ale bez żadnych numerów, proszę.

– Jasne, przecież jesteśmy kumplami, nie? – obruszył się Kochan.

Stanęli we czterech – Kochan, Ssysy, starszy kapral i kapral – pod drzewami, rozpinając spodnie, sikali długo w milczeniu, pokrywając korę piniącym się moczem.

– Palicie? – zwrócił się do żołnierzy Kochan, kiedy skończyli, wyciągając w ich stronę zmietoszoną żółtą paczkę z czerwonym napisem i sylwetką fabryki.

– Dziwne jakieś te fajki – powiedział starszy kapral, zaciągając się

chciwie.

– Munkasy, węgierskie – poinformował z dumą Sysy.

Palili chwilę, nic nie mówiąc i obserwując przejeżdżające z rzadka szosą wytwory socjalistycznej motoryzacji; minęła ich najpierw garbata warszawa, potem już z daleka doleciał dźwięk kaszłającej syrenki, pojawiła się też skoda, a z drugiej strony nadciągnął kopcący niemiłosiernie star, za którym w tumanie spalin podążał, niczym śledzący go agent, trzepoczący plandeką żuk. Andrzeja, przyzwyczajonego do widoku renówek, citroenów, peugeotów czy simek, zawsze zadziwiła i trochę śmieszyła kawalkada – niezbyt liczna na dodatek – rupieci poruszających się po polskich drogach. Odwrócił wzrok od kolejnej przetaczającej się majestatycznie szosą warszawy i zwrócił się w stronę żołnierzy:

– Słuchajcie, chłopaki, mamy do was prośbę.

– Tak? – Wopiści zamarli w napiętym oczekiwaniu.

– Może to trochę dziwnie zabrzmiało, ale chcielibyśmy wysłać kartkę pocztową do kolegi.

– To rzeczywiście dziwna prośba. – Obaj żołnierze odetchnęli. – A po co?

– Tak zwyczajnie, nic wielkiego, po prostu zawsze to robimy, jak gdzieś wyjeżdżamy. Będzie czekał i pewnie bardzo by się zdenerwował, gdybyśmy tej kartki mu nie przysłali.

– Zgoda, ale będziecie musieli nam pokazać, co napisaliście.

– Ech, cenzura, cenzura. – Kochan się roześmiał i pogroził palcem żołnierzom. – Oczywiście, pokażemy...

Czekali na Kochana na peronie warszawskiego Dworca Głównego, gdzie przez megafon zapowiadano właśnie wjazd na stację pociągu z Moskwy do Paryża. Chłopcy zaczęli już nerwowo przestępować z nogi na nogę, gdy na końcu platformy pojawił się Andrzej i bez pośpiechu zmierzał rozkołysanym krokiem w stronę przyjaciół.

– Dokąd kupiłeś? – zapytał Sysy.

– Na wszelki wypadek aż do Poznania. – Kochan wręczył bilety Sysemu. – Nie wiadomo, jak się ułoży sytuacja.

– Trochę kasy poszło – obliczał Sysy, chowając bilety do kieszeni.

– Spokojnie, zaoszczędziliśmy na Mańku. – Kochan objął Mańka za szyję i w szorstkim przyjacielskim geście przycisnął do piersi.

– Andrzej, nie gniewaj się – bronił się Maniek – naprawdę nie chcę wracać do pierdła. Ja wierzę, że tym razem wam się uda, ale jak nie? I matka by tego już nie wytrzymała.

Patrzył wilgotnymi oczami na przyjaciół; od początku, odkąd tylko Kochan rzucił pomysł wdrapania się na strych wagonu, nie opuszczały go złe przeczucia. W więzieniu, w rozmowach pod celą każdego dnia utwierdzał się w przekonaniu, że kiedy decydujesz się wystąpić przeciw prawu, nigdy nie jest tak, by nie pojawiły się jakieś niespodziewane komplikacje. Siedlecki zakład karny pełen był genialnych planistów. Ich włamy, napady, skoki, przekręty, fałszerstwa nie miały prawa się nie powieść i w zasadzie powiodły się, z wyjątkiem jakiegoś jednego drobnego, feralnego szczegółu, który nie zagrał – ktoś nie dotarł na czas na umówione miejsce, patrol milicji pojawił tam, gdzie pod żadnym pozorem nie powinno go być, partner nie wykazał się zapowiadaną zręcznością, samochód nie zapalił – ot, po prostu zwykły pech, ale konsekwencja zawsze ta sama, kolejne lata wycięte z życiorysu. Plan Kochana tym razem rzeczywiście porażał prostotą i tylko jakiś nieszczęśliwy przypadek mógł pokrzyżować chłopcom plany, ale intuicja poparta wszystkimi zasłyszonymi w zakładzie historiami przestrzegająca Mańka przed przyłączeniem się do eskapady. Nie mógł opanować wzruszenia – były to ostatnie chwile, jakie, przynajmniej w najbliższym czasie, spędzali razem, bo bez względu na to, czy plan Andrzeja wypali, czy nie, to albo przyjaciele uciekną i wtedy nie zobaczą się być może już nigdy, albo zostaną złapani i wtedy czeka ich odsiadka. Tak czy inaczej, mieli przed sobą długą rozłąkę.

Pociąg wtoczył się na dworzec, chłopcy wyściskali ostatni raz – wierzyli w to – Mańka, który dyskretnie wcisnął Kochanowi w rękę zimny klucz do otwierania przedziałów, i wskoczyli do wagonu. Rozpoczęli poszukiwania nierzucającego się w oczy miejsca. Wsadzili głowy do jednego z przedziałów i już chcieli się wycofać, kiedy siedzący pod oknem przodem do kierunku jazdy tłusty jegomość, zajmujący na kanapie niemal dwa miejsca, zamachał do nich serdecznie, wołając piskliwym, kontrastującym z potężną posturą głosem:

– Walcować się, *riebiata*, miejsca obowiązkowo wystarczy. Tylko wrzucicie, jeśli łaska, ten dęciak [6](#) na górę, żeby na nim, w kółko golonym,

zniszczeń jakowychś nie poczynić. – Podał Sysemu staromodny kapelusz. – Siadajcie panowie i drzwi zamknijcie, coby nam się jakie insze towarzystwo nie władowało.

Chłopcy weszli z ociąganiem do przedziału, tego im jeszcze tylko brakowało, gadatliwego grubasa, który pewnie nie odpuści i całą drogę będzie wścibiał nosa w ich sprawy. Ledwo usiedli, tłuscioch, rozpinając kamizelkę i ścierając chusteczką pot z łysiejącego, przykrytego rzadkimi włoskami czoła, zaczął przesłuchanie, potwierdzając ich obawy:

– A kawalerka gdzie zaiwania, jeśli wolno zapytać? – Przetarł ciemny wąsik à la Chaplin.

– Do Kutna. Do Poznania – powiedzieli jednocześnie Kochan i Sisy.

– To dokąd w końcu, bo rozumie się, że Kutno i Poznań to zasadniczo dwa oddzielne grajdoły i na mapie nawet obok siebie nie figurują. – Grubas przyglądał im się badawczo.

– Bo my jeszcze nie zdecydowaliśmy, proszę pana – zaczął kręcić Kochan. – Mieliśmy jechać do Poznania i takie bilety kupiliśmy, ale być może wysiadziemy w Kutnie, bo ja tam ciotkę mam i chciałbym ją po drodze odwiedzić.

Brzmiało to mało przekonująco, ale tłuscioch, o dziwo, pokiwał z akceptacją głową.

– Sam, w przedpoborowem wieku jeszcze będąc, do jednej takiej mojej niby to cioteczki do Garwolina zapychałem aż miło. Ale kobitka była pierwsza klasa, twarzowa, pierwsze krzyżowe na miejscu miała i czym oddychać także samo. Tylko dla mnie, chłopaka z Warszawy, za wsiowa troszeczkie była. Jak gębę rozwarła, to nie daj Boże. Ale to starożytne dzieje – machnął pulchną ręką – teraz do Berlinu popylam, gdzie spotkanie z jednym jugosłowiańskim handlowcem mnie czeka, któren to orientalne materiały w najwyższym gatunku dla mnie wyfasował. Tak właśnie do Berlinu, i to zachodniego, w ząbek czesanego. O, proszę uprzejmie, paszport, jak się należy, w kieszeni spoczywa. – Wyciągnął i pokazał chłopakom dokument. – Także samo wiza wjazdowa obecna, wszystko w najlepszym porządku.

Pociąg nabierał rozpędu, minął Ursus i wjechał między zaorane piaszczyste, ubogie pola. Grubas patrzył przez chwilę zamyślony przez okno, w końcu odwrócił się w stronę chłopców i rozpoczął monolog:

– Kapuję tak bez ten lufcik – pokazał tłustym paluchem na szybę – myślę

sobie o tej naszej mazowieckiej bidzie i serce mnie się kraja w drobne kostkie. Ja to na wsi nigdy dłużej nie byłem, po lasach jak jeleń jakiś nie hasałem, bo ja to stary warszawski rodak z dziada pradziada jestem. Z Pragi. A panowie szanowni skąd, jeśli łaska?

– My z Powiśla – odpowiedział Szczota.

– A owszem, znam, niczego sobie, z widokiem na Wisłę miejscówka. Ja, jak już nawijałem, z Pragi jestem, od pokoleń, mamusia w cukierni na Szwedzkiej za kasom mamonę w drobnym bilonie przyjmowała, a ojciec cegły na budowie targał. Ale w młodem wieku, przed wojną jeszcze, z tranwajem miał bliższą okoliczność i w sosnowe jesionkie odstrojony w charakterze nieboszczyka na Bródno się pofatygował. Sami z mamusią, sieroty, zostaliśmy. Lekko nie było, jednak na ludzi udało mnie się wykierować. Ach! Z tego wszystkiego zapomniałem się przedstawić. Panowie pozwolą – uniósł się z wysiłkiem i ukłonił z galanterią – Zygmunt Bluszcz, krawiec lekki. – Opadł na kanapę i łapał z wysiłkiem oddech. – Chociaż znakiem tego – poklepał się wymownie po okazałym brzuszysku – co się postury tyczy, to raczej ciężki, he, he.

Chłopcy zaśmieli się z wysiłkiem, zaczęli się przyzwyczajając do trajkotania nowo poznanego znajomego i uznali w duchu – bo o jakiegokolwiek wymianie zdań między sobą mowy nawet być nie mogło – że być może tak będzie wygodniej. Krawiec wyglądał na niegroźnego gadułę, który bardziej niż ich sprawami zainteresowany był własnymi opowieściami, przy jego tuszy do przedziału już nikt zmieścić się nie miał szans, a kiedy słuchali tłuszciocha, czas szybciej płynął i trema przed skokiem pod dach wagonu jakby malała. Tymczasem grubas zaczynał się rozkręcać.

– Panowie pewnie sobie myślą, że ja te walizki od szkolnego wieku przed sobą targam, co? Myślicie tak? – Pochylił się i klepnął Sysego w kolano. – Otóż więc powiem szanownym panom, że to nie jest prawdą. Nie zawsze taki mordziasty byłem. – Ssysy spojrział bezradnie w stronę przyjaciół, ale w ich oczach nie znalazł zrozumienia; Szczota wolno odwrócił wzrok w stronę okna i leniwie pogrzyżył się we własnych myślach, a Andrzej z zainteresowaniem słuchał wynurzeń krawca. Tymczasem tłusty jegomość z każdą minutą nabierał animuszu – nie zważając na to, czy ktokolwiek go słucha, ze swadą opowiadał swój życiorys, na przemian to zaśmiewając się do rozpuku, to znów dyskretnie ocierając pękatą dłonią łzę wzruszenia spływającą po pulchnym policzku; gestykulował wymownie tłustymi rękoma, czoło zrosiły

mu krople potu. Minuty mijały, pociąg połykał kolejne kilometry, a Sysemu coraz trudniej przychodziło opanować irytację. Wreszcie grubas zakończył: – I od tych pór, uważacie panowie, taką hodowlę przed sobą – ponownie poklepał się po ogromnym brzuchu – noszę.

Kochan ze Szczotą popatrzyli na siebie z rozbawieniem, unosząc z niedowierzaniem brwi i zakrywając usta dłońmi, by nie parsknąć śmiechem, czego, zatopiony we wspomnieniach, spoglądający w okno pan Zygmunt zdawał się nie dostrzegać. Andrzej wskazał wzrokiem na drzwi przedziału i zwrócił się do starego warszawiaka:

– Panie Zygmuncie, pozwoli pan, że wyjdziemy sobie zapalić na zewnątrz?

Krawiec pokiwał głową w milczeniu, nie odwracając głowy od szyby, a chłopcy wyszli na korytarz i stanęli w odludnym miejscu.

– Co ten dziad pieprzy? – denerwował się Sisy.

– Daj spokój, niech gada – uspokajał Kochan, pocierając zapałkę o draskę i przypalając kolejno Sysemu, a potem Szczocie papierosy – przynajmniej o nic się nie dopytuje, więc nie musimy nic mówić, jakby go potem ktoś o coś pytał, to też niewiele będzie miał na nasz temat do powiedzenia. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Stali przez moment, nie odzywając się i wsłuchując w dudnienie wagonu o szyny. W końcu Andrzej przerwał milczenie:

– Niedługo Kutno. Zróbmy tak: wy wróćcie do przedziału i powiedzcie temu typowi, że poszedłem do toalety, a ja tymczasem pójdę sprawdzić w kiblu właz. Potem po was przyjdę, grzecznie się pożegnamy i udając, że wysiadamy w Kutnie, wskoczmy na strych.

Zgnietli niedopałki, po czym Andrzej ruszył w stronę ubikacji, a Sisy ze Szczotą weszli do przedziału. Pan Zygmunt przyglądał im się bacznie, tak jakby coś mu się nie zgadzało, ale nie potrafił dojść, co to takiego było. W końcu zerkający spode łba, mówiący wolno dryblas wybawił go z kłopotu:

– Kolega poszedł do toalety, zaraz wróci.

Krawiec odetchnął, pochylił się z głośnym jękiem i wysunął spod siedzenia skórzaną lekarską torbę, którą otworzył, i wciągając mięsistymi nozdrzami powietrze, uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Uważacie, panowie – zaczął kolejny monolog, wkładając tłustą łapę do torby – w podróży najważniejsze jest spożycie. – Sisy spojrział błagalnie w

górze. – Pasażer z pustym żołądkiem zły jest jak wielkie nieszczęście i z tego powodu nieprzyjemnym dla pozostałych podróżnych się staje, podgrymasza, grandy wszczynać gotowy i insze nieuprzejmości towarzyskie skutecznie. Dlatego w pociągu należycie zakąsić wypada.

Pan Bluszcz wyciągał z torby wiktuały i układał nabożnie na rozkładanym stoliku pod oknem. Na początek zaszeleścił zatłuszczonym pergaminem, w który zawinięta była połówka pieczonego kurczaka, następnie obok rozłożył pakunek z gazety zawierający pokrojony w grube plastry salceson, później przysła kolej na jajeczko obierane starannie pękatymi jak serdle palcami. Szczota skrzywił się. Widząc to, krawiec pochylił się nad jajkiem i wachał przez chwilę w skupieniu.

– O, faktycznie, jajeczko nieco wanieje. – Zmartwił się, uchylił okno i zamasyście cisnął trefny towar na mazowiecką łąkę. Na koniec wyjął i odkorkował butelkę jasnego piwa. – A panowie nie wtrajają?

– Mamy kanapki, ale na razie nie jesteśmy głodni – odpowiedział Ssysy.

– Poza tym czekamy na kolegę – dodał Szczota.

– Istotnie, coś koleżka długo nie wraca. To ja spożycie rozpocznę, o wiele panowie nie macie nic naprzeciwno.

– Proszę bardzo – odpowiedzieli jednocześnie, zaczynając nieco niepokoić się o Kochana, który rzeczywiście nie wracał podejrzenie długo.

Tymczasem pan Zygmunt dobrał się do kurczaka i powrócił do wygłaszanego piskliwym głosikiem wykładu:

– Jajeczko owszem, zapaszek miało, za to kurak jest pierwsza klasa. – Oderwał udko i podniósł do góry, wymachując nim niczym batutą. – Teraz kuraki okazałe się stali. Boilery. Wielkie jak gęsi się porobili. Ale nadmienić należy, że to prawidłowo, bo kurak swoje wagie obowiązkowo posiadać musi...

Drzwi do przedziału odsunęły się gwałtownie, przerywając monolog krawca, i pokazała się w nich głowa zdenerwowanego Kochana.

– Kutno. Chłopaki, wysiadamy – powiedział podirytowanym tonem. – Dziękujemy panu za miłą pogawędkę.

I nie zważając na podejmowane przez pana Zygmunta próby wylewnych pożegnań, wyciągnął kolegów z przedziału. Krawiec został sam z udkiem w garści.

– Cóż takiego – mamrotał pod nosem – niby z Powiśla, a takie chamy. Musi być, że to warszawiaki przyjezdne, z Grójca czy innej prowincji, owsem karmione. – Pokiwał ze złością głową i wbił zęby w nóżkę.

Andrzej szedł pierwszy, prowadząc pozostałych wąskim korytarzem w kierunku końca wagonu, gdzie ogonek pasażerów oczekiwał na zatrzymanie się pociągu na stacji. Stanęli jako ostatni i czekali w milczeniu wraz z innymi, obserwując przez brudną szybę zakopcone budynki nastawni, lokomotywowni, magazyny węgla i w końcu wolno przesuwające się za oknem zabudowania dworcowe. Pociąg zatrzymał się i podróżni jeden za drugim zaczęli wysypywać się z wagonu, podając sobie nawzajem ciężkie bagaże. W opustoszałym korytarzu zostali sami, we trzech, Sisy nacisnął drzwi toalety, ale Kochan pokręcił przecząco głową, położył wskazujący palec na ustach, a następnie wskazał na peron. Wyszli. Ustawili się pod tablicą KUTNO i tęsknym, zawiedzionym wzrokiem patrzyli, jak ich pomost ku wolności wolno, postukując kołami o szyny, przesuwa się wzdłuż pustoszejącego peronu, zerkali w pokryte kurzem okna, obserwowali pantomimę rozmawiających wewnątrz przedziałów pasażerów, minęła ich schowana za szybą, nalana, obrażona twarz pana Zygmunta, który pochłonięty resztkami kurczaka popijanego piwem nie zareagował na nieśmiałe machanie chłopców. Przyspieszając biegu, pociąg opuścił stację i pognął w kierunku Paryża, a przyjaciele jeszcze długo spoglądali na malejące w jesiennej szarudze lampki.

Andrzej wyciągnął z kieszeni beżowej kurtki małą 7 wyborową, zdjął nakrętkę i wyciągnął butelkę w stronę kolegów. Sisy odtrącił wściekle uzbrojoną we flaszkę rękę.

– Kochan, kurwa mać, co się dzieje?

– Nie ma włazów.

– Jak to, nie ma włazów?

– No po prostu, nie ma. Obleciałem wszystkie kible w całym pociągu, we wszystkich wagonach i nigdzie nie było klapy! Nie wiem, dlaczego.

– Widać w tym typie wagonów ich nie robią. Pech – wtrącił spokojnie Szczota.

– No pięknie! I co teraz? – Sisy ze złością wyrwał Andrzejowi buteleczkę i przytknął ją chciwie do ust.

– Nic. Wracamy. Trzeba iść do kasy, może uda się wymienić bilety...

Za Częstochową pogoda poprawiła się i ostatnie kilometry pokonali już znacznie raźniej, choć wszyscy byli dużo mniej rozmowni niż w pierwszym etapie drogi; żołnierze po postoju czuli się nieco zawstydzeni swoją uprzednią fascynacją aresztantami i skwapliwością, z jaką przystali na ich niecodzienną prośbę, a chłopców ogarnęły znużenie i niedająca się opanować żadnym sposobem senność, próbowali więc drzemać, ale chybcząca się na wszystkie strony na dziurawej drodze więźniarka nie dawała takiej możliwości. Jednych i drugich dopadała rosnąca z każdą chwilą irytacja. Minęli Zagłębie i wjechali na Śląsk. I kiedy wydawało się, że lada moment zdenerwowanie, które u obu stron doszło do zenitu, znajdzie ujście w wiszącej w powietrzu awanturze, na przedmieściach Katowic drogę zajęła im żółta syrenka. Hamowali z piskiem opon, a z osobówki wychyliła się wyondulowana blond głowa i grożąc pięścią żołnierzom, zaczęła kląć niskim głosem, po śląsku. Niewiele z tego zrozumieli, a z potoku słów wyrzucanych przez kobietę z prędkością szybkostrzelnego karabinu wychwycili jedynie kilka przekleństw, jak: pierony, chadziaje, podciepy, ćmoki, ciule. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i całej czwórce natychmiast powrócił dobry humor. Sisy wysuptał z paczki ostatnie munkasy, które podał wopistom przez siatkę odgradzającą konwojujących od aresztantów. Pałac, starszy kapral doszedł do wniosku, że nie ma co przejmować się zgodą, jaką wydał na wysłanie kartek pocztowych; w końcu co w tym takiego niebezpiecznego, treść ocenzuruje, a o samym fakcie nikt poza ich czwórką i adresatem się nie dowie. Odwrócił się w stronę tyłu pojazdu i zawołał ze śmiechem: „No, pierony, trzeba chyba poszukać kiosku Ruchu”.

Zatrzymali się koło przyklejonej do ceglanej brudnej kamienicy budki, przy małym ruchliwym skrzyżowaniu. Chłopcy długo wpatrywali się w witrynę kiosku, starając się wybrać odpowiednie kartki pocztowe; oparli się pokusie kupienia tanich, czarno-białych, a z ubogiej oferty kolorowych chcieli nabyć takie, które będą, przynajmniej w ich przekonaniu, jak najbardziej „śląskie”, żeby nie było żadnych wątpliwości, gdzie i kiedy zostały kupione, reszty miały dopełnić znaczki i stempel. W końcu Kochan zdecydował się na zdjęcie przedstawiające pracujące pełną parą koło windy obsługującej kopalniany szyb, a Sisy górnika w galowym stroju, trzymającego na kolanach rozbawioną małą dziewczynkę ubraną po śląsku, ściskającą w ręku bukiet kolorowych kwiatów. Spytali kioskarkę o znaczki pocztowe, prosząc o pokazanie tych z najnowszej serii. Otworzyła tekturową teczkę, z której

wyjęła podziurkowane arkusze.

– Najnowsze będą te z serii „bezpieczeństwo na drodze”. – Wskazała na podłużne wąskie znaczki przedstawiające szarą szosę, na której wyciśnięte były nienaturalnie wielkie ślady butów. – I w miarę nowe są też „stroje ludowe”.

Poprosili po jednym z każdej z serii, a za ostatnie pieniądze kupili jeszcze długopis i sporty.

Siedząc na krawężniku obok zaparkowanej na chodniku nysy, paląc wspólnie z wopistami papierosy, wypisali pocztówki, po czym podetknęli je pod nos starszemu kapralowi.

– Waldemar Wypijewski, ulica Wrońskiego 15, Warszawa – żołnierz sylabizował z wysiłkiem – pozdrowienia z Katowic przesyła Kochan. – Wziął do ręki drugą kartkę. – Waldemar... Pozdrowienia z Katowic przesyła Ssys. Co jest, dwie takie same?

– A co byś chciał, żebyśmy mu pisali całą litanię? – denerwował się Andrzej. – Może jeszcze wspomnieć, że jesteśmy aresztowani i że wy, wbrew regulaminowi, zgodziliście się na wysłanie tych kartek?

– Dobra, dobra, dość już tego chrzanienia – łagodził starszy kapral – ładujcie się do samochodu i jedziemy, bo ciemno się robi. Jeszcze kawał drogi przed nami. Jak nie dojedziemy na miejsce przed nocą, to zbierzemy niezły opierdol...

Dwuskrzydłowe drewniane drzwi otworzyły się z łoskotem, wypuszczając z ciemnego wnętrza na pogrążone w mroku podwórze tłum widzów, wymieniających się pierwszymi wrażeniami po obejrzanym właśnie filmie. Szeroka rzeka ludzi dzieliła się na węższe strumienie i w różnych kierunkach wyciekała z podwórka odbijającego głosy niczym studnia. Kochan, Ssys, Szczota i Maniek podryfowali wraz z najszerszym głównym nurtem w kierunku ulicy Rutkowskiego.

– Czyj to był pomysł, żeby iść na to gówno? – złościł się Ssys.

– Mańka – odpowiedział zaskakująco szybko jak na niego Szczota.

– Nie gadaj. Ty też chciałeś na to pójść. A Kochan mówił, że czytał o tym filmie recenzje we Francji i że podobno dobry.

– Nie czytałem recenzji, tylko ktoś oglądał w telewizji i mi mówił. Jak ja

tam wyjechałem, to już tego filmu w kinach nie grali.

– Wszystko jedno, dziękujemy ci Maniek za wspaniałe dwie godziny ze *Wspaniałym Redem* – wściekał się dalej Sysy.

– O co ci chodzi? Amerykański, myślałem, że dobry będzie.

– Jakieś nowe, pierdolone *Lassie, wróć*. Łzawa chała.

– Fakt – przyznał Szczota. – Nadaje się do *Ekranu z bratkiem*, a nie do kina, i to na dwudziestą. Jako poranek może jeszcze by obleciał.

Nie przerywając rozmowy, stanęli pod niebieskim pełnym zakrętasów neonowym napisem Atlantic. Ulicą spowitą błękitną poświatą przemysłali coraz mniej liczni o tej porze przechodnie.

– A mnie się podobało – upierał się Maniek.

– Chyba jedynie dlatego, że odkąd cię wsadzili, nie byłeś w kinie – powiedział złośliwie Sysy. – Poprzedni film, który tu oglądaliśmy, był super. – Pokazał kciukiem na neon.

– To prawda – przyznał Kochan. – Polski, ale rzeczywiście rewelacyjny.

– Jaki tytuł?

– *Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię*.

– Dziwny. O czym?

– Nie będę ci streszczał, bo skoro nie uciekasz z nami, to może go sobie zobaczysz – wbił szpilę Andrzej. – Powiem ci tylko, że kryminał. A ta Brylska, cudo, taka cizia. – Uniósł prawy łokieć w górę.

– I rzeczywiście ten film pokazuje, że można ukraść zbrodnię – dorzucił Sysy.

– Albo podarować. Akurat my coś o tym wiemy – powiedział wolno Szczota.

– À propos, chłopaki, wiecie, że tu obok jest ten sklep, ten, co to chcieli nas zrobić w napad? – podchwycił temat Maniek.

– Chodźmy tam – zaproponował Kochan i chłopcy wolno ruszyli ulicą Rutkowskiego w stronę Nowego Świata, mijając rozświetlone wystawy komisów, sklepów odzieżowych i obuwniczych, prywatne pawilony z różnorodną drobną konfekcją, aż dotarli do seledynowego neonu EWA. Zatrzymali się przed witryną, patrząc na wystrojone w czeskie płaszcze według najnowszej wschodnioeuropejskiej mody manekiny, zajęte same sobą,

dumne i obojętne na spojrzenia nielicznych o tej porze spacerowiczów.

– Mieliśmy trochę szczęścia – westchnął Kochan.

– Coś ty. Przecież nie mieliśmy z tym nic wspólnego – protestował Maniek.

– Mówię wam, że mieliśmy kupę fartu. Gdybyśmy wyjechali dzień później i dzień później przekroczyli granicę, wmanewrowaliby nas w ten skok jak nic. Siedzielibyśmy do teraz wszyscy.

– Ale przecież musieliby nas w końcu wypuścić. My tego nie zrobiliśmy.

– Oj, Maniek, nie bądź dzieckiem. Milicja musi mieć sukcesy, w socjalistycznym rajku nie mogą hasać na wolności jacyś włamywacze i inne barachło. Zrobiliśmy czy nie, to akurat nie miałoby najmniejszego znaczenia. Liczyłoby się, że nie posiadamy żadnego alibi, a element z nas podejrzany. Jeszcze raz powtórzę: mieliśmy furę szczęścia. Dobra, dość tej nostalgii – dodał Andrzej, odwracając się od szyby. – Teraz trzeba się zastanowić, kiedy przyskamy.

– Kochan, bo ja chciałem ci coś powiedzieć – zaczął nieśmiało, spuszczać wzrok, Szczota. – Rozmawiałem z kimś, kto mi powiedział, że teraz, w tym pociągu do Paryża, też mieliśmy fart.

– Co?! – wrzasnął Andrzej, odwracając się w stronę Szczoty. – Z kim gadałeś?!

– Nieważne.

– Właśnie, że ważne. Mów w tej chwili, do kurwy nędzy! – Kochan ruszył w kierunku Szczoty, zaciskając pięści.

– Z siostrą, ale ona na pewno nikomu nie wygada. Musiałem, tym razem nie zrobiłbym jej czegoś takiego jak rok temu. – Pokazał ręką na witrynę Domu Mody Polskiej.

– Szczota, ja pierdole! – Andrzej ukrył twarz w dłoniach. – Co się z tobą dzieje? Co z tobą robić? Powinniśmy cię po prostu zostawić. Kurwa, wiedziałem, że ta gówniara nam się wmiesza!

Kochan nie znosił Iwony, siostry Szczoty, uważał, że jest przemądrzała, pyskata i pozbawiona fantazji. Odkąd pamiętał, do wszystkich zabaw podwórkowych, którym niezmiennie przewodził, miała zawsze jakieś „ale”, wciąż krytykowała, podważała naturalne przywództwo Andrzeja, zadawała rzeczowe, wypowiedane złośliwym tonem pytania, mające na celu wykazać nierealność jego pomysłów. Prowadziło to zazwyczaj do mniej lub bardziej

gwałtownych kłótni. Na szczęście była młodsza, na szczęście też była dziewczyną i jej zdania nie brano na poważnie, jednak po takich utarczkach słownych pozostawał niesmak, a Szczota stawiany był w niezręcznej sytuacji wyboru pomiędzy miłością do młodszej siostry a uwielbieniem dla podziwianego przyjaciela. Zazwyczaj szedł za Andrzejem, przeproszał później w domu Iwonę za swój wybór, a ona wspaniałomyślnie mu wybaczała, wiedząc, że następnym razem brat również wybierze lojalność wobec kumpli, bo tak naprawdę w głębi duszy zazdrościła mu tej bliskości z Kochanem, ponieważ – do czego nigdy by się nie przyznała – jej fascynacja Andrzejem była nie mniejsza niż miłość, którą darzył go Waldek. Po powrocie z Francji w mieszkaniu Szczoty Kochan zobaczył dorosłą kobietę, której zdanie brzmiało dla przyjaciela niemal jak wyrocznia, co Andrzeja doprowadzało do furii, a dodatkowo złościło go, że fizycznie podobała mu się ta wysoka, szczupła, czesząca się w nieśmiertelny gruby warkocz dziewczyna o powłóczyściej spójrzaniu jasnych, wręcz za jasnych jak na jej śniadą cerę, oczu i dlatego, kiedy tylko był w towarzystwie kolegów, starał się jej wszelkimi sposobami unikać, pragnąc jednocześnie spotkania gdzieś sam na sam.

– Nie mów tak o niej! – powiedział ostro Szczota.

– A co, ty mi zabronisz? – Andrzej postąpił krok w stronę Waldka.

– Kochan, zostaw go – próbował rozładować sytuację Maniek. – Niech lepiej wyjaśni, dlaczego mieliście fart, to może być ważne.

– Bo podobno te pociągi, które jadą przez NRD – podjął skwapliwie temat Szczota – są na niemiecko-niemieckiej granicy tak przeczesywane, że nie ma najmniejszych szans, żeby ktokolwiek się przedostał. Sprawdzają centymetr po centymetrze i na bank by nas nakryli. Dlatego mieliśmy fart. To był zły kierunek.

– Znajdziemy inny – upierał się Kochan.

– Ale już beze mnie – powiedział wolno Szczota, ponownie spuszczać wzrok. – Chciałem. Bardzo chciałem, tylko że już nie dam rady, za wiele nerwów mnie to kosztuje. Wydawało mi się, że z tym planem nie wiąże się żadne ryzyko, ale tak nie jest. Myślałem o tym długo. Przepraszam cię, Andrzej. Jeżeli będziecie chcieli, pojedę z wami kawałek i pomogę wam zamknąć się na górze. Przecież...

– Sysis? – przerwał Kochan, odwracając się do Szczoty plecami.

– Moim zdaniem Iwona może mieć rację. Trzeba poszukać innej, mniej ryzykownej trasy...

– No i znalazły się nasze zguby! – zawołał kapitan Ojszko, podnosząc się zza biurka na widok Kochana i Sysego, wprowadzanych przez konwojujących ich wopistów do pokoju przesłuchań. – Zapraszam w nasze skromne progi. Długo panowie kazali na siebie czekać. Ale nareszcie jesteśmy w komplecie. Panowie pewnie zmęczeni po długiej podróży? Głodni? – Zdumieni tą przemową chłopcy przytaknęli wolno. – W takim razie kolegę... – pokazał na Kochana – niech będzie Wania, zapraszam na pokoje, a z Sieriozą – nogą przysunął w stronę Sysego krzesło – pogawędzimy sobie chwilkę. Jak czekista z czekistą.

Kochan wyprowadzany przez strażników wyszedł z gabinetu, a kapitan i Sisy usiedli naprzeciw siebie po dwóch stronach biurka i mierzyli się wzrokiem. Ojszko stuknął długopisem w tekturową okładkę akt, potem nie spuszczać oka z Sysego, podniósł bakelitową słuchawkę i zakręcił korbką.

– Mam obu gagatków, obywatelu pułkowniku... Tak, łatwizna... Na rano sporządzą pierwszy raport. – Odłożył słuchawkę i wciąż wpatrując się w aresztanta, nie zadając żadnych pytań, odchylił się na krześle, splótł ręce pod głową i się zamyślił.

Nie spieszył się, miał przed sobą całą noc przesłuchań i wiedział, że niecierpliwość do niczego dobrego nie prowadzi. Dwa lata spędzone w zebrzydowickiej placówce Górnośląskiej Brygady WOP nauczyły kapitana Jacka Ojszko postępowania z uciekinierami – najczęściej trafiali się amatorzy pieszych wędrówek zatrzymani podczas przekraczania zielonej granicy, rzadziej miłośnicy czterech kółek ukryci w ciężarówkach i samochodach osobowych, a jeszcze rzadziej kolejarze, jak ich nazywał, pochowani w wymyślnych skrytkach w wagonach pociągów towarowych i pasażerskich – którzy w komplecie i niemal bez wyjątku mieli jakieś mniej lub bardziej prawdopodobne wytłumaczenia „przypadkowego” przekroczenia granicy. Bez względu na porę, o której zostali schwytani, kapitan dawał uciekinierom czas do wieczora, a po zmierzchu zaczynał niespieszne przesłuchania. Załamani, zastraszeni, niemogący poradzić sobie z napięciem i dobrym humorem Ojszki, zazwyczaj kapitulowali przed świtem, przyznając się do próby nielegalnego przekroczenia granicy, i wopista – jak zwykle w szampańskim nastroju –

mógł spokojnie pisać raport dla pułkownika, a akta krótkiego śledztwa odesłać do prokuratury.

Ojszko lubił te nocne maratony – dawały mu możliwość zapomnienia, skrycia się w pokoju przesłuchań, pozwalały nie wyglądać przez okno, a w dzień odsypiać, za pozwoleniem przełożonych, do późnego popołudnia spędzone aż po świt godziny w pracy, bo pod powłoką dobrego humoru, którym kapitan na co dzień epatował, nienawidził on serdecznie Zebrzydowic i całej tej beskidzkiej okolicy, tych niby to gór, nie gór. Wstępując do WOP, marzyła mu się, jak niemal każdemu urodzonemu na południu, służba nad morzem, tęsknił za słyszaniem raz jeden w dzieciństwie, podczas kolonii w Darłowie, szumem fal, krzykiem mew, śnił o niczym niezmaconym, płaskim krajobrazie, gdzie wzrok może sięgać aż po horyzont, tymczasem pierwszy przydział był bezwzględny: Małopolska Brygada, placówka Nowy Sącz. Kolejny jeszcze gorszy – Brygada Górnośląska i Zebrzydowice. Wysportowany (w młodości grał z powodzeniem w hokeja), wysoki, inteligentny, choć niezbyt czytany, o umiarkowanej elokwencji i erudycji, skory do żartów, zawsze pogodny kapitan był świetnym oficerem, lubili go podwładni, bardzo wysoko oceniali przełożeni, co powodowało, że kolejne podania o przeniesienie na wymarzoną północ trafiały do kosza – takiego specja pozbywano się zazwyczaj niechętnie. On sam doskonale zdawał sobie sprawę z matni, w którą wpadł, ale natura perfekcjonisty nie pozwalała mu na lekceważenie obowiązków i dlatego siedział wciąż w zniechęconych Zebrzydowicach, uznawany przez zwierzchników za znakomitego specjalistę od przesłuchań.

Pogodna natura Ojszki sprawiała, że sympatią darzyli go nawet przesłuchiwanymi uciekinierzy i tym chętniej zaczęli współpracować, choć zdarzało się też – niezwykle rzadko wprawdzie, ale było to tym bardziej szokujące – że kapitan wychodził z roli i wpadał w gwałtowne, acz krótkie ataki wściekłości, które wyładowywał na aresztantach. Walił ich wtedy bez pardonu w ucho, a kiedy – szybko na szczęście – się opanowywał, zwykł był mówić, że to taka metoda „na odświeżenie pamięci” zatrzymanego.

Tym razem, przyglądając się Sysemu, wyczuwał w nim hardość i, pocierając kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki od środka górnej wargi na zewnątrz zakrzywione z tatarską ku dołowi wąsy, zastanawiał się, jak złamać tego chłopaka, który w przeciwieństwie do innych uciekinierów, z jakimi kapitan miał zazwyczaj do czynienia, posiadał dostatecznie dużo czasu

na ułożenie sobie wiarygodnej bajeczki. Jednak to, co nastąpiło w ciągu kilku kolejnych godzin, zaskoczyło nawet takiego starego wygę jak Ojszko.

– No to jak było, koleżko? – zapytał kapitan, przerywając przedłużające się milczenie znudzonym głosem, ziewając w wystudiowany sposób.

– Panie kapitanie, nie będę pana oszukiwał, bo to przecież nie ma sensu – odparł Sisy bez zastanowienia, żywo, jakby od dawna czekając na to pytanie.

– Brawo, Sierioża, daleko zajdziesz. Wal.

– To wszystko przez dziewczynę – powiedział konfidencyjnym tonem Sisy, nachylając się nad biurkiem.

– Siedź prosto. – Ojszko wziął długopis do ręki i otworzył akta. – W końcu jakaś pikantna historia. Zamieniam się w słuch.

– Nie bardzo, ale faktycznie mogła być – rozmarzył się Sisy. – Poznaliśmy ją z Andrzejem w Warszawie na dworcu.

– Kiedy?

– Jakieś dziesięć dni temu. My wracaliśmy akurat z Kutna, a ona wyjeżdżała do siebie do Katowic.

– I pewnie nawet nie wiesz, jak się nazywała?

– Oczywiście, że wiem. Jola. Jola Dąbrowska. Zaczepiliśmy ją. Podobała się nam obu: i Andrzejowi, i mnie. Rozmawialiśmy chwilę i od razu wyczuliśmy, że ona jest chętna, tylko nie było wiadomo, którego z nas wybierze. Umówiliśmy się z nią za cztery dni na dworcu w Katowicach. Postanowiliśmy jechać obaj i dać jej wybór. Ale wie pan, jak to jest; pieniędzy nie mieliśmy za wiele, a chcieliśmy dziewczynie zaimponować, więc postanowiliśmy zaoszczędzić na biletach. Kupiliśmy tylko do Kuluszek, a potem to pan już wie, wleźliśmy na górę. Tam ciemno było, pociąg monotonnie stukał, więc zasnęliśmy, a jak się obudziliśmy, to nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, w wagonie był tłok, ciągle ktoś do toalety wchodził, nie było jak wyjść i się zorientować. I tak jakoś niespecjalnie tę granicę przekroczyliśmy. Ale wie pan co? Najbardziej wkurwiony jestem, że z tą Jolą się nie spotkaliśmy. Mówię panu, warta grzechu. Miała takie fajne dołeczki, jak się uśmiechała.

Ojszko pokiwał z uznaniem głową; takiej historii jeszcze nie słyszał, podobali mu się ci chłopcy, czuł przez skórę, że tym razem śledztwo wymknie się nieco rutynie.

– A do Kutna po co jeździliście? – zapytał zniechęcony.

– Odwiedzić ciotkę Andrzeja – odpowiedział bez zająknięcia Sysy.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem dokładnie. Andrzej też nie pamiętał, wiedział tylko, że Krysia i gdzie mieszka. Ale jej nie znaleźliśmy. Chyba się wyprowadziła.

– To kiepsko. – Kapitan z troską pokiwał głową. – Dobrze by było, żeby ktoś potwierdził waszą wersję.

Syzy zamyślił się i nagle pstryknął palcami.

– Jest ktoś taki! – zawołał.

– Kto? – spytał Ojczko z wystudiowanym zainteresowaniem, zmrużył oczy, udając, że daje wciągnąć się w grę.

– W stronę Kutna jechaliśmy w przedziale z takim jednym śmiesznym facetem. Zygmunt Bluszcz się nazywał. Krawiec z Pragi.

– Czech?

– Nie, z Pragi w Warszawie.

– Dobra, sprawdzimy to.

Siedzieli znów w milczeniu, kapitan notował coś w dokumentach, a Sysy – bardzo z siebie zadowolony – rozglądał się po skromnie umeblowanym gabinecie, czekając na dalsze pytania.

– Czyli jechaliście do Katowic, tak? – zapytał raz jeszcze kapitan, nie podnosząc wzroku znad papierów.

– Tak jest, panie kapitanie!

– Obywatelu kapitanie, obywatelu. W porządku, Sierioża – wstał, oparł się o biurko i spojrzał w oczy Sysemu – teraz ty z kolei odpoczniesz, a ja pogadam sobie z tym drugim próżniakiem, Wanią – powiedział, naciskając przycisk pod blatem biurka...

Weszli w mroczne podwórko, cztery rachityczne żarówki żarzyły się skromnie nad czterema wejściami na cztery klatki schodowe, szczytem długiego odrapanego muru, okalającego podwórze od strony skarpy, goniły się z wrzaskiem dwa bure koty, wiatr targał rosnące za ogrodzeniem – już na terenie Jutrzenki – strzeliste, pozbawione liści topole. Całą drogę od Rutkowskiego przeszli w milczeniu, żaden z nich nie odezwał się słowem, ani

na Nowym Świecie, ani kiedy mijali oświetlony monumentalnymi kandelabrami Dom Partii, nic nie mówili także, przechodząc obok pękatej bryły kościoła Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży, z zaciśniętymi ustami okrążyli ciężki, kamienny budynek dawnej YMCA, gdzie mieścił się basen, na którym w podstawówce w ramach lekcji WF-u uczyli się pływać, w ciszy przemknęli obok dyskretnie strzeżonej przez tajniaków rezydencji Gomułki w alei Na Skarpie, aż w końcu ciemnym, nieoświetlonym parkiem, a potem wzdłuż parkanu Jutrzenki dotarli do swojej trzypiętrowej kamienicy. W tym czasie każdy z nich trawił w sobie całkiem inne uczucia. Andrzej wściekły – zirytowany wycofaniem się Szczoty – zastanawiał się, czy w ogóle angażowanie kolegów we własne plany miało jakikolwiek sens; Szczota zawstydzony myślał o zawodzie, który sprawił najlepszemu przyjacielowi, i główkował, w jaki sposób naprawić to, co w jego przekonaniu spartolił; Ssysy czuł drobną satysfakcję z odmowy Waldka, ale i złość na siebie, że nie poszedł w jego ślady, tylko znów wdał się w rywalizację z Kochanem, a Maniek w zasadzie nie myślał o niczym szczególnym, jednak dostrzegając posępne milczenie przyjaciół, sam również siedział cicho, bojąc się wyskoczyć z czymś głupim, co mogłoby doprowadzić do ogólnej awantury.

Wchodząc na podwórko, już mieli rozejść się bez słowa do domów, kiedy wciąż zawstydzony Szczota zaproponował nieśmiało:

– Chłopaki, może chodźmy do mnie. Zastanowimy się, któredy moglibyście prysnąć i jak my z Mańkiem moglibyśmy wam pomóc.

– E tam, nie mam ochoty wysłuchiwać złośliwych uwag Iwony – odpowiedział kwaśno Kochan.

– Ale w domu nikogo nie ma. Ojciec stróżuje teraz na noc, a Iwona pojechała do babki do Jaktorowa i wróci dopiero jutro – namawiał już śmielej Szczota.

Wdrapali się na trzecie piętro, weszli do ciemnego mieszkania, przeszli długim korytarzem do wymalowanej olejną lamperią kuchni, gdzie usiedli przy wysokim stole, nakrytym kraciastą ceratą przytwierdzoną pinezkami do blatu, nad którym kołysała się naga niskowatowa żarówka.

– Zimno tu u ciebie. – Maniek rozcierał zmarznięte dłonie.

– Odkąd ojca wylali z drukarni, staramy się oszczędzać – odpowiedział Szczota. – W pokojach na razie w ogóle nie palimy. Tylko w kuchni.

– To dawaj, bo nam dupy do stołków przymarzną – ponagłał Maniek.

Szczota nabrał aluminiową wąską szufelką węgiel z ocynkowanego wiadra stojącego przy popielniku, pogrzebaczem odsunął fajerki z płyty; sypał powoli czarne grudy na błyskające nieśmiało z wnętrza kuchennego pieca resztki żaru, następnie otwierając drzwiczki, starał się wywołać cug i rozpalić ogień. Bez skutku. Powietrze nie chciało zaciągnąć. Od stołu oderwał się Sisy i pochylił nad płytą kuchenną.

– Odsuń się, ofermo. Puść mistrza. Pokażę ci, jak to się robi.

Dmuchał długo, miarowo w ciemną, odsłoniętą przez fajerki czeluść, aż powoli na jego twarzy zaczęła pojawiać się delikatna łuna rozpalanego ognia. Nagle, kiedy po raz kolejny nabierał głęboki haust powietrza, z paleniska uniosła się drobinka sadzy, zatańczyła nad płytą i zassana przez Sysego wleciała mu prosto do gardła. Nie zdążył się cofnąć, zakrztusił się i kaszłąc do wnętrza kuchennego pieca, wzbil w górę wielki snop iskier, które tańcząc, utworzyły nad jego głową świetlistą aureolę, a następnie zaczęły osiadać na twarzy, parząc ją dotkliwie w wielu miejscach. Boguś odskoczył od kuchni i ze straszliwym wrzaskiem puścił się w kłus po pomieszczeniu, próbując dłońmi strzepnąć z twarzy parzące ogniki. Maniek tymczasem przytomnie podbiegł do zlewu, wyciągnął z niego mokrą, kraciastą szmatę i zarzucił przyjacielowi na głowę. Oślepiony Sisy szarpnął się gwałtownie, wyrznął łbem wprost o kant kuchennej szafki, z której na podłogę posypały się ze stukotem drewniane, przywiezione przed laty z jakichś góralskich wczasów, zakurzone kubeczki, po czym zatoczył się i opadł z jękiem na stół. Kochan ściągnął mu ścierkę z głowy.

– Jak zwykle – westchnął, przyglądając się twarzy Sysego, na której czerwieniły się dziesiątki pulsujących niczym przy wysypce kropek, z rozbitego czoła sączyła się wąziutka strużka krwi. – Szczota, przynieś prędko jakiś krem, trzeba mu tę gębę jak najszybciej nasmarować. A ty zajmij się czołem – dodał w stronę Mańka, który ponownie wziął w rękę szmatę, podszedł z nią do zlewu, odkręcił z piskiem porcelanowy kurek nad kranem – zimna woda ciurkała, rozbijając się z brzękiem o żelazną emaliowaną powierzchnię – zmoczył ścierę, wrócił do pojękującego Sysego i przetał mu krwawiące czoło.

– Nivea może być? – zawołał z pokoju Szczota.

– Wszystko jedno. Dawaj – odpowiedział Kochan.

Jakiś czas później siedzieli nad stołem pochyleni nad rozłożonym na ceracie grubym tomem encyklopedii, otwartej na fizycznej mapie Europy.

– Te czarne to linie kolejowe – powiedział, pokazując palcem, Szczota.

– Też odkrycie, przecież wiemy – obruszył się Maniek.

„Która, do cholery, powiedzie nas ku wolności?”, zastanawiali się, śledząc wzrokiem przecinające kontynent we wszystkich kierunkach czarne nitki i próbując znaleźć wyjście z patowej sytuacji.

– Znów przez Wiedeń? – zapytał Ssysy, przyciskając mokrą ścierkę do czoła i wykrzywiając z bólu twarz pokrytą białymi, tłustymi kropami kremu. Piekło jak diabli.

– Bez sensu – oponował Szczota. – Tam też będzie dokładna kontrola. Żelazna kurtyna.

– No to jak? – Ból wzmagał w Sysym irytację. – Na zachód nie, na południe też nie. To którą?

– Na wschód, przez Sybir, co? – zaśmiał się Maniek.

– Ty mądralo, nie bądź taki dowcipny, skoro nie jedziesz – usadził go Kochan. – A może przez Węgry, może na madziarsko-austriackiej granicy nie będą tak trzepać?

– Nie sądzę – powątpiewał Szczota.

– Kochan, a gdyby tak samolotem, co? – zapytał Maniek. – Czytaliście wczoraj w „Życiu Warszawy” o tym porwaniu?

– Nie, opowiadaj – zaciekał się Szczota.

– Dwóch facetów w samolocie do Berlina weszło już nad samym miastem do kabiny pilotów i sterroryzowało załogę pistoletami – egzaltował się Maniek. – Kazali siadać na Tempelhof, ale tam był za duży tłok, żeby bez radia lądować.

– Bez radia?

– No tak, bo w międzyczasie zdzielili radiotelegrafistę w łeb, że przytomność stracił, i kazali wyłączyć radio. Więc pilot latał przez czterdzieści pięć minut nad Berlinem Zachodnim i kilka razy próbował kierować się w stronę Wschodniego, ale goście to szemrane cwaniaki byli, bo co pilot zbliżał się do wschodniej strony miasta, to oni mu spluwę do karku przystawiali i kazali zawracać. W końcu samolot wylądował na

lotnisku Tegel we francuskim sektorze okupacyjnym, a porywacze oddali się w ręce francuskich żandarmów. Słyszysz Kochan? Francuskich.

– Maniek, ty to jednak durny jesteś – zaśmiał się Andrzej. – Przecież coś takiego pachnie kryminałem na lata. A nawet gdybyśmy się zdecydowali, to po pierwsze: skąd spluwy?

– To akurat da się załatwić.

– Po drugie: na lot do Berlina Wschodniego też trzeba mieć paszporty. Po trzecie: po tej sprawie, o której opowiadasz, teraz na pewno na lotniskach będą dużo bardziej szczegółowe kontrole. Lepiej zastanówmy się, którądy zwiać klasycznie, pod dachem pociągu.

– Tak mi tylko przyszło do głowy – bronił się Maniek, pochylając się ponownie nad encyklopedią.

Wpatrywali się w mapę, minuty mijały, a oni nie potrafili znaleźć rozwiązania. Wreszcie zniecierpliwiony Maniek przewrócił stronę encyklopedii, na następnej była kolejna, tym razem polityczna mapa Europy. Polska wyglądała na niej jak wyspa na komunistycznym morzu, jedyny socjalistyczny kraj bez żadnej granicy z wolnym światem. Jak się stąd wydostać? Andrzej, błędząc wzrokiem po kolorowych konturach, czytał półgłosem nazwy obcych, znanych jedynie z lekcji geografii, państw. Nagle zatrzymał się i uśmiechnął triumfująco, stukając palcem w tomisko.

– Mam! – krzyknął.

– Co takiego? – Pozostali podskoczyli, jakby wybudzeni gwałtownie z głębokiego snu.

– Pamiętacie, co gadał ten grubas w pociągu?

– Nie za bardzo. Nie znam człowieka. Jaki grubas, co? – spytał Maniek.

– Oj, Maniek, przestań się wygłupiać. Ten tłusciuch, pamiętacie, kiedy mówił, dokąd jedzie?

– „Do Berlina popylam” – zapiszczał Sisy.

– Właśnie, ale po co?

– Zdaje się, po jakieś materiały krawieckie?

– Otóż to! – triumfował Kochan. – Po materiały, które miał mu załatwić jakiś jugol. Rozumiecie?

– Nie za bardzo.

– Jugosławia! – Andrzej pokazał na różowy kontur na mapie. – Słuchajcie: to jest niby kraj socjalistyczny, a więc na granicy jugosłowiańsko-węgierskiej nie powinno być takich drobiazgowych kontroli. A jak wiecie, i przykład handlarza, z którym nasz krawiec miał się spotkać, to potwierdza, Tito – równy gość – nie jest tak zawzięty jak cała reszta demoludów w zakazie wypuszczania swoich obywateli na Zachód. Do Jugosławii nie będzie trudno się dostać, a potem – co ważniejsze – z niej wydostać. Ssysy, robimy tak: najpierw jedziemy pociągiem do Belgradu – Andrzej palcem na mapie kreślił marszrutę ucieczki – a stamtąd zasuwamy do Wolnego Miasta Triestu, z którego dalej mamy już prostą drogę do Włoch!

– Kochan, ty to masz łeb, to jest świetny pomysł! Byle tylko klapy w suficie wagonu były – powiedział Szczota z autentycznym podziwem.

– Co ty na to, Ssysy? – Andrzej spojrzał w stronę wysmarowanego kremem przyjaciela.

Bogusiowi było wszystko jedno – marzył jedynie o położeniu się do łóżka i nakryciu poparzonej twarzy mokrym zimnym ręcznikiem – pokiwał więc twierdząco głową, wstał od stołu i powiedział zboląłym głosem:

– Ekstra. Jedziemy do Jugosławii...

Ojszko z zadowolenia zacierał ręce, nareszcie przełom. Po czterech dniach, a raczej nocach przesłuchań śledztwo w końcu ruszyło do przodu.

– Siadaj do maszyny – krzyknął do stojącego w progu gabinetu szeregowego. – Pogimnastykujesz paluchy. Podyktuję ci raport dla pułkownika.

Początkowo na tych małolatów nic nie działało, trzymali się swojej wersji wydarzeń i nie dawali zaskoczyć żadnym pytaniem, przekonać do zmiany zeznań żadnym dobrym słowem ani tym bardziej groźbą, ich bajeczka – choć nieprawdopodobna – była spójna i logiczna, widać było, że mieli w bród czasu, żeby ją ułożyć, przemyśleć i dopracować w najdrobniejszych szczegółach. Już pierwszej nocy Ojszko wzywał na przesłuchania każdego z chłopaków po kilka razy, zadawał dziesiątki – czasem na pozór niezwiązanych ze sprawą – pytań, szukał słabych punktów, starał się zmęczyć aresztantów. Wszystko na nic. Uparcie obstawali przy swojej wersji. Drugiego dnia kapitan zmienił taktykę. Przesłuchanie zaczął od Kochana, którego męczył – bez efektów – przez pół nocy, potem odesłał go do celi i

wziął się za Sysego, któremu starał się wmówić, że Andrzej pękł i przyznał się do świadomego nielegalnego przekroczenia granicy PRL i chęci ucieczki na Zachód. Ale Sysy tylko zmierzył oficera pogardliwym spojrzeniem i wzruszając ramionami, powiedział: „Może i się przyznał, ja tam nie wiem. Prawda jest taka, że, jak zeznałem pierwszego dnia, jechaliśmy do dziewczyny, do Katowic. Granicę przekroczyliśmy może i nielegalnie, ale niespecjalnie i nieświadomie”. Świtało. Kolejna seria przesłuchań zakończyła się fiaskiem.

Kapitan z każdą godziną tracił cierpliwość, ale drugiej nocy jeszcze utrzymał nerwy na wodzy, co już mu się nie udało trzeciej. Zaczęło się od tego, że na samym wstępie przesłuchań zwracając się do podejrzanych, przestał używać rosyjskich imion, a Wanię i Sieriożę zastąpili Hans i Kurt, był to niezawodny znak dla podwładnych Ojszki, że kapitan znajduje się na granicy wybuchu, który wkrótce, byli o tym przekonani, nastąpi. Niewinna, choć niepozbawiona złośliwości, wypowiedziana sarkastycznym tonem uwaga Kochana na temat pogubienia się w rachunkach podczas obliczania stacji, na jakiej należało opuścić schowek w pociągu, wywołała furję wopisty; rzucił się w stronę Andrzeja, wrzeszcząc: „Zaraz odświeżę ci pamięć, lebiego”, i walnął go z całej siły otwartą dłońią w lewe ucho. Zaskoczony Kochan spokorniał, ale zeznań nie zmienił. Podobna nieprzyjemność – z podobnym skutkiem – spotkała również Sysego. Twarze chłopców napuchły, charaktery nie zmiękły.

Szukając jakiegoś punktu zaczepienia, czwartą rundę przesłuchań Ojszko zaczął od wzięcia na spytki żołnierzy konwojujących obu uciekinierów z Warszawy do Zebrzydowic i wreszcie znalazł to, czego szukał. Straszeni przez pół nocy starszy kapral i kapral początkowo o niczym nie chcieli mówić, twierdząc, że w czasie konwoju nie wydarzyło się nic szczególnego, dopiero groźba poważnych restrykcji, w razie gdyby w trakcie śledztwa okazało się, że w jakikolwiek sposób uchybili regulaminowi, i obietnica, że jeśli sami się przyznają, to nie zostaną wyciągnięte wobec nich żadne konsekwencje, skłoniła wopistów po dłuższym wahaniu do opowiedzenia historii wysłanych przez aresztantów kartek pocztowych i podania nazwiska ich adresata. Tym razem grubo po północy jako pierwszy do pokoju przesłuchań wezwany został Sysy. Kapitan opowiedział mu o widokówkach, przekonując, że wiedzę tę posiada od złamanego w śledztwie Kochana. To z kolei złamało Sysego, niemal natychmiast ze zwieszoną głową przyznał się do

wszystkiego, podobnie jak – chociaż po dłuższej, toczonyj w zaciętym milczeniu wewnętrznej walce – wprowadzony po nim do gabinetu Andrzej.

– Przeczytaj teraz całość, co tam nasmarowaliśmy – zawołał Ojszko do walącego dwoma palcami w klawiaturę szeregowego, kiedy ten postawił wreszcie ostatnią kropkę w raporcie. Żołnierz wykręcił kartkę z maszyny do pisania i zaczął czytać, starając się nadać swojemu głosowi dramatyczny ton:

– Szef Wydziału Drugiego Górnośląskiej...

– Dalej – przerwał mu kapitan.

– Dotyczy zatrzymanych Czerwonki Bogusława i Kochańskiego Andrzeja. W dniu 29 października 1969 roku około godziny 17.00 na lotnisko Warszawa-Okęcie przetransportowani zostali wyżej wymienieni...

– Jeszcze dalej.

– W przedmiotowej sprawie dnia 30 października 1969 roku wszczęliśmy dochodzenie. Przesłuchani w charakterze podejrzanych wyjaśnili zgodnie, iż rzekomo w dniu 21 października na Dworcu Głównym w Warszawie zapoznali przygodnie kobietę o nazwisku Jolanta Dąbrowska z Katowic – w nawiasie, bliższego adresu nie znają, koniec nawiasu – z którą umówili się na spotkanie na dworcu w Katowicach na dzień 25 października. W związku z tym tego dnia wsiedli do pociągu pospiesznego z zamiarem dostania się do Katowic. Nie mając pieniędzy na opłacenie całego biletu kolejowego, wykupili bilety jedynie do Koluszek. Resztę podróży postanowili odbyć bez ważnego biletu. Celem uniknięcia kontroli ukryli się w ubikacji w szafce pod sufitem. Ukryci w ten sposób rzekomo przespali stację Katowice, a w trakcie dalszej podróży nie mogli wydostać się z ukrycia z uwagi na duży tłok w pociągu. W ten sposób niezamierzenie przekroczyli granicę państwową z Polski do Czechosłowacji przez GPK Zebrzydowice. Wyjaśnienia wymienionych co do celu nielegalnego przekroczenia granicy budziły poważne wątpliwości. W toku dalszych przesłuchań drogą stawiania odpowiednich pytań aresztowani odwołali swe pierwotne wyjaśnienia. Oświadczyli oni zgodnie, iż Jolanta Dąbrowska nie istnieje, gdyż jest ona ich wymysłem. Wyjaśniając początkowo, iż jechali do niej na spotkanie do Katowic, chcieli w ten sposób stworzyć pozory nieświadomego przekroczenia granicy państwowej. Legendę tą uzgodnili między sobą – jak wyjaśniają – w drodze powrotnej do Polski w samolocie i w areszcie, gdzie noc z 29 na 30 października spędzili w jednej celi. Wyjaśnili oni, iż decyzję

ucieczki z kraju podjęli...

– Dobrze, wystarczy. Pokaż mi ten papier. – Ojszko czytał raport w skupieniu. – Weź drugą kartkę, dopiszemy coś jeszcze.

Szeregowy wkręcił kolejną kartkę w maszynę, a kapitan zaczął dyktować monotonnym głosem, któremu towarzyszył suchy stuk klawiszy:

– Wymienieni wyjaśniają, iż planowali zbiec na stałe do Francji. Andrzej Kochański posiada tam matkę i wujka, który prowadzi zakład krawiecki i dobrze mu się powodzi. W związku z tym aresztowani twierdzą, iż po przedostaniu się do Francji poprawiliby oni swoje warunki bytowe. Od nowego wiersza. Obaj zatrzymani, wyjeżdżając z Warszawy, pozostawili w domu swoje dowody osobiste. Tożsamość ich została stwierdzona na podstawie paszportów konsularnych. I od nowego akapitu dodamy zdanie: O wynikach dalszego dochodzenia zamelduję dodatkowo. I na dole: pom, kropka, szefa oddziału śledczego WOP ka-pe-te, kropka, em-gie-er Jacek Ojszko. Daj mi to do podpisania.

– Obywatelu kapitanie, a co pułkownik z tym raportem zrobi? – zapytał szeregowy, podając oficerowi kartkę.

– Dopisze kilka zdań i prześle do zarządu zwiadu WOP w Warszawie...

Z zatłoczonego przystanku co chwila ktoś wychodził na ulicę, zerkając w głąb ciemnego Rozbratu i próbując wypatrzeć w oddali, na tle zwałów piachu, maszyn, szalunków i rusztowań budowanej Trasy Łazienkowskiej obłą, czerwoną sylwetkę autobusu. Od dziesięciu minut nic nie nadjechało, tłum zebrany wokół drewnianego słupa z okrągłym znakiem, z którego krzyczała wielka, czerwona litera A, gęstniał z każdą chwilą, ludzie zerkali na zegarki i narzekali, rozglądając się dookoła, taksując pozostałych i oceniając rozmiary ścisku, w jakim przyjdzie im podróżować do pracy. Dzień jak co dzień, ale każdy wychodząc z domu, miał nadzieję, że – być może tym razem, wbrew logice – autobus przyjedzie punktualnie, wewnątrz będzie ciepło, gdzieś pod oknem znajdzie się miejsce siedzące, wszyscy zdążą wcisnąć się do środka, zanim kierowca zatrzaśnie drzwi, w czasie drogi do pracy nie dojdzie do żadnej kłótni, a zamiast smrodu naftaliny, potu i czosnku, w powietrzu unosić się będzie przyjemna dla nosa woń wody kolońskiej i perfum. Tymczasem było jak zawsze; spóźnione autobusy wszystkich pięciu zatrzymujących się na tym przystanku linii, tłum większy niż mógł się

zmieścić wewnątrz, wściekłość w oczach pozostałych podróżnych, wisząca w powietrzu awantura i atakujący nozdrza, wyczuwalny nawet na zewnątrz, smrodek unoszący się z niedomytych ciał i nieświeżych oddechów.

Kochan, Sisy i Szczota nie mogli wyjść ze zdumienia, że o szóstej rano na ulicach warszawskiego – sennego w ciągu dnia – Powiśla panuje aż tak wielki ruch; przystanek pełen pasażerów, na postoju taksówek pod szkołą na Górnośląskiej krótki ogonek amatorów komfortowej jazdy, co kilka minut przemykający cichą ulicą samochód, zmierzające do otwartych właśnie sklepów uzbrojone w siatki gospodynie. O tej porze spodziewali się raczej pustych ulic, po których – być może – od czasu do czasu przemknie, jakby wstydząc się, że narusza poranną ciszę, robotnik podążający do fabryki na pierwszą zmianę, ewentualnie powracający z całonocnej libacji zataczający się pijaczyna. Zaskoczyła ich mnogość ludzi wokół słupa. Oparci o niewysoki murek ogrodzenia Ośrodka Sportu i Rekreacji zapalili pierwsze tego dnia papierosy i nerwowo spojrzeli na zegarki; Maniek jak zwykle się spóźniał. Jeszcze chwila i nie zdążą na dworzec. Wyteżali wzrok, patrząc w mroczną czeluść parku. Wreszcie w oddali, na tle betonowej okrągłej fontanny, zamajaczyła w ciemności niewyraźna drobna sylwetka. Pomachali ponaglająco na biegnącego w ich stronę Mańka, zaspany zatrzymał się przy krawężniku, przepuścił kopącego niemiłosiernie wartburga, przeciął kłusem ulicę i podbiegł do kolegów.

– Przepraszam, chłopaki – powiedział, przecierając zapuchniętą od zbyt krótkiego snu twarz – ojciec mnie dorwał, jak wychodziłem, i musiałem się tłumaczyć.

– Już to widzę – zadrwił Sisy – zaspaleś i tyle.

– Naprawdę. Już byłem w drzwiach, kiedy stanął za mną i się przypieprzył. A dokąd to idę o tej porze? A że nigdy tak wcześnie nie wychodzę. I tak dalej, i tak dalej. Dobrze, że matki nie obudził, bobym się chyba nie wyrwał.

– Nie gadaj...

– Sisy, przestań – przerwał sprzeczkę Kochan – przecież to nieważne. Mamy jeszcze dużo czasu. Masz wszystko? – zwrócił się do Mańka.

– Dwie mazowszanki – rozpiął kurtkę, pokazując seledynowe, litrowe butelki – i dwie dychy. – Poklepał się po kieszeni.

– Szczota? – pytał dalej Andrzej.

– Scyzoryk z otwieraczem, zapalki i rolka papieru toaletowego. Za ten

papier to mi się dostanie.

– Ssysy?

– Żarcie, wóda i fajki. – Potrząsnął siatką.

– Ja mam resztę pieniędzy, klucz, latarkę, świece i erosy [8](#). Możemy się pchać. – Pokazał na podjeżdżający autobus linii sto sześćdziesiąt sześć, na którego spotkanie rzucił się tłum pasażerów. Ciżba naparła na otwierające się z sykiem drzwi i wśród przekleństw, narzekań i postękiwań zaczęła ładować się do i tak już pełnego autobusu. Kolejni przystankowi atleci, dociskając barkami, ramionami, biodrami tych, którzy stali przed nimi, stawiali nogi na najniższym stopniu autobusowych schodków i pchani przez następnych, gnienieni ze wszystkich stron, powoli – centymetr po centymetrze – przesuwali się w głąb pojazdu. Impet, z jakim autobus połykał wsiadających, słabł, aż w końcu zniecierpliwiony kierowca wduśił czerwone przyciski na desce rozdzielczej i dwuskrzydłowe drzwi bezwzględnie się zasunęły, rozcinając zwarty do tej pory tłum i pozostawiając na przystanku sporą, wygrazającą pięściami w stronę czoła autobusu, grupę pechowców. Wrzask dziecka przy przednich drzwiach (matce udało się wsiąść do środka, ale nie dała już rady wciągnąć za sobą kilkuletniej córki) dał sygnał do chwilowego, krótkiego rozejmu pomiędzy walczącymi o miejsce wewnątrz pojazdu i zjednoczenia się we wspólnej krucjacie przeciw kierowcy, który ze zgrzytem wrzucał już bieg. Zaalarmowany krzykiem pasażerów, obrzucony wyzwiskami, otworzył niechętnie jeszcze raz przednie drzwi, wypchnięta przez tłum matka wyskoczyła na zewnątrz, łapiąc splakaną pociechę w ramiona, a jeden ze stojących na krawężniku przegranych w pierwszej rundzie zapasów próbował skorzystać z okazji do dogrywki i wślizgnąć się do wnętrza autobusu – nie zdążył, szofer wykazał się refleksem i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Silnik zaskowyczał i autobus ruszył ociężale, kierując się w stronę ulicy Książęcej, gdzie kierowca nie zatrzymując się, minął kolejny przystanek, a następnie mozolnie, z wielkim wysiłkiem, w żółtym tempie czerwony ogórek zaczął piąć się pod górę szeroką jezdnią w kierunku placu Trzech Krzyży.

Wewnątrz pojazdu zapanowała cisza, nikt ze ściśniętych do granic wytrzymałości pasażerów nie odzywał się, nikt nie komentował drogi, nikt nie wyrzekał na warunki, zapanowała obojętna, poranna apatia. W nastrój ten wkomponowali się też chłopcy, patrząc pozbawionym wyrazu wzrokiem za okno, jedynie Maniek, któremu ubrany w pilotkę zwałisty jegomość dociskał potężnym brzuszyskiem butelki mazowszanki do przepony, usiłował

bezsukutecznie złapać oddech i wodził otwartymi szeroko z przerażenia oczami wokół, szukał – na próżno – ratunku. Starał się obrócić, jednak mimo że zebrał całe, opadające z każdą chwilą siły, nie był w stanie drgnąć ani o centymetr. „Kurwa mać, zdusi mnie tu jak pluskwę”, myślał w panice. Próbował krzyknąć, ale z pozbawionych powietrza płuc nie wydobył się żaden głos. Na szczęście, kiedy zaczęło już robić mu się ciemno przed oczami, kierowca słabnącego z każdym metrem i stojącego niemal w miejscu autobusu postanowił zredukować bieg; skrzynia jęknęła, a pojazd szarpnął gwałtownie, wprawiając w falowanie sprasowaną wewnątrz ciżbę. Olbrzym w pilotce zachwiał się, przechylił do przodu i oparł na blond piękności w upiętym wysoko koku i rogowych okularach, która ze złośliwą satysfakcją wbiła mu obcas szpilki w stopę. Mężczyzna zasyczał, łzy zakręciły mu się w oczach, ale bez słowa mężnie zniósł cios, a Maniek, korzystając z zamieszania i chwilowej niewielkiej swobody ruchów, odwrócił się bokiem do wielkiego faceta i łapczywie zaczął łykać powietrze. „Uratowany”, odetchnął w duchu.

Pozostali, nieświadomi kłopotów Mańka, obserwowali z pełną rezygnacją obojętnością, jak autobus, który tymczasem uporał się ze wzniesieniem wiślanej skarpy, skręcił w Nowy Świat, zatrzymał się na przystanku obok Domu Partii, gdzie wypuścił niewielką, wysypującą się niczym konfetti z pudełka grupę pasażerów, połknął kolejną, następnie wjechał w Aleje Jerozolimskie i ruszył ku budującemu się nowemu centrum miasta.

Wysiedli przy pachnącym jeszcze świeżością okrągłym przeszklonym owalu Rotundy i niesieni przez nurt przechodniów podryfowali w stronę Dworca Głównego.

– Ależ to bydlę góruje nad miastem. – Kochan patrzył na iglicę Pałacu Kultury. – Jak mówi wuj: „Ponury symbol sowieckiej dominacji”.

– Moim zdaniem nie jest taki zły. Wprawdzie na wieżę Eiffla nie wygląda, ale ma swój przyciężkawy urok – zaoponował Ssysy.

– I ty to mówisz? Przecież on stoi na miejscu, które było sercem drobnego warszawskiego handlu.

– Teraz handel będzie uspołeczniony. Z grubej rury, że się tak wyrażę – wtrącił Maniek, pokazując na budującą się z rozmachem Ścianę Wschodnią i puste na razie, wypełniane szkłem, szkielety Domów Towarowych Centrum. – Wszystko w jednym miejscu.

– Czysto i sterylnie – dorzucił z sarkazmem Kochan. – Chyba nie o to chodzi, co, Sysy?

– Czego chcesz? Nie mówię, że tak jest lepiej, ale drobny handelek nie zginie, nie bój się, teraz przeniósł się na Pragę – ripostował Boguś – a z uroków Pałacu Kultury trzeba korzystać. On tu stoi i już tego nie zmienisz. Będzie tu stał na wieki. Nic go nie ruszy. Kiedyś za sto lat może komuna upadnie, a on i tak dalej będzie tu stał. Przecież nikt go nie zburzy. Nigdy.

– I to właśnie jest przykre. Zawsze już będzie przypominał nam i kolejnym pokoleniom, że ledwo zipaliśmy pod bolszewickim butem, musieliśmy śpiewać tak, jak nam ruscy zagrali, i nie mieliśmy nic do gadania, nawet w kwestii wyglądu centrum naszej stolicy. To się, kurwa, w głowie nie mieści.

– Przesadzasz. Mnie on przypomina trochę ten amerykański drapacz chmur: Empire State Building. – Sysy nie dawał za wygraną. – I tak sobie myślę, że kiedyś, w przyszłości, to on może być nawet uznany za zabytek.

– Nie daj Boże!

– Ja to słyszałem – odezwał się milczący do tej pory Szczota – że mieszkańcy innych miast to nam tego pałacu zazdroszczą.

– To niech go sobie w pizdu zabierają, chętnie chuja oddam.

– Tylko że ty stąd wyjeżdżasz – wtrącił Maniek.

– Macie rację. Trochę mnie ponosi, jak patrzę na to paskudztwo.

Dotarli do dworca. Kochan kupił trzy bilety do Kolušek i ponownie, tak jak cztery dni wcześniej, stanęli na peronie, żegnając się z Mańkiem. Pociąg wjechał na stację punktualnie kwadrans po siódmej, odszukali wagon jadący do Belgradu, uścisnęli przyjaciela i wsiedli do środka. Zajętych było niewiele miejsc, znaleźli pusty przedział i usiedli na kanapie.

– Kochan, sprawdź, czy tym razem jest kłapa, żebyśmy znów nie jechali na darmo – zaproponował Sysy. – Najwyżej wysiadziemy na Zachodniej.

– Słusznie. – Andrzej wyszedł z przedziału, a pociąg z gwizdem ruszył ze stacji. Otworzył drzwi do toalety. Była czysta. „Jeszcze. To dopiero początek podróży”, pomyślał i spojrzał nad muszlę klozetową, na ścianę, do której przytwierdzony był plan instalacji wodnej. Odetchnął i wszedł do środka, a następnie rozpiął spodnie i z westchnieniem ulgi się wysikał. Spojrzał w górę, w suficie zobaczył kwadrat wjazdu. Wdrapał się na metalowy sedes i przyłożył klucz do otwierania przedziałów do trójkątnego zamka w klapie.

Pasował. Zadowolony Kochan pokiwał głową. Nagle pociąg z piskiem zaczął hamować, szarpiąc wagonami. Andrzej poślizgnął się i spadł z muszli, uderzając się boleśnie w piszczel. „Warszawa Zachodnia – pomyślał, a ręką roztarł stłuczoną nogę – posiedzę tu, dopóki nie ruszy, żeby ktoś nie zaczął czegoś podejrzewać. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem”. Spojrzał w lustro i puścił oko do uśmiechającego się w jego stronę przystojnego chłopaka. Słyszał, jak za drzwiami nowi podróżni ze stukiem waliz i postępując z wysiłku, wsiadają do pociągu, dolatywały do niego słowa pożegnań, ale i zniecierpliwionych ponagień, wypowiedzianych przez pasażerów oczekujących na swoją kolej do wdrapania się na niewygodne metalowe schodki. Wreszcie trzasnęły zamykane drzwi, za oknem na peronie rozległ się przeciągły sygnał gwizdka, wagon zatańczył, kołysząc się w przód i tył. Andrzej uchwycił się umywalki, łapiąc równowagę, i spojrział ponownie w lustro. Pociąg nabierał rozpędu i opuszczał Warszawę.

Tym razem wiedział, że już się nie cofnie. Rezygnacja Mańka, rejterada Szczoty sprawiły, że na chwilę zwątpił, czy aby sposób ucieczki, który wybrał, jest najlepszy, czy plan, który skonstruował, nie ma zbyt wielu słabych punktów, czy ryzyko, które wkalkulował, nie jest za duże, czy na pewno potrzebuje towarzystwa Sysego? Przez ostatnie dni analizował całą sytuację wielokrotnie i na wszystkie pytania odpowiadał sobie twierdząco, doszedł do przekonania, że trasa, jaką obmyślił, i miejsce ukrycia w pociągu są optymalne. Przez cały ostatni rok, od wpadki na czechosłowacko-austriackiej granicy, Kochan ani na moment nie porzucił myśli o ucieczce do Francji. Do pobudek ekonomiczno-rodzinnych dołączyła sportowa chęć przechytrzenia gnębiącego go systemu, zagrania na nosie tym wszystkim tępych urzędasom, oszukania ograniczonych funkcjonariuszy, stosujących bezrefleksyjnie absurdalne przepisy i zarządzenia, których tak długo jak mieszkał w Polsce Ludowej, nie dostrzegął z taką ostrością, z jaką zaczął je widzieć z perspektywy Zachodu. Dopiero we Francji zrozumiał, czym jest wolność, pojął cały bezsens komunizmu. A mimo to dopóki nie wrócił, żeby odsłużyć wojsko, nie wyzbył się pewnej – właściwej mu – naiwności, dlatego z takim zdumieniem przyjął odmowę wydania paszportu i dlatego z tym większą zawziętością postanowił – wściekły na siebie za tę naiwność – wbrew zakazowi, nielegalnie, za wszelką cenę z Polski wyjechać.

W czasie śledztwa, w trakcie procesu i po wyjściu na kontrolowaną wizytami dzielnicowego i spotkaniem u kuratora wolność wciąż główkował,

próbując odkryć punkt, w którym podczas pierwszej ucieczki popełnili błąd, ale i starając się znaleźć nowy sposób na wydostanie się z kraju. Rozważał różne opcje, nawet te najbardziej nieprawdopodobne: myślał o ukryciu się na statku, zamelinowaniu na promie płynącym do Szwecji, przekupieniu kierowcy tira i wciśnięciu się do jakiejś zmyślnej skrytki w ciężarówce. Przez długi czas, odkąd usłyszał, że na lotnisku w Budapeszcie, w strefie tranzytowej, nie ma żadnych barier oddzielających podróżnych udających się do krajów tak zwanej demokracji ludowej od tych jadących na Zachód i wystarczyło, lądując w tej strefie, wymienić się biletami, aby już przez nikogo nieniepokoiony polecieć w zakazanym kierunku, snuł plany ucieczki w ten właśnie sposób. Sondował możliwości otrzymania paszportu uprawniającego do wyjazdu do demoludów pomimo ciąży na nim wyroku i odbytej niedawno służby wojskowej, sprawdzał kierunki, w których podróż wymagała przesiadki w Budapeszcie, orientował się w cenach biletów lotniczych. Pomysł wydawał się wyśmienity, ale trudności – paszport i pieniądze na bilet – nie do przewyciężenia.

I kiedy był już bliski rezygnacji, kiedy wydawało mu się, że nie będzie w stanie znaleźć niezawodnego lub choćby dającego nadzieję na wydostanie się z matni PRL-u sposobu ucieczki, wybrał się z kolegami pociągiem do Zakopanego, gdzie odkrył klapę – służę ku wolności. Później był trochę zły na siebie, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł, prosty, ale w swojej prostocie genialny, choć niepozbawiony ryzyka. Pierwsza próba wyjazdu rzeczywiście nie była do końca przemyślana. Ta gówniara Iwona miała rację; kierunek, który wówczas wybrali, był piekielnie niebezpieczny. Niemiecko-niemiecka granica to najpilniej chyba strzeżone miejsce na świecie i dobrze się stało, że w pociągu nie było klap na górę (może zresztą właśnie dlatego, żeby nikomu nawet nie przyszła do głowy myśl o ucieczce tym sposobem, aby nikt nie próbował się tam ładować) – ale teraz Andrzej miał wrażenie, że w końcu uśmiechnęło się do nich szczęście i los zapalił im wreszcie zielone światło. Trasa, na jaką tym razem się zdecydowali, wydawała się w miarę bezpieczna, właz w suficie był na swoim miejscu...

Rozległo się natarczywe stukanie do drzwi. Kochan otrząsnął się i przekręcił zamek, w progu stało tłuste babsko w jesionce z kołnierzem ze sztucznego lisa i futrzanej szarej czapce z daszkiem i mierzyło Andrzeja groźnym spojrzeniem spod przymrużonych wymalowanych jaskrawym niebieskim cieniem oczu.

– Co to za niekończące się posiadówki? – wrzasnęła skrzekliwym głosem i wyděła obfite wargi.

– Przepraszam. Proszę uprzejmie. – Kochan próbował wyminąć okazałe kształty.

– Pewnieś zapaskudził całą toaletę. – Usiłowała chwycić grubymi paluchami za kark Andrzeja, stosującego uniki niczym tańczący w ringu bokser. – Zaraz się przekonamy.

– Pani wybaczy, trochę się spieszę. – Naparł na damę, ale ta ani drgnęła.

– Trzeba było się spieszyć, jak żeś tam, zbrojeńcu, świństwa uskuteczniał. – Zamierzyła się torebką.

– Co tu się dzieje? – Zza pleców kobiety doleciał niski głos. Ustąpiła miejsca i w drzwiach ubikacji stanął wystrojony w mundur i kolejarską czapkę konduktor.

– Niech pan sam zobaczy. Świntuch. – Wycelowała oskarżycielsko tłusty palec w stronę rozpiętego rozporoka spodni Kochana. – Ekshibicjonista. U nasz w parku pełno takich grasuje, znam ja się na nich.

Speszony Andrzej pospiesznie zapiął spodnie i wydukał:

– Przepraszam, nie zauważyłem.

– O tam...

– Dobrze, dobrze. Niech no już się pani uspokoi. Zaraz się wszystkim zajmę. Bilet ma?

– Oczywiście. – Kochan poklepał się po kieszeniach. – To znaczy, kolega ma, w przedziale.

– To chodźmy. – Ruszyli we trójkę w stronę przedziału, gdzie przez oszklone drzwi zobaczyli Szczotę mocującego się z ogromną tekturową walizką, którą usiłował wrzucić na półkę; postawił ją sobie na głowie, podłożył pod spód dłonie i starał się, niczym ciężarowiec w podrzucie, wyprostować ręce w łokciach.

– Z krzyża ją – komenderował fachowo Ssysy, zerkając na postać siedzącą naprzeciw. Andrzej podążył za jego wzrokiem, zza zasłony w szybie dojrzał jedynie długie, zdające się nie mieć końca nogi w czarnych pończochach. Zamarł na chwilę, nie potrafiąc oderwać od nich oczu, do rzeczywistości przywołało go niecierpliwe poszturchiwanie kolejarza, odsunął drzwi. Ssysy się odwrócił.

– O w mordę – wybełkotał, widząc Kochana podtrzymywanego za łokieć przez konduktora. Słyszając to, Szczota z bagażem na głowie wykonał gwałtowny zwrot w stronę drzwi, waliza zachwiała się i runęła wprost na Sysego, uderzając go podkutym, ale na szczęście zaokrąglonym kantem w czoło, tuż obok plastra, którym zabezpieczona była niezagojona jeszcze rana po kontuzji odniesionej w starciu z szafką kuchenną w mieszkaniu Szczoty. Sysis złapał się za głowę i zgiął wpół.

– O Boże! Nic się panu nie stało? – odezwał się wdzięczny, lekko schrypnięty zatrwożony głosik, z miejsca w kącie przedziału poderwała się smukła właścicielka długich zgrabnych nóg i pochyliła nad Bogusiem.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie będzie – odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

– To przeze mnie. – Próbowała oderwać rękę Sysego od czoła i ocenić rozmiar zniszczeń.

– Wcale nie. To przez tego oferwę. – Sysis rozcierał rosnącą na środku czoła śliwę, pokazując oczami na stojącego ze spuszczoną głową Szczotę.

– Bez przesady, ten pan był bardzo szarmancki. A pan chciał być kierownikiem i pana pokarało. – Widząc, że rannemu nic nie będzie, cofnęła się na miejsce, chwytając z zadowoleniem przesyłany w jej stronę uśmiech wdzięczności Szczoty.

– Sysis, daj bilety – powiedział bardziej rozbawiony niż przerażony całą sytuacją Kochan, wyciągając rękę w stronę przyjaciela. – Proszę bardzo. – Podał konduktorowi trzy beżowe kartonowe prostokąty z dziurką.

– Do Koluszek? W porządku, ale nie podobacie mi się, będę miał was na oku. A pani bilet? – zwrócił się do grubaski, śledzącej z niesmakiem zmagania z walizką.

– Mój? – zaskrzeczała i oblizwała ze zdenerwowania mięsiste wargi. – Gdzieś tu był. – Zaczęła nerwowo szperać pulchną dłonią w torebce. – Naprawdę miałam go tutaj, panie konduktorze kochany. – Jej ruchy stawały się coraz bardziej niespokojne.

– Nie róbmy zbiegowiska. Pani pozwoli ze mną. – Wskazał jej kierunek ręką, spojrział jeszcze raz w głąb przedziału i pogroził chłopcom palcem.

Kochan wszedł do środka i razem ze Szczotą wrzucili tekturową walizę na półkę. Usiedli na swoich miejscach.

– Ale żeś mnie wystraszył. Jak zobaczyłem cię z konduktorem, to myślałem, że już po nas. – Sisy wciąż trzymał się za obolałą głowę. Andrzej zgromił go wzrokiem, dyskretnie położył palec na ustach i wskazał brwiami na przysłuchującą się z zainteresowaniem dziewczynę.

– Panowie, jakieś tajemnice w towarzystwie? Nieładnie – powiedziała, a Kochan poczuł mrowienie w krzyżu. Obrócił się w jej stronę i zamarł. „Piękność”, pomyślał, taksując dziewczynę od stóp do głów. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat i dziewczęca płochość walczyła w niej z wybujałą, wiele obiecującą kobiecością, dając działającą niczym elektromagnes mieszankę. Ubrana była w kraciastą bordowo-czerwoną, krótką do pół uda spódnicę odsłaniającą jej zgrabne, długie nogi, czarny golf, opinający duże kształtne piersi – pomiędzy nimi umościł się masywny srebrny wisior – szare czółenka, którymi bawiła się, zsuwając od czasu do czasu z pięt czubkiem bucika, na wieszaku przy szklanych drzwiach wisiał beżowy krótki płaszcz; na płaskim brzuchu spłotła zadbane dłonie, przyozdobione dwoma wielkimi pierścieniami; delikatną, osadzoną na cienkiej smukłej szyi głowę okalały ciemne, proste, zawijające się na końcach ku policzkom włosy, podtrzymywane czarną aksamitną opaską z niewielką czerwoną kokardką z prawej strony; migdałowy kształt piwnych, dużych, szybko i ciekawie rozglądających się dookoła oczu uwydatniała kreska starannie wyrysowana kredką; drobny nosek i wąskie bladoróżowe usta, w których chowały się równiutkie białe zęby, nadawały jej twarzy delikatny, ale i zmysłowy charakter podkreślony jeszcze niewielkimi, zalotnymi dołeczkami, jakie robiły jej się w policzkach, kiedy się uśmiechała. Zaczęła mówić, a Kochan nie starając się zrozumieć słów, wsłuchiwał się w zabarwioną seksowną chrypką głos i czuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. To nie była kolejna pegeerówka ani dziewczyna, jakie widywał w sąsiedztwie. Dla takiej warto byłoby się zmienić, dla takiej... Jaka szkoda, że poznał ją właśnie teraz, że nie spotkali się kilka dni wcześniej.

– Te, Romeo, coś się tak zapatrzył? – rzucił złośliwie Sisy.

„Co za cham, wstydu tylko nam narobi. Dobrze, że nie ma tu z nami Mańka – ucieszył się w duchu Andrzej. – Ten to dopiero by nas zblamował swoimi wygłupami”.

– Pani pozwoli, że się przedstawię: Andrzej Kochański. – Uniósł się i ukłonił z nieco staromodną galanterią, trochę za poważną jak na ich młody wiek.

– Może mówmy sobie po imieniu – zaproponowała. – Jestem Ola. Ola Wybicka.

– Boguś Czerwonka.

– A ty?

Szczota spuścił oczy i wybełkotał niewyraźnie:

– Waldek... Wypijewski.

Uśmiechnęła się, podali sobie ręce.

– Jedziecie tylko do Koluszek? Jaka szkoda, ja aż do Katowic. Wracam do domu.

– A co robiłaś w Warszawie? – zapytał Kochan, patrząc w twarz dziewczyny, jednak kiedy spojrzała mu w oczy, odwrócił szybko wzrok – szczerze zdumiał się swoją reakcją.

– Odwiedziłam ciotkę. Ale to był tylko pretekst. Tak naprawdę to chciałam się zorientować, jakie mam szanse na studiowanie polonistyki na uniwerku.

– Aha – odpowiedział głupio Kochan. Nie potrafił znaleźć słów na podtrzymanie rozmowy.

– I są jakieś szanse? – włączył się Szczota, a Andrzej odetchnął.

– Oczywiście są, ale najpierw musi się trochę uspokoić. Teraz na uniwersytecie dzieją się dziwne rzeczy. Wiecie, co mam na myśli? – ściszyła głos.

– Już ja się domyślam, co ty tam masz na myśli, he, he – rzucił rubasznie Ssysy, Ola spojrzała na niego z dezaprobatą i wzruszyła ramionami.

– Nie zwracaj na niego uwagi, on tak zawsze. – Szczota również zgromił Sysego wzrokiem. – Słyszymy o różnych rzeczach, ale dużo w tym plotek, do końca nie wiadomo, co tam się wyrabia. W zeszłym roku to dopiero była zadyma.

– Jednak wciąż jest niespokojnie, na uniwerku pewnie dalej wrze. Musicie coś więcej o tym wiedzieć, w końcu jesteście z Warszawy.

Nic nie odpowiedzieli, patrząc bezradnie na siebie.

– A wy studiujecie?

– Hmm... – speszył się Szczota – na razie nie. Ale myślimy o tym. Nie, chłopaki? – Przytaknęli niemrawo, a Szczota zaczął roztaczać wizję przyszłych naukowych sukcesów, jakie czekały całą trójkę przyjaciół.

Kochan z rosnącym zdumieniem przysłuchiwał się rozmowie. Był zły. Przy Oli tracił pewność siebie, której teraz tak bardzo potrzebował, nie tylko aby przeprowadzić do końca to, co zaplanował, ale też po to, by oczarować tę piękną, zachwycającą dziewczynę. Tymczasem siedział milczący w kącie przedziału, na pytania odpowiadał zdawkowo, co chwila zerkał na Olę, ale nie umiał wytrzymać jej spojrzenia, odwracał wzrok i patrzył w szybę, nie potrafił epatować tym – tak u niego naturalnym na co dzień – urokiem, który sprawiał, że ludzie ku niemu lgnęli. Ze złością, ale też zaciekawiony i zaskoczony, obserwował nic porozumienia, jaka połączyła dziewczynę ze Szczotą. W rozmowie zwracała się prawie wyłącznie do niego, rzadziej do Andrzeja, ignorując niemal zupełnie Sysego, bawiły ją odpowiedzi, jakich udzielał Waldek, z zainteresowaniem słuchała jego wywodów, bo i – trzeba to było przyznać – Szczota mówił ciekawie, a mówiąc, zapalał się tak, jak to niemal nigdy mu się nie zdarzało. Perorował, gestykulował, stroił miny i zerkał nieśmiało w oczy uśmiechającej się w jego kierunku Oli.

Dziewczynę od razu zaciekawili ci tak różni od wszystkich znanych jej chłopaków warszawiacy, może najmniej ten siedzący naprzeciwko gburowaty, arogancki, obrzydliwie wciągający ślinę podczas mówienia Boguś, którego koledzy nazywali Sysym. Wciśnięty w kąt po jego prawej ręce Andrzej początkowo intrygował ją najbardziej – przystojny, o wesołym, a jednocześnie niezwykle seksownym spojrzeniu głęboko osadzonych oczu, ale był też jakoś dziwnie małomówny, jakby speszony, błędzący myślami gdzieś daleko, może po prostu nią niezainteresowany. Ten trzeci, Waldzio – taka pocziwa niezdara, pocieszny misio, nieśmiały i zawstydzony – wzbudzał w niej czułe opiekuńcze instynkty. Z początku odzywał się niewiele, ale widząc akceptację i szczerze zainteresowanie, z jakim go słuchała, z każdą chwilą rozkręcał się, a to, co mówił, było zabawne i interesujące – sympatia Oli do niego rosła z każdym pokonanym przez kołyszący się pociąg kilometrem, czuła, że nadają na tych samych falach.

„Zaraz Koluszki – pomyślał z trwogą, ale i odrobiną ulgi Kochan – trzeba się decydować w jedną albo drugą stronę”. Siedział jak na szpilkach, przysłuchiwał się rozmowie Szczoty z Olą, chciał się włączyć, pokazać z jak najlepszej strony, zainteresować dziewczynę sobą, jednak nie wiedział jak. Minuty mijały, instynkt podpowiadał mu, że już pora przywołać się do porządku, podnieść z kanapy, wyjść do toalety, uciekać, mimo to nie słuchał go, wciąż liczył na to, że dziewczyna zrobi jakiś wyraźny gest w jego stronę,

zachęci – nic takiego nie nastąpiło, Ola w dalszym ciągu rozmawiała niemal wyłącznie ze Szczotą. W szybie drzwi do przedziału pokazała się na chwilę sroga twarz konduktora, który ponownie pogroził im palcem. Andrzej wiedział, że to już ostatni moment – gdyby czuł, że ma chociaż minimalną szansę u Oli, wycofałby się. Nic na to nie wskazywało, a jednak nie potrafił się podnieść, powoli wpadał w panikę, wyglądało na to, że na kolegów też nie może liczyć; Szczota bez reszty pochłonięty był dziewczyną, a Sysy, po kilku zbytych przez Olę pogardliwym milczeniem uwagach, zapadł się w sobie i siedział obrażony, wpatrując się w okno. „Na co on się tak, kurwa, gapi?!”, zastanawiał się wściekle Andrzej i podążył wzrokiem za Sysym; w oddali wysadzaną drobnymi, pozbawionymi liści topolami, równoległą do torów kolejowych szosą pędziła w tym samym co pociąg kierunku żółta syrena 104. Z daleka samochód wyglądał jak resorówka, która puszczone w ruch niewidzialną ręką ścigała się z rozpędzoną lokomotywą. Niczym konie na wyścigowym torze to pociąg, to znowu auto wysuwały się o włos do przodu, próbując zdystansować przeciwnika. Żółty kształt rósł i malał na przemian w zależności od tego, czy droga zbliżała się, czy oddalała od kolejowego nasypu. Kochan jak zahipnotyzowany obserwował zmagania pojazdów, „trzyma się drynda”, myślał. Jeszcze raz spróbował się podnieść i ponownie nic z tego nie wyszło. I kiedy zdenerwowany sądził, że wszystko już przepadło, zupełnie niespodziewanie Szczota odwrócił się w jego stronę i zaskakująco pogodnie, z całkowitym spokojem powiedział:

– Za chwilę dojedziemy do Koluszek. Chyba pora na nas, co Andrzej?

– Tak, oczywiście. – Kochan próbował opanować nerwy. – Do widzenia, Olu. – Podał jej rękę i spojrzał przeciągle w ciemne, lekko przymrużone oczy; pierwszy raz wytrzymał jej spojrzenie, zawahał się, ale popychany przez żegnającego się Szczotę wyszedł z ociąganiem z przedziału. Stał na korytarzu, wciągnął w nozdrza zatęchłe powietrze i przymknął oczy – powoli wracał do rzeczywistości, jeszcze przez chwilę serce gwałtownie łomotało mu w piersi, ale i ono wracało wreszcie do właściwego rytmu. Tymczasem Szczota wykazywał podejrzenie obojętną rzeczowość.

– Co stoicie jak te kołki? – poganiał kolegów. – Jeśli się nie pospieszycie, to nic z tego nie będzie. Idziemy.

Ruszyli korytarzem w stronę toalety. Nagle naprzeciw wyrosła krzepka, odziana w mundur postać.

– Ale się pierdolony przyczepił – syknął Sysy, patrząc nienawistnie w

stronę konduktora.

– Niebawem dojedziemy do Koluszek – powiedział groźnie kolejarz. – Domyślam się, co kombinujecie. Nawet nie próbujcie się chować, macie tu wysiąść. W moim pociągu nikt na gapę nie będzie podróżował.

– No, co pan? My naprawdę tutaj kończymy jazdę. Tylko z toalety chcieliśmy jeszcze skorzystać.

– Ty to masz chyba pęcherz chory? – konduktor nie krył złośliwości.

– Być może – powiedział niecierpliwie Kochan i przecisnął się obok mężczyzny, pozostali poszli jego śladem. Andrzej odzyskiwał nadszarpniętą roztaczanym przez dziewczynę urokiem pewność siebie. Weszli do toalety i zatrzasnęli za sobą drzwi.

– Jak myślicie? – pytał Kochan. – Wiejemy czy nie? Ten skurwysyn na pewno zrobi aferę, jak nas nie zobaczy na peronie w Koluszkach.

– Nie ma obaw – przekonywał, jakby zaniepokojony czymś, Szczota – narobię takiego rabanu po wyjściu, że będzie mu się wydawało, że widzi nas wszystkich.

– A co ty myślisz, Ssysy?

– Zastanawiam się, czy nie pękasz, Andrzej.

– Wszystko jest pod kontrolą, jesteście świetnie przygotowani, szkoda zmarnować taką okazję – mówił wyjątkowo szybko jak na siebie, z jakąś dziwną rozpaczą w głosie, Szczota.

– Dobra, wiejemy – zdecydował w końcu Kochan, a Szczota radośnie go uściskał.

Otworzyli kłapę, wspięli się na górę i wychylili głowy przez otwór, kładąc się brzuchami na podłodze schowka. Andrzej podał Szczocie klucz.

– Zamknij nas i postaraj się po cichu wyjść z tego kibla. Mam nadzieję, że ta łajza nie waruje pod drzwiami.

– Na pewno nie. Poczekam, aż pociąg się zatrzyma. On wtedy musi wyjść na zewnątrz.

– To trzymaj się, Waldziu. Może za parę lat wypuszczą cię, to nas odwiedzisz.

– Andrzej – w Szczotę wstępowała dawna nieśmiała ociężałość – mam do was prośbę.

– Wal.

– Przyślijcie mi kartkę pocztową, jak dotrzecie na miejsce. Albo jeszcze lepiej z Triestu. Każdy z was po jednej.

– Kartkę pocztową? A po kiego...? – zdziwił się Sysy.

– Będę wiedział, że wam się udało.

– Dobrze, wyślemy. Teraz już zamykaj. Pociąg zaczyna hamować.

Szczota podniósł klapę i przekręcił oba zamki. W ciasnym pomieszczeniu zapanowała nieprzenikniona ciemność. Kochan sięgnął do kieszeni, wyjął latarkę i nacisnął przycisk; snop światła przeciął powietrze, w którym tańczyły drobinki poruszonego przez chłopców kurzu – najwyraźniej na górę od wielu miesięcy nikt nie zaglądał. Poczuli ulgę.

Od kilkunastu dni, od powrotu do Warszawy, Szczota znajdował się w szampańskim nastroju; był wesół, wszystko dookoła go cieszyło, radował się nawet późną, szarą jesienią, bez ociągania – jak nigdy wcześniej od śmierci matki – poszedł pierwszego listopada odwiedzić jej grób. Teraz z rękami w kieszeni, pogwizdując, szedł z Poczty Głównej, gdzie zamówił rozmowę międzymiastową, przez park do domu, minął bramę, uklonił się zamiatającej podwórko z klejących się do asfaltu liści, klnącej pod nosem Adamczykowej i wszedł na klatkę schodową. Nagle coś sobie przypomniał, zawrócił z podskokiem i wszedł ponownie w bramę, zbliżył się do skrzynek pocztowych i przez owalne, podłużne otwory w drzwiczkach zajrzał do wnętrza. Pusto. „Co jest? – zastanawiał się. – Już dawno powinno coś przyjść. Widać zapomnieli o mnie. Trudno”, wruszył ramionami, obrócił się na pięcie i wrócił na klatkę schodową. Wielkim kluczem otworzył drzwi, wszedł do zimnego przedpokoju, zdjął buty i w kapciach podreptał do nagrzanej kuchni. Przy płycie stała przepasana ścierką Iwona i mieszała drewnianą łyżką w zielonym emaliowanym, obtłuczonym garnku.

– Jesteś nareszcie. Ojciec wyszedł już do roboty. Zupę zjesz?

– Pewnie.

Usiadł przy stole, obserwując, jak Iwona nakłada kluski, a następnie nalewa wodnistą czerwoną ciecz. Postawiła przed nim talerz.

– A śmietany nie ma?

– Słuchaj, Waldziu – odpowiedziała, sadowiąc się na taborecie po drugiej

stronie stołu – może i jest, ale w sklepie. Nie ma pieniędzy. Myślę, że już przyszła pora, żebyś wziął się do roboty i trochę pomógł ojcu. Chyba że chcesz, żebym ja rzuciła szkołę i poszła do pracy, co?

– Oczywiście, że nie. Poszukam, obiecuję.

Zapadło milczenie. Szczota miarowo podnosił aluminiową łyżkę do ust, dmuchał i łykał, a Iwona siedząc naprzeciwko, przyglądała się bratu z troską. Nagle Waldek opuścił łyżkę na talerz i wyrzucił z siebie z determinacją:

– A co byś powiedziała, gdybym ci powiedział, że chcę studiować?

– Powiedziałabym ci, że żeby studiować, to chyba najpierw powinienes zdać maturę.

– No tak, ale gdybym już zdał, eksternistycznie?

– Słuchaj, jeśli znajdziesz pracę i pójdziesz do wieczorówki, to ja się będę bardzo cieszyć. Zobaczymy. – Zabrała pusty talerz i poszła z nim do zlewu.

– Aha – rzuciła przez ramię. – Ci twoi kolesie przysłali kartki pocztowe.

– Nareszcie! Gdzie są? – Szczota poderwał się gwałtownie od stołu.

– Położyłam na stoliku w pokoju.

Stanął w progu i rozejrzał się po skromnie umeblowanym pomieszczeniu; pod ścianą przykryta wzorzystą kapą wersalka, na której sypiał ojciec, niewysoki regalik, gdzie na półce obok trzynastotomowej encyklopedii ziała wielka dziura po skonfiskowanych przez milicję wojskowych mapach, rozklekotany telewizor Belweder z urwanymi pokrętłami i powyginaną anteną, w kącie zimny kafłowy piec, a na lewo od balkonowych drzwi dwa obdrapane krzesła przy małym stoliku przyozdobionym wielką czerwoną popielnicą z napisem „Pall Mall”. Na blacie zauważył widokówki, podbiegł i zamarł. Górnik i koło kopalnianej windy? Szczota opadł powoli na krzesło, podniósł pocztówki i przeczytał je kilkanaście razy, jakby starając się między kilkoma prostymi słowami wychwycić ukryte treści. Katowice? Wysiedli wcześniej? Pojechali do Oli? Niemożliwe! W takim razie wpadka na granicy! Ale dlaczego te kartki przyszły tak późno, dopiero po dziesięciu dniach, i kto zezwolił na ich wysłanie? Przecież to nie były więzienne grypsy, a jedynie normalne pocztowe kartki ze stemplami na znaczkach z całkiem świeżej serii. Szczota gubił się w domysłach, ale jedno wiedział na pewno – przyjaciółom ucieczka się nie udała, a skoro nie wracali też do Warszawy, to prawdopodobnie są aresztowani. To zwiastowało kłopoty również dla niego.

Leżeli na wznak, chciało im się palić, jednak nie sięgali do kieszeni, gdzie mieli schowane papierosy – już kilka godzin wcześniej, po krótkiej naradzie, ustalili, że na czas podróży pod dachem wagonu zrezygnują z fajek. Obawiali się, że jakiś wrażliwiec o czułym nosie mógłby wywąchać dym dobywający się z sufitu, pomyśleć, że kopci się któraś z instalacji, i wszcząć raban, lepiej było się przemęczyć. Ssysy namawiał Kochana na wypicie wódki, którą mieli ze sobą, ale Andrzej uparł się, żeby zostawić ją na później, uważał, że może przydać im się w Jugosławii, twierdził, że z Serbami najlepiej dogadać się za pomocą butelki z procentami, i mimo nalegań Bogusia, trwał uparcie przy swoim. Leżeli więc i nudzili się. Mijały minuty, godziny. Pociąg przystawał, słychać było harmider na dole. Próbowali wychwytywać dźwięki, rozmowy, hałasy, które mogłyby umiejscowić ich w przestrzeni, jednak odgłosy dolatujące do nich były zbyt słabe, za bardzo stłumione, aby mogli coś z tego zrozumieć. W migoczącym świetle świecy (Andrzej zapalił ją, gdy tylko, posługując się latarką, umościli się w jednej z przegród na środku schowka, a następnie, kapiąc woskiem na podłogę, przytwierdził do podłoża) obserwowali tańczące na dachu pociągu cienie, rzucane przez kołyszący się w rytm stukotu kół o szyny ogień. Powieki zaczęły im ciążyć, przez jakiś czas jeszcze próbowali walczyć z morzącym ich coraz natarczywiej snem – chcieli liczyć stacje, wiedzieć gdzie się znajdują, odmierzać czas, jaki pozostał im do upragnionego Belgradu – jednak walka ta była z góry przegrana. Najpierw zapadali w krótkie, męczące drzemki, wreszcie przyszedł twardy sen.

Kochan budząc się, szarpnął we śnie gwałtownie ramieniem, którym wyrócił i zgasił świecę. W ciemności łapczywie chwycił oddech i wsłuchiwał się w łomoczące serce. Znow nawiedził go „dyżurny” koszmar, entourage się zmieniał, ale treść zawsze była ta sama; wieżowiec, on w ciasnej windzie wspinającej się w górę, początkowo połykającej piętra z ogromną prędkością, jednak z każdym pokonanym metrem tempo wspinaczki maleje, w końcu winda jedzie wolno, kolejne poziomy zdobywa z wysiłkiem, trzeszcząc, trzęsąc się i szarpiąc, centymetr po centymetrze i kiedy jest już prawie u szczytu, zatrzymuje się, walczy chwilę, a potem nieubłaganie zaczyna opadać, nabierając szybkości. Zanim dotknie dna, Andrzej budzi się z tłukącym się w piersi sercem, czasem z krzykiem, kiedy indziej zlanym zimnym potem.

Tym razem winda była drewniana, wewnątrz stała Ola ubrana w długą czarną pelerynę i kiwając palcem, przywoływała go do środka. Wsiadł, a

dźwig ruszył gwałtownie. Za Olą w lustrze widział przesuwające się z wielką prędkością kolejne prowadzące na piętra drzwi z wąskimi prostokątnymi szybami i wymalowanymi czerwoną farbą rzymskimi cyframi. Dziewczyna uśmiechała się do niego wyzywająco, czubkiem języka w wulgarnym geście przejechała po wargach i rozchyliła pelerynę – pod spodem była naga. Kochan poczuł narastające pożądanie. Zrobił krok w jej stronę i w tym momencie winda zaczęła stopniowo zwalniać biegu. Ola cofnęła się, oparła o lustro, odchyliła głowę i przyglądała się Andrzejowi spod półprzymkniętych powiek. Podszedł do niej, wsunął dłonie pod poły peleryny, chwytając za nagie biodra, wtedy winda zatrzymała się i zachwiała, po czym powoli zaczęła opadać. Kochan puścił dziewczynę i zrobił krok w tył, a wtedy ona złapała za wiszący pod sufitem drążek, podciągnęła się i bosymi stopami kopnęła go w pierś.

– Nigdy nie dotrzesz na szczyt, gamoni! Słyszysz, nigdy się tam nie dostaniesz! – wychrypiała, po czym zaniosła się diabolicznym śmiechem.

Zatoczył się, uderzył plecami o drzwi lecącej coraz szybciej w dół windy i osunął na podłogę. Dziewczyna, trzymając nogi w górze, na przemian rozchylała i zaciskała blade uda, pomiędzy które Andrzej patrzył z mieszaniną przerażenia i zachwytu. Winda spadała z ogromną prędkością. Nie mógł wytrzymać śmiechu zjawy wciskającego się w każdy zakamarek mózgu. Zacisnął oczy, chichot natychmiast stał się przytłumiony, jakby dochodzący gdzieś z zewnątrz. Podniósł powieki – dziewczyny nie było. Spanikowany spojrzął w lustro, zobaczył przesuwające się w górę metalowe drzwi prowadzące na kolejne piętra, dojrzał uciekającą, wykręconą w lewą stronę, czerwoną literę P – za ułamek sekundy kabina dotknie dna, rozbije się. I wówczas się obudził z walącym niczym kowalski młot sercem.

Oddech wracał do normy, serce uderzało coraz wolniej, łapiąc właściwy rytm, Andrzej przekręcił się na bok, wyszperał latarkę i przy jej świetle ponownie zapalił świecę. Sisy leżał na wznak, spał twardo. Andrzej zaczął nasłuchiwać; odkąd się obudził, pociąg nie poruszał się, z dołu dolatywały jakieś stukania, stłumione głosy, ostre pytania, których nie mógł zrozumieć, i potulne odpowiedzi, kroki podkutych butów.

– Sisy, obudź się. – Pociągnął śpiącego przyjaciela za ramię. – Granica.

Boguś przeciągnął się, przetarł dłonią twarz, obrócił się i splunął głośno za siebie.

– Co jest? – powiedział na wpół przytomny.

– Granica – powtórzył Kochan. – Trochę pospaliśmy.

– Ale mi się chce szczać. Daj erosa.

– Nie teraz. Najpierw przebijmy się przez ten cholerny kordon. Wytrzymaj jeszcze trochę.

– Łatwo ci powiedzieć – wystękał Sysy z rezygnacją. – Myślisz, że to polsko-czechosłowacka?

– Raczej tak. Wydaje mi się, że mówią po polsku.

Przyłożyli uszy do podłogi i nasłuchiwali. „Paszport”, „oclenia”, „bagaż” – udało im się wychwycić pojedyncze słowa i rzeczywiście rozmowy, które toczyły się na dole, były prowadzone po polsku. Pierwszy etap podróży mieli za sobą, pierwszą przeszkodę przed sobą. Wiedzieli, że teraz już nie ma odwrotu, przespali możliwość wycofania się i jedyne, co mogli zrobić, to siedzieć cicho, skulić się, skurczyć i liczyć na to, że nikomu nie przyjdzie do głowy zajrzeć na górę. Nie wolno było sprowokować kontroli żadnym dźwiękiem. Cierpły ramiona, bolały biodra, drętwiały szyje, ale nawet nie drgnęli. Odgłosy z dołu powoli się oddalały, cichły. Pasażerowie, siedzący w przedziale, nad którym Kochan z Sysym urządzili sobie legowisko, posępnie milczeli. Nastrój złowróżbnej ciszy, potęgowany bezsilnością, udzielił się również chłopakom, patrzyli na siebie zdenerwowani w oczekiwaniu najgorszego. Na wszelki wypadek Andrzej ponownie zgasił świecę, pogrążeni w całkowitej ciemności słyszeli jedynie swoje płytkie, niespokojne oddechy. Teraz nic już nie zależało od nich.

Wreszcie z zewnątrz doleciał przeciągły sygnał gwizdka i po chwili pociąg niespiesznie potoczył się na południe. Kochan i Sysy odetchnęli, oderwali uszy od podłogi, usiedli i zaczęli masować zdrętwiałe kończyny. Boguś otarł pot z czoła, zrywając przy okazji plaster.

– O kurwa, ale się denerwowałem. Łatwiej było iść na piechotę, przynajmniej mieliśmy wpływ na to, co się dzieje, a tu siedzisz i czekasz, jak wieprz na zarżnięcie.

– Masz rację. Koszmar, ale to już za nami. Do kolejnej granicy mamy chwilę spokoju.

Zapalili świecę.

– To teraz już chyba mogę się wysikać?

– Jasne. – Andrzej sięgnął do kieszeni i namacał kwadratowy, płaski przedmiot.

Podczas wielu narad przed ucieczką długo zastanawiali się, co zrobić, gdy na strychu zachce im się sikać. Rozważali różne opcje przechowania moczu; najpierw przyszła im do głowy butelka, a raczej butelki, ale one miały zbyt wąskie szyjki, aby w polowych warunkach, w jakich miało przyjść im sikać, można było to uczynić bez ryzyka oblania wszystkiego dookoła. Jediną butlą, której szyjka ewentualnie by się nadawała, była ta po mleku, ale jej z kolei nie dało się zakorkować, poza tym była zbyt wysoka, żeby na niskim strychu mogli się do niej swobodnie wysikać; później pomyśleli o balonach, ale i one miały zbyt wąskie ustniki, należałoby je poucinać. Zrobili próbę, napompowali balon wodą, ale napęczniały, z uciętą końcówką, w żaden sposób nie dał się zawiązać. W końcu Maniek zaproponował erosy. Pomyśl się spodobał, miały szerokie wejście, były pojemne i trwałe, wielokrotnie przetestowane przez chłopców w dzieciństwie w trakcie lanych poniedziałków, kiedy robili z nich wypełnione wodą pociski – nadawały się idealnie, tylko kto je kupi? Do Wielkanocy daleko, poza tym byli już w takim wieku, że prezerwatywy nie mogły służyć im do szczenięcych zabaw. Wstyd się robiło na myśl o podejściu do kioskarki i poproszeniu o kilka erosów. Zgłosił się Kochan. Pojechał w tym celu do centrum, wybrał kiosk na uboczu, odczekał, aż nikogo nie będzie w pobliżu, i czerwieniąc się, poprosił o sześć prezerwatyw. Pani w okienku parsknęła, zmierzyła Andrzeja pogardliwym spojrzeniem i rzuciła kondomy na ladę. Obserwując ją, zastanawiał się, czy przypadkiem nie należy do gatunku sprzedawczyń, o których mówiło się, że ze złośliwą, bezczelną satysfakcją dziurawią szpilką prezerwatywy, a potem z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku sprzedają je nieświadomym zasadzki amatorom bezpiecznego seksu. Cisnął pieniądze i porwał kondomy z lady, szybko schował je do kieszeni, a teraz rozdzierał srebrne opakowanie jednego z nich i podawał lateksowy przedmiot Sysemu, który odwrócony tyłem do Kochana rozpiął spodnie, kucnął i zgarbiony, oparty plecami o dach pociągu, z westchnieniem ulgi oddawał mocz.

Radość chłopców okazała się przedwczesna; Sysy sikał jeszcze, kiedy wolno toczący się pociąg szarpnął i z jękiem hamulców zatrzymał się ponownie, Boguś zakochał się, a Kochan zawołał:

– Uwważaj! Nie rozlej, bo będzie po nas!

– Spokojnie, panuję nad sytuacją. – Sysy odwrócił głowę i uśmiechnął się

w stronę Andrzeja. Skończył – na strychu unosiła się kwaśna, drażniąca nozdrza i oczy woń moczu – zawiązał wypełnioną po brzegi prezerwatywę i odłożył w kąt. – O co chodzi? Dlaczego znów stajemy?

– Nie wiem. Bądź cicho.

Ponownie przyłożyli uszy do podłogi, z dołu jeszcze raz doleciały ich kroki wojskowych butów, kolejne szorstkie komendy i następne ciche odpowiedzi, tylko tym razem wychwytywali słowa, których nie rozumieli, rozpoznali w nich śpiewną mowę południowych sąsiadów.

– O cholera. Przetoczyli nas na czechosłowacką stronę granicy – wyszeptał Kochan i położył palec na ustach.

I znów opanował ich ten sam rodzaj bezsilnego strachu, podszytego lękiem oczekiwania, podczas którego nic od nich nie zależało. Sytuacja jeszcze raz się powtarzała. Chociaż nie, nie do końca tak samo; w pewnym momencie do uszu chłopców doleciało głucho stukanie dochodzące z końca wagonu – kilka niecierpliwych uderzeń i cisza, po chwili kolejnych kilka, tym razem nieco bliżej, i znowu cisza. Ktoś od spodu walił w sufit. Ostrożnie przetoczyli się ku brzegom wnęki i każdy przywarł do swojej ściany. Stukanie zbliżało się nieubłaganie. W końcu zadudniła podłoga pomiędzy chłopcami. Dwa uderzenia i pełna napięcia cisza. Po chwili znów dwa razy. I nieskończenie długie sekundy niepewności. Wreszcie stukanie przeniosło się do sąsiedniej wnęki. Udało się.

I tym razem także – jak poprzednio – odgłosy cichły, po wyjściu straży granicznej i celników w przedziale na dole ponownie zapanowało milczenie, ale teraz przyjaciele przyjęli je z dużo większym spokojem. W końcu znów usłyszeli gwizdek dobiegający z peronu, pociąg szarpnął i ruszył dziarsko, niosąc chłopców ku kolejnej przeszkodzie – granicy czechosłowacko-węgierskiej.

– Głodny się zrobiłem. – Kochan przeciągnął się.

– Zaraz coś upiczymy – uśmiechnął się Sisy i zaczął grzebać w siatce, której, jak drogiego talizmanu, przez cały czas niemal nie wypuszczał z ręki. Wyciągnął oklejona czerwonym papierem okrągłą puszkę. – Gdzieś tu mam scyzoryk od Szczoty. – Sięgnął do kieszeni zwiniętej pod głowę kurtki, wyjął nóż, wyciągnął ostrze i wbił w wieczko konserwy. Systematycznie, ruch za ruchem, rozcinał grube metalowe opakowanie. W powietrzu rozszedł się dławiący rybny smród.

- Jezu, Sysy, co tak cuchnie? Coś ty zabrał?
 - Ostatni hit, najnowsza delicję polskiego przemysłu spożywczego: paprykarz szczeciński.
 - Na Węgry nawet pasuje, ale dlaczego tak wali rybą?
 - Bo to paprykarz rybny.
 - O rany, mamy coś jeszcze?
 - Owszem, są kanapki z salcesonikiem.
 - Wiedziałem, że jak ty się zajmiesz żarciem, to się nie najemy. Jakie ty syfy wcinasz, Sysy!
 - Smakosz się znalazł. Porządne jedzenie, a w tej twojej Francji to żaby wpierdalają.
 - Nie żaby, tylko – podobno – żabie udka. Podobno, bo sam nie widziałem.
 - Udka to się je z kurczaka, ewentualnie z kaczusi, a nie z żab, te Francuzi to jeszcze więksi syfiarze niż my.
 - Bez przesady. Nad morzem to tak, bo tam jedzą dużo owoców morza.
 - Czego?
 - Owoców morza: ostryg, małży, krewetek, ośmiornic...
 - Przestań, bo się zerzygam.
 - Ale tam, gdzie ja mieszkam, to się je w miarę normalnie. Mają wprawdzie różne trochę dziwne dania jak zupa z mlecza czy pokrzywy albo kotlety z krowiego języka, ale w Polsce też mamy ozorki.
 - Tylko że świńskie. Nawet nie porównuj. Jesz ten paprykarz?
 - A mam wyjście?
 - Salceson.
 - To już lepiej daj spróbować tego rybnego badziewia.
- Żuli przez chwilę w milczeniu.
- Nawet nie takie złe – przerwał ciszę Kochan, nabierając nożem i pakując do ust kolejną porcję zmielonej, wymieszanej na papkę z ryżem, przecierem pomidorowym i przyprawami ryby. – Pierwsze wrażenie jest koszmarne, ale idzie się przyzwyczaić, z czasem robi się nawet smaczne.
 - Widzisz, a tak się zarzekałeś. Czasami warto posłuchać mądrzejszego kolegi.

Roześmieli się obaj.

Pociąg poruszał się w swoim rytmie, zatrzymywał na stacjach, by za chwilę dalej pędzić ku państwu południowych Słowian, stukotem kół wybijał takt prowadzonej przez chłopców rozmowy, kołysał ich do snu, kiedy stawali się znużeni. Granicę czechosłowacko-węgierską minęli bezproblemowo – kontrola tym razem wydała się znacznie mniej wnikliwa albo, być może, nie wywarła już na przyjaciółach aż tak wielkiego wrażenia, stając się rutyną – niemal całą drogę do Budapesztu przespali i dopiero szarpanie wagonem podczas dłuższego postoju w stolicy Węgier obudziło uciekinierów na dobre. Skład rozczepiano, część wagonów przetaczano na bocznice, aby sformować z nich transport powracający do Polski, inne – w tym i ten kryjący na strychu zbiegów – podpinano do pociągu udającego się do Belgradu. Wagon ciągnięto to w jedną, to w drugą stronę, początkowo dezorientując zaspanych przyjaciół. Kiedy wreszcie domyślili się powodu tych szarpnięć i hałasów, ustawiony w długi karny szereg skład czekał już tylko na lokomotywę, którą wkrótce doczepiono i pociąg z łoskotem ruszył w dalszą drogę.

Chłopców opanowała wesołość. Wreszcie wszystko układało się zgodnie z założeniami i wyglądało na to, że tym razem, przez nikogo nieniepokojeni, dotrą do celu. Wprawdzie o sposobie przedostania się z Belgradu do Triestu mieli raczej mgliste pojęcie, ale na tym zbliżającym się dopiero etapie podróży stawiali bardziej na improwizację, przyjacielski charakter Jugosłowian oraz ich zamiłowanie do mocnych trunków i zabawy – taka mieszanka musiała przynieść sukces – niż jakiś precyzyjnie nakreślony plan działania. W swoich przewidywaniach za ostatnią realną przeszkodę do wolnego świata uważali węgiersko-jugosłowiańską granicę, do której z każdą minutą mieli coraz bliżej.

W kącie wnęki, będącej ich skrytką, wały się puszki po paprykarzu, papiery po kanapkach, puste butelki po mazowszance, a po drugiej stronie trzy wypełnione moczem prezerwatywy – pękate, zawiązane na supeł, wyglądały jak trzy ogromne, opite, niezdolne do ruchu kleszcze. Na środku, pomiędzy chłopcami, sterczał nieregularny, niczym makieta wulkanu, stożek stearyny, w jego środku tkwiła kolejna dopalająca się świeca, rzucająca na twarze chłopców migoczące refleksy światła.

– Ale burdelu narobiliśmy. – Sysy rozglądał się dookoła.

– Zaraz się przeniesiemy, tylko jeszcze się wysikam.

– Warto się przynieść?

– Do granicy, według rozkładu – Kochan spojrział na zegarek – pozostało niewiele ponad pół godziny, za to do Belgradu będzie jeszcze spory kawałek. Nie ma co siedzieć w tym syfie, przecież obok są czyste wnęki.

– Masz rację. Chociaż przywykłem już do naszego salonu, wodzu. Przytulnie tu – roześmiał się Sisy.

Andrzej wyciągnął z kieszeni prezerwatywę, zębami rozerwał opakowanie, wyjął dwoma palcami lateksowy krążek i odwrócił się plecami do Sysego. Sikał długo, z uczuciem ulgi, jednocześnie obliczał, czy pozostałe dwa kondomy wystarczą im do końca podróży, i dochodził do wniosku, że nie będzie z tym problemu, choć dobrze byłoby mieć przynajmniej jeszcze jeden w zapasie. Kolejny żółty balon wypełnił się i Kochan zaczął majstrować na jego końcu, próbując zawiązać supeł. Nagle krótki trzask zagłuszył na ułamek sekundy stukanie kół pociągu, cuchnący płyn chlusnął na podłogę, a zdezorientowany Andrzej patrzył na zwisający mu w dłoni smętny gumowy flak. Sisy poderwał się, uderzając głową o dach.

– O kurwa mać, Kochan, coś ty narobił?!

– Ja?! – Andrzej spoglądał pod nogi na wielką śmierdzącą plamę, która rozrastała się z każdą sekundą. – To ta jebana tandeta!

Złapał papier toaletowy i rzucił się do ścierania cuchnącego moczu. Na niewiele się to zdało, pod ścianą rosła wysoka sterta nasiąkniętego uryną szarego papieru, a plama wcale nie zrobiła się mniejsza.

– No to jesteśmy ugotowani. – Sisy patrzył z obrzydzeniem na zabiegi Andrzeja.

– Teraz już nic nie poradzimy. Może nikt nie zauważy?

– Co ty pierdolisz!? Jak nie zauważy? Ty byś się nie zorientował, gdyby szczyry zaczęły ci kapać na nos?

– Być może nie przesiąknie.

– Tak, na pewno! – sarknął Sisy, pokazując na podłogę. – Przecież to jakaś cholerna dykta, zobaczysz, najdalej za piętnaście minut w przedziale na suficie pojawi się śmierdzący zaciek.

– Szkoda gadania. Przenosimy się do sąsiedniej wnęki i czekamy. Nic innego nam nie pozostaje.

– Dobra, daj latarkę – przystał na to Sisy, gasząc ogarek świeczki.

Andrzej zapalił latarkę, słabe, niewyraźne światło zamigotało, przez chwilę zdawało się walczyć samo ze sobą, po czym zgasło i mimo postukiwań i potrząsań Kochana nie chciało ponownie rozbłysnąć.

– Bateria chyba się skończyła.

– Pięknie. Mamy jeszcze jakąś świeczkę?

– Jeszcze jedną, ale zapalimy ją dopiero za granicą.

W ciemności przepętli do następnej wnęki i pogrążeni w mroku w napięciu oczekiwali kontroli. Pociąg zwalniał biegu – zbliżali się do stacji granicznej.

Skład zatrzymał się, a z zewnątrz doleciały ostre głosy wypowiedane w kompletnie niezrozumiałym języku, w którym twarde, szeleszczące dyftongi mieszały się z przeciąganymi, silnie akcentowanymi samogłoskami. Nagle usłyszeli gwałtowne, niskie szczekanie. Zamarli.

– Ssysy, leżymy, jeśli wprowadzą psy do wagonu, to nas mają. Te bydlaki znajdują nasz schowek błyskawicznie.

– Nie denerwuj się, jeszcze nie wszystko stracone. Te psy są szkolone raczej do szukania narkotyków albo broni, czy tym podobnych rzeczy, niż ludzi. Jest szansa, że za nami nie będą węszyły.

– Obyś miał rację, ale wątpię.

Milczeli chwilę w nieznośnym napięciu.

– Kochan, a pamiętasz tego świra z bokserem? – Ssysy starał się rozładować ciężką atmosferę.

Andrzej podłożył dłonie pod głowę. Odprężył się, jego myśli na chwilę oderwały się od niebezpieczeństw czyhających na dole. Pewnie, że pamiętał wariata, który ganiał ich po Powiślu z wielkim bokserem prowadzonym na krótkiej, grubej, skórzanej smyczy. Mieszkał na Profesorskiej.

Jak daleko Kochan sięgał pamięcią, ulica Profesorska była najbardziej bajkowym zakątkiem ich dziecięcych zabaw; wąska, ze stromymi schodkami prowadzącymi do furtki w ażurowej bramie wychodzącej na ulicę Myśliwiecką, z przytulonymi po obu stronach wybrukowanej nieużywanej przez samochody jezdni przedwojennymi profesorskimi willami, z ogrodami okolonymi wysokimi ceglanymi, często porośniętymi dzikim winem murami, w których – niczym w renesansowych Włoszech – pomiędzy pnączami kryły się furtki; drewniane, zaokrąglone na górze, z niewielkimi okratowanymi

okienkami na wysokości głowy dorosłej osoby. Zawsze zamknięte, niestety. Za tymi furtkami niczym za wrotami sezamu rozciągały się największe skarby: zadbane ogródki pełne tajemniczych zaułków, kolorowych – niespotykanych nigdzie indziej – kwiatów i, co najistotniejsze, owoców, które można było zerwać prosto z krzaka czy drzewka. Rósł tam agrest, rosły porzeczki, płożły się poziomki i truskawki, wyrastały gęste maliny i najeżone kolcami jeżyny, pięły się jabłonie z poprzycinanymi, rzadkimi sękatymi gałęziami, strzeliste grusze, dziko wyglądające czereśnie i niskie wiśnie o kulistych koronach. Zakradali się do tego skarbcza nocami i nim czujni właściciele zdążyli zareagować, czmychali przez mur z kieszeniami pełnymi łupów. Pożerali je później w parku, pakując pełne garście do ust.

Mieszkańcy willi mieli się przeróżnych sposobów, aby powstrzymać te nocne dewastujące ich wymuskane ogródki naloty, jednak dziecięcego żywiołu niczym nie udawało się opanować. Nie działały tabliczki z ostrzeżeniami, wykrzykiwane przez okna groźby i wyzwiska, rozpinane na szczycie murów druty; nawet rzucona przez jednego desperata w ślad za uciekającymi chłopcami butelka, która z hukiem roztrzaskała się o brukowaną ulicę, przyniosła jedynie taki efekt, że pilnujący pobliskiej ambasady milicjant wezwał patrol. Rzucający nieszczęśnik – nazywany przez dzieciaki świrem – ukarany został mandatem za zakłócanie ciszy nocnej i chuligaństwo. Z jego stratami w ogrodzie nikt się nie liczył.

Stojący na straży usytuowanej na rogu Profesorskiej i Wrońskiego placówki dyplomatycznej milicjant nigdy nawet nie próbował interweniować w obronie nękanym właścicieli ogródków, w końcu nie po to go tutaj postawiono, niech burzuje radzą sobie same. Wreszcie świr kupił burego boksera. Dla chłopców stanowiło to nie lada wyzwanie i od tej chwili sad świra cieszył się względnym spokojem.

Jednak dzieciaki najbardziej intrygował ogród należący do stojącej u zbiegu Profesorskiej i Wrońskiego willi, na której powiewała dziwna kolorowa flaga z nieznanym emblematem pośrodku, a przytwierdzona obok wejścia tabliczka informowała, że wewnątrz piętrowego domku znajduje się ambasada jakiejś afrykańskiej republiki (jakiej, Andrzej już dziś nie pamiętał). Wzdłuż muru zawsze spacerował milicjant. O wskoczeniu do wnętrza ogrodu nie było nawet co marzyć, ale jednego razu, kiedy stójkowy zdawał posterunek zmiennikowi, chłopcy podsadzili Kochana, który trzymając się muru, zajrzał do środka i zobaczył pod kremową ścianą willi

niewysokie drzewo z wąskimi, podłużnymi liśćmi, a na nim pomarańczowo-żółte owoce – brzoskwinie.

Od tej pory chłopcy jeszcze bardziej tęsknym okiem spoglądali na mur okalający ambasadę, aż w końcu uśmiechnęło się do nich szczęście – najpierw znikła flaga, następnie tabliczka, wreszcie milicjant, a wokół willi zaczęło piąć się w górę rusztowanie, po którym biegali robotnicy. Zakradli się tam we cztery, w niedzielę, wspięli na rusztowanie i zeskoczyli na miękką trawę w ogrodzie. W remontowanym domu nie było nikogo, mogli do woli buszować wśród krótkich, wysypanych żwirem alejek, przeczesywać grządki pełne owoców, rwać je garściami i napychać nimi usta. Na koniec zbliżyli się do drzewa pod ścianą, brzoskwinie były już duże, ale twarde i gdzieś tam jeszcze zielonkawe, nie powstrzymało to chłopców – przecież kolejna taka okazja mogła się już nie powtórzyć – i egzotycznymi owocami napełnili kieszenie. Ponownie weszli na rusztowanie.

Przekonani o swojej bezkarności nie zauważyli w trakcie ogaławiania ogrodu, że każdy ich krok śledzi czujna para oczu ukryta za firanką okna na pierwszym piętrze sąsiedniej willi – to świr zwietrzył szansę zemścić się za wszystkie doznawane przez lata krzywdy, wyrządzane przez tę hałastę.

Pierwszy schodził Sisy i kiedy już prawie dotykał chodnika ulicy Wrońskiego, zza rogu – z Profesorskiej – z wrzaskiem wypadł bokser, a za nim jego równie rozkrzyczany właściciel. Chłopaki zaczęli wspinać się z powrotem na rusztowanie, a rozpędzone psisko w wysoku zdążyło jeszcze złapać Sysego krzywymi zębiskami za nogawkę, rozrywając ją do połowy łydki – noga na szczęście nie ucierpiała. Usiedli na poplamionych kremową farbą deskach i przedrzeźniali zaślinionego zwierzaka, który rozjuszony skakał, próbując bezskutecznie wspiąć się na opasaną rusztowaniem ścianę. Świr wygrażał chłopcom pięścią i zapowiadał chrypnącym od krzyku głosem, że tym razem im nie daruje, że w końcu ich dorwie i spierze na kwaśne jabłko. Początkowo nic sobie nie robili z tych gróźb, ciskali ogryzkami pałaszowanych właśnie papierówek w boksera, potem Szczota cofnął się do ogrodu po nową porcję amunicji, wrócił z garściami pełnymi żwirku zebranego ze ścieżki, w końcu, po godzinie może, znudzili się rzucaniem kamyków, ale świr i jego durny pies wytrwale czekali na dole. Chłopcy spróbowali zejść do ogrodu i przeskoczyć przez mur na Profesorską, ale cerber (uwiązany już na smyczy) i jego pan czujnie patrolowali obie prostopadłe do siebie ulice. Zmierzchało, a oni wciąż tkwili w pułapce.

Wreszcie, kiedy zrobiło się już ciemno, rozdzielili się; na rusztowaniu pozostał Maniek z Sysym, a Kochan ze Szczotą zeszli do ogrodu, przeskoczyli murek oddzielający go od sąsiedniej posesji, a z niej, robiąc jak najwięcej hałasu, wyskoczyli na ulicę. Zaalarmowany świr rzucił się za róg. Przewaga, jaką mieli nad pościgiem, dawała nadzieję na ucieczkę, zwłaszcza że po kilkunastu metrach jezdni przechodziła w strome schodki, na nich pies nie był aż tak szybki jak na płaskim. Puścili się biegiem pod górę, a spuszczone ze smyczy bokser z ujadaniem rzucił się w pogoń. W ostatniej chwili dopadli furtki (zatraskując za sobą metalowe drzwi, rąbnęli nimi zaślinionego bydlaka w głowę, opadł zamoczony na chodnik) i Myśliwiecką pognali w stronę „kamienicy pod schodkami” na Górnośląskiej. Ten wielki, stary budynek z licznymi zaułkami, ukrytymi przejściami z podwórka na podwórko, schodkami, ogrodzeniami, furtkami i bramami najlepiej nadawał się do ucieczki – dystans nad pościgiem wzrastał; bokser po ciosie, jaki otrzymał, nie był już tak skory do łapania zbiegów, a świr nie potrafił tak szybko przebierać nogami jak uciekające dzieciaki, poza tym łapał już zadyszkę.

Tymczasem Sysy z Mańkiem, przez nikogo niezauważeni, zeszli z rusztowania i spokojnie powędrowali w stronę domu, weszli na podwórko, a następnie zawiśli na trzepaku, czekając na przyjaciół. Ci pojawili się po kilku minutach, zziązani, ale szczęśliwi. Sięgnęli do kieszeni i wyciągnęli brzoskwinie – były twarde i kwaśne, w nocy wszystkich rozboleły brzuchy.

– Nieźle go wtedy wykołowaliśmy – wyszeptał Kochan. – Ile mieliśmy lat?

– To było tak gdzieś w piątej klasie – odpowiedział równie cicho Sysy.

Szczekanie dobiegało teraz z wnętrza wagonu, towarzyszyły mu podniesione głosy, tupot wojskowych butów, nawoływania, a w skrytce łomot walących szybko dwóch struchlałych serc. Ujadanie – coraz bardziej natarczywe – zbliżało się nieubłaganie, teraz dobiegało już spod sąsiedniej, zajmowanej uprzednio przez chłopców wnęki. Żołnierze zaczęli wrzeszczeć. Sysy z Kochanem warowali z uszami przy podłodze i gasnącą z każdą minutą nadzieją na ocalenie. Wreszcie z końca strychu doszedł do nich niepokojący chrobot. Stuknęła kłapa, nad którą pojawił się kwadratowy snop światła, a za nim wystrojona w zieloną czapkę głowa z czarnymi kędziorami wystającymi po bokach spod otoka i gęstymi, sumiastymi wąsami. W ślad za głową w otwór wnęki wcisnęła się uzbrojona w wojskową latarkę ręka. Z dołu dobiegało niecierpliwe szczekanie. Smuga żółtego światła błędziła po strychu.

– *Ki van itt? Ki felé! Fel a kezekkel ki felé!* 9 – Głos zdradzał zniecierpliwione zdenerwowanie.

Chłopcy nie rozumieli ani słowa, rozumieli za to, że oto po raz kolejny nastąpił kres podróży, że znów się nie udało, że jeszcze raz nie ziszczą się marzenia o wolnym świecie, że ponownie czekają ich długie przesłuchania i że tym razem socjalistyczna Temida nie będzie dla nich już tak wyrozumiała i łagodna. Nie było sensu dalej się ukrywać. Wychylili głowy z wnęki i w świetle latarki dojrzeli wycelowany w siebie błyszczący metalowy przedmiot dzierzony przez pogranicznika w krzepkiej dłoni. Szybko unieśli ręce w górę.

– *Hányan vagytok itt?! 10* – dopytywał się wściekle żołnierz. Chłopcy nie ruszyli się z miejsc, nic nie odpowiedzieli. Nie przestając w nich celować, pogranicznik wczołgał się na górę, za nim to samo zrobili kolejni żołnierze. Skuli chłopaków, wykręcając im ręce, i kopniakami popchnęli w stronę wjazdu.

Szczota podpisał papier we wskazanym przez listonosza miejscu, a potem jeszcze raz w dużym zeszycie, odebrał polecony list i wrócił do pokoju, gdzie ciężko opadł na tapczan. Od kilku dni żył w napięciu, w każdej chwili oczekując aresztowania. Wiedział, że milicja jest już blisko; Adamczykowa mówiła mu, że dzielnicowy Janik wypytywał o niego, ale, co Szczotę zdumiewało, nie wszedł na górę, nie rozmawiał ani z ojcem, ani z Iwoną. No właśnie, Iwona, jej reakcji obawiał się najbardziej, bo przecież obiecał – a gdzie tam obiecał, przysiągł solennie – że więcej w nic się nie wpakuje, że tym razem nie da się namówić na ucieczkę, że już nigdy nie wejdzie w konflikt z prawem, i obietnicy nie dotrzymał. Iwona ma do niego cierpliwość, ale złamanej przysięgi tak łatwo nie wybaczy. Jeśli pójdzie siedzieć – a pójdzie, co do tego nie miał wątpliwości – siostra wesprze go, bo tak jej podpowie uczucie, jednak urazę długo będzie w sobie nosiła. Nawalił. Łudził się wprawdzie, że jego udział w ucieczce był jedynie symboliczny – zamknięcie klapy na strych to chyba jeszcze żadne groźne przestępstwo – lecz z drugiej strony, gdyby nie ta pomoc, chłopakom nie byłoby tak łatwo uciec, chociaż jeśli dobrze się zastanović, to i bez jego udziału zwałiby – bez dwóch zdań, na pewno, jak dwa i dwa jest cztery.

Zakręcając wjazd, Szczota był przekonany, że o jego roli w całej akcji nikt nigdy się nie dowie, a miał po temu podstawy, bo jeśli plan Kochana powiódłby się, to wiadomo, władze na jego ślad nigdy by nie natrafiły, a jeśli chłopaków by złapano, to jego udział również pozostałby tajemnicą. Wierzył

święcie w lojalność przyjaciół, w ich milczenie – przesłuchiwani na pewno nie puściliby pary z gęby, a w końcu chyba nikt nie będzie wymuszał na nich zeznań torturami. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie te cholerne kartki. „Po jaką cholere prosilem, zeby je wysylali”, gryzl sie w duchu Szczota. Przeciez skoro ucieczka sie nie powiodla i chlopaki zostali aresztowani, zeby wyslac takie pocztowki – i to pisane ich ruka, co do tego nie bylo watpliwosci – musieli uprosic klawiszy albo eskortę o zgode, a w takim wypadku wystarczy, zeby wiedzeni poczuciem obowiazku funkcjonariusze doniesli o tym przełożonym, i zaraz on, Szczota, dołączy do aresztowanych. Nie ufał też temu szczurkowi listonoszowi – jak tylko zwęszy, że chłopaki mają kłopoty, zaraz skojarzy te wrzucone do skrzynki widokówki i doniesie dzielnicowemu.

A przed chwilą przylazł i przyniósł polecony z komendy stołecznej. Szczota rozerwał kopertę i przebiegł szybko oczami po oficjalnym druku. Zdumiony podniósł brwi i przeczytał jeszcze raz, teraz znacznie uważniej. Nie mógł uwierzyć: żadnego aresztowania, wyprowadzania w kajdanach z mieszkania, eskorty, po prostu pojutrze miał zgłosić się w pokoju takim a takim na przesłuchanie w charakterze świadka. Podstęp? Ale po co? Szczota poczuł, jak krew na moment odpływa mu do pięt, a potem gwałtownie wraca do głowy, policzki paliły, na czole pojawiły się kropelki potu, jednak mimo tych zewnętrznych dolegliwości w środku odczuwał rozlewającą się po ciele ulgę.

Siedzieli ze spuszczoneymi głowami naprzeciw masywnego biurka, nad którym wisiał biały, zdający się spoglądać na chłopców z politowaniem orzeł. W rogu blatu stały skrzyżowane niewielkie chorągiewki – biało czerwona i czerwono-biało-zielona. Młody urzędnik od godziny prawil im kazanie.

– Zeby podróżować za granicę, widzicie, trzeba mieć taką uprawniającą do przekroczenia granic Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej niewielką książeczkę – podniósł wyciągnięty z kieszeni niebieski dokument ze złotymi literami układającymi się w napis „Paszport dyplomatyczny” i zaczął wymachiwać nim w powietrzu. – Bez tego, rozumiecie, mogiła. A tutaj – złapał paszport i kciukiem przejechał po kartkach – jest miejsce na wizy dające prawo do wjazdu i przebywania na terytorium obcych państw. Oczywiście w określonym w takiej wizie terminie. Do tego trzeba mieć w paszporcie odpowiednie stempelki, przystawione podczas kontroli

granicznej. A u was, widzicie, ani paszportu, ani tym bardziej wizy, o stempelkach nawet nie wspominając. Czekają was nie lada kłopoty. Nasze socjalistyczne państwo potrafi zadbać o to, żeby mu pszczołki z ula bez stosownych dokumentów nie wy-la-ty-wa-ły. A wy, widzicie, chcieliście naszemu państwu na nosie zagrać i wam się nie udało, i teraz to nasze państwo da wam pstryczka w wasze brudne nosy. – Podciągnął rękaw marynarki i spojrział na zegarek. – Za chwilę przyjdzie tutaj porucznik Gęsicki, który wraca do kraju z ważnymi dokumentami, a przy okazji zabierze też was i przekaze odpowiednim organom. Samolot macie – stuknął wskazującym palcem w cyferblat zegarka, licząc pod nosem – prawie za dwie i pół godziny.

Sysy uniósł głowę, oczy mu się zaświeciły.

– Samolotem?

– A co sobie myślicie? Pociągami jużście się napodróżowali, he, he.

– Fajnie – ucieszył się Ssysy i trącił łokciem milczącego Kochana.

– Co wy se, kurwa wasza mać, wyobrażacie! – Urzędnik rąbnął dłonią w blat biurka, ale zaraz zawstydział się swojego nieopanowania, które dyplomacie przecież nie przystoi, poprawił krawat i już spokojniej dokończył. – Porucznik Gęsicki nie będzie tłukł się ani pociągami, ani tym bardziej autem. Przy okazji skorzystacie i wy, choć na to nie zasłużyliście. Polecicie sobie samolotem.

Ssysy niecierpliwie wiercił się na krześle. Samolot? To było coś, jakaś nowość. Do tej pory, od zatrzymania na granicy, nie spotkało ich nic, czego by nie znali. Areszt na lokalnej stacji, przesłuchanie, w trakcie którego nie zrozumieli żadnego z zadawanych pytań, tak jak przesłuchujący nie zrozumieli nic z udzielanych odpowiedzi. W końcu okazało się, że jeden z żołnierzy – zdaje się Rumun z pochodzenia – mówił kilka słów po francusku. Z trudem dogadali się z Kochanem. Potem był transport wojskowym samochodem do aresztu w Budapeszcie – przez moment popatrzyli przez brudne szyby na miasto – i znów przesłuchania, tym razem w towarzystwie przysłanego przez ambasadę tłumacza. I w końcu droga do polskiej placówki dyplomatycznej, która wydała im paszporty konsularne i miała odesłać do kraju, gdzie przyszłość nie jawiła się różowo. Wszystko to znali, różniły się szczegóły, ale w zasadzie nie spotkało ich nic, czego wcześniej nie przeżyli. Teraz urzędas siedzący naprzeciwko poczuł się ważny – zapewne pełnił w ambasadzie

jakaś nic nieznacząca, nikomu niepotrzebną funkcję – i dlatego od godziny męczył ich wykładem na temat czynu, którego się dopuścili, i kary, jaka bez wątpienia ich spotka. Do tej pory Sisy z trudem powstrzymywał ziewanie, wzmianka o samolocie ożywiła go natychmiast.

Wcześniej nawet nie marzył o tym, że mógłby kiedyś polecieć samolotem. Nie znał też nikogo, kogo taka przyjemność spotkała. Przecież nawet ten cholerny światowiec Kochan zawsze podróżował tylko pociągami, do Francji do matki też pojechał koleją, a tymczasem już za dwie godziny mieli wznieść się w powietrze. Dla takiej frajdy, dla tych opowieści, które będzie można snuć, warto było się narażać.

Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich wysoki szczupły mężczyzna w brązowym gabardynowym płaszczu i kapeluszu z szerokim miękkim rondem na głowie, w ręku ścisnął okazały neseser.

– A, tu są gagatki – zawołał pewnym siebie, nosowym głosem. – Zbierać dupy, kawalerka. – Podeszedł do biurka i obcesowo zwrócił się do urzędasza. – Macie jakieś dokumenty?

– Tak, oczywiście – odpowiedział, wstając, urzędnik i wyciągnął w stronę porucznika tekturową błękitną teczkę. Gęsicki postawił neseser na biurku, strzelił szyfrowymi zamkami i schował akta do środka, sięgnął po dwa blankiety tymczasowych paszportów konsularnych, czytał je przez chwilę, przyglądając się jednocześnie chłopcom, po czym schował dokumenty do prawej kieszeni płaszcza, wyciągając jednocześnie z lewej dwoma palcami kajdanki.

– Łapki, proszę, i w drogę, jak powiedział klasyk. – Który konkretnie, nie sprecyzował.

Stalowe drzwi otworzyły się z piskiem. Kochan, popchnięty przez klawisza, śledzony ciekawymi spojrzeniami, zrobił krok do przodu i wszedł do ciemnej celi. Drzwi ponownie skrzyknęły, po czym do uszu Andrzeja doleciało trzaśnięcie rozchodzące się echem po całym pawilonie, stuknęła skobel, zazgrzytał w zamku klucz i zapanowała cisza. Kochan spojrzał na trzymany przed sobą złożony w kostkę szary więzienny koc, na którym leżała wywrócona do góry dnem aluminiowa miska, obok niej spoczywała zwrócona główką ku zasłoniętemu oknu łyżka, po czym przeniósł pytający wzrok na trzech mężczyzn siedzących na twardych stołkach przy stole pod

oknem. Niewysoki wytatuowany facet, na którego z zaciekawieniem patrzyli pozostali, zmrużył upstrzone cyngwajkami [11](#) oczy i wskazał brodą na pryczę po lewej stronie. Andrzej usiadł.

- Za co? – zapytał krótko niskim głosem wytatuowany gość.
- Dwieście osiemdziesiąt osiem – odpowiedział szybko Kochan.
- Według nowego kodeksu?
- Tak.
- Ile?
- Dwa.
- Ooo, srogo cię potraktowali. Który sąd?
- Powiatowy, Cieszyn.
- Dwa lata za nielegalne przekroczenie granicy to sporo. I bez zawiasów.
- Recydywa.
- Chyba że tak. Sam byłeś?
- Nie, z kolegą, on dostał tyle samo, a trzeci, który nam pomagał, odpowiadał z wolnej stopy, wlepili mu pół roku i zawiesili.
- To będziesz miał nam co opowiadać przez te dwa lata.
- Przez rok. Najwyżej rok. Zaliczyli mi areszt z obu śledztw.
- To się jeszcze okaże.

Część III
ZAŁĄKI

1

Przekleństwa słyhać było ze wszystkich stron: wykrzyczane głośno i wysyczone półgłosem przez zaciśnięte zęby, rzucane szybko bezrefleksyjnie i cyzelowane wolno z namysłem, proste brutalne i przemyślnie wyrafinowane; bluzgano na konie, dżokejów, trenerów, stan toru, lewe cynki, na informatorów, na siebie nawzajem i na własną głupotę. Z morza wściekłości i rozczarowania tu i ówdzie dobiegały – tym wyraźniejsze, bo rzadkie – wybuchy szalonej radości. Jeszcze pięć minut temu wylegający na zewnątrz przez przeszklone drzwi trybuny honorowej, przyklejony do barierki okalających tor, wypełniający szczelnie trybunę główną, padok i chodniki wokół trybun kilkudziesięciotysięczny tłum graczy z nadzieją dopingował cwałujące przy kanacie konie, rosła pełna emocji i oczekiwania wrzawa, która osiągnęła punkt kulminacyjny w momencie, gdy rozdęte chrapy finiszujących wierzchowców przecinały celownik. Na sekundę – nie dłużej – zaległa świdrująca, przejmująca cisza, później nastąpiła erupcja. Wśród lecących na ziemię dartych ze złością kuponów, gorączkowych, popieranych podniesionymi głosami i wymachami ramion tłumaczeń miłośnicy jedyne dozwolonego w kraju hazardu wracali do przypominającej pasażerski okręt hali, by po pogodzeniu się ze stratą (względnie odebraniu wygranej), obejrzeniu kolejnych przechadzających się po padoku koni wyścigowych ustawić się w ogonku do okienek przyjmujących zakłady.

Razem z sunącym krok za krokiem wezbrany tłumem szedł Kochan w towarzystwie korpulentnego starszego o kilka lat mężczyzny w skórzanym kaszkiecie, który wymachując programem wyścigów, wyjaśniał:

– Mówiłem ci, Andrzej, że w tej gonitwie nie ma co stawiać na fuksa. Nie ma. Derby to derby, tutaj faworyci to nie są przypadkowe konie, które byle patalach może obegrać. – Postukał wskazującym palcem w program i oblizał wydatte wargi. – Popatrz, sama elita. Elita, a ty żeś to gównu grał.

– Postawiłem też na faworyta. I co? Był drugi – bronił się Kochan.

– Ale porządek, Andrzej, porządek! Tu chodzi o to, żeby dwa wytypować. Dwa. Za zwycięzcę płacą grosze, a w porządku mogłeś naprawdę skosić parę złotych.

– A ty, Roman, dlaczego nie obstawiłeś?

– Obstawiłem, obstawiłem, ale co to za pieniądze? Ja już wcześniej prawie wszystko przegrałem, bo miałem cynk, tak, cynk, ale... O, zobacz, co mi zostało. – Wyciągnął z kieszeni garść bilonu i podrzucił na dłoni.

– Za to ja teraz umoczyłem kupę forsy.

– Odkujemy się, odkujemy, moja w tym głowa. Tę gonitwę możemy sobie odpuścić. Chodź coś zjeść.

Ustawili się w kolejce do bufetu. Energiczna żylasta kobieta sprawnie wydawała zamówione dania, łała piwo i wódkę, odbierała należność. Kolejni zgłodniaли gracze łapali za talerze i biegiem gnali do stolików, by szybko przełknąć schabowego z kapustą, zraziki z kaszą gryczaną, bigos czy sztukamięś w sosie chrzanowym i zaraz popędzić z powrotem do hali, by wymienić pieniądze na dający obietnicę bogactwa kupon. Starszy mężczyzna w sztruksowej marynarce stojący przed Kochanem i jego znajomym obrócił się i widząc towarzysza Andrzeja, rozchylił usta w szczerbatym uśmiechu.

– Widziałeś, Romuś, jak go ograł?

– Widziałeś, widziałeś.

– O łeb w słupie, i to na takim koniu.

– Mówiłem, Wiesiu? Mówiłem, że Melnicki wygra. I wygrał. Jazdą wygrał.

– Prawda, jego można na kozie posadzić, a on i tak wygra. I jak, trafiłeś?

– Mam porządek, Wiesiek. Porządek i jedną trójkę.

– O, to pięknie!

– Byłoby pięknie, było, gdybym miał za co zagrać. Ale nie miałem. Grosze, Wiesiek, grosze.

– Takie życie, Romeczku. Jak masz za co grać, to fuksy przychodzą, a jak nie masz, to wygrywasz drobne. Ale nic się nie martw, jeszcze przyjdzie nasza pora.

Gość w sztruksowej marynarce obrócił się i wykrzyczał zamówienie, rzucił na ladę pieniądze, chwycił w jedną rękę talerz, w drugą butelkę piwa i

popędził do stolika.

– Lecę, Romuś, bo chcę jeszcze tę gonitwę zagrać.

Przyszła kolej Kochana i Romka, chuda bufetowa uniosła głowę i widząc mężczyznę w kaszkiecie, uśmiechnęła się szeroko, ukazując równiutki rząd srebrnych koronek.

– Co podać, panie Romeczku?

– Pani Jadziu kochana, dwa schabowe i dwie angelki. Dwie.

– Wygrywa pan? – zapytała, stawiając na ladzie talerze i szklanki.

– Wiadomo, pani Jadziu. Wiadomo.

– To powodzenia, panie Romeczku.

– Nie dziękuję.

Wzięli naczynia i rozejrzeli się po sali, od stolików odrywały się kolejne postacie i drobnym kłusem gnały do hali, bufet z wolna się wyludniał. Usiedli pod oknem przy stole przykrytym upačkanym obrusem, Kochan ramieniem odsunął na róg dwa talerze z niedojedzonym bigosem, Roman zdjął kaszkiet, ukazując pokaźną, okoloną wianuszkami tłustych blond kędziorków łysinę, i rzucił go na wolne krzesło, po czym obaj zabrali się do swoich porcji. Jedli chwilę w milczeniu, pochyleni nad talerzami, w końcu znajomy Andrzeja podniósł pełną wódki szklaneczkę i przerywając ciszę, powiedział:

– No, Andrzejku, żeby nam się... – Wypili alkohol „na raz”, chuchnęli i zagryźli kiszonym ogórkiem.

– Powiedz mi, Andrzej, a jak twoje starania? Jak? – spytał Roman, pakując do ust widelec z kawałkiem kotleta.

– Znowu odmowa. Tym razem z powodu braku zaświadczenia, że matka jest chora. Ale wiadomo – chodzi o tę moją zababraną kartotekę.

– Patrz, jak to gównno się ciągnie, za człowiekiem ciągnie! Ile to już lat? Ile?

– Prawie osiem, jak mnie z ancla wypuścili.

– Szlag by to trafił! Teraz wszystkim, no prawie wszystkim, już dają paszporty, dają, tylko ty ciągle nie możesz się wygrzebać ze swojej przeszłości. Tak, przeszłości.

Na sali było już niemal zupełnie pusto, jedynie przy stoliku w kącie siedziało dwóch facetów, a raczej jeden siedział i tłumaczył coś zawzięcie

drugiemu, kompletnie pijanemu, leżącemu połówą ciała na blacie stołu. Roman przechylił się w stronę bufetu.

– Pani Jadziu, poda pani jeszcze dwie angelki.

– Sie robi, panie Romeczku – odpowiedziała, uśmiechając się na srebrno.

– A nie możesz jakoś tego zaświadczenia załatwić? No, załatwić – Roman ponownie zwrócił się do Andrzeja.

– No jak? Przecież nikt takiego zaświadczenia nie wyda. A nawet gdyby, to zaraz, kurwa ich mać, zażądają, żeby poświadczenie było poświadczone przez ambasadę, albo chuj wie, co jeszcze. Nic z tego, Roman, składałem przez ostatnie lata chyba z siedem podań o paszport i ciągle coś, ciągle czegoś chcą, a jak to spełnię, to zaraz pojawiają się nowe wymagania. Nie chcą mi pozwolić wyjechać i tyle. Zawzięli się, jebani.

– Nie kluj, Andrzeju, nie kluj.

– Jak nie kłać, kiedy szlag mnie trafia na to wszystko!

Krzyk Andrzeja zwrócił uwagę leżącego na stole w kącie faceta, który podniósł się chwiejnie i zaczął niezrozumiale, głośno i agresywnie coś bełkotać w stronę Kochana, a następnie, powstrzymywany przez swojego towarzysza, wymachując rękoma, próbował ruszyć w stronę okna. Bufetowa odwróciła się od zlewu i rzuciła w kierunku pijaka:

– Niech pan się uspokoi, panie poruczniku, znów się pan awanturuje i znów będzie jak ostatnim razem.

– Co to za jeden? – zapytał cicho Andrzej.

– A, taki tam moczymorda, porucznik milicji. Tak, porucznik. Przychodzi tu w każdą sobotę i niedzielę, przegrywa kupę forsy, kupę, chyba całą glińską pensję, i zalewa się do nieprzytomności. Mówię ci, do nieprzytomności.

Tymczasem pijak wyrwał się powstrzymującemu go koledze i zygziem podszedł z groźną miną do stolika pod oknem, wycelował palec w stronę Andrzeja i już chciał coś powiedzieć, kiedy spojrzał na drugiego z mężczyzn.

– Aaaa, Romek. – Język mu się plątał. – Nie wiedziałem, że to ty... Morda...

Próbował ucałować Romana, a kiedy mu się nie udało, opadł ciężko na krzesło, na którym leżał kaszkiet, Roman syknął, ale nic nie powiedział, zalany porucznik wsparł chwiejącą się po pijacku opuchniętą głowę na opartych łokciami o blat rękach i przyglądał się mętłym wzrokiem

Kochanowi.

– Andrzej, pozwól, że ci przedstawię, porucznik Marek...

Pijaczyna uniósł się nieznacznie i wyciągnął ramię w kierunku Kochana, próbując trafić w wyciągniętą w jego stronę dłoń.

– Marek... Śmiarowski – dokończył bełkotliwie przepitym głosem, ściskając Andrzejowi prawicę.

– Andrzej Kochański – odpowiedział, patrząc z niesmakiem na zalane indywiduum.

Porucznik przekreślił głowę, jakby nadstawiając ucha, i spytał zaskakująco wyraźnie:

– Jak?

– Andrzej Kochański – powtórzył Kochan, próbując wyswobodzić dłoń z uścisku.

– Ożeż kurwa! – wrzasnął Śmiarowski, zrywając się od stołu, i gwałtownym, silnym ruchem, jakiego Kochan zupełnie nie spodziewał się po takim pijaczynie, przyciągnął Andrzeja do siebie, rozbijając jednocześnie naczynia i zrzucając je na terakotową podłogę. Kochan poczuł omiatającą twarz woń alkoholu, a porucznik z nienawiścią spoglądał mu z bliska, z odległości zaledwie kilku centymetrów, w oczy. „Mam cię wreszcie, skurwielu”, myślał.

Na tę chwilę Śmiarowski czekał całe lata; rozgrywał ją w myślach setki, może nawet tysiące razy; analizował, zastanawiał się, co powie i co zrobi, kiedy w końcu znajdzie już któregoś z czwórki gówniarzy, przez których zaczęło się całe pasmo zwałających się na niego niemal każdego dnia nieszczęść. Odszukanie chłopaków i okrutna zemsta na nich stały się jego obsesją. W pierwszej chwili chciał ich żywcem obedrzeć ze skóry, udusić gołymi rękami, jak to mówili spece od przesłuchań w resorcie: pasy z nich drzeć – i gdyby w tym momencie dostali się w jego łapy, tak bez wątpienia by się stało. Na szczęście chłopcy przebywali poza zasięgiem porucznika, w areście śledczym w Nowym Targu, gdzie siedzieli, czekając na proces, a prokurator za nic nie chciał wydać zgody na widzenie. Śmiarowskiemu udało się za to dotrzeć do akt sprawy, z których dowiedział się, kto był prowodyrem ucieczki. Wtedy zmienił taktykę, postanowił wszystkie wysiłki skupić na dorwaniu przywódcy i odegraniu się jedynie na nim – oczywiście nie pogardziłby i pozostałymi, gdyby któryś z nich wpadł mu przez przypadek w

ręce, ale priorytetem stał się ten zepsuty przez Zachód, rozpieszczony, niepotrafiący nawet porządnie wojska odsłużyć szczył.

Z początku próbował cierpliwie czekać, lecz mijały tygodnie, potem miesiące, a śledztwo w sprawie uciekinierów wciąż trwało. Kiedy wreszcie dobiegło końca, przyszedł czas na proces, a tymczasem na porucznika zwały się całą gromadą iście hiobowe nieszczęścia. W jednej chwili z resortowego cherubina, pupila wyższych rangą oficerów, stał się czarną owcą, sprawcą awantury i trzęsienia ziemi na górze wydziałowej hierarchii, które nie ominęło też i jego. Po nieudanych próbach zatuszowania skandalu z błędnym wytypowaniem szajki trabanciarzy i z ostrymi szykanami, jakim poddane zostały rodziny chłopców, może nie do końca niewinnych, ale na pewno niezamieszanych w sprawę włamań do sklepów, major Gryź i pułkownik Pawłowski, pod którymi solidnie trzęsły się stołki, próbując wybrnąć z niebezpiecznej sytuacji, całą winę – w zasadzie może i słuszenie – zrzucili na porucznika. Śmiarowski z opinią kogoś, komu powinięła się noga i kto stracił zaufanie możnych przełożonych, przeniesiony został do niewielkiej podwarszawskiej komendy milicji, do której tłukł się codziennie autobusami z dwiema przesiadkami grubo ponad godzinę w jedną stronę. Koledzy w nowej pracy patrzyli na niego nieufnie, z ukosa, a wyżsi stopniem oficerowie nie okazywali nawet odrobiny zaufania. Czuł się od nich lepszy, zdolniejszy, predysponowany do prowadzenia wielkich spraw, a tymczasem był sekowany i odsuwany na boczny tor; zajmował się gównianymi w jego opinii, prowincjonalnymi śledztwami, do czego próbował się odpowiednio zmotywować, wmawiając sobie, że kiedy tylko przetrwa z sukcesami ten czyściec, dawni wysoko postawieni przyjaciele przypomną sobie o nim i z powrotem wciągną na ścieżkę milicyjnej kariery, dzięki temu posiadał rzadko spotykaną wykrywalność spraw. Jednak ta skuteczność potęgowała jedynie wrogość pozostałych, pracujących z nim milicjantów, nikt nie interesował się jego – drobnymi, jak na wygórowane ambicje – sukcesami. Z czasem Śmiarowskiego zaczęła opanowywać apatia – wykrywalność powoli, acz nieubłaganie, spadała, dochodząc do przeciętnego poziomu. I wtedy koledzy w pracy zaczęli spoglądać na niego łaskawszym okiem, doceniając inteligencję, złośliwe poczucie humoru i wyjątkowe, tak cenne w ich niewdzięcznej robocie, zamiłowanie do kieliszka, które cechowały tę byłą gwiazdę stołecznej kryminalistyki.

I wówczas przyszedł kolejny dotkliwy cios: w skrzynce pocztowej

porucznik znalazł oficjalne pismo z komendy stołecznej przypominające, że uwite przez państwa Śmiarowskich gniazdko przy ulicy Granicznej wciąż pozostaje w puli lokali, którymi dysponuje Pałac Mostowskich, a skoro porucznik Marek Śmiarowski nie jest już pracownikiem komendy stołecznej i ta przestała wiązać z nim jakiegokolwiek nadzieje na dalszą współpracę, to i jego prawo do zajmowania wzmiankowanego lokalu wygasło, a zatem mieszkanie należy opuścić w terminie tygodnia od daty otrzymania pisma. Porucznik próbował się odwoływać – przecież chociaż rzeczywiście w stołecznej już nie pracował, jednak wciąż był funkcjonariuszem resortu – bez skutku, decyzja była ostateczna; miał zebrać kłamoty i się wyprowadzić. Dokąd? Tego już mu nie powiedziano. Złożył podanie w wydziale socjalnym w swoim nowym miejscu pracy, gotów był nawet za cenę utraty warszawskiego meldunku (nie miał pojęcia, w jaki sposób poinformowałby o tym Jolę) zgodzić się na mieszkanie w podwarszawskim Lesznie, gdzie znajdowała się komenda, w której „realizował” aktualnie swoje zawodowe ambicje, byle tylko nie musieć przeprowadzać się do teściowej. Nic z tego. Odpowiedź nie pozostawiała nadziei: wydział nie posiadał i w najbliższym czasie nie spodziewał się wejść w posiadanie żadnych wolnych lokali ani w Lesznie, ani tym bardziej w Warszawie. Rad nierad Śmiarowski musiał zapakować dobytek na plecy i przenieść się do „mamusi” na Pragę.

W panińskim, maleńkim pokoiku Joli, gdzie teraz zamieszkali, zaczęła się nowa gehenna. Matka żony, wdowa po mistrzu piekarskim, była typowym okazem, którym można by zilustrować wszelkie dowcipy na temat teściowych, każdy stereotyp pasował do niej jak ulał; niska, tłusta, gderliwa i bezinteresownie złośliwa, napuszczała córkę na męża, prowadziła z porucznikiem nieustanną wojnę podjazdową i tylko od czasu do czasu, nastraszona przez zamroczonego alkoholem Śmiarowskiego tym, że jak nie przestanie, to milicjant skręci jej kark względnie każe zamknąć na czterdzieści osiem godzin na dołku, uspokajała się i przez kilka dni omijała na palcach prywatne sprawy państwa porucznikostwa, potem wszystko wracało do uciążliwej normy. Ale, szczerze powiedziawszy, Śmiarowski dawał powody do narzekań. Bo porucznik pił, i to pił na umór. Teraz w jego życiu na pierwszy plan wysunął się alkohol. Morze alkoholu, pitego wszędzie i przy każdej okazji, a w zasadzie przede wszystkim bez okazji. Zaczęło się już po pamiętnej wigilijnej wizycie Boczka w jego gabinecie. Przerażony czekającymi go konsekwencjami feralnej pomyłki w śledztwie upił się do

nieprzytomności, żłowiąc wódkę prosto z butelki, później kilka razy próbował poderwać się od biurka i pójść złożyć meldunek majorowi, ale nie był w stanie odkleić się od krzesła, w końcu po wielu próbach wstał, lecz zahaczył nogą o brzeg szafki pełnej akt, rąbnął na podłogę jak długi i zasnął. W takim stanie znalazł go Gryź i nieświadomy jeszcze skandalu, jaki wisiał w powietrzu, kazał odwieźć do domu, gdzie zrozpaczona Jola w towarzystwie mamusi czekała z podaniem wigilijnego karpia. Śmiarowski zdołał jedynie wybełkotać coś o ciemnogrodzie i katolickich zabobonach, po czym zwałił się na łóżko, skąd po chwili do zde gustowanych kobiet siedzących przy świątecznym stole doleciało basowe pijackie chrapanie.

Od tej pory Śmiarowski regularnie zaglądał do kieliszka. Wódką znieczulił awanturę, jaka wybuchła, gdy wydało się, że poszukiwana przez niego zgraja znalazła się w wojskowym areszcie i że bez żadnych wątpliwości nie są to ścigani trabanciarze; w pijanym widzie przyjął informację o przeniesieniu do podmiejskiej komendy; na chwiejnych nogach czytał pismo zawiadamiające o pozbawieniu go praw do zajmowanego lokalu; zygzakiem przeprowadzał się do teściowej; jego przystojna twarz spuchła, oczy były ciągle podkrążone, dłonie trzęsące, chód niepewny, był brudny, niechlujny, wiecznie poplamiony i wymięty, zaczął szukać – z dobrym skutkiem, niestety – towarzystwa podobnych sobie opojów i z nimi w restauracjach, barach, spelunkach, na metach i w parkach przepijał miesiąc w miesiąc niemal całą pensję. Mówiąc krótko – porucznik Śmiarowski staczał się i to staczał się nadzwyczaj szybko. Ale najgorsze było dopiero przed nim.

Już w chwili, gdy struchlały Boczek informował porucznika o fatalnej pomyłce w śledztwie, oficer wiedział, że właściwie w tym momencie stracił Jolę, był pewien, że żona nie zaakceptuje kroku w tył, jaki na drodze ku najwyższemu resortowemu stanowiskowi Śmiarowski zmuszony będzie wykonać. Nie oczekiwał wyrozumiałości i cierpliwości (w całym nieszczęściu radował się jedynie z tego, że nie zdążył powiadomić żony o wystosowanym przez pułkownika zaproszeniu na sylwestra – chciał uczynić to uroczyście dopiero przy wigilijnej kolacji – i teraz nie musiał tłumaczyć, dlaczego mimo wszystko powitają Nowy Rok w towarzystwie niższych milicyjnych szarż). Czas pokazał jednak, że Śmiarowski nie doceniał żony, jej miłości i zaufania, jakim darzyła męża. W nowej, dramatycznej sytuacji – ku zaskoczeniu wszystkich, którzy wciąż mieli ochotę obserwować zmagania państwa Śmiarowskich z rzeczywistością – Jola wytrzymała z porucznikiem

jeszcze ponad dwa lata i zapewne wytrzymałaby znacznie dłużej, gdyby tylko mąż dał jej taką szansę. Jednak porucznik tego nie uczynił, gwałcił z pochyloną głową, czołowo, na zderzenie ze ścianą i zderzył się. Zaczął od poszukiwania na siłę symptomów kryzysu małżeńskiego, na pierwszy ogień poszedł seks; istotnie, odkąd zaczęły się problemy porucznika w pracy, ich łóżkowe wygibasy straciły na efektywności, Śmiarowski, wdrapując się z wysiłkiem na żonę, wyczuwał mimo alkoholowego zamroczenia rosnącą rezerwę, z jaką Jola przyjmowała jego coraz mniej wyszukane pieszczoty. Z czasem stał się zazdrosny, choć bardzo długo nie miał po temu powodów, a w końcu także agresywny. Wreszcie po prawie dwóch latach Jola zaczęła znikać, do domu wracała coraz później, jej odporność na wybryki Śmiarowskiego malała, aż pewnego dnia przy śniadaniu zażądała rozwodu, a kiedy go otrzymała, oświadczyła, że za miesiąc wychodzi za mąż i wyjeżdża z mężem na zagraniczną placówkę. Porucznik miał się natychmiast wyprowadzić.

Zamieszkał u Janka, kompana od kielicha, zapijaczono artysty plastyka, z którym zawarł prosty układ: w zamian za dyskretną opiekę milicyjną roztoczoną nad malarzem i jego rozrywkowym towarzystwem Śmiarowski mógł zająć róg ogromnego atelier, gdzie niemal dzień w dzień odbywały się głośne libacje. Janek pracował niewiele, sprzedawał jeszcze mniej, żył wystawnie z funtów przysyłanych przez wujcia z Anglii, wielbiciela jego twórczości; dzień rozpoczynał około południa, siadając okrakiem na tapczanie w kącie pracowni i drapiąc się po rzadkiej koziej bródce. Potem przeganiał niedobitki pozostałe po wygasłej o świcie imprezie, kręcące się sennie po atelier, zatrzymując – jak trzeba było, to siłą – jakąś skacowaną dziewczynę (czasem dwie), którą namawiał – najczęściej z dobrym skutkiem – na wyuzdane praktyki seksualne mające, jak twierdził, inspirować go do twórczości. Śmiarowski, wracając z pracy, zbierał z podłogi pejcze, pieszczochy, dziwne maski, skórzane pasy, gumowe penisy, a po uprzątnięciu całego tego arsenału zabierał się za picie.

Wszystkie dni porucznika wyglądały podobnie, a jedyną rozrywką, na jaką decydował się poza domem, były wizyty na Służewcu i gra na wyścigach, gdzie, dzięki temu, że codzienne picie sponsorował mu Janek, mógł sobie pozwolić na przegrywanie nieraz całej pensji. Wygrywał rzadko.

Z upływem lat zapal Śmiarowskiego do przeprowadzenia na chłopcach morderczej dintojry słabł, słabła też jego obsesja na punkcie odwetu, zamierały podlane litrami wódki krwawe instynkty, ale porucznik nie porzucił

całkiem myśli o odegraniu się na Andrzeju; przeciwnie, wracał do niej w marzeniach zarówno w pijanym widzie, jak i krótkich okresach trzeźwości, kiedy niedogolony, z trzęsącymi się rękoma i opuchniętą twarzą próbował wziąć się za siebie. Rozsądek podpowiadał mu jednak, że miraż ten nie ma szans się spełnić.

Złowieszczą ciszę przerwał dobywający się z głośników okrzyk spikera: „Rrrrruuszyły!!!”. Śmiarowski drgnął.

– Słuchaj, gnojku – wysyczał, próbując rozpalić w sobie dawną nienawiść – marzyłem o tej chwili, Jezu, jak ja o niej marzyłem, myślałem kiedyś, że spod ziemi cię wykopię, że nie ma takiego miejsca, w którym mógłbyś się przede mną ukryć. Choćbyś zmienił tożsamość, wyjechał za granicę, to, sądziłem, że wcześniej czy później i tak cię, chuju, dorwę. A teraz? – Uścisk porucznika zelżał. – Teraz to już jest mi, kurwa, wszystko jedno. – Puścił Kochana i pchnął go lekko w stronę stolika. – Spierdalaj, bo jeszcze zmienię zdanie.

Napięcie puściło, twarz milicjanta ponownie zasnęła się pijacką mgłą, zmiękł jak po zwiotczającym zastrzyku i z powrotem osunął się na krzesło (z którego Romek zdążył zabrać zmiętoszony kaszkiet), a Andrzej wspólnie z towarzyszem szybkim krokiem ruszyli w stronę padoku. W drzwiach Kochan obejrzał się jeszcze, siedzący przy stoliku oficer zwiesił głowę, łokieć prawej ręki wsparł o blat pomiędzy porozbijanymi naczyniami oraz resztkami jedzenia i bełkocząc coś niezrozumiale pod nosem, wywijał w powietrzu wskazującym palcem. Kochanowi brzmiały w uszach jego słowa: „Choćbyś zmienił tożsamość, wyjechał za granicę...”.

2

Minął bramę i wszedł na skąpane w popołudniowym słońcu podwórko. Stojąca na końcu długiego, podłączonego do hydrantu szlauchu Adamczykowa polewała wodą rozpalony asfalt; zgraja dzieciaków z piskiem przebiegała przez rozpryskujący się strumień, a dozorczyńni ze śmiechem, bez złości, groziła im palcem. Kochan uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie własne podwórkowe harce sprzed lat. „Czas płynie, a dzieciaki ciągle bawią się tak samo”, pomyślał.

– Dzień dobry, pani Czesiu! – zawołał do matki Mańka.

Adamczykowa obróciła się gwałtownie, kierując ostry strumień wody na zaparkowanego pod murem pomarańczowego starego wartburga, z przeżartej przez korozję karoserii posypały się drobne okruchy. Dozorczyńni szybko zwróciła szlauch ku ziemi i strwożona spojrzała w okna na czwartym piętrze – na szczęście były szczelnie zamknięte, właściciel pomarańczowego widma niczego nie widział – potem, już uspokojona, odwróciła się raz jeszcze do Kochana. „A ta cholera, czego tu znowu szuka? Za długo był spokój? Znowu coś wykombinuje i jeszcze nieszczęścia narobi”, gderała w duchu dozorczyńni.

– Aaa, Andrzejek – powiedziała głośno. – Dawno cię nie było. Do ojca przyszedłeś czy Mańka szukasz?

– Ani jedno, ani drugie, pani Czesiu – odpowiedział, podchodząc do Adamczykowej i cmokając ją szarmancko w mankiet. Próbował odzyskać dawną uwagę, z jaką dozorczyńni go traktowała, choć wiedział, że jego wysiłki na niewiele się zdadzą; od czasu, gdy Maniek przyłączył się do czechosłowackiej eskapady, za co poniósł najcięższe z uciekinierów konsekwencje, Adamczykowa odnosiła się do Kochana z grzeczną, acz niechętną rezerwą i żadne, niegdyś tak skuteczne, manewry mające na celu zmianę tego stanu rzeczy nie przynosiły rezultatu. Tak było i tym razem. Dozorczyńni uśmiechnęła się kwaśno.

– To dobrze, bo Mańka i tak nie ma. Nie mieszka z nami już od jakiegoś

czasu, ale nawet jak przychodzi w odwiedziny, to jakoś o ciebie się nie dopytuje. A ty jak sobie radzisz?

„Lepiej byś zrobił, gdybyś porządnym ludziom głowy nie zawracał, cwaniaku”, złościła się w myślach, jednocześnie patrząc podejrzliwie na trzymaną przez Andrzeja w garści ażurową siatkę, w której brzęczało kilka pękatych ciemnych butelek.

– Dziękuję, jakoś leci. Pójdę już.

„A idź, idź, i najlepiej nigdy nie wracaj”, myślała, a głośno odpowiedziała:

– To wszystkiego dobrego, Andrzejku, jak będziesz w okolicy, to koniecznie zajrzyj.

Skierowała strzelający wodą szlauch do góry, celując – niby przypadkiem – w stronę zbitych w kupkę dzieciaków, które rozbiegły się z piskiem.

Andrzej tymczasem wszedł na klatkę schodową. „Nigdy mi nie wybaczy, że ukochany synalek przeze mnie w kiciu wylądował. A pies z nią tańczył, nikt mu na siłę nie kazał iść. Poza tym to już tyle lat. Dziesięć? Ponad. Zawzięta baba”. Usiadł na parapecie okna na pierwszym piętrze, zapalił i wyjrzał na podwórko. „Akacje wolno rosną”, stwierdził, patrząc na żyłaste drzewa porastające skarpe. Ostatnio rzadko tu bywał. Odkąd wyszedł z więzienia, stosunki z ojcem pozostawały napięte, rozmawiali ze sobą z przymusem, nie szukając kontaktu, brat rozpił się do reszty, a siostra dostała mieszkanie na Bródnie i wyprowadziła się z mężem i dziećmi, mniej więcej rok po Andrzeju.

Kochan zgasił papierosa, wstał i spojrzał w górę schodów, uśmiechnął się, przypominając sobie zaskoczenie, jakiego doznał po powrocie do domu z zakładu karnego. Na wiosnę tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku zaczęła się generalna przebudowa kamienicy; w mieszkaniach porobiono łazienki (wcześniej były tylko kible i zlewy z zimną wodą), zamontowano kuchnie gazowe, likwidując jednocześnie węglowe paleniska, a w pokojach kaflowe piece zastąpiono centralnym ogrzewaniem; dobudowano czwarte piętro, rozbierając spadzisty, kryty dachówką dach i zastępując go nowoczesną, płaską konstrukcją bez wyrazu, na której wyrósł las anten telewizyjnych. W ten sposób cierpiąca na chroniczny niedobór lokali Warszawa otrzymała dziesięć nowych mieszkań. Remont skończył się jesienią. Kiedy ostrzyżony na krótko Andrzej wszedł do mieszkania, wszystko

dokoła pachniało jeszcze nowością. Chodził z pokojów do kuchni, zaglądał do łazienki, krążył po wydłużonym w czasie przebudowy przedpokoju i wszędzie podziwiał nowoczesne urządzenia, jakie zainstalowano. Za nim dreptał ojciec i gderał. Kochan policzył: ojciec, brat, siostra z mężem i dwójką dzieci, on – „będzie ciaśniej niż w celi”, myślał i kombinował, dokąd mógłby się wyprowadzić. Ale minęły jeszcze dwa lata w ścisku z rodziną, zanim poznał Ewę. Chodzili ze sobą rok, potem ślub i wreszcie zamieszkali razem na Wałowej, w mieszkaniu odziedziczonym przez Ewę.

Zastukał do drzwi na trzecim piętrze, które błyskawicznie się otworzyły; w progu stał pięcio-, może sześciolatek chłopczyk z grubą pajdą chleba w powidłami w drobnej dłoni i przyglądał się spode łba Andrzejowi, przyczesując lewą ręką sterczące we wszystkich kierunkach skręcone ciemne kudły.

„Jaki fajny mały Szczota”, pomyślał Kochan i powiedział do chłopca:

– Serwus smyku, tata w domu?

Dzieciak bez słowa odwrócił się i pobiegł korytarzem w stronę pokoju, po chwili do przedpokoju wyszedł Szczota, ziewając i mrużąc oczy, starał się odgadnąć, kto stoi w progu mieszkania.

– Kochan? – powiedział z niedowierzaniem, po czym podbiegł niezdarnie i uściskał dawno niewidzianego przyjaciela. – Chodź, wejdz. – Cofnął się o krok.

– Nie, lepiej wyjdźmy na zewnątrz. Pogadamy. – Andrzej podniósł do góry siatkę, w której brzęknęły butelki.

– Piwo? – Szczocie zaświeciły się oczy, ale po chwili radosny błysk zgasł, a Waldek trwożnie obejrzał się za siebie. W progu kuchni stała zgrabna, przepasana fartuchem brunetka, wycierała dłonie w ścierkę i przyglądała się z uśmiechem całej scenie.

– Cześć, Ola – powiedział Kochan i spuścił oczy; wciąż, mimo upływu lat, nie potrafił wytrzymać jej wzroku.

– Cześć, Kochan – odpowiedziała pogodnie. – Idźcie, idźcie, tylko nie siedźcie za długo, wróćcie na kolację. Zjesz z nami, Andrzej?

– Nie chcę robić kłopotu.

– Nie wygłupiaj się...

– Tato, a ja też mogę już wyjść na podwórko? – zajęczał, ciągnąc Szczotę

za rękaw przysłuchujący się rozmowie dorosłych chłopiec.

– Mleko wypiliśmy? – zapytał, robiąc sztucznie groźną minę, Waldek.

– Tak – odpowiedział, krzywiąc się, dzieciak.

– To śmigaj.

– Hura! – Malec puścił się biegiem w dół schodów.

Wyszli. Ścigani niechętnym spojrzeniem Adamczykowej przeszli przez podwórko, potem przez bramę, chwilę rozglądając się po parku, wahali się, w którą stronę pójść; w Jutrzence za kilkanaście minut najpierw ryknie sygnał kroniki filmowej, a później rozpocznie się seans, przy fontannie nie lubili siadać – zawsze uważali, że to dobre miejsce dla matek z dziećmi, a nie takich twardzieli jak oni – wreszcie wybrali murek z metalową poręczą w okrągłej wnęce na podeście między dwoma poziomami schodów, prowadzących od skarpy do ulicy Rozbrat. Usiedli na poręczy, kładąc stopy na oparciu ławki. Andrzej wyjął z siatki dwa piwa i otworzył, zapierając ząbki kapsli o zieloną ławkową deskę i uderzając kantem dłoni w wierzch butelki – blaszane krążki odskoczyły z sykiem i potoczyły się po kamiennej mozaice, którą wyłożony był podest.

– Zostaw – Kochan przytrzymał wstającego Szczotę – gówniarze znajdą, przydadzą im się do gry.

– Ale ja właśnie chcę je wziąć dla Tomka. – Podniósł kapsle i schował do kieszeni.

Pili przez chwilę w ciszy, szukając tematów do rozmowy. Zapalili. Wreszcie Kochan przerwał krępujące milczenie.

– Co u Oli? Wiesz, Szczota – kontynuował, nie czekając na odpowiedź – ja ciągle nie mogę uwierzyć, że ty wtedy wróciłeś do przedziału.

– To było silniejsze ode mnie. Rozumiesz, przeznaczenie. – Szczota rozłożył ręce i uniósł wysoko brwi.

– Przez to twoje przeznaczenie mogłeś nas wpierdolić już pod Kuluszkami.
– Kochan pokręcił głową.

– Przecież mówiłem ci, że poszedłem zaraz do konduktora przedłużyć bilet i powiedziałem mu, że wysiedliście.

– Mówiłeś, mówiłeś, to szczęście, że ta menda ci uwierzyła.

– Niechętnie, ale uwierzyła. Zresztą i tak was złapali. A gdybyście wpadli

już w Koluszkach, może nie poszlibyście siedzieć.

– No to co u niej? – Kochan szybko zmienił temat.

– U Oli? Dzięki, wszystko dobrze... A u Ewy?

– Też wszystko gra.

Znów zapadło milczenie. Sączyli piwo, patrząc przed siebie.

– A chłopak zdrowy? – Tym razem ciszę przerwał Szczota.

– Zdrowy, zdrowy.

Na schody weszła obładowana zakupami kobieta pod sześćdziesiątkę. Przyjaciele unieśli się nieco i ukłonili.

– Dzień dobry, pomóc pani?

– O, Andrzej – odpowiedziała, stawiając siaty na kamiennej mozaice – dawno cię nie było. Nie, dziękuję, nie trzeba. Co, chłopcy, męskie rozmowy?

– Raczej męskie milczenie – odpowiedział Kochan. Spojrzeli na siebie ze Szczotą i wybuchnęli śmiechem.

– A to milczcie sobie, na zdrowie – rzuciła przyjaźnie kobieta, złapała zakupy i ruszyła w stronę kamienicy.

Kochan wyjął z siatki kolejne dwa piwa, otworzył, podał Szczocie kapsle i zapytał:

– Słuchaj, Waldziu, a ty w końcu te studia to skończyłeś?

– Skończyłem, w zeszłym roku. Teraz możesz do mnie mówić panie magistrze.

– A co to było? Przypomnij mi.

– Geografia.

– I co, opłaciło się?

„Dobre pytanie”, pomyślał Szczota. Dla Waldka, któremu w podstawówce, a później w mechanicznej zawodówce na Okopowej nauka przychodziła z wielkim trudem, Waldka, który wśród nauczycieli miał opinię ucznia ociężałego, może nawet tępego (do czego bez wątpienia przyczyniał się jego osowiały, nieśmiały sposób bycia potęgujący wrażenie umysłowej indolencji), myślącego powoli, choć zaskakującego czasami logiką spostrzeżeń, po którym nikt nie spodziewał się intelektualnych fajerwerków, bo i oceny do domu przynosił zawsze mizerne, było ogromnym zaskoczeniem to, z jaką łatwością pochłaniał wiedzę, kiedy za namową Oli postanowił

skończyć studia. Procentowały godziny spędzone nad encyklopedią, kiedy gimnastykował umysł, czego – do czasu – nie potrafił wykorzystać; było to dla jego mózgu jak musztra w wojsku, gdy wykonuje się z pozoru do niczego niepotrzebne ćwiczenia, które dopiero w ekstremalnych wojennych warunkach okazują swoją przydatność. Podobnie było ze Szczotą. Tak jak obiecał siostrze, znalazł pracę – na poczcie prznosił paczki, a po robocie uczęszczał do liceum wieczorowego, w którym z zawziętą ambicją robił po dwie klasy w jednym roku i niebawem mógł zdać eksternistycznie, z bardzo dobrym zresztą wynikiem, maturę. Wielką rolę odegrała tu motywacja; Waldek po uszy zakochał się w Oli, a ponieważ, pełen kompleksów, bez wiary w swoją atrakcyjność i wdzięk, którym potrafiłby oddziaływać na kobietę, nie wiedział, czym mógłby jej zaimponować, postanowił za wszelką cenę zdobyć wykształcenie, byle tylko być wartym uczucia ukochanej. Ola, która po roku od ich pierwszego spotkania – przez ten czas jeździli do siebie tak często, jak tylko było to możliwe, a możliwe było niestety rzadko – tak jak marzyła, przyjechała do Warszawy na studia, na polonistykę, i zamieszkała u ciotki, z życzliwym rozbawieniem obserwowała zacięcie, z jakim Szczota pokonywał kolejne stopnie edukacji, dla niej nie musiał tego robić, ale wiedziała, że powinien zrobić to dla siebie.

Po maturze przyszedł czas na wybór kierunku studiów. Waldek nie miał konkretnych planów, z pomocą przyszło mu zamiłowanie do map i niezwykła łatwość ich czytania, poza tym te wszystkie podróże odbywane w głowie, kiedy siedział pochylony nad opasłym tomem encyklopedii, kiedy czytał o tych wszystkich dalekich krajach – po krótkim namyśle zdecydował się na geografię, jedyny przedmiot, z jakim w początkowej fazie edukacji radził sobie jako tako, wyróżniający się osamotnioną, kłującą w oczy w morzu słabych trójek czwórka na świadectwie ukończenia podstawówki. Zakres studiów był dla Szczoty wielkim zaskoczeniem, wyobrażał sobie je zupełnie inaczej, ale nie przeszkodziło mu to na luzie połykać kolejne semestry i cieszyć się opinią dobrego, sumiennego studenta, aż w końcu wysmarował bardzo życzliwie przyjętą pracę magisterską, którą niedawno obronił.

– Jeszcze nie wiem. Na razie próbuję się gdzieś zahaczyć. Może w PWN-ie. Zobaczmy. Ola uczy w szkole, jakoś sobie radzimy. A ty? Ciągłe chcesz wyjechać?

– Chcieć to ja sobie, kurwa, mogę, tylko nikt mnie nie chce wypuścić. Paszportu mi nie dają, a przez zieloną już nie będę próbował.

– To dobrze, Andrzej. Przecież wiesz, że z państwem nie wygrasz.
– To się jeszcze okaże – burknął pod nosem.
– Co? – przestraszył się Szczota.
– Nic, nic, tak tylko sobie żartuję.
– Młodzi byliśmy, głupi – przekonywał Szczota. – Musisz się wreszcie pogodzić z tym, że spędzisz tu resztę życia.
– Tak, tak... – przytaknął z roztargnieniem Kochan i spojrzał w lewo.
Schodami w górę wspinało się dwóch długowłosych wyrostków, wystrojonych w czerwono-biało-zielone szaliki, dyskutując o czymś żywo.
– Panowie, jaki wynik? – zagadnął Kochan.
– Eeee tam – machnął ręką wyższy z chłopców. – Odkąd nie ma Kazika, to już nie to samo. Przegraliśmy, i to z kim? Z Katowicami!
– Cooo? Ile?!
– Zero jeden.
– A Kusto grał? – wypytywał dalej Andrzej.
– Grał, i co z tego, znów mu się nie chciało, wie pan, jaki on jest, jak ma dzień, to nie można od niego oczu oderwać, czaruje, ale jak mu się nie chce, to się nawet nie ubrudzi. Proszę pana, da nam pan papierosa?
– Nie za mali jesteście na palenie?
– Ojej, co panu zależy?
– Macie. – Kochan wyjął zmiętoszoną paczkę klubowych i poczęstował chłopaków.
– Dziękujemy – powiedzieli niemal jednocześnie, przypalając fajki, po czym ruszyli w górę schodów. Wyższy obejrzał się jeszcze i zawołał. – Niech panowie idą na stadion za miesiąc, przyjeżdża Manchester, Kazik zagra pożegnalny mecz. Będzie na co popatrzeć.
– Dobra. Trzymajcie się, chłopaki – zawołał Kochan, a obracając się do Szczoty, powiedział: – Skoro był mecz, to warzywniak jest jeszcze otwarty, idziemy na oranżadę?
Dopili piwo, zeskoczyli z murku, zeszli schodami w dół, po czym obeszli okrągłą, strzelającą niczym gejzer wąskim strumieniem w górę fontannę; woda dolatywała do wysokości pierwszego piętra – czasami przyduszona własnym ciężarem jakby krztusiła się, wówczas słup wody opadał, by po

chwili wystrzeliwać w górę z jeszcze większą siłą – na szczycie tworzyła fantazyjne figury i ciągnięta nieubłaganymi prawami fizyki opadała z chlupotem do wypełnionego po brzegi okręgu fontanny.

– Ciekawe, że ta jest zawsze pełna wody, a tamta na końcu – Kochan wskazał na majaczącą daleko, za Jutrzenką, ostatnią z długiego szeregu bliźniaczą fontannę – zawsze pusta.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Szczota wzruszył ramionami.

– A ja owszem. Szczególnie dawniej, kiedy jako gówniarz biegałem wokół po tym murku – pokazał na ocembrowanie fontanny – poślizgnąłem się i wpieprzyłem do środka. Byłem cały mokry. Bałem się wrócić do domu, żeby ojciec mi w dupę nie dał, i oczywiście się przeziębilem. Miałem potem o czym myśleć.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Ruszyli schodami w kierunku ulicy Górnośląskiej, nad którą górowało masywne gmaszysko zespołu szkół budowlanych. – Przygoda w stylu Sysego, dobrze, że łba sobie nie rozbiłeś.

– À propos Sysego... – zaczął Kochan, gdy od strony skrzyżowania Górnośląskiej z Rozbrat rozległ się gwałtowny pisk opon, a po chwili głośne basowe przekleństwa. Chłopcy nasłuchiwali przez chwilę.

– O Boże, a pamiętasz tę dziewczynę? – zapytał Szczota.

– Pewnie... Nigdy tego nie zapomnę.

– Ale mnie wtedy nastraszyłeś.

To było zaraz po wyjściu Kochana z więzienia. Szedł tą samą co teraz trasą do sklepu na Rozbrat, a w drodze towarzyszył mu narastający z każdą chwilą, zbliżający się od strony Książęcej ryk silnika i kiedy Andrzej znajdował się mniej więcej w tym samym miejscu, co w tej chwili, do jego uszu doleciał przerażający grzmot, potem ogłuszający huk giętych blach, brzdęk szkła i krótki kobiecy krzyk, w końcu zaległa złowroga cisza. Popędził do góry, pokonując po trzy schodki naraz. Pierwsze, co zobaczył, gdy wbiegł na Górnośląską, to samotne żółte kozaki leżące na środku jezdni, następnie ujrzał zastygłe w przerażeniu twarze ludzi stojących po przeciwnej stronie ulicy w ogonku na postoju taksówek; po lewej na rogu, niczym pijak przytrzymujący się obiema rękoma słupa dla złapania równowagi, owinięty wokół latarni dymią granatowy ford, po przeciwnej stronie skrzyżowania stały szczepione w żelaznym, morderczym uścisku kremowy moskwicz i biała warszawa z taksówkarskim kogutem na dachu, wszędzie pełno było szkła, spod forda

wyciekała cuchnąca, kleista substancja. „Masakra”, pomyślał Andrzej, ale najgorszy widok był dopiero przed nim. Zrobił dwa kroki do przodu i wtedy ją ujrzał; leżała dolną połową ciała na jezdni, górną na chodniku, jej bosa nogi były w jakiś niewiarygodnie nienaturalny sposób powykręcane, rozrzucone długie blond włosy w szybkim tempie barwiły się na czerwono ciekącą z uszu i ust krwią. Miała nie więcej niż osiemnaście lat. Podbiegł i nachylił się nad nią, próbowała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Kochan patrzył bezradnie, nie wiedząc, w jaki sposób pomóc dziewczynie, zdjął kurtkę i przykrył nią ranną, położył rękę na jej dłoni i próbował dodać otuchy, ale jemu też słowa grzęzły w gardle. Ktoś pobiegł wezwać pogotowie, ze zniszczonych samochodów dobiegały jęki rannych. Oczy dziewczyny zrobiły się szkliste, potem zasnęły się mgłą, już nic nie widziała, nic nie czuła. Wstrząśnięty Kochan nie potrafił dłużej na nią patrzeć, podniósł się i poszedł w stronę zniszczonych aut pomóc wyciągać zakleszczonych kierowców i pasażerów.

Huk, wrzaski, nawoływania zaalarmowały przygotowującego się do egzaminu Szczotę, który odłożył książkę i tak jak wielu mieszkańców okolicznych kamienic wybiegł z domu i pognął na skrzyżowanie Górnośląskiej z Rozbrat zobaczyć, co się stało. Na miejscu zderzył się z murem gapiów, oblepiających miejsce wypadku, przeciskał się przez ciżbę i poprzez falujące głowy zobaczył niewyraźnie fragment ciała przykryty zakrwawioną kurtką Kochana, pod którą czerwienił się wymazany krwią chodnik. Pod Szczotą ugięły się nogi, usiadł na krawężniku i ukrył twarz w dłoniach, poczuł ciepłą wilgoć przeciekającą przez palce. Ujrzał Andrzeja jako małego chłopca, ich przywódcę, uśmiechniętego, pełnego energii, zawsze na czele grupy, myślał o tym, jak bardzo go zawsze podziwiał, jak kochał. A teraz, nagle, w jednej sekundzie...

Poderwał się gwałtownie, roztrącił zbitych w ciasną gromadę ludzi, podbiegł do pochylonych nad ciałem sanitariuszy i po raz kolejny poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Upačkana krwią kurtka leżała teraz samotnie na krawężniku, przykryte białym prześcieradłem zwłoki spoczywały na jezdni i chodniku, spod materiału wystawały długie, zlepione krzepnącą krwią blond włosy – nie było wątpliwości, to nie był Kochan, nagły podmuch wiatru poderwał biały całun i Szczota zobaczył otwarte szeroko puste martwe oczy. Zachwiał się i wtedy go dostrzegł; bez kurtki, w samym swetrze,

wspólnie z grupą mężczyzn próbował odgiąć zakleszczone tylne drzwi warszawy, na siedzeniu samochodu rzeźił starszy siwy mężczyzna. Waldek na uginających się nogach podszedł do Andrzeja i stanął za jego plecami, przyjaciel odwrócił się.

– Pomóż – powiedział.

Szczota nie ruszył się, pokazał na trupa dziewczyny.

– Myślałem, że to ty – wychrypiał...

– Nastraszyłeś mnie wtedy – powtórzył Szczota.

– A te oczy pamiętasz? – Andrzej spojrzał na Waldka, a ten pokiwał głową. Przeszli na drugą stronę Górnoszlaskiej, minęli zatłoczony postój taksówek i doszli do Rozbrat. – Pierwszy raz widziałem, jak ktoś umiera. I mam nadzieję, że ostatni.

– Mańka i Sysego wtedy nie było?

– Nie pamiętam, chyba nie. No właśnie, Sisy...

Minęło ich trzech pędzących po chodniku małych kolarzy na zdezelowanych składakach, pedałuujący zawzięcie na czele stawki odwrócił się i sepleniąc, zawołał do pozostałych:

– Mówiłem wam, że Sozdy [12](#) nie dogonicie!

Szczota z Kochanem roześmieli się, przypominając sobie własne gonitwy na rowerach.

– Zaczekaj, zaraz powiesz mi o Sysym. – Waldek pokazał na drewnianą, pomalowaną na zielono, stojącą na rogu ulic budkę. – Ale najpierw warzywniak.

Przez uniesione do góry okno wsadzili głowy do środka.

– Witam, pani Zosiu – zawołał Andrzej.

Tęga tleniona blondyna w średnim wieku, ubrana w niebieski fartuch, odwróciła się gniewnie, ale kiedy zobaczyła Kochana, jej zmarszczone czoło się rozpogodziło.

– Andrzejek? Co się z tobą dzieje, dziecko? – zawołała, rozkładając szeroko ręce.

– Na Muranowie teraz mieszkam.

– A to źle ci u nasz na Powiślu było?

– Dobrze, pani Zosiu, dobrze, ale ciasno, gdzie ja bym się z żoną i dzieciakiem pomieścił?

– Racja. Co podać?

– Oranzadę chcieliśmy.

– I pewnie zieloną jeszcze? Wchodźcie, poszukajcie. – Uśmiechnięta, kiwając na boki głową, wskazała kciukiem na znajdujące się w głębi drzwi.

Weszli do mrocznego pomieszczenia, gdzie w powietrzu unosił się wymieszany zapach wszystkich znanych pod tą szerokością geograficzną warzyw i owoców, pewnym krokiem skręcili na lewo i zaczęli szperać w drewnianej skrzynce. Wyciągali po kolei wszystkie butelki i unosili do światła. Same brązowe. Od dzieciństwa zawsze robili tak samo; wpadali całą bandą do warzywniaka i rzucali się do wypełnionej flaszki z oranzadą skrzyni, szukając zielonej butelki (z jakichś nieznanych powodów zawsze więcej było tych brązowych, zielona to był prawdziwy rarytas, a ponieważ w socjalistycznym handlu towar deficytowy cieszył się największą estymą, oranzada w zielonej butelce stanowiła nieustająco przedmiot dziecięcego pożądanego), kto taką znalazł, stawał się królem polowania; mógł ją wypić, śledzony zazdrosnymi spojrzeniami kolegów, mógł nią „zahandlować”, wymienić na dwie brązowe, na słodycze czy gumę do żucia, mógł też w zamian za butelkę wynegocjować jakieś specjalne traktowanie. Z początku pani Zosia złościła się na te dziecięce, niezrozumiałe (bo przecież w każdej z butelek był ten sam płyn) naloty, z czasem jednak dała się wciągnąć w grę i kibicowała łowom, ciekawie zerkając, do kogo uśmiechnie się szczęście. Tym razem nie uśmiechnęło się do nikogo.

– Cholera, nic z tego, nie ma – złościł się Kochan. Sprzedawczyni rozłożyła ręce. – Pani Zosiu, a śmietanka jeszcze jest?

Blondyna ściągnęła złożoną na pół gazę z dużego pomalowanego emalią na niebiesko wiadra i zaglądając do środka, zamieszała aluminiową chochlą.

– Jeszcze trochę się wyskrobie.

– Tylko że ja nie mam słoika. – Kochan zrobił słodką minkę.

– Nie ma słoika, nie ma śmietany – powiedziała twardo, zakrywając wiadro.

– Oj, pani Zosiu, po starej znajomości, chłopakowi chciałem dać, przecież

pani wie, że takiej śmietanki, jak u pani, nigdzie w Warszawie nie dostanę.

– Skaranie boskie z tobą, Andrzej. Zawsze taki sam. Maciej – zwróciła się do siwego, długowłosego mężczyzny śpiącego z głową opartą na ladzie za wiadrem – słoik podaj!

Śpioch, nie otwierając oczu, jak lunatyk uniósł powoli głowę, sięgnął za siebie i po chwili wyciągnął dłoń z pustym słoikiem. Pani Zosia odebrała od niego naczynie i zaczęła chochlą nalewać śmietanę, a głowa mężczyzny powoli z powrotem opadła na blat. Kochan przyglądał mu się przez moment; odkąd pamiętał, ten typ zawsze siedział w tym samym kącie i zawsze spał, z upływem lat jego długie włosy w kolorze świński blond nabierały siwizny, twarz pokrywała się licznymi zmarszczkami, a on niezmiennie drzemał jak kocur na swoim taborecie. Podobno codziennie o czwartej nad ranem meldował się na giełdzie warzywnej, aby wybrać najładniejszy świeży towar, a wracając wyładowanym żukiem, zahaczał jeszcze o znajomych gospodarzy, od których kupował śmietanę i jajka, po czym już o ósmej zasypywał budkę najsmaczniejszymi w okolicy warzywami i owocami. Później przez całą dzień odsypiał za ladą godziny porannej aktywności. Kochan uśmiechnął się pod nosem.

– Pani Zosiu, a pan Maciek to nie może się jak człowiek normalnie w łóżku wyspać?

– Pewnie, że może, tylko nie chce. Mówi, że woli tu, bo przynajmniej interesu przypilnuje. O, takie to pilnowanie – powiedziała, machając dłonią przed nosem śpiącego męża. – Nic nie widzi, nic nie słyszy.

Zapłacili i wyszli na zewnątrz, zegnani wylewnie przez sklepikarkę. Stanęli na Rozbrat i „z karata” odbili kapsle, przytknęli butelki do ust, pili chciwie. Po chwili Szczota, pokazując na witrynę sklepu mięsnego, powiedział:

– Wiesz, Kochan, teraz, jak jest dostawa towaru, to kolejka ustawia się aż do pralni. – Pokazał dłonią w głąb ulicy.

– Wszędzie tak jest. Kryzys – powiedział Andrzej, ścisząc głos.

Minął ich zatłoczony kibicami autobus, z okien powiewały szaliki, słychać było schrypnięte chóralne śpiewy sławiące ukochany klub i w niewyszukany sposób – w mocnych żołnierskich słowach – określające stosunek kibiców do innych drużyn. To były dźwięki, w jakich wzrastali – stadion Legii znajdował się zaledwie kilkaset metrów od ich kamienicy – jako mali chłopcy, bawiąc

się na podwórku, odrabiając lekcje w domu czy kładąc się do łóżek (zależnie od pory rozgrywania meczu), słuchali dolatujących z trybun odgłosów; nauczyli się rozróżniać hałas towarzyszący strzeleniu bramki przez ich drużynę, rozpoznawali krótką ciszę zwiastującą gola dla przeciwników – po niej zawsze następował ryk zagrzewający piłkarzy do odrabiania strat. Słuchając tej stadionowej symfonii, przewidywali wynik, jaki padł na boisku – nie mylili się nigdy. Później, kiedy podrośli, regularnie chodzili na trybuny, gdzie zdzierali gardła, podziwiając jednocześnie popisy Żmijewskiego, oklaskując kunszt Brychczego, doceniając twardą grę Gmocha. Drużyna grała pięknie, ale przed wyjazdem do Francji Kochan mistrzostwa się nie doczekał. Potem, kiedy on kopał piłkę w prowincjonalnym klubiku nad Sekwaną, Szczota, Sisy i Maniek zobaczyli na boisku nowego zawodnika, prawdziwego wirtuoza Gadochę, tydzień po nim na murawę wybiegł chudy dwiętnastolatek, który odmienił grę ich ukochanego klubu – to był Kazik, piłkarski geniusz. Legia pięła się w górę tabeli, aż w końcu przyszło upragnione mistrzostwo. Był czerwiec sześćdziesiątego dziewiątego roku. Wyszli z aresztu po pierwszej ucieczce w sam raz na czas, by świętować to wydarzenie.

Uśmiechnęli się, słuchając popisów wokalnych dolatujących z przeładowanego berlieta. Kochan obrócił się w stronę Szczoty i powiedział wesoło:

- Słuchaj, Szczota, mam sprawę.
- Domyślam się – Waldek spoważniał, jakby czymś urażony – wal.
- Nie wiesz przypadkiem, gdzie można znaleźć Sysego?
- Przepadkiem wiem...

3

Żar lał się z nieba. Upał nie odpuszczał. Od tygodni warszawiacy – z wyjątkiem nielicznych szczęśliwców, zaludniających rozsiane po całej Polsce siermiężne domy wczasowe i kempingowe Funduszu Wczasów Pracowniczych, garstki rozłożonej na szerokich bułgarskich i rumuńskich plażach i tych, którzy na działkach i w wiejskich rodzinnych „rezydencjach” korzystali z uroków lata – smażyli się jak skwarki w bezlitosnym sierpniowym słońcu. Uciekając z rozpalonych niczym hutniczy piec ulic, mieszkańcy stolicy szukali ochłody w parkach, przy fontannach, nad brzegami burej, śmierdzącej Wisły, w której kąpiel groziła złapaniem syfa bez zwyczajowej związanej z taką dolegliwością uprzedniej przyjemności. Strzelające wodą pod ciśnieniem saturatory pracowały na pełnych obrotach, serwując w niedomytych musztardówkach czystą i z sokiem. Na urzędniczych biurkach, sklepowych ladach, w mieszkaniach, warsztatach rozstawiano wiatraki, mielące z marnym skutkiem nagrzane gęste powietrze. Znikąd ulgi. Ale było w Warszawie miejsce, któremu od lat niestraszne były nawet najgorsze upały, ba, pogoda taka stawała się tam wręcz wymarzoną – im goręcej, tym lepiej. Warszawski wiosenno-letni salon towarzyski.

Kochan pochylił się i pod kratą okienka kasowego położył bilon na ladzie, odebrał bilet i przeszedł strzeżoną przez spoconego ciecia furtkę. Skierował się wprost na półokrągłe schody, prowadzące do prostokąta szerokiej bramy piętrowego pawilonu w kształcie litery L; słychać było donośne piski i śmiechy mieszające się z pluskiem wody. Andrzej stanął w bramie i spojrzał na setki głów, które niczym gumowe piłeczki unosiły się na powierzchni wielkiego olimpijskiego basenu, zwieńczonego dziesięciometrową wieżą do skoków. Po lewej na wysokim krześle, jak sędzia na tenisowym korcie, siedział bawiący się gwizdkiem ratownik i zagadywał do wianuszków ubranych jedynie w skąpe kostiumy kąpielowe dziewczyn, mizdrzących się na brzegu. Na trawnikach, porozkładani na kocach i leżakach, prężyli ciała amatorzy słonecznych kąpiei, ale elita rozłokowała się po prawej, na betonowych

trybunach i sąsiadującej z nimi okolonej żywopłotem, porośniętej rzadką trawą polance. Właśnie tam Kochan zamierzał się udać.

Lecz najpierw należało się przebrać. Pchnął drewniane wahadłowe drzwi i wszedł do ciemnego pomieszczenia z rzędem niewielkich okienek, usytuowanych pod wysokim sufitem. Siedząc na drewnianej ławce i zdejmując ubranie, Andrzej rozejrzał się dookoła; naniesiony piach mieszał się z mokrymi śladami bosych stóp, zielona farba ledwie prześwitywała spod brudu przykrywającego lamperie, a z toalet zalatywał smród moczu. „Luksus, kurwa ich mać – pomyślał – komunistyczny snobizm. Może to był i luksus, ale w latach trzydziestych, teraz to zwykły syf. We Francji nie do pomyslenia”. Naciągnął obcisłe kąpielówki i wyszedł na zewnątrz.

Stanął na chodniku pomiędzy leżakami i obejrzał się za siebie, na zniszczony pawilon, zatrzymał wzrok na barierze okalającej dach, znad której wychylały się dwie kobiece głowy, zawzięcie o czymś dyskutujące. Solarium. Tu kobitki opalały się na golasa. Otoczone szpalerem niewysokich, lecz gęstych drzew, wydawało się dostatecznie zabezpieczone przed niepożądanymi spojrzzeniami napalonych podglądaczy. Do czasu. Kiedy z wielką pompą oddawano do użytku sztandarową warszawską inwestycję gierkowskiej dekady, Trasę Łazienkowską, przy okazji, jak to zazwyczaj za Gierka bywało, postawiono również, wprawdzie mniej eksponowaną, ale za to bardzo ekstrawagancką budowlę. Ponieważ otwarcie nowej arterii zbiegło się w czasie z obchodami trzydziestolecia PRL-u, u podnóża ślimaków fantazyjnie łączących Trasę z Wisłostradą, na planie X – rzymskiej dziesiątki – wyrosły trzy smukłe, wcięte w talii, górujące nad okolicą szesnastopiętrowe punktowce. Z górnych pięter rozciągał się fantastyczny widok na Powiśle, basen Legii i... usytuowane na jego dachu solarium. Miłośnicy kobiecych wdzięków i pokątnej masturbacji szybko odkryli to eldorado i w sezonie, wyposażeni w lornetki, zapełniali klatki schodowe popularnych iksów. W większości przed ich uzbrojonymi oczami paradowały oblepione oponami z tłuszczu obleśne baby, ale od czasu do czasu trafiał się rodzynek – młoda, zgrabna, zadbana, opalona dziewczyna.

Kochan odwrócił się ponownie przodem do basenu, westchnął i ściskając ręcznik, ruszył w prawo, na betonowe trybuny. Teoretycznie wejść w ten sektor kąpieliska i rozłożyć się z kocem czy leżakiem mógł każdy (w końcu Polska to kraj demokracji ludowej), jednak tak się nie działo, a przeciętny Kowalski czuł się tu obco, ponieważ to tu zbierała się śmietanka towarzyska

peerelowskiej Warszawy; zbici w niewielkie gromadki dyskutowali literaci, aktorzy, reżyserzy, plastycy, muzycy i wszelkiej maści artyści bez określonego jeszcze talentu, ale z ogromnym przekonaniem o własnej inności; bywalcy salonów, bohaterowie szeptanych na ulicy plotek i socjalistyczni playboye przemierzali majestatycznie betonowe stopnie; tu wreszcie unosił się zapach dużych pieniędzy, bo na rozgrzanych trybunach załatwiało się wielkie – te półlegalne i całkowicie lewe – interesy. Zwyczajnego warszawiaka paliło tu piętno szarości.

Ścigany ciekawskimi spojrzeniami, rozglądając się na boki, Kochan spacerował po tym targowisku próżności, mijał znane z telewizji i gazet twarze, przechodził obok smukłych, opalonych ciał i w końcu przy kolejnym nawrocie zauważył go; leżał na wznak w wielkich przeciwsłonecznych okularach i modnych, obcisłych kąpielówkach w brązowo-czerwone pionowe pasy na ogromnym plażowym ręczniku w kolorze zielonego jabłuszka, w towarzystwie dwóch strzaskanych na heban dziewczyn i perorował o czymś zapamiętane, wywołując co chwila salwy perlistego śmiechu swoich towarzyszek. Andrzej stanął nad nim, zasłaniając słońce. Zaskoczony Ssysy uniósł się na łokciu, ściągając z nosa okulary, i mrużąc oczy, próbował rozpoznać intruza, ale dostrzegął jedynie zarys ciemnej męskiej sylwetki na tle błękitnego bezchmurnego nieba.

– Siemasz, Ssysy.

– Kochan!? – Tego głosu nawołującego go dawno niesłyszaną ksywką nie mógł nie rozpoznać. – Kopę lat, stary. – Poderwał się, aby uściskać przyjaciela. – Gdzieś ty się podziewał?

– A ty?

– Mnie, jak widzisz – pokazał na rozłożony na betonie ręcznik, na którym siedziały dziewczyny i taksowały Kochana aprobującym wzrokiem – nie tak trudno znaleźć.

Stali przez chwilę, przyglądając się sobie w milczeniu. Nie widzieli się ponad dwa lata. Przez ten czas Ssysy pozbył się równo przyciętej blond grzywki, nosił teraz długie, lekko falujące, przedzielone nierównym przedziałkiem, zaczesane na prawo włosy, twarz okalały sięgające do połowy policzków gęste baki i gdyby nie wciąż ta sama chuda, wysoka, lekko zgarbiona sylwetka, można by powiedzieć, że Ssysy wyglądał bardzo męsko; jednak szczupłość, wąska, pozbawiona włosów klata oraz patykowate, długie

nogi mimo trzydziestki na karku przydawały jego powierzchowności pewnej chłopięcości. Założył ponownie ciemne okulary, splótł ramiona na piersi i stojąc na rozstawionych nogach, uśmiechał się prawą stroną ust.

– Niezłe sobie baki strzeliłeś – zagadał Kochan.

– Podobają ci się? – Sysy potarł zarost.

– Chyba nie mnie mają się podobać? – Andrzej pokazał na siedzące na ręczniku dziewczyny.

– No, sikorki to bierze. Nie, dziewczyny? – głos Sysego zabarwiony był rubasnością.

Zachichotały.

– To są Basie. – Złapał za rękę jedną z dziewczyn i podniósł. – To jest Basia ruda. A to – pomógł wstać drugiej – Basia blond. – Przyciągnął je do siebie i stojąc w środku, objął rozbawione kobiety ramionami i przedstawił Andrzeja. – A to mój przyjaciel, Kochan. Ukłońcie się ładnie panu.

Dziewczyny dygnęły i wybuchnęły głośnym śmiechem. Były ładne, nawet bardzo ładne, tą seksowną, pozbawioną jakiegokolwiek głębszej refleksji, skierowaną wyłącznie na przymioty ciała urodą. Sysy puścił do Kochana oko.

– No co tam, Andrzejku?

Kochan patrzył niepewnie na Basie.

– Może pójdziemy popływać? – zaproponował.

– Daj spokój, w tym bajorze? Tu każdy brudas może naszczać albo jeszcze co gorszego. Nie, dziękuję. A ty pewnie chciałbyś porozmawiać na osobności?

Kochan przytaknął.

– Dziewczynki, macie ochotę na lody? – Sysy spojrział po kolei na obie, a widząc ich nadąsane miny, zmienił zdanie. – Albo lepiej to my chodźmy kupić coś do picia.

Naciągnął obcisłą niebiesko-czerwoną koszulkę z białym szerokim napisem CHICAGO, a widząc zdziwione spojrzenie Kochana, powiedział:

– Przecież nie będę tu na golasa paradował. Trzeba mieć jakiś styl, nie dziewczyny? Poczekaście, kociaki, tu na nas, niedługo wrócimy.

Andrzej wzruszył ramionami i zarzucił ręcznik na plecy. Ruszyli wzdłuż trybun w stronę pawilonu. Nie uszli nawet kilku kroków, kiedy dogoniło ich

dwóch facetów: starszy – niski, korpulentny i młody – wysoki, pryszczaty, wyglądali jak ojciec i syn.

– Boguś, zaczekaj – zawołał zziębnięty starszy z mężczyzn.

– Co jest, Czesiu? – zapytał kwaśno Ssysy.

– Jest interes. Pozwól na słówko – nagabywał grubasek, kłaniając się jednocześnie Kochanowi.

– Teraz nie mogę, Czesiu, widzisz przecież, kolegę spotkałem.

– Dosłownie na dwie minuty, Boguś. Pan się na pewno nie obrazi. – Ponownie uklonił się Andrzejowi. – A tobie się opłaci. Zobaczysz.

Ssysy przeprosił Kochana i odszedł z mężczyznami na bok. Starszy coś zawzięcie tłumaczył, wymachując rękoma i strojąc teatralne miny, a Ssysy znudzony oglądał paznokcie, po czym podniósł wzrok i taksował przechodzącą obok wysoką długowłosą, długonogą i długorzęsą blondynkę, która rzuciła mu zachęcające spojrzenie spod przymrużonych, wymalowanych na zielono powiek, drapiąc się jednocześnie delikatnie, wystudiowanym gestem, długim paznokciem po okazałym dekolcie. Zniecierpliwiony Ssysy spojrzął na zegarek, machnął ręką w stronę swoich rozmówców i już chciał pójść w ślad za seksbombą, gdy zaniepokojony grubas powiedział coś do pryszczatego, ten wyjął notes, szybko nagryzł w nim jakieś cyfry i podetknął Bogusiowi pod nos. To, co przeczytał, najwyraźniej zrobiło na Ssysym duże wrażenie, stał przez moment, wpatrując się w kartkę, po czym nachylił się do ucha młodego i szeptał coś przez chwilę – na skupionej, pryszczatej twarzy z wolna pojawił się szeroki, odsłaniający żółte zęby uśmiech. Młody błyskawicznie notował dyktowane przez Ssysego informacje, po czym wspólnie z grubasem pożegnali się wylewnie i wrócili zadowoleni na koc. Boguś podszedł do Kochana.

– Przepraszam cię, interesy. Wszędzie cię dopadną. Widziałeś tę cizję? – Pokazał w kierunku, w którym udała się, kołyszając biodrami, blondynka.

– Nie za wiele tych bab, Ssysy? Zapomniałeś o Basiach?

– Tego nigdy nie jest za wiele – zaśmiał się prawą stroną twarzy Ssysy i wciągnął napływającą do ust ślinę.

Weszli na piętro pawilonu i w niewielkim barku kupili dwie butelki ciepłego soku porzeczkowego. Oparli się o metalową, pomalowaną na zielono olejną farbą barierkę i pijąc małymi łykami słodki, mdlący napój,

przyglądali się kąpiącej się w basenie, rozkrzyczanej ciżbie.

– Opowiadaj, co teraz robisz? – zaczął Sisy.

– Jestem kierowcą w Ruchu, rozwożę nyską towar.

– Prasę? To wcześniej musisz wstawać?

– Nie. Na drugą zmianę jeżdżę. I nie wożę gazet, tylko inny towar: mydła, szampony, zabawki, komiksy i takie tam barachło.

– Piękna kariera, nie ma co – szydził Sisy. – Daleko doszedłeś, szczególnie jak na naszego podwórkowego przywódcę.

– To tylko tak, tymczasowo.

– Tymczasowo?! – zdenerwował się Sisy. – Kochan, odkąd wyszliśmy z kicia, wszystko, co robisz, jest tylko tymczasowe. Każda praca, mieszkanie, każdy zakup, wszystko jest tylko tymczasowe. Masz żonę i dziecko, oni też są tymczasowi?

Sisy miał rację. Dla Kochana to był włoski strajk, jego bunt, sposób na wyrażenie niezgody na areszt domowy, w jakim zamknęły go władze; nie chcą pozwolić mu wyjechać, trzymają go tu na siłę, to on w zamian nic im od siebie nie da, nie pozwoli na wykorzystanie swoich zdolności, będzie starał się jedynie przeżyć od pierwszego do pierwszego, a Gierek niech sobie buduje piątą czy którą tam gospodarkę świata, ale bez jego udziału. Patrzył na rosnące inwestycje, a wraz z nimi wydłużające się kolejki po artykuły pierwszej potrzeby z pełną rezygnacją apatią, czasem tylko budziła się w nim złośliwa satysfakcja z potknięć systemu, kiedy na przykład wprowadzono kartki na cukier – był wtedy zadowolony, że ani na moment nie dał wciągnąć się w słoneczny optymizm początku lat siedemdziesiątych, w tę małą gierkowską stabilizację. Dlatego ciągle zmieniał pracę, imał się różnych zajęć, wybierając zawsze te, które wymagały jak najmniej wysiłku, myślenia, jakichkolwiek skomplikowanych umiejętności, a kiedy tylko wyczuwał, że przełożeni są z niego zadowoleni, że wiążą z nim jakieś nadzieje na przyszłość, że szykuje się awans, natychmiast, bez sentymentu, zmieniał robotę.

Z początku ten pozorny brak ambicji Andrzeja denerwował Ewę, klarncistkę warszawskiej operetki (poznali się, gdy Kochan pracował w Romie jako pomocnik scenografa), z czasem, kiedy lepiej go poznawała, pokochała, gdy zrozumiała powody, dla których nie był w stanie wykrzesać z siebie więcej, niż bez wątpienia by mógł, zaczęła go wspierać, dzielić jego

plany i marzenia o wyjeździe do Francji. Do kolejnych składanych przez Andrzeja wniosków o wydanie paszportu – już jako żona – dołączała pisemną zgodę na jego wyjazd, próbowała uprosić dyrektora teatru, aby uruchamiając kontakty wśród dygnitarzy partyjnych, miłośników operetki, pomógł Andrzejowi w wyjeździe. Wszystko na próżno. Władze uparcie i konsekwentnie odmawiały Kochanowi pozwolenia na opuszczenie socjalistycznej ojczyzny. Lata mijały, urodził się Jacek. Proza trudnego życia w pogrążającym się w kryzysie kraju sprawiła, że Ewa wprawdzie wciąż z cierpliwą rezygnacją znosiła marzenia Andrzeja o wyjeździe do Francji, jednak straciła wszelką nadzieję na ich realizację. Cieszyło ją jedynie – znała w końcu burzliwą przeszłość męża – że teraz Kochan podejmował starania przedostania się na Zachód wyłącznie legalną drogą.

– Kochan, pogódź się wreszcie z tym, że mieszkasz tutaj, i się usatuj. – Sisy odgonił osę próbującą dostać się do butelki. – Weź się za zarabianie kasy. Mógłbym ci co nieco pomóc. Mnie się teraz nieźle powodzi.

Oj, powodziło się Sysemu, i to jak! Niewielkie, ale własne, usytuowane w nowo oddanym czteropiętrowym bloku na Ursynowie mieszkanko, w którym na eksponowanym miejscu w centrum regału stał japoński kolorowy telewizor kupiony w Peweksie, obok wielka wieża Pioneera, eleganckie meble, na ścianie fototapeta; pod domem czekał zaparkowany podrasowany złoty fiat 127 sport (Sisy kierowcą był marnym, rozkojarzonym, skoncentrowanym na wszystkim, tylko nie na drodze, jeździł niepewnie, szarpał, ale jak dotąd udawało mu się unikać kolizji). Stołował się w Victorii, Europejskim, czasami w Solcu, znali go i szanowali wszyscy kelnerzy, bo miał gest, lubił żartować i zostawiał sute napiwki; wieczorami, kiedy chciał się zabawić, schodził pokrytymi elegancką wykładziną schodkami do Kamieniołomów, rzadziej do Czarnego Kota. Szafę wypełniały mu modne ciuchy, garnitury z drogich materiałów szył na miarę u krawca, ale prawdziwą obsesję miał na punkcie butów – kosztownych, włoskich i niemieckich, z delikatnej skóry, najczęściej na obcasie i z wysoką nad kostkę cholewką. Tak, Boguś żył teraz jak król. Nie brakowało mu niczego.

– A ty, Sisy, czym właściwie się zajmujesz?

– Interesy, bracie. O, zobacz, idzie. – Pokazał w dół na maszerującą dostojnym, wolnym krokiem blondynkę, stukającą w rytm kłapkami na obcasie. Zatrzymała się, spojrzała w górę i widząc Sysego, uśmiechnęła się szeroko, ukazując rząd równych zębów, a następnie odwróciła się tyłem,

wystawiając twarz do słońca, i zapaliła papierosa. – Konkretna babeczka.

– Konkretnie to ty mi powiedz, jakie interesy? – dopytywał się Kochan.

– Pamiętasz tego tirowca, który nas podwoził w Czechosłowacji, pana Rysia? – Sysy z ociąganiem, nie spuszczać wzroku z palącej papierosa blondynki, wrócił do tematu.

– Pewnie, że pamiętam.

– Otóż, wyobraź sobie, że dwa lata temu spotkałem go przypadkiem na bazarze Różyckiego. Miałem dużo szczęścia, bo jak się okazuje, on osobiście bardzo rzadko tam zagląda. Podszedłem. Zagadałem. Na początku mnie nie poznał, ale potem przypomniał sobie. Pytał nawet o Mańka. Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałem mu o swoich planach, pomysłach. Wysłuchał. I teraz dla niego robię. Można nawet powiedzieć, że stałem się jego prawą ręką. Rozprowadzam towar, odbieram należność, załatwiam, co trzeba i z kim trzeba. Czasem też trafi się coś ekstra – pokazał głową w stronę trybuny, na której odbył rozmowę z grubaskiem i przyszczatym – ale zawsze odpalam dole panu Rysiowi. Mam też swoich ludzi, kontakty. Mógłbyś i ty dla mnie popracować. Zarobiłbyś konkretne pieniądze. Teraz otwierają się wielkie możliwości. W tym kraju nic nie można kupić, a ludzie forszę mają, uwierz mi. Pan Rysio wciąż ma nowe pomysły, ciągle rozszerza asortyment. A Polak lubi być modny, interesują go przedmioty, nowości, byle tylko towar metkę zachodnią miał, a sprzedasz każdy chłam.

– Tylko jak to się opłaca, przecież po przeliczeniu waluty na złotówki to tam, na Zachodzie, każda rzecz kosztuje krocie?

– Na wszystko jest rada, Kochan. – Blondynka zgasiła papierosa i pomaszerowała z powrotem na betonową trybunę, a Sysy z westchnieniem zawodu obrócił się w stronę Andrzeja i dźgnął go wskazującym palcem w pierś. – Krugerrandy, mówi ci to coś?

– Nie bardzo.

– Złote monety – wyszeptał. – Nie ma co pierdolić, jak się zdecydujesz, to ci wszystko wyjaśnię – dodał głośno. Stał tyłem do basenu i wsparł się łokciami o barierę. – To jak będzie?

– Zastanowię się. Ale na razie potrzebuję pomocy w jednej sprawie, a właściwie to twoich kontaktów. – Andrzej ściszył głos i rozejrzał się na boki. – Chciałbym, żebyś pomógł mi coś załatwić. Coś niezupełnie legalnego. A w zasadzie zupełnie nielegalnego.

– Tobie? A to ciekawe. Cały zamieniam się w słuch.

4

Jeszcze minutę temu był w innym, zwyczajnym świecie, teraz – zaledwie po przekroczeniu wąskiej bramy od ulicy Targowej – wstąpił w magiczny prostokąt bazaru Różyckiego, w miejsce, o którym po Warszawie krążyły legendy, o którym wiele słyszał, a w którym jak do tej pory nigdy jeszcze nie miał okazji się znaleźć. Spojrzał na zegarek, pozostało czterdzieści minut. Sysy kazał mu przyjść o trzynastej, ale specjalnie przyjechał wcześniej, żeby przyjrzeć się z bliska tej mekce warszawskiego drobnego, prywatnego handlu. Rozglądał się chciwie dookoła. Konfrontował bazarową rzeczywistość z zasłyszanymi opowieściami. W końcu ruszył, patrząc na boki, szeroką główną alejką, gdzie oprócz rozmieszczonych po obu stronach drewnianych budek stał pośrodku rząd handlarzy sprzedających towar z ręki, a pod ścianą wysokiego domu przycupnęły na stołeczkach kobiety z rozstawionymi stolikami, na których piętrzył się drobiazg; portfele, lusterka i pocztówki z trójwymiarowymi obrazkami, ożywającymi przy każdym poruszeniu – dziewczyna puszczała oko, statek płynął po falach, słońce zachodziło, kowboj wyciągał pistolet, a w wersji dla dorosłych panie zrzuciły ciuszki – wzrok przyciągały wielokolorowe długopisy, zapalniczki z naklejonymi widokami nieznanymi, rozświetlonych miast, wysadzone cekinami kosmetyczki, siatkowe torby, plastikowe zabawki, różnobarwne plakaty; do wyboru, do koloru. Kupujący podchodzili, gmerali w tym prostokątym badziewiu, pytali o cenę, krzywili się, targowali, od czasu do czasu coś kupowali. Bardziej wyszukany towar, głównie używane i nowe ubrania, spoczywał przewieszony na ramionach stojących handlarzy, głośno zachęcających do kupna. Skórzane i skajowe kurtki ze ściągaczami, dzinsy, koszule z szerokimi kołnierzami, kolorowe krawaty, a nawet garnitury; tu królowała galanteria „w krótkich” seriach, niewiadomego pochodzenia, ceny nie były wygórowane, liczył się refleks, bo sprzedającym wyjątkowo zależało na czasie, wytrawny łowca miał szansę upolować prawdziwą okazję.

Jednak to, co najatrakcyjniejsze, ulokowano w drewnianych budach. W nich można było dostać wszystko, czego uspołeczniony, socjalistyczny handel nie był w stanie zaoferować. Porozwieszane w pionowych rzędach wisały uszyte z najmodniejszych materiałów kurtki, bluzki, koszule, sukienki, spódnice, suknie balowe, sztuczne i prawdziwe futra, kożuchy, swetry, garniturki i sukienki komunijne; wyeksponowane paski, torby, torebki, piterki z zawieszką na przegub dłoni dla eleganckich mężczyzn interesu wołały „kup mnie”; w sekcji spożywczej kusiły czekolady Toblerone, gumy do żucia i inne słodyczne, kawa, ananasy w puszkach, luksusowe alkohole, nieosiągalne nigdzie indziej mięsa i wędliny w pełnym wyborze, egzotyczne owoce; wśród kosmetyków furorę robił najnowszy hit – szampon o zapachu zielonego jabłuszka; chciałeś kupić radio, nic prostszego, oto i ono, telewizor – dlaczego nie, landszaft – proszę bardzo. Wytwory rzemieślniczych prywaciarskich rąk walczyły o miejsce na straganach ze sprowadzonym z Zachodu z narażeniem wolności przemysłem.

Kochan spokojnie przemierzał alejki. „I pomyśleć, że pewnie z połowa tego towaru znalazła się tu dzięki spółce «Pan Rysio & Sysy inc.» – kiwał głową z uznaniem. – Ciekawe, dlaczego władze to tolerują? – zastanawiał się i nie znajdował odpowiedzi. – Może chodzi o jakiś rodzaj wentyla bezpieczeństwa?”

Harmider wokół panował niesamowity, zewsząd dolatywały podniesione głosy, słyhać było sprzeczki, targi, lamentsy, przekleństwa, śmiechy, kpiny – ot, zwyczajne bazarowe życie.

Ale mimo pozornego podobieństwa, było coś, co zasadniczo odróżniało bazar Różyckiego od wszystkich innych rozsianych po świecie targowisk; tu, w przeciwieństwie do rynków arabskich, perskich, tureckich i innych, nie obowiązywała zasada „klient nasz pan”, tu panem był sprzedający, ponieważ to on był posiadaczem złotego runa, to on miał towar niedostępny nigdzie indziej, on wiedział, że i tak bez specjalnych starań sprzeda całość swojego asortymentu. Handlarze niby zachęcali do zakupu, nawoływali, zachwalali wystawione na sprzedaż dobra, ale robili to jedynie z kupieckiej przyzwoitości, bo tak nakazywała handlowa tradycja i wiekowy bazarowy koloryt. Wiedzieli doskonale, że oferowane przez nich produkty nigdzie nie mają konkurencji, że za bramami bazaru choćby klient dokonywał cudów, nie dostanie niczego, co mogłoby równać się z tym różnobarwnym asortymentem, a jedyna bariera, która może powstrzymać go od zakupu, to cena. A te były

wygórowane – popyt znacznie przerastał podaż (było to jedyne bodaj w PRL-u miejsce, gdzie obowiązywały twarde reguły wolnego rynku) – i nie każdego było stać na taki wydatek.

Niezdecydowany, krążący od straganu do straganu Kochan wyglądał na nowicjusza i dlatego stanowił obiekt zainteresowania przede wszystkim sprzedawców oferujących towar z ręki (właściciele budek stawiali raczej na stałego, wyrobionego klienta). Dwa razy został ostro zaatakowany przez namolnych handlowców; najpierw jakiś wysoki, śniady mężczyzna z przewieszoną na ramieniu parą dzinsów próbował na siłę wcisnąć mu popularne wycieruchy, a kiedy usłyszał – zrazu nieśmiałą, a w końcu zdecydowaną – odmowę, zwymyślał Andrzeja najbardziej wyszukаныmi przekleństwami, których inwencja językowa warta byłaby Nobla; później, kiedy przemierzał kolejne alejki, wyczuł, że ktoś podąża za nim krok w krok. Zatrzymał się i wtedy niewysoki, łysy jak kolano facet ujął go pod ramię i ciągnąc w boczny, rzadziej uczęszczany sektor bazaru, powiedział:

– Chodź pan, mam tu dla pana szanownego coś specjalnego.

Przystanął, rozejrzał się na boki i rozpiął kraciastą marynarkę, spod której wyciągnął plik świerszczyków i wcisnął je oniemiałemu Kochanowi w dłoń.

– Mam wszystko, co tylko szanowny pan może sobie życzyć. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął grubą talię czarno-białych zdjęć pornograficznych. – O, proszę bardzo, pojedynczo i w grupie, stare i młodziaki, ze zwierzętami i butelkami, jeśli pan ma uważanie, mogą być i pedzie, ja tolerny gość jestem. Tanio puszczę. – Żonglował fotografiami.

Andrzej patrzył to na faceta, to na pisemka, w końcu oddał gazety, mówiąc „a daj pan spokój”, i wrócił na główną arterię bazaru. Łysy gość w kraciastej marynarce wzruszył ramionami i przez chwilę przyglądał się swojemu towarowi, mamrocząc:

– O co mu się, kurwa mać, rozchodzi, kobitki pierwsza klasa. Inpontent jakiś, musowo.

Kochan spojrział na zegarek i otarł pot z czoła. Duchota, która spowijała Warszawę od rana, robiła się coraz dokuczliwsza, na zachodniej stronie nieba zaczęły zbierać się sine gęste chmury, zrywały się gorące gwałtowne podmuchy wiatru. „Nadciąga burza, mam nadzieję, że zdążę, zanim lunie, do trzynastej jeszcze piętnaście minut, idę, żeby się nie spóźnić”, pomyślał. Kierując się podanym przez Sysego planem, wrócił w okolice bramy

wejściowej, a następnie, nie wychodząc na zewnątrz, na Targową, skręcił w prawo i przechodząc przez wąwóz pomiędzy dwiema kamienicami, wszedł w mroczny, podłużny zaułek przyklejony do wysokiej pozbawionej okien, obdrapanej ściany budynku, pod którą stało kilka tęgich kobiet wykrzykujących jazgotliwymi, donośnymi głosami zachęcające hasła: „Flaki, gorące flaki. Pyzy, smaczne, świeżutkie pyzy. U mnie, tylko u mnie”. Podszedł do pierwszej z nich.

– Dzień dobry, szukam Afriki. – Ukłonił się grzecznie. – Kolega mówił, że codziennie o pierwszej przychodzi na flaki.

– To nie u mnie – odpowiedziała znudzonym tonem kobieta. – Ja mam tylko pyzy. Podać?

– Poproszę.

Andrzej sięgnął do kieszeni po drobne, a kobieta pochyliła się nad wielką siatą, którą trzymała pomiędzy nogami, i wyciągnęła owinięty szczelnie w zatłuszczoną gazetę słoik. Wręczyła go razem z aluminiowym widelcem Kochanowi, wytarła dłonie o ścierkę, którą była przepasana, i przyjęła należność.

– Proszę pani, szukam Afriki – spróbował znowu.

– Przecież mówiłam, że to nie u mnie. Spróbuj pan u tej w niebieskim, on u niej zawsze kupuje.

Kochan podszedł do tłustej kobieciny ubranej w niebieski fartuch, siedzącej na niewielkim wędkarskim, składanym stołeczku, nawijającej w zamyśleniu rudy kosmyk włosów na palec.

– Flaczki dla pana?

– Nie, dziękuję. Szukam Afriki.

– Jeszcze go nie było. Poczekaj pan. – Wskazała głową na przeciwległą stronę zaułka, gdzie kilkoro zgarbionych ludzi operowało widelcami i łyżkami we wnętrzach słoików, po czym wyciągało kęsy parującego jedzenia i pakowało do ust. Andrzej ustawił się pomiędzy nimi, odwinął gazetę, odkręcił nakrętkę z gorącego słoika, z którego buchnęła uwięziona para, i wciągnął w nozdrza tłustą woń okraszonych obficie skwarkami pyz. Nadział jedną na widelec, podniósł i lustrował niczym jubiler kamień w pierścionku. Była inna niż te, które przyrządzała mama, mniejsza, jaśniejsza, z gładszą „skórką”. W domu dzień, kiedy matka zaczynała gnieść ziemniaki na pyzy,

stawał się świętem; były przysmakiem, który cała rodzina mogłaby jeść na okrągło i na pewno by się nie znudziły. Matka wiedziała o tym, a mimo to – a może właśnie dlatego – robiła je rzadko, zaledwie kilka razy w roku, nigdy o tym nie uprzedzając. Wszystkie dzieciaki, a nawet ojciec, za każdym razem obserwowali przygotowania do obiadu, starając się wyczuć, czy oto właśnie nadszedł ten wyczekiwany dzień. A kiedy następował, przy rozgrzanej duchówce [13](#), wciągając ulubiony zapach (gdy matka podnosiła pokrywkę brytfanki, aby podlać szare kule tłuszczem), odliczali niecierpliwie minuty pozostałe do czekającej ich uczy. Podobnie było we Francji, tam też żadne namowy, prośby i błagania wuja Stefana – kolejnego wielkiego miłośnika maminych pyz – nie przynosiły rezultatu, rytuał pozostał niezmienny; nigdy nie wiedzieli, kiedy na stole wylądują ziemniaczane kule, nie poznali też logiki, jaką kierowała się Marianna, wybierając ten właśnie, a nie inny dzień dla uraczenia rodziny ulubioną potrawą.

W Polsce po wyjeździe matki siostra próbowała – korzystając z przysłanego przez mamę przepisu i własnych dziecięcych obserwacji, kiedy to jako mała dziewczynka kręciła się po kuchni, starając się podejrzeć sposób, w jaki mama tworzy te ziemniaczano-mięsne skarby – przyrządzać dla całej rodziny pyzy, niestety, z marnym skutkiem; albo się kleiły do siebie nawzajem, albo rozpadały w czasie pieczenia, raz były gumowate, innym razem suche, a smakiem nigdy nie przypominały tych tworzonych przez matkę delicji.

Przyglądając się stygnącej na widelcu pyzie, ogarnięty falą kulinarnych wzruszających wspomnień Kochan czuł, jak narasta w nim gniew. Ile to już lat nie widział matki? Jedenaście. Tęsknił za nią, tęsknił też za wujem, atmosferą ich francuskiego domu. Nieraz, gdy dopadała go nostalgia, aby zabić rosnącą frustrację, starał się szukać pozytywów swojej obecnej sytuacji; przecież gdyby nie został złapany na granicy, gdyby polskie władze nie odmawiały mu wydania paszportu, nigdy nie poznałby Ewy, nie urodziłby się Jacek. Innym razem z kolei odpędzał od siebie te myśli, przekonując się w duchu, że gdyby nie było Ewy, byłaby inna, we Francji, i też miałby dzisiaj dziecko. „Wszystko to suma przypadków, wszystko zależy od tego, w którą ścieżkę skreślisz na spacerze – filozofował. – Za Ewę żadnemu cholernemu komuchowi nie muszę być wdzięczny, ale za to, że matki przez ich kaprysy nie widziałem już jedenaście lat, owszem, mogę im wszystkim łobuzom podziękować. Skurwysyny”. Ze złością wpakował pyzę do ust i żuł, szukając

smaku dzieciństwa. Nie znalazł, ale ze zdziwieniem skonstatował, że też była smaczna, inna – łagodniejsza, mniej tłusta, bardziej miękka.

Nadziewał właśnie trzecią pyzę na widelec, gdy do zaułka wszedł pewnym, szybkim krokiem niewysoki młody mężczyzna w kraciastej koszuli rozpiętej do połowy piersi, na której dyndał zawieszony na srebrnym łańcuszku ząb rekina, i beżowych, obcisłych w pasie i rozszerzonych w nogawkach spodniach, jego głowę porastała aureolą ogromna blond szczecina, falująca przy każdym kroku, zbliżył się do handlarki w niebieskim fartuchu i wyciągnął rękę po słoik z flakami. Przekupka, wręczając mu danie, nachyliła się i szeptała coś do ucha, pokazując jednocześnie dyskretnie palcem na Kochana. Facet podszedł i nic nie mówiąc, stanął obok Andrzeja, zamieszał łyżką w słoiku i długo dmuchał na flaki.

– Pan jest Afrik? – zapytał Kochan.

– Bo co? – odpowiedział opryskliwie.

– Przyszyła mnie Boguś.

– Jaki znowu Boguś? – Wzruszył ramionami.

– Boguś Czerwonka.

– Nie znam człowieka – stwierdził po chwili teatralnej zadumy, kręcąc przecząco głową, po czym wpakował sobie łyżkę parujących flaków do ust.

– Prosił, żeby panu przypomnieć kasyno na Śniegockiej.

– A, Boguś. – Rozłożył ręce jak ksiądz przy ołtarzu. – Trzeba było tak od razu. O co biega? Mów pan.

– Potrzebuję dowód osobisty.

– Okiej. To da się zrobić.

– Ale prawdziwy, na prawdziwe nazwisko, nie fałszywy. I żeby nie był...

– Starczy – przerwał – wiem, o co biega. Resztę opowiesz pan fachurze. Czym mniej wiesz, tym dłużej pożyjesz, jak mówi przysłowie. Chodź pan. Kamon.

Podeszli do handlujących potrawami bab, zwrócili naczynia i z powrotem wąskim przejściem pomiędzy kamienicami weszli na bazar.

– Ale parówa, co? – zagadnął Afrik.

Andrzej przytaknął. Powietrze stanęło, od kilku minut nie pojawiał się najlżejszy nawet podmuch wiatru, czarne chmury powoli napływały nad

Pragę, przez gwar bazaru przedarł się groźny pomruk.

– Zaraz walnie, trzeba się pospieszyć. – Afrik wyciągnął krok. Minęli kilka alejek i zatrzymali się przed znajdującym się na rogu straganem ze skórzaną galanterią.

– Poczekaj pan tu chwilę. Zorientuję się. – Afrik wszedł do wnętrza budki, zostawiając Andrzeja na skrzyżowaniu. Po przeciwnej stronie zebrała się grupka kilkunastu pochylonych nad czymś mężczyzn. Słychać było podniesione głosy. Kochan podszedł i stanął z tyłu. Na niewielkim skleconym z dykty stoliku leżały w rzędzie trzy identyczne, czarne skórzane kółka. Wpatrywał się w nie szeroko otwartymi oczami starszy szpakowaty facet o posturze i twarzy prowincjusza. Za nim wznosili okrzyki kibice. Stojący najbliżej wieśniaka zarośnięty gość wrzeszczał najgłośniej:

– Podmienił, widziałem! Nie bądź pan frajer, trzymaj pan to lusterko i nie daj się wydymać.

Zdezorientowany przyjezdny rozglądał się na wszystkie strony, w końcu położył palce na kółku po prawej.

– Stawiasz pan czy nie? – powiedział zniecierpliwionym głosem znajdujący się po drugiej stronie stolika facet.

– Tak, oczywiście – odpowiedział niepewnie gracz z prowincji i puszczając kółko, sięgnął do portfela.

– Co pan robisz? Ależ z pana żółb. – Złapał go za rękę kibic. – Orźnie pana, znów podmieni. Czekać pan, ja przytrzymam lusterko, a pan sięgnij forszę. – Położył dłoń na prawym kółku, a gracz ponownie wyciągnął portfel, z którego wyjął gruby plik banknotów i śliniąc palec, wysupłał niebieski papierek z podobizną Kopernika. Tymczasem kibic uniósł nieznacznie rękę w górę, a prowadzący grę szybkim ruchem zamienił środkowe i prawe kółko, palce kibica ponownie opadły na skórę.

– No, stawiaj pan – zawołał z wesołą niecierpliwością.

Gracz położył banknot obok prawego krążka, a następnie obrócił lusterko i otworzył ze zdumienia mięsiste usta.

– Przykro mi, ale tym razem szanowny pan przegrał – powiedział prowadzący, podnosząc środkowe kółko i pokazując wszystkim podklejony od spodu czerwony plaster.

– Ożeż ty, jak on to zrobił? Teraz się nie damy, ja panu pomogę. – Kibic

poklepał gracza po ramieniu.

– Jak to jak zrobił? – odezwał się z tyłu młody rudy człowiek z pokrytą gęsto piegami twarzą. – Kantują razem. Widziałem.

– Co żeś widział, flimonie?! – wrzasnął kibic. Obrócił się do wieśniaka. – Przecież cały czas był pan obok, jak mógłbym oszukać. Nie słuchaj pan zazdrośników, same golasy nie mają co postawić i zazdroszczą panu tego, co pan wygrasz tu za chwilę. – Zrobił krok w tył i rzucił przez zaciśnięte zęby do młodziana: – A ty, kolego, co się wpierdalasz, skoro nie grasz? Jak żeś taki chojrak, to sam postaw. A jak nie, to zamknij dziób.

Powietrze przecięła błyskawica, przez bazar przeleciał huk, a w tłumek pochyłonych nad lusterkami mężczyźni uderzył gwałtowny podmuch wiatru.

– Pospiesz się pan, bo zaraz lunie i nie zdążysz pan wygrać tej całej forsy, która czeka – niecierpliwił się kibic.

Rozdający podniósł skórzane krążki, pokazał, gdzie jest wygrywający, zamachał rękoma w powietrzu, po czym rozrzucił kółka na blat stolika i cofnął się krok, unosząc dłonie do góry. Wieśniak przez chwilę stał niezdecydowany, w końcu wskazał palcem na środkowe lustro.

– Tamuj! – zawołał.

– Dobra nasza – ucieszył się kibic. – Trzymam. Teraz nas już cwaniaczek nie wyroluje. Dawaj pan diengi.

Gracz ponownie sięgnął do portfela, zerkając jednocześnie ukradkiem to na rozdającego – stojącego wciąż krok w tyle z uniesionymi rękoma, jakby starał się za wszelką cenę udowodnić, że gra uczciwie i z nikim nie jest w zмовie – to na przytrzymywany dwoma palcami przez kibica czarny krążek. Nagle grupka gapiów zafalowała, ktoś kogoś trącił, ktoś komuś wbił łokieć w krzyże, ktoś się potknął, na koniec równowagę stracił gracz z prowincji; zachwiał się i uchwycił stojącego obok widza, jednocześnie spojrzawszy karcąco do tyłu. Chwila nieuwagi wystarczyła, aby trzymający krążek kibic błyskawicznym ruchem, przy pomocy kciuka i małego palca, zamienił lustro. Kiedy szpakowaty wieśniak z powrotem spojrzawszy na stół, wszystko wyglądało jak poprzednio; dwa palce kibica na skórzanym kółku i o krok cofnięty, z rękoma w górze, rozdający.

– Znowu oszukali – zawołał rudzielec. – Nie daj się pan wychujać. Ten zarośnięty...

Nie dokończył. Tłumek wokół niego zgęstniał, w ścisku uzbrojona w kastet dłoń zadała cios w przeponę. Młodzieniec zgiął się wpół, próbował złapać oddech. Z dwóch stron chwyciły go za łokcie krzepkie ręce i ciągnąc w tył, wywlokły do sąsiedniej alejki. Grzmot kolejnego pioruna zagłuszył ciosy i kopniaki. Kochan skoczył, chciał pomóc chłopakowi, ale w tym momencie czyjaś ręka złapała go za ramię i zatrzymała.

– Zostaw pan – powiedział uśmiechnięty Afrik. – Bo i pan oberwiesz. Z nimi jeszcze nikt nie wygrał. Zaraz oskubią tego frajera do czysta. – Pokazał na oniemiałego wieśniaka. – A jak będzie chciał się wycofać z gry, to też dostanie baty i zabiorą mu portfel. Po prostu nie należy się w to mieszać. Tych reguł nikt nie zmieni, chodź pan lepiej załatwić swoją sprawę.

Podeszli do narożnej budki, gdzie niziutki korpulentny gość w grubych okularach ścigał skórzane wyroby z ekspozycji za pomocą kija z żelaznym hakiem i wrzucał do wnętrza straganu.

– Pomóżcie, chłopaki – zawołał piskliwym głosem – bo zaraz lunie.

Nad bazarem zrobiło się ciemno, wiatr przetaczał się nad budkami, podrywając tumany kurzu i piasku. Kupujący i sprzedający biegali, szukając schronienia, o nagrzane chodniki i pokryte papą dachy drewnianych budek uderzyły pierwsze grube krople deszczu, niebo co chwila rozświeślały błyskawice, po sekundzie wtórowały im grzmoty, a po kolejnej przerażone kobiece „Jezus, Maria!”. Właściciel straganu, Afrik i Kochan uwijali się, pakując bezładnie asortyment do środka, na końcu sami weszli pod dach, akurat w momencie, gdy z góry chlusnęły strugi rześistego, przesłaniającego widok deszczu. Ściana wody odcięła narożną budkę od reszty bazaru, tłumiała też głosy odbywającej się wewnątrz narady.

– Wy tutaj sobie wszystko ustalcie, a ja polukam se na burzę – powiedział Afrik, stając pod dachem w progu straganu i patrząc na szalejący nad miastem żywioł.

– Słyszałem, że potrzebny jest dowodzik – zaczął piskliwie konus w okularach i oblizwał wiecznie wilgotne karminowe wargi.

– Zgadza się – potwierdził Kochan. – Ale chodzi o to, żeby był prawdziwy.

– No właśnie, mówił mi Afrik. To troszeczkę komplikuje sytuację. – Okularnik ponownie przejechał językiem po wargach.

– I to jeszcze nie wszystko. Chciałbym, żeby dokument był oryginalny i żeby nikt nie zgłaszał jego zaginięcia. Nie może także pochodzić od osoby

nieżyjącej. Powinien należeć do mężczyzny około trzydziestki.

– Uuuu... problemik się robi coraz większy. To wszystko?

– Aha, i najważniejsze, meldunek w dowodzie musi być podwarszawski, broń Boże z miasta.

– Toś pan wymyślił. – Mikrus zdjął zaparowane okulary i zaczął je przecierać rogiem koszuli.

– Nie da rady? – zaniepokoił się Kochan.

– Oczywiście, że da – uspokoił go szybko handlowiec. – Tylko że to będzie kosztowało mnóstwo pieniążków.

Wziął kartkę, gryzł przez chwilę końcówkę długopisu, zastanawiał się długo, wreszcie zaczął rachować; wpisywał różne cyfry, na koniec wszystko zsumował i oblizując ponownie wargi, podetknął papier Kochanowi pod nos.

– Aż tyle?! – Andrzej podskoczył.

– A co pan chcesz? Trzeba znaleźć kogoś, kto będzie gotowy pozbyć się dowodziku, zapłacić mu, przekonać, żeby nigdy nie zgłaszał zaginięcia, i to wszyscyutko na prowincji. To kosztuje. Taniej nie da rady, za dużo ludzików musi być w to zaangażowanych. Decyduje się pan?

– Zdaje się, że nie mam wyjścia.

– To połowa pieniążków teraz, a reszta za dwa tygodnie. Zgłosisz się pan do Africzka i on będzie miał, co potrzeba. – Pokazał palcem na pośrednika, który zupełnie nie interesując się prowadzoną za jego plecami rozmową, bawił się ściekającą z dachu kaskadą wody, podsuwając pod nią swoją wielką szczecinę, a następnie strącając tańczące na kudłach krople niczym otrzepujący się po kąpieli pudel. Andrzej przekazał konusowi plik banknotów i uścisnął lepką dłoń.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – powiedział.

– O nie, ja pana nie znam i nigdy moje oczęta pana nie widziały. Za dwa tygodnie Afrik wszystko panu przekaże i skasuje pieniążki. – I wypychając Kochana na deszcz, zawołał w głąb alejki: – Do widzenia, dziękuję, znakomity towarek pan przyniósł.

5

Trzy stojące w bramie typy przerwały niewyszukaną konwersację i spode łba groźnie przyglądały się niepewnie kroczącemu dziurawym chodnikiem, rozglądającemu się na boki Kochanowi. Najniebezpieczniej wyglądający, barczysty z wielkim czerwonym nochalem, przekazał niemal dopitą butelkę piwa kompanom, strzelił przed siebie petem i odrywając się od ściany, wychrypiął gardłowo:

– A ten w dupę jebany czego tu szuka?

Podszedł do Andrzeja i bez ceregieli złapał go za kołnierz koszuli.

– Coś mnie się zdaje, że zabłądziłeś, koleżko, i że nie będą to miłe dla ciebie chwile. – Zbliżył cuchnącą tanim tytoniem dziobatą twarz; Kochan poczuł narastające, podlane mieszaniną lęku i obrzydzenia mdłości. Przewalczył je jednak i na wydechu rzucił szybko:

– Rzeczywiście błędę, szukam fotografa, nie mogę znaleźć.

– Tu na Brzeskiej? – Typ obrócił się w stronę koleżków i głośno zarechotał.

– Właśnie na Brzeskiej. Afrik mnie przysłał.

Groźny typ nastawił ucha, przez moment trawił informację, po czym puścił Andrzeja, wygładził mu zmiętą koszulę i ukazał w uśmiechu czarne, posiadające zaledwie połowę stanu osobowego, zęby.

– A, skoro pan Afrik, to insza rozmowa. Trzeba było tak od razu, nie byłoby nieporozumień. Następna brama, w podwórko, prawa oficyna. Zapraszam.

Kochan uśmiechnął się krzywo, skinął głową w niepewnym podziękowaniu i na chwiejnych nogach ruszył przed siebie. Nagle stężał. Poczuł gorące wielkie łapsko na ramieniu. Zatrzymał się. Typ szarpnął delikatnie i obrócił go z powrotem w swoją stronę.

– Kopsnij parę złoty na piwko – powiedział przymilnie.

Andrzej odetchnął, wysupłał garść drobnych z kieszeni i wcisnął je w rękę zula; ten podrzucił bilon na dłoni i zawołał na całą ulicę:

– Przyjaciele pana Afrika są naszymi przyjaciółmi, nie, chłopaki? – A ciszej w stronę Kochana szepnął: – Ale jeśli w chuja walisz, to marny twój los.

Typ powędrował w stronę koleżków, pokazując im zdobyczne monety, a Andrzej znów ruszył Brzeską w stronę następnej bramy. Spojrzał na zniszczoną, pozbawioną tynku ceglana kamienicę. Gdzie ten Afrik go wysłał? Szedł tu na chwiejnych nogach, obawiając się najgorszego, bo Brzeska, Ząbkowska i cały rewir sąsiadujących z nimi ulic opinie w Warszawie miały fatalną; ta część miasta rządziła się swoimi prawami, tu obcym wstęp był surowo wzbroniony, nawet milicja zagłębiała się w te rejony stolicy niechętnie – i to jedynie za dnia – w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Dostać tu bęcki, a nieraz i kosę, było nietrudno i trzeba było mieć rzeczywiście ważną sprawę lub całkowity brak wyobraźni, żeby spacerować sobie tymi praskimi ulicami. Na razie glejt wystawiony przez Afrika działał i Kochan mógł w miarę bezpiecznie minąć posterunki wystawione w bramach przez typy spod ciemnej gwiazdy.

Sięgnął do kieszeni i namacał tekturową oprawę dowodu osobistego. Polecona przez Sysego szajka spisała się bez zarzutu. Równy w dwa tygodnie po pierwszej wizycie na bazarze Różyckiego Kochan ponownie pojawił się w gastronomicznym zaułku, ponownie zakupił pyzy i ponownie po kilku minutach, niemal punktualnie o trzynastej, przywędrował Afrik; raz jeszcze zamówił flaki i tak jak poprzednio stanął obok Andrzeja. Konsumowali w milczeniu, po czym już syci udali się w jedną ze spokojniejszych bocznych alejek bazaru. Dokonali wymiany towarowo-pieniężnej. Podekscytowany Kochan otworzył zieloną książeczkę i przeczytał personalia; dowód wystawiony był na nazwisko Ludwika Huszczy, zamieszkałego w podwarszawskim Pruszkowie. Teraz należało dokument podrasować. Afrik udzielił odpowiednich instrukcji.

Andrzej skręcił w ciemną cuchnącą moczem bramę, prześlizgnął się wzrokiem po resztkach stiuków, ścianach wymalowanych łuszczącą się olejną farbą i wszedł w podwórko studnię, gdzie kobieta w zawiązanej na głowie wzorzystej chuście tłukła zawzięcie w wyliniały granatowo-szary dywan, rozwieszony na trzepaku; każde siarczyste uderzenie przedrzeźniane było przez dźwięczne, świdrujące uszy echo. Kroki Kochana zakłóciły ten

rytmiczny duet. Kobieta zaalarmowana wejściem obcego opuściła trzepaczkę, oparła się o trzepak i lekko zziębiona przyglądała się przybyszowi.

– Przepraszam, szukam fotografa. – Andrzej zrobił krok w kierunku czyszczącej dywan kobiety, a jego głos, dudniąc, odbił się od ścian kamienicy i odmierzanymi przez echo skokami pofrunął w górę.

Nic nie odpowiedziała, tylko uniosła trzepaczkę i wskazała nią na oszklone drzwi po prawej, prowadzące kilkoma schodkami w dół do sutereny. Andrzej skłonił się i poszedł w tym kierunku. Nacisnął przerdzewiałą klamkę, otwierane drzwi zaskrzypiały przeraźliwie, po czym rozległ się dźwięk potraconego dzwonka. Kochan wszedł do pogrążonego w półmroku pomieszczenia, owionął go mdlący smród przetrawionego czosnku. Przełknął ślinę, próbując opanować obrzydzenie, i spojrzał w głąb lokalu; za niewielką ladą pokrytą szkłem, spod którego uśmiechały się czarno-białe oblicza w formacie paszportowym, siedział niebywale chudy, tyczkowaty człowiek i ze zdziwieniem, mrużąc głęboko osadzone oczy krótkowidza, taksował Andrzeja. Wyglądał jak żywy trup, jego trójkątna szara twarz o zapadniętych policzkach, sinych powiekach, rzadkich spadających na wypukłe czoło kosmykach tłustych włosów i spiczastej, ostro zakończonej brodzie wyglądała, jakby nigdy nie widziała słońca; obwisłe ramiona, na których nie chciała utrzymać się marynarka, unosiły się w gwałtownym, nerwowym odruchu; cienka szyja z wielką kulą wędrującej z dołu do góry i z powrotem grdyki, drobne uszy, zapadnięta klatka piersiowa i długie blade palce, przystrojone zsiniałymi paznokciami, dopełniały obrazu tego anemicznego indywiduum w nieokreślonym wieku. Gryzł wielkimi zębiskami końcówkę ołówka, nie spuszczając wzroku ze zbliżającego się Kochana. W końcu, kiedy Andrzej stanął przy ladzie, chudzielec, jakby tylko na to czekając, stuknął pisakiem w rozłożoną na blacie krzyżówkę.

– Miasto nad Dunajem w Czechosłowacji na dziesięć liter? – zapytał zaskakująco mocnym, niskim głosem, a w Kochana uderzył powalający duszący czosnkowy wyziew.

– Bratysława... – wydukał i zatkał usta oraz nos dłonią, walcząc z atakującymi od wewnątrz falami torsji.

– Pasuje! – ucieszył się wymoczek i spojrzał na Andrzeja, a widząc jego reakcję na unoszącą się w powietrzu woń, rozchylił blade wargi w szerokim uśmiechu. – To czosnek, młody człowieku! – zawołał, machając w powietrzu pogryzionym ołówkiem. – Ciach, ciach, ciach i na chlebek! Kto chrupie

czosnek, ten okazem zdrowia jest. Jak ja! Popatrz tylko. Ile byś mi dał lat, młodzieńcze?

– No, nie wiem – odpowiedział słabym głosem Kochan. Chciał być uprzejmy. – Sześćdziesiąt pięć... może.

– Hmm... dziwne trochę, wzrok cię zawodzi, chłopcze. To pewnie przez to światło. Mam pięćdziesiąt sześć – powiedział jakby nieco urażony. – Zresztą, nieważne. Co sprowadza do mojego zakładu?

– Ja od Afriki.

– O, to zapewne interesująca robota nas czeka.

– Zdjęcie w dowodzie potrzebuję wymienić.

– Drobiazg. Własnym?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego. Tak tylko pytam. Jak są pieniądze, to wszystko da się zrobić. Mówisz Afrik. A skąd, chłopcze, znasz Afrikę?

– Przez Bogusia Czerwonkę.

– A, tego od Rysia? To w porządku. Pójdziemy pogadać z fachowcem. – Podniósł się, prezentując straszliwie wychudzoną, ale bardzo wysoką sylwetkę; spodnie jakby kilka numerów za szerokie spięte były mocno paskiem, na którym zwracały uwagę dodatkowe, zrobione zapewne własnoręcznie dziurki. Machnął ręką, wołając: – Za mną, jak powiedział do nas Berling pod Lenino.

Otworzył ukryte za kotarą wtopione w ścianę drzwi, za którymi ciągnął się długi rząd wąskich stopni prowadzących w dół do oświetlonej słabą żarówką piwnicy. Schylając głowę, by nie zawadzić o niski strop, chudzielec ruszył przodem, na końcu schodów skręcił w prawo i zatrzymał się przed zamkniętymi metalowymi drzwiami, zza których dolatywały ostre dźwięki, przycinanej rytmicznymi uderzeniami w bębny, solówki gitarowej *Whole Lotta Love* Zeppelinów, zastukał – żadnej reakcji – zastukał ponownie. Muzyka przycichła i w odpowiedzi usłyszeli przygłuszony, niewyraźny głos zachęcający do wejścia. Na palcach wsunęli się do środka i znaleźli w obszernej, wypełnionej nikłym, przytłumionym czerwonym światłem, pozbawionej okien ciemni; na sznurkach, zaczepione spinaczami do bielizny, suszyły się czarno-białe fotografie, na długim blacie stały rozstawione kuwety z odczynnikami, a przy stole w kącie po przeciwnej stronie pomieszczenia

siedziała przy aparacie do naświetlania papieru fotograficznego zwrócona plecami do nich skulona, skoncentrowana na pracy drobna postać. Obok niej kręciły się wolno szpule magnetofonu, z którego wydobywała się muzyka.

– Przeprowadziłem klienta – huknął wymoczek, a jego basowy głos, pokonując przeciągłe dźwięki Zeppelinów, odbił się od skąpanych w przyduszonej czerwieni ścian. Siedzący przy stoliku fachowiec, nie odrywając się od pracy, zamachał w rytm muzyki uniesioną w górę ręką, nakazując milczenie, po czym wykonał gest, jakby przywoływał kogoś do siebie. Chudzielec pchnął lekko Kochana w stronę aparatury i powiedział:

– To ja was zostawię samych. Ustalcie sobie wszystko między sobą.

Mały człowieczek ponownie uniósł dłoń i gestem pożegnał rachitycznego gospodarza, a Kochanowi – również ruchem ręki – nakazał zajęcie miejsca na stołku przy blacie z odczytnikami. Andrzej usiadł, nic nie mówiąc, przyzwyczajając wzrok do krwawego półmroku panującego w pracowni. Leciąco teraz *D'yer Mak'er*, Plant śpiewał *You don't have to go*, a Kochan przyglądał się zgiętym drobnym plecami naświetlającego papier fotograficzny i kołyszącego się w takt muzyki technika. „Od tego przytupującego mikrusa zależy powodzenie całej akcji. Moja przyszłość – pomyślał. – Mam nadzieję, że zna się chociaż na rzeczy”.

Piosenka skończyła się, a po chwili ciszy powietrze zadrżało poruszone najbardziej znanym na świecie gitarowym riffem. Andrzej uśmiechnął się, pamiętał dokładnie, kiedy pierwszy raz usłyszał tę piosenkę. To było na tydzień przed jego wyjazdem do Francji, wracali z Sysym do domu z ławki za Jutrzenką, Boguś mieszkał o jedną klatkę dalej i Kochan, kontynuując jakąś zawziętą dyskusję, postanowił odprowadzić przyjaciela pod drzwi, i wtedy z okna mieszkania na parterze doleciały do nich te niesamowite, hipnotyzujące dźwięki. Zatrzymali się i jak zaczarowani nasłuchiwali – takiej muzyki nie znali, to było coś zupełnie innego niż wszystko, co do tej pory słyszeli. Zmienili plany i pognali do mieszkania Kochańskich, gdzie kręcąc gałką, przelecieli w obie strony całą skalę radia w poszukiwaniu usłyszanego przeboju. Bez skutku.

– Pewnie z płyty – powiedział Kochan.

– Pożyczę? – zastanawiał się niepewnie Sysy.

– Trzeba będzie spróbować. Chodź po chłopaków.

Od kilku miesięcy muzyka stawała się dla nich z dnia na dzień coraz

ważniejsza. Za żelazną kurtynę, z opóźnieniem, jak wszystko w socjalizmie, dotarła beatlemania i zawładnęła chłopcami całkowicie. Największego fioła na punkcie nowych dźwięków miał Maniek – potrafił całą noc nasłuchiwać radia, łapać stacje; notował swoistą angielszczyzną tytuły i wykonawców usłyszanych kawałków, wystrugał nawet pałki i w szkole na przerwach walił w ławkę, naśladując perkusję – ale i pozostali również nie byli obojętni na pędzącą za Beatlesami muzyczną falę, nawet Sisy, którego w dzieciństwie rodzice zagonili do ogniska muzycznego, gdzie uczył się gry na pianinie, a w trakcie rodzinnych uroczystości był zmuszany do wygrywania na akordeonie starych szlagierów, i który przejawiał dziwne ciągoty do słuchania muzyki poważnej (chodził nawet od czasu do czasu z matką i ojcem do filharmonii, czego przyjaciele serdecznie mu współczuli), dał się porwać nowemu muzycznemu trendowi. Jednak okazji do słuchania big-beatu mieli niewiele; polskie radio, wiadomo, puszczało tylko jakieś ramoty, zagraniczne stacje odbierały słabo – o ile w ogóle – niewyraźnie, z trzaskami, szumami, a jedynie Sisy posiadał adapter, tylko skąd brać płyty?

Naprzeciwno mieszkania Kochańskich kilka miesięcy wcześniej wprowadziła się wysoka blondynka z mężem i dwójką małych dzieci. Nie znali się dobrze, wymieniali jedynie zdawkowe „dzień dobry” na klatce schodowej czy podwórku; choć onieśmiewała chłopców posagową urodą, wydawała się sympatyczna – to właśnie z jej mieszkania usłyszeli ostro brzmiący nowy przebój. Wszystko wskazywało na to, że blondynka ma adapter, ale co najważniejsze, także płyty, i to płyty z muzyką, jakiej pożąдали. Tylko jak ją o nie poprosić?

Postanowili pójść we cztery, ale do rozmowy wystawić Mańka, on miał najmniejsze z nich poczucie obciachu, to jemu najbardziej zależało i to on był najbardziej napalony na muzykę, potrafił też robić takie niewinne oczy spaniela, że blondynka na pewno nie odmówi. Zastukali do drzwi, które po chwili uchyliły się, zobaczyli uśmiechniętą śliczną twarz, upięte w kok gęste blond włosy i duże, szeroko otwarte, pytające zielone oczy.

– Dzień dobry... bo my... to znaczy... – próbował zacząć Maniek i zaciął się na dobre.

– Proszę pani, słyszeliśmy, że pani ma płyty – przechwycił rozmowę Kochan.

– Płyty? – udała zdziwienie, nie przestając się uśmiechać. – A skąd wiecie?

– Bo jak u pani gra, to my sprawdzamy w radio i tam nie puszczają takich przebojów.

– A spryciarze. – Otworzyła szerzej drzwi i stanęła w progu, opierając się o framugę, ramiona splotła na opiętych ciasnym swetrem piersiach. – Założmy, że mam płyty. I cóż z tego?

– My byśmy chcieli pożyczyć, bo nas bardzo interesuje muzyka – wypalił Maniek i spiekł raka.

Zawahała się przez chwilę.

– Pożyczyć nie mogę, kiedyś, jeszcze w poprzednim mieszkaniu, tak zrobiłam i dostałam z powrotem zniszczone, porysowane, a jedną nawet połamaną. – Próbowali zaoponować, ale uciszyła ich gestem podniesionej dłoni. – Od tamtej pory nie pożyczam. Mam za to dla was inną propozycję. Wyjdźcie na podwórko i zaczekajcie.

Wybiegli zgrzani na zewnątrz. Po chwili okno na parterze otworzyło się, na parapecie stanął adapter Bambino, a obok niego stos twardych, 45-obrotowych singli z dziurką, w ślad za sprzętem w oknie pojawiła się urocza właścicielka.

– Moja propozycja jest taka: raz na jakiś czas zabierzecie wózek z moimi dziećmi na spacer, a ja nie będę miała nic przeciwko temu, żebyście popuszczali sobie tutaj muzykę z mojego adaptera. Byle nie za głośno. Co wy na to?

Potaknęli skwapliwie, chwycili się zewnętrznej części wysokiego parapetu, oparli nogi o wyłom ściany i podciągnęli do góry. Spojrzeli na rozłożone przed nimi winylowe skarby; przeważały rock'n'rolle, ale była też spora kolekcja Beatlesów (*A Hard Day's Night*, *I Want to Hold Your Hand*, *Rock and Roll Music*, *Twist and Shout* czy *She Loves You*), *House of the Rising Sun* Animalsów, Mamas and Papas, Chuck Berry, James Brown, Dylan...

– Proszę pani, a to, co puszczała pani pół godziny temu? Co to było?

Podeszła do parapetu, poszperała w stosiku singli, wybrała jeden i położyła na talerzu; opuściła ramię adaptera i do uszu chłopców doleciał ten sam wciskający w asfalt riff – po chwili w trzewia przyjaciół wdarł się tak inny niż te wszystkie głosy, które dotąd znali, charyzmatyczny śpiew wokalisty: „*I can't get no... satisfaction...*”. Poczuli, że od tej chwili nic już nie będzie takie samo. Wysłuchali płyty do końca, po czym poszukali innych

singli tego nowego zespołu. Znaleźli dwa: *Route 66* i *Little Red Rooster* – ten sam szarpiący wewnątrz wokal, ale muzyka bardziej tradycyjna. Nastawili pierwszy singiel raz jeszcze.

Stali zasłuchani – wokół nich zebrał się tłumek rozradowanych dzieciaków – kiedy z łufcików na wyższych piętrach kamienicy zaczęły wychylać się jedna po drugiej głowy o gniewnych obliczach. Zrazu milczące – z zaskoczeniem przysłuchujące się wibrującym w powietrzu dźwiękom – potem wydające groźne pomruki dezaprobaty, wreszcie gdzieś z trzeciego piętra zadudnił wściekły bas:

– Co to za hałasy?!

Dołączył do niego kobiecy mezzosopran:

– Wyłączcie natychmiast te wrzaski, skaranie boskie z tymi gówniarzami.

– Odpocząć po pracy ani chwili nie dadzą – wtórował im zmęczony tenor.

– Przecież my nic takiego nie robimy – próbował bronić się Sysy.

– Zamknij się, smarkaczu. – Tym razem alt włączył się do rozszoszczonego chóru.

Do okna podeszła właścicielka adaptera.

– O co państwu chodzi? Młodzież się bawi, co w tym złego? – Stała po stronie chłopców, wychylając się na zewnątrz. – Przynajmniej głupoty nie przychodzą im do głowy, nie rozbijają butelek po piwie o mur – argumentowała.

Było jednak za późno. Chór brzmiał już jednym, pełnym nienawiści głosem, ktoś groził wylaniem wiadra z zimną wodą na głowy dzieci, inny zapowiadał wezwanie milicji, padały przekleństwa. Pokonani chłopcy odsunęli się od okna, nastrój do słuchania muzyki prysł; blondynka uśmiechnęła się przepraszająco i zwinęła sprzęt, a przyjaciele ścigani groźbami powlekli się na ławkę za Jutrzenką, by omówić muzyczną komunię, jakiej przed chwilą dostąpili.

W czasie, kiedy Andrzej siedział pogrążony we wspomnieniach, niepotrafiącego nijak znaleźć satysfakcji Micka Jaggera zastąpili chłopcy z The Who i odśpiewali *My Generation*. Po nich z kolei Jim Morrison z magnetofonu zachęcał do przejścia na drugą stronę. „Co za eklektyczny, ale przyznać trzeba, że ze smakiem dobrany zbiór”, pomyślał Kochan i ponownie spojrzął w stronę pracującego drobnego mężczyzny; ten kołysał się w rytm

muzyki i nie odzywał zasłuchany i pochłonięty robotą.

Przedłużające się niemiłosiernie oczekiwanie zaczęło być dokuczliwe. Andrzej czuł się niezręcznie, wiercił na swoim siedzisku, niecierpliwił, aż w końcu fachowiec wyprostował się, zgasił aparaturę i obrócił na krześle w stronę Kochana.

– No, co tam potrze... – zaczął i zaniemówił, rozdziawiając szeroko usta. Zaskoczony Andrzej również nie potrafił wykrztusić słowa; siedzieli naprzeciw siebie oświetleni czerwoną żarówką i uśmiechali się jeden do drugiego serdecznie. Wreszcie jak na dany znak obaj – Kochan i Maniek – poderwali się z taboretów, z głośnym śmiechem rzucając się sobie w objęcia.

Po chwili cofnęli się i przyglądali sobie nawzajem radośnie; Maniek nosił teraz długie do ramion włosy przedzielone pośrodku głowy przedziałkiem, całą górną wargę porastały ciemne, ostre wąsy – to nadawało jego twarzy pewnej szorstkości, ale spod niej w dalszym ciągu, jak kiedyś, iskrzyły się świecące, pełne humoru, zawadiackie oczy – ubrany był w wytarty jasny podkoszulek z niewyraźnym czerwonym napisem FIRE i skórzaną brązową kamizelkę, obcisłe džinsy oraz buty na obcasie, ze spiczastym czubem; na szyi dyndała mu zawieszona na rzemieniu pacyfa, przeguby dłoni obwiesił sobie jakimiś dziwnymi paciorkami.

– Zmieniłeś się – skostatował Kochan.

– Za to ty nie za bardzo – ripostował radośnie Maniek.

Bo rzeczywiście, w oczach Mańka Kochan wyglądał wciąż tak samo jak wtedy, kiedy widzieli się ostatni raz – ponad trzy lata temu – i tak jak wówczas, gdy wyszedł z więzienia po półtorarocznej odsiadce. Przyszedł wtedy na podwórko i nie wiedział, co powiedzieć przyjaciołom, którzy (z wyjątkiem Sysego siedzącego równie długo jak on) w tym czasie zdążyli rozpocząć nowe życie – Szczota robił właśnie eksternistyczną maturę i prowadzał się ze studiującą w Warszawie Olą (co było chyba dla Kochana największym szokiem), a Maniek uczył się w technikum fotograficznym, co napawało panią Adamczykową wielką dumą. Nie wiedziała jednak, że syn, który do nauki przykładał się jak nigdy wcześniej, miał w tym swój ukryty cel; bo przez cały czas tej małej stabilizacji Maniek nie porzucił wyniesionych z rocznego pobytu w zakładzie karnym szemranych kontaktów i nabywane w szkole umiejętności zamierzał spożytkować w sposób, jakiego ani matka, ani socjalistyczna ojczyzna, ani większość uczciwych obywateli

Polski Ludowej na pewno by nie pochwalili. Marzenia o taksówkarskiej karierze porzucił w momencie, kiedy nie przyjęto go do samochodówki, odkrywając kryminalną przeszłość kandydata. Błąkał się potem przez chwilę, aż w końcu doszedł do wniosku, że skoro nie może się spełnić w wyśnionym zawodzie, to może przecież wykorzystać niespotykane zdolności manualne, którymi obdarzyła go matka natura – Maniek od małego miał smykałkę do modelarstwa, wyklejanek, precyzyjnych rysunków, wszystkiego, do czego potrzebna była pewna ręka i wprawne oko – i zostać profesjonalnym fałszerzem dokumentów. W technikum fotograficznym nikt nie miał większych obiekcji co do jego dotychczasowego, niezbyt wzorowego życiorysu. Zaczął naukę, którą mimo znakomitych wyników, traktował jednokierunkowo, poznawał techniki niezbędne w przyszłej fałszerskiej profesji.

Wprawki zaczął od podrabiania biletów miesięcznych, które w kręgu wybranych wtajemniczonych kolegów cieszyły się ogromnym wzięciem. Prawdziwy sprawdzian umiejętności przeszedł, kiedy zjawił się na komisji wojskowej, gdzie przedstawił sfalszowane dokumenty lekarskie, dzięki którym miał uniknąć obowiązkowej służby w Ludowym Wojsku Polskim. Major w białym kitlu prychał i sapał niezadowolony, ale w przedstawionych przez poborowego Adamczyka papierach nie dopatrywał się żadnych nieprawidłowości i w książeczce wstemplował odpowiednią adnotację o trwałej niezdolności do służby. Potem wszystko potoczyło się wartko. W półświatku Maniek cieszył się zasłużoną renomą. Zamówienia płynęły szeroką rzeką. Oficjalnie zatrudniony był w praskim zakładzie fotograficznym jako specjalista od wywoływania klisz i robienia odbitek, i rzeczywiście zlecenia takie wykonywał, ale, na szczęście, na Brzeskiej klientów na podobne prace miał niewielu (nikt obcy tu nie zaglądał, a okoliczni mieszkańcy, poza rzadkimi oficjalnymi i koniecznymi okazjami, zdjęć sobie nie robili – bo i po co?) i Maniek mógł poświęcić niemal całą energię swoim właściwym, nielegalnym, zajęciom.

Poklepał Kochana po ramieniu. „Trzy lata”, pomyślał. Tyle się nie widzieli, taki sam szmat czasu jak wtedy, gdy Andrzej wyjechał do Francji, ale wówczas było inaczej, bo Kochan pisał listy, był ciągle wśród przyjaciół obecny duchem, miał wciąż na nich jakiś potajemny wpływ – teraz już nie. Było tak, jak powiedziała niedawno Adamczykowa; podczas rzadkich wizyt u matki Maniek nigdy nie pytał o przyjaciół, bo w końcu czy działa im się lepiej, czy gorzej, jakie to teraz miało znaczenie – kontakt się urwał, każdy

poszedł własną drogą w swoją stronę. Kiedyś, wracając od matki, spotkał Szczotę; pogadali, poszli nawet na jakiś seans do Jutrzenki, potem powiedzieli sobie cześć. Innym razem dotarł do niego Ssysy, potrzebował dokumentów, dostał to, czego potrzebował, potem ruszyli upić się w pobliskiej speluncie i tyle, znów każdy zajął się swoimi sprawami. Jednak Kochan to był Kochan, do niego z wiadomych względów Maniek sentyment czuł największy i nieraz pochylony nad swoim warsztatem, skupiony na pracy zastanawiał się, co też dzieje się z tym człowiekiem, który tak wielki wpływ wywarł na niego w młodości? Teraz stał przed nim niezmienny, taki jak przed laty. Na Mańka spłynęła fala wspomnień, poczuł coś, czego dawno już nie doświadczył. Był wzruszony.

– Stary, co ty robisz w tej norze? – Pierwszy przerwał milczenie Kochan.

– Ja? Ja tu pracuję. To raczej ciebie powinienem zapytać, co ty tutaj robisz? Co? – zdziwił się Maniek.

– Afrik mnie tu przysłał. Potrzebuję wymienić zdjęcie. – Andrzej wyciągnął dowód i podetknął koledze pod nos.

Maniek przyjrzał się dokumentowi fachowym okiem.

– Prawdziwy – ocenił. – Taką fałszywkę w tym mieście tylko ja potrafię zrobić – puścił oko – ale nie przypominam sobie, żebym maczał w tym palce. Z Pruszkowa, ciekawe, i troszkę komplikuje sprawę.

– Będzie problem? – zaniepokoił się Kochan.

– No coś ty?! Rozmawiasz z wybitnym fachowcem – roześmiał się Maniek.

– Czyje zdjęcie potrzebujesz wstawić, co?

– Swoje.

Maniek nie krył zaskoczenia, przez chwilę walczył ze sobą, próbując nie zadać narzucającego się pytania, bo z jednej strony świerbiło go, żeby się dowiedzieć, ale z drugiej lata pracy w tym fachu nauczyły go nie stawiać żadnych zbędnych pytań; jednak przed nim stał przecież Kochan, przyjaciel z dziecięcych lat, organizator ucieczek, człowiek, do którego przez większość życia miał bezgraniczne zaufanie. Nie wytrzymał.

– Słuchaj, a na co ci dowód na obce nazwisko, co?

– Pamiętasz tego glinę – zaczął szybko Kochan, jakby spodziewał się tego pytania i miał gotową na nie odpowiedź – który, jak byliśmy w Czechosłowacji, próbował nas zrobić w skok na sklep? – Maniek

przytaknął. – Znalazł mnie ostatnio i się przypierdolił, teraz mnie prześladowe, nie mogę się od niego odczepić. Muszę na jakiś czas zniknąć. Nowe personalia mi w tym pomogą.

– No dobra – powiedział Maniek, zacierając ręce i żałując, że zadał to niepotrzebne pytanie. – Zrobimy tak: idź na górę i powiedz panu Czesiowi, żeby pstryknął ci zdjęcie dowodowe i dał od razu negatyw, a potem ja zajmę się pracą, ty tu posiedzisz i wtedy sobie pogadamy.

– A ile to będzie kosztować?

– Nic.

– Maniek, nie wygłupiaj się!

– To ty się nie wygłupiaj. Musiałbym być strasznym kutasem, żeby od starego kumpla brać pieniądze. Poza tym uznajmy, że zwracam ci dług.

– Jaki dług? Co ty bredzisz?

– Przecież gdyby nie ty, mnie by tutaj nie było. Gdyby nie nasza wyprawa, nie trafiłbym do kicia i nie poznał ludzi, dzięki którym mogę robić to, co robię. Nie ma gadania, Kochan, wędruj na górę po zdjęcie.

Andrzej skrzywił się na wspomnienie czosnkowego odoru, z jakim miał się za chwilę zmierzyć, ale wrócił do chudzielca, który bez zbędnych wstępów zadał pytanie: „Może być prosty lub poprzeczny, na cztery litery?”, a kiedy otrzymał odpowiedź i wpisał hasło do diagramu, dowiedział się wreszcie, czego Maniek z Kochanem od niego potrzebują. Zaprosił Andrzeja za kotarę, usadził na krześle, zapalił lampy i cofnął się do staromodnego aparatu fotograficznego, rozstawionego na trójnożnym statywie. W czasie gdy wsuwał do wnętrza prostokątny negatyw wielkości kartki pocztowej, nie przestawał nadawać basem, racząc Kochana opowieściami o swojej kościuszkowskiej przeszłości, rysował przebyty szlak bojowy od Lenino do Berlina, wtrącał pikantne dykteryjki. Wreszcie skończył przygotowania, stanął obok aparatu, nakazał bezruch i zdjął osłonę z obiektywu. Spojrzał na zdezelowany zegarek z wielkim wytartym cyferblatem („pewnie trofiejny”, pomyślał Kochan), odliczył trzy sekundy i nacisnął spust migawki połączony ze skrzynią aparatu długim gumowym wężym. Założył z powrotem osłonę, zabezpieczył negatyw, wyciągnął go i wręczył Andrzejowi.

– Możesz wracać na dół, młody człowieku.

Andrzej zbiegł z powrotem do ciemni. Z magnetofonu dolatywało

dudnienie bębnów. Maniek jak afrykański szaman, uderzając palcami o blat stołu, wybijał rytm, starając się nadażyć za perkusistą.

– Znasz to?! – zawołał do Kochana. – Nalepa. *Karate*. Niesamowite. Ponadczasowe. – Podniecał się, potrząsając do taktu głową.

Andrzej wsłuchał się w dźwięki perkusyjnej solówki, sprawność muzyków robiła rzeczywiście kolosalne wrażenie. Bębniarz dwa razy zwalniał i wydawało się, że solówka dobiega końca, po czym znów przyspieszał, a Kochan wyobrażał sobie, jak wywija pałeczkami z zawrotną prędkością.

– Skąd ty to wszystko bierzesz? – Wskazał na kręcące się szpule Kasprzaka.

– Ściągam płyty, a potem zgrywam w domu różne składanki. Połowę zarobionych pieniędzy na to idzie.

– Niebawem. Może ty powinieneś jako disc jockey w dyskotecce pracować? – zażartował Andrzej.

– Daj spokój, w dyskotecce? Z takim repertuarem? – Maniek postukał palcem w szpulowca. – Już szybciej w radio.

Kochan uśmiechnął się pod nosem, wyobrażając sobie Mańka hasającego za radiową konsolą.

Nalepa zbliżał się do finału, do perkusji dołączyła gitara, a za nią harmonijka, wybrzmiały ostatnie takty. Maniek przestawił pokrętła magnetofonu, szpule zaczęły wirować.

– Teraz puszcze ci coś naprawdę mocnego. Dopiero to odkryłem, pewnie nie znasz. – Kontrolował licznik obrotów i we właściwym momencie ustawił pokrętło na START. – Przygotuj się na ostre brzmienie.

Z głośnika popłynął prosty, bardzo prosty, niczym z kamienia wyciosany, gitarowy riff, podbity banalnymi uderzeniami w bębny i gwałtownymi szarpnięciami w struny basu – chaos! Do zdumionych uszu Kochana doleciał świdrujący, przeciągający początkowe r, wrzask: „rrrrright”, a potem diaboliczny śmiech. „Co to jest do cholery? To się kupy nie trzyma”, myślał, wciśnięty w stołek, a wokalista już wykrzykiwał: „*I am an anti-Christ, I am an anarchist*”. Otrząsając się z początkowego zaskoczenia, Kochan wsłuchał się w tę kakofonię dźwięków i skonstatował ze zdziwieniem, że w tym chaosie coś jednak jest. Coś się z niego rodzi. Coś, co przyciąga, a nawet fascynuje, poczuł, że ta muzyka ma jakąś niesamowitą, dziwną moc, bunt,

świeżą, młodzieńczą siłę.

– Niezłe, co? – Maniek ściszył magnetofon. – Sex Pistols, z Anglii, zupełnie nowe brzmienie. Nazywają to punk rock. Mówię ci, przyniesie rewolucję, nawet u nas.

Andrzej milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Maniek wyjął mu z ręki negatyw.

– Dobra, zajmijmy się pracą. W końcu nie na muzyczne rekolekcje tu przyszedłeś. – Puścił oko do dawnego kumpla, a potem skupił się na wywołaniu filmu. Rozmawiali i było tak, jakby nie dzieliły ich te wszystkie lata, w trakcie których się nie widzieli, jakby rozstali się zaledwie wczoraj i kontynuowali przerwana przed kilku godzinami wymianę zdań. Dyskusja płynęła w sposób naturalny, bez pytań w stylu: „Co teraz porabiasz? Co u ciebie? Jak leci?”, bez momentów krępującego milczenia i kombatanckich wspomnień, rozpoczynających się od „a pamiętasz jak...”.

Mijały minuty, godziny. Maniek spokojnym głosem objaśniał kolejne etapy wykonywanej roboty, a Kochan obserwował z podziwem sprawność, z jaką powoli, metodycznie, spokojną, wprawną ręką przyjaciel wyczarowywał składniki potrzebne do stworzenia mu nowej tożsamości. Andrzej czuł się tak, jakby podglądał artystę podczas tworzenia dzieła, i był z Mańka dumny. Po wywołaniu i wysuszeniu specjalną suszarką negatywu mistrz fałszerski zrobił odbitki, rozwiesił je na sznurku, po czym za pomocą umieszczonej w oku lupy, jaką posługują się zegarmistrzowie, zajął się badaniem wydanego w Pruszkowie dowodu. Uważnie śledził pieczętkę przystawioną na zdjęciu i wokół niego. Następnie zabrał się za fotografię Ludwika Huszczy. Lancetem maczanym w tajemniczym roztworze delikatnie, milimetr po milimetrze, odcinał zdjęcie dotychczasowego właściciela dokumentu, a kiedy skończył, zdjął je z zielonej kartki i wrzucił do metalowego wiaderka, puste miejsce przemył gazą nasączoną używanym wcześniej płynem, usuwając resztki kleju. Teraz dobrał się do fotografii Kochana. Odczepił ją od sznurka i za pomocą dziwnych, nieznanym Andrzejowi narzędzi postarzył, doprowadzając do stanu zużycia, jaki wykazywał sam dokument, potem objaśniając Kochanowi, jak ważną rolę pełnią składniki kleju, za pomocą którego przytwierdzona jest fotografia – „to pierwsza rzecz, jaka jest badana przy sprawdzaniu, czy dokument nie jest podrobiony”, tłumaczył – przytwierdził zdjęcie we właściwym miejscu i wziął się za przygotowywanie pieczętki. Przez cały czas towarzyszyła im płynąca z magnetofonu muzyka – Stonesi, Bowie, Iggy

Pop, Deep Purple, Marc Bolan, Lou Reed... Gdy taśma dobiegła końca, Maniek zamienił szpule, przyciskiem z lewej strony kasprzaka przełączył ścieżkę i ponownie przestawił pokrętko na START.

– Gotowe – powiedział w końcu, wręczając Kochanowi zieloną książeczkę. – Nie ma szans, żeby ktoś odkrył w tym fałszywkę.

– Jesteś pewien, że nic nie powinienem zapłacić? Chociaż za zdjęcie. – Andrzej schował nowy dowód do kieszeni spodni.

– Na koszt firmy – upierał się Maniek, spoglądając na zegarek. – Późno. Na zewnątrz jest już ciemno. Odprowadzę cię, bo o tej porze możesz nie zdążyć wytłumaczyć, co tu robisz, a już dostaniesz kosę pod żebro. Albo jeszcze lepiej chodźmy się napić, znam jedno fajne miejsce. Możesz mi postawić, jeśli koniecznie chcesz się odwdzińczyć.

– Pasuje.

– Czekaj jeszcze, tylko zatrzemy ślady. – Maniek podpalił wrzucone do metalowego wiaderka odcięte zdjęcie Huszczy oraz negatyw i zapasowe odbitki fotografii Kochana.

6

Wagony kolejki ospale wtoczyły się na stację. „Salomea”, przeczytał Kochan wyblakły, umieszczony na peronie napis. „Dziwna nazwa – pomyślał. – Zdaje się, że była taka księżna, ale czy ona ma coś wspólnego z tą miejscowością? Wątpię. Zaraz, zaraz, to chyba była matka Słowackiego. Zresztą wszystko jedno”. Nieliczni pasażerowie wsiedli do WKD [14](#) i zajęli miejsca. Rozległ się dzwonek, drzwiczki się zatrzasnęły i wagoniki zanurzyły się między podwarszawskie zaorane, mięsiste, wilgotne pola, na których tu i ówdzie uwijał się wykonujący spóźnione prace polowe ciągnik z unoszącym się za nim pióropuszem burych ptaków, na przemian wzlatających w górę i lądujących, by grzebać w świeżo rozbabranej ziemi. Andrzej wciągnął powietrze i skrzywił się, poczuł ostry, drażniący zapach gnoju – w oddali dostrzegł traktor ciągnący za sobą maszynę roztrzaskającą obornik.

Minęły dwie minuty i wąskotorówka dotarła do kolejnego przystanku. Raków. Po drugiej stronie ulicy, wzdłuż peronu ciągnął się wysoki szpaler topoli, z których przy każdym podmuchu wiatru osypywały się drobne liście. Na niebie wisiały ciężkie, wysokie chmury. Ponownie dzwonek i wagony szarpnęły, ruszając ku kolejnej stacji.

Zmęczony całodziennymi przeżyciami Kochan śledził smętny, podmiejski krajobraz. Jak dziś wygląda typowy „polski wiejski dom”, zastanawiał się, patrząc na wyrastające z burych pól pojedynczo i w grupach, niczym grzyby w młodniku, sześciany klocowatych willi. Czy ta karykatura architektury, z prostymi, pokrytymi szarym chropowatym tynkiem ścianami, metalowymi barierkami przy betonowych schodach, prowadzących do drewnianych drzwi wejściowych opartych na wysokiej podmurówce, prostokątnymi, trójdzielnymi – identycznymi w każdym z domów – oknami, płaskim, krytym papą dachem ma się stać naszym peerelowskim wkładem w wiejską przestrzeń? Tak wygląda nasza współczesna estetyka? Zadawał sobie pytania. Co się stało z polskim dworem z wielkim czterospadowym dachem na dwie

trzecie i z przysadzistymi kolumnkami przed wejściem? Co z chałupami z bali, jakie widział jeszcze jako dzieciak w czasie licznych podmiejskich wycieczek, na które całą rodzinę zabierał ojciec? Przecież człowiek powinien się rozwijać, a wraz z nim powinno się rozwijać poczucie piękna, tymczasem to, co widział za oknem, to była jakaś parodia dobrego smaku. Jak można żyć w takim otoczeniu? „Komuna wpędziła kraj w biedę, ludzi zniewoliła, o tym wszyscy wiedzą, ale to da się odwrócić, może za sto lat, ale się da. Natomiast tego, że zabiła w nich poczucie piękna, chęć życia w ładnym otoczeniu, tego nie będzie można naprawić przez wieki”, kiwał z dezaprobatą głową, patrząc na uwalane błotem podwórka, przez które – dla ułatwienia przejścia – przerzucone były nadgniłe deski, na sklecone byle jak budy z uwiązanymi na krótkich łańcuchach, umorusanymi, zapchlonymi psami, na zaniebane drzewa owocowe, zachwaszczone trawniki, popękane chodniki, dziurawe siatkowe płoty, udekorowane kruszonką z rozbitych talerzy mury, i z rozrzewnieniem wspominał wypielegnowane domki i ich otoczenie na francuskiej prowincji. Sięgnął do kieszeni, gdzie namacał sztywną okładkę, poczuł niecierpliwe podniecenie i pomyślał: „Już niedługo”.

Uśmiechnął się, przypominając sobie niepokój, z jakim jeszcze kilka godzin temu podróżował w przeciwną stronę i jaki trawił go również przed czterema tygodniami, kiedy po raz pierwszy jechał do Pruszkowa. Wszystko przemyślał sobie bardzo dokładnie; małe podwarszawskie miasteczko, w którym nikt go nie znał – ba, w którym nawet nigdy nie był – ale nie na tyle małe, żeby wszyscy rozpoznawali się z imienia i nazwiska; dowód wystawiony na kogoś, kto o swój dokument nigdy się nie upomni, jakiegoś potrzebującego pieniędzy na chłanie „niebieskiego ptaka”, z którym prawdopodobnie nikt z urzędników nie będzie miał nic wspólnego. Ale Kochana napawało lękiem właśnie owo „prawdopodobnie”, bo co zrobi, jeśli okaże się, że koszmarnym zbiegiem okoliczności jego figurant jest krewnym któregoś z urzędasów, jakimś wujkiem czy kuzynem, czarną owcą, do której wprawdzie wstyd się przyznać, ale z drugiej strony na pozbawienie jej tożsamości pozwolić nie wolno? Albo jeżeli Ludwik Huszcza to głośny, kłopotliwy sąsiad jednego z pracowników pruszkowskiego referatu paszportowego? Co wówczas? Tym razem miał wiele, bardzo wiele do stracenia. Żona, dziecko i chyba już ostatnia szansa ucieczki na Zachód, zobaczenia schorowanej matki. Wyrok za sfałszowanie dokumentu może nie

byłby drastyczny – poprzednie skazanie w aktach już zostało zatarte (teoretycznie przynajmniej, bo dla funkcjonariuszy warszawskiej paszportówki wciąż był niedoszłym uciekinierem i choć tego oficjalnie nie mogli przyznać, stanowiło to wystarczający powód do uporczywego odmawiania wydania wymarzonego dokumentu) i przed sądem stawałby z czystym kontem – ale na pewno nie najniższy z możliwych, ponieważ nie mógłby pójść z organami ścigania na współpracę i ujawnić proveniencji trefnego dowodu – przecież za nic nie wydałby Mańka – a to byłoby bez wątpienia potraktowane jako okoliczność dodatkowo obciążająca. Odsiadki by nie uniknął.

Pierwsza wizyta w punkcie paszportowym przebiegła bez zakłóceń. W okienku złożył wniosek, dołączył do niego zrobione na wszelki wypadek w innym niż Mańka zakładzie fotografie, na których starał się wyglądać bardziej dojrzałe niż na zdjęciu wklejonym do dowodu, zaświadczenie z Orbisu oraz znaczki skarbowe za dwa tysiące. W okienku nikt go o nic nie pytał. Papiery przyjęto i wyznaczono czterotygodniowy termin oczekiwania na decyzję.

Dużo więcej nerwów kosztowało Kochana kolejne, drugie podejście, kiedy w oznaczonym terminie miał się stawić w urzędzie po odbiór paszportu. Tym razem jego wizyta nie mogła mieć już tak anonimowego charakteru, jak ta pierwsza. W przekonaniu Andrzeja funkcjonariusze bez wątpienia prześwietlili kandydata do wyjazdu na Zachód, Ludwika Huszcę, bardzo dokładnie, z każdej strony i właśnie na tym etapie – badania wniosku i wnioskodawcy – istniało największe ryzyko wpadki; to wtedy ktoś mógł zwrócić uwagę, że pod wpisanym we wniosku adresem kamienicy, będącej na przykład przez przypadek również miejscem zamieszkania urzędnika, osoba widniejąca na dołączonej fotografii nie zamieszkuje, ewentualnie, że Ludwik Huszcza był szkolnym kolegą jednego z rozpatrujących podanie. Andrzej przekraczał próg ekspozytury z duszą na ramieniu.

Okazało się jednak, że Kochan znacznie przeceniał czujność funkcjonariuszy. Przede wszystkim większość z nich mieszkała poza Pruszkowem i chyba żaden w miasteczku tym się nie wychował. Wniosek rozpatrzyli szybko, pobieżnie, sprawdzając jedynie, czy występujący o paszport obywatel Huszcza nie ma zapapranej kartoteki, a skoro nie miał – na pojedyncze skierowanie do kolegium i jeden nocleg w izbie wytrzeźwień nie zwrócono uwagi, w końcu każdy ma prawo do drobnych, niegroźnych potknięć, socjalistyczna ojczyzna potrafi takie ułomności wybaczyć –

paszport postanowiono przyznać i więcej nikt sobie całą sprawą głowy nie zwracał.

Stojąc na peronie pruszkowskiej stacji WKD i obserwując wylaniający się niespiesznie zza zakrętu żółto-biało-czerwony wagonik kolejki z szeroko otwartymi jakby w zdziwieniu wielkimi, okrągłymi oczami świateł, Kochan trzymał non stop rękę w kieszeni i ani na moment nie wypuszczał z dłoni wymarzonego paszportu. Odbiór dokumentu przebiegł sprawnie i bez zakłóceń. W urzędzie nie było wiele ludzi, wszedł do pomieszczenia, podał nazwisko i kartkę z wezwaniem, funkcjonariusz, nie podnosząc wzroku, wyszperał z szuflady granatową książeczkę, włożył na jej miejsce odebrany od Andrzeja dowód osobisty i przekazał paszport, pokazał, gdzie należy złożyć podpis, i ponownie, ze znużoną miną, wcisnął nos w papiery. Ze spoconymi ze zdenerwowania plecami, po cichu, niemal na palcach, jakby nie chciał nikogo obudzić, z paszportem w garści Kochan wyszedł z urzędu i pognął na stację.

– Bilet poproszę. – Głos konduktora oderwał Andrzeja od rozkosznych wspomnień.

Pokazał bilet i rozejrzał się dookoła; wagon wypełnił się, pasażerowie już nie tylko siedzieli, ale część z nich stała, trzymając się wiszących z sufitu uchwyty i kołysząc w takt poruszającej się po nierównych szynach wąskotorówki. „Ciekawe, ilu z nich marzy o wolności, ilu pragnie wyjechać, ilu starało się o paszport?”, zastanawiał się dumny z siebie Andrzej. Zbliżali się do miasta. Za stacją Reduta Ordon pomiędzy bloczydłami zamajaczyła iglica Pałacu Kultury. „Niedługo się pożegnamy, tym razem na zawsze”. Radość emanowała z niego każdym porem. Pomyślał, że powinien trochę się opanować – taka niekontrolowana euforia w szarym, smutnym, zmęczonym tłumie musi zwracać uwagę, a przecież nie o to teraz chodzi, żeby wszystkie oczy kierowały się na niego. Od celu dzieliły go jeszcze dwa zadania, które miał wykonać, i na nich należało skoncentrować całą energię, nie dając ponieść się wyczekiwanymp wprawdzie od lat, ale jednak jedynie połowicznym sukcesom.

Spuścił wzrok, a potem spode łba spojrzął na siedzących naprzeciw dwóch facetów. Trzymali przed nosami gazety – ten z lewej „Trybunę Ludu”, a jego sąsiad „Życie Warszawy” – i z zainteresowaniem czytali to, co kryły ostatnie strony. Kochan miał przed oczami strony tytułowe i mógł śledzić wielkie nagłówki: „70-lecie urodzin Piotra Jaroszewicza”, donosił centralny organ

PZPR, a dalej dodawał: „Depesza przywódców ZSRR, Order Przyjaźni Narodów dla Piotra Jaroszewicza”. Życie ujmowało to w ten sposób: „70. rocznica urodzin Piotra Jaroszewicza, list Biura Politycznego KC PZPR do Piotra Jaroszewicza” – Andrzej spojrział w lewo na umoszczoną obok kobietę zagłębioną w popołudniówkę „Express Wieczorny” i przeczytał: „W 70. rocznicę urodzin list Biura Politycznego KC PZPR do Piotra Jaroszewicza”. „Jeden zero dla Expressiaka – ocenił Andrzej – ujęli te brednie najzgrabniej, choć «Trybuna» przekazała najwięcej informacji”. Czytał dalej: „Obchody 30. rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. L. Breżniew przedstawił doniosłe inicjatywy rozbrojeniowe” („Trybuna”), „Nowa pokojowa inicjatywa Związku Radzieckiego... uroczystości 30. rocznicy powstania NRD” („Życie”), „Społeczeństwo NRD świętowało 30. rocznicę powstania Republiki” („Express”). „Hmmm, ponownie najładniej te głupoty przekazał «Express», ale ponownie dał najmniej informacji”. Kochan bawił się w recenzenta. Dalej nagłówki, już mniejszymi literami, rozjeżdżały się – „Trybuna” katowała same polityczne informacje, „Życie” martwiło się ponaglającymi rolników przymrozkami i na dole, w rogu strony, dawało znać, że siatkarze znaleźli się w finale Mistrzostw Europy, a „Express” ogłaszał powrót do Rzymu po kolejnej pielgrzymce papieża Jana Pawła II, zamieszczał sylwetkę Teresy Żylis-Gary, nazywając ją Gwiazdą Metropolitan Opera, i zdawał dramatyczną relację z katastrofy samolotu w Atenach, w której zginęło 17 osób. „Ciekawa jest ta gradacja ważności informacji – zastanawiał się Kochan. – W propagandzie najważniejsze jest nie to, co ludzi interesuje, tylko to, co według władz interesować powinno”.

Andrzej gazet nie czytał. Mierziły go. Poza tym uznał, że skoro władze nie wyrażają zgody na jego emigrację, a on sam nie godząc się z tym, wybrał emigrację wewnętrzną, nie będzie poddawał się atakującej ze wszystkich stron propagandzie, nie da jej najmniejszych szans. W poniedziałki kupował tylko „Przegląd Sportowy” i był to jego jedyny kontakt z „reżimową” prasą, jak ją określał usłyszanym od wuja jeszcze we Francji epitetem. Informacje o świecie czerpał ze słuchanych z rzadka audycji Wolnej Europy, a od czasu do czasu, dla równowagi i wyrobienia sobie lepszego, własnego zdania, oglądał – z odpowiednim dystansem, filtrując dokładnie treści płynące z ekranu – *Wieczór z Dziennikiem*. Dlatego teraz z zacięciem starał się ocenić trzymaną przez sąsiadów prasę. Najciekawszy – najbardziej „dla ludzi” – wydał mu się „Express”.

Zastanawiał się też, co tak przykuło uwagę czytelników do ostatnich stron gazet? Wtem zaszeleścił rozkładany papier, pogrążona w lekturze trójka jak na dany sygnał, w jednej chwili rozpostarła pisma i zakładając nogę na nogę, zagłębiła się w informacjach zawartych na środkowych stronach. Okazało się, że wcześniej miłośnik „Trybuny” studiował informacje sportowe. „Na ligowych boiskach bez większych wydarzeń”, głosił jeden z nagłówków, a Kochan pomyślał: „To bardzo interesujące donosić, że nic się nie dzieje”; drugi dumnie stwierdzał: „Siatkarze w finale mistrzostw Europy”. A jego sąsiad... nekrologi. „Dobra, dość tej prasówki”, pomyślał Kochan, z rozpierającą pierś radością macając po raz kolejny paszport, a zaczytani pasażerowie ponownie wszyscy w tym samym momencie przerzucili strony gazet i zamienili założone nogi.

Kolejka dojeżdżała do stacji końcowej. Andrzej wstał, chciał jak najszybciej wybiec z wagonu, przelecieć podziemiami i pognać na Nowogrodzką, by wywołać Ewę z próby i podzielić się z nią radosną nowiną.

7

Samochody stały zaparkowane rzędem wzdłuż ulicy Świętojerskiej. Wybrał jeden i wskazał na niego palcem.

– A ten? – zapytał.

– Dacia – odpowiedział bez wahania pięcioletni chłopiec.

– Dobrze. A ten? – Kochan pokazał palcem kolejne auto.

Tym razem dzieciak przez chwilę się zastanawiał.

– Oplel – powiedział niepewnie.

– Opel – poprawił ze śmiechem Andrzej. – Doskonale! A ten? – Zatrzymał się po kilkunastu krokach przed żółtą limuzyną.

– Mercedes! – wykrzyknął malec i złapał ojca za rękę.

– Świetnie. Jacuś, a po czym ty rozpoznajesz te wszystkie samochody? – zaciekał się tata.

Strapiony dzieciak nie wiedział, co odpowiedzieć. Tak jakoś po prostu znał je i tyle, nie potrafił powiedzieć, skąd.

– Po światłach – udzielił pierwszej odpowiedzi, jaka przyszła mu do głowy.

Minęli nowoczesną bryłę niedawno wybudowanego, beżowego, luksusowego apartamentowca z wielkimi balkonami, o którym chodziły słuchy, że został zasiedlony wyłącznie aparaczkami; na parterze przyciągały wzrok ogromne witryny Peweksu wypełnionego zachodnim sprzętem elektronicznym, obiektem westchnień niemal każdego zagląającego na wystawy przechodnia, przebiegli, trzymając się za ręce, przez szeroką wybrukowaną Bonifraterską i dalej Świętojerską, wzdłuż muru okalającego teren ambasady chińskiej, powędrowali w stronę Wałowej.

Przez ażurowy płot zajrzeli do wnętrza ustrojonego w jesienne barwy ogrodu, który w niczym nie przypominał innych znanych im warszawskich

parków; na środku obok niewielkiego oczka wodnego stała przykryta czarnym dachem i pomalowana na czerwono altana w kształcie pagody, drzewa i krzewy, choć zwyczajne, wcale nie egzotyczne, posadzone były w taki sposób, że sprawiały wrażenie roślin wyhodowanych pod inną szerokością geograficzną, tu nawet śpiewające ptaki używały jakiegoś innego, orientalnego języka. Z ogrodu bił spokój. Przechodzili tutaj – zawsze w milczeniu – w drodze do i z przedszkola niemal codziennie i nigdy w środku nie widzieli żadnego człowieka; wyglądało to tak, jakby ogród posadzony był jedynie po to, żeby z daleka cieszyć oczy, a nie po to, by w nim wypoczywać. Dla Jacka było to zaczarowane miejsce, jak sceneria z baśni. Metalowe sztachety skończyły się i płot zastąpił kamienny mur. Ocknęli się.

– Tato, masz stoper? Sprawdźmy czas? – poprosił błagalnie chłopiec, przeskakując z nogi na nogę.

Kochan z uśmiechem przytaknął. Skręcili w lewo i po przejściu ulicy znaleźli się na wysypanych żwirkiem alejkach Ogrodu Krasieńskich. Podeszli do ławki, Andrzej piętą wyrysował na ziemi linię startu, a Jacek przyklęknął za nią i z napięciem śledził ruchy ojca, który wyjął z kieszeni spodni stoper, ustawił go i podniósł w górę rękę.

– Start! – krzyknął Kochan, opuszczając dłoń i uwalniając wskazówkę stopera.

Chłopiec poderwał się i pomknął, przebierając drobnymi, szczupłymi nóżkami, wokół sadzawki, zgrabnie wymijając krocących dostojnie spacerowiczów, hasające psy, wózki ze śpiącymi, otumanionymi świeżym powietrzem, małymi dziećmi. Andrzej patrzył w ślad za oddalającym się synem i zastanawiał się, czy dobrze robi, czy postępuje właściwie, decydując się na emigrację? Czy wyrwanie nieświadomego niczego dziecka z jego środowiska, ze znanych mu miejsc, w których – jak to dziecko – czuje się dobrze, bezpiecznie, do całkiem nowego świata, obcych ludzi, odmiennej kultury, innego języka (Kochan próbował uczyć Jacka francuskiego, ale skutek był raczej mizerny, poza kilkoma podstawowymi zwrotami chłopiec niewiele sobie przyswoił) jest najlepszym z możliwych rozwiązań? Z drugiej strony jednak, jaka przyszłość go tu czekała; kraj z miesiąca na miesiąc pogrążał się w coraz głębszym, dokuczliwym kryzysie, sklepy świeciły pustkami, wprowadzono kartki na cukier, a pewnie niedługo pojawią się i na inne produkty, radosny kolorowy festyn pierwszych lat Gierkowskiej dekady przeradzał się w konwulsyjne drgawki. Plotki głosiły, że niemal cała

produkcja spożywcza odpływa na Wschód jako część składkowego, jakie wpłacał Wielkiemu Bratu cały blok wschodni, finansując przyszłoroczne igrzyska w Moskwie.

– Ile? – krzyknął zziębnięty Jacek, wbiegając na metę.

– Minuta dwanaście i osiem – odpowiedział Kochan.

– A rekord, jaki jest? – dopytywał dzieciak.

– Minuta jedenaście i pięć.

– To teraz było więcej? To dobrze?

– Więcej to znaczy, że pobiegłeś odrobinę wolniej od rekordu.

– To przez tę panią z wózkiem – żalił się Jacek. – Mogę jeszcze raz?

– Do biegu gotowi... Start. – Andrzej opuścił rękę i z sekundowym opóźnieniem wcisnął przycisk stopera. „To już chyba jego ostatni bieg w tym ogrodzie, niech się cieszy...”

Poza wszystkim innym Kochan z szacunku do siebie samego nie mógł się poddać, nie mógł pozwolić na to, aby tępi urzędnicy nad nim triumfowali. Od jedenastu lat żył myślą o przechytrzeniu systemu i żadne wątpliwości nie mogły go od jego planu odwieść. W końcu biegać wokół stawu można wszędzie. Jacek, jak każde dziecko, na pewno szybko złapie język i równie szybko przestanie tęsknić, wychowa się w godnych warunkach, bez codziennej troski o to, jak zdobyć cokolwiek do jedzenia. „Ta komuna cofa nas do poziomu jaskiniowców, żeby włożyć coś do garnka, trzeba to najpierw zdobyć, upolować. Ludzie znoszą mięso i wędliny do domów jak trofea”, wściekał się Kochan.

– A teraz ile?

– Minuta dziesięć i siedem. – Andrzej spojrział na cyferblat. – Rekord!

– Hura!!!

Chwilę później szli przyklejonymi do ulicy Wałowej podwórkami Muranowa, gdzie zwartą przedwojenną zabudowę, obróconą w trakcie pacyfikacji getta w stertę gruzów, zastąpiła siermiężna, pełna niewyszukanych ozdobników i pokracznych symboli socrealistyczna architektura z wielkimi bramami, wysokimi na półtora piętra parterami mieszczącymi sklepy i uspołecznione zakłady usługowe, placami zabaw dla dzieci i jednym na kilka domów przeciwtomowym schronem. Spacer po Warszawie przypomina stąpanie po grobach, o czym nie pozwalają zapomnieć umieszczone co

kilkaset metrów pamiątkowe tablice, ale w tej części miasta jest to marsz po jednej wielkiej zbiorowej mogile. Kochan słyszał opowieści o tym, jak robotnicy stawiający osiedle, w którym teraz mieszkał, co chwila natrafiali w uprzątanym gruzowisku na złote zęby oraz inne precjoza i toczyli o nie zaciekle boje, zraszając po raz kolejny ziemię krwią. „To miasto potrafi zmęczyć. Jak tu żyć, kiedy dziecko, grzebiąc łopatką w piaskownicy, może wykopać ludzkie kości?”, przekonywał się w duchu Kochan.

Dotarli do podwórka, przy którym mieszkali, proszące oczy Jacka spojrzały na ojca, pokazując jednocześnie na metalowe ciężkie huśtawki. Zgodził się i tym razem. „Dzieciak nawet nie wie, że żegna się z tymi wszystkimi miejscami”, pomyślał, stając za oparciem huśtawki. Silnym pchnięciem wprowadził w ruch żelazne, zawieszzone na prętach siedzisko.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, ponownie przekonując się, że dobrze robi, zostawiając to wszystko. Czy nienawidził tego kraju? Przeciwnie. Gdyby tylko na jego czele stały inne władze, gdyby nie gnojono tu ludzi, gdyby nie zobaczył, jak można żyć inaczej, normalnie, gdyby nie zawziął się, pewnie nigdy nie chciałby stąd wyjeżdżać. Mieszkając we Francji, sam nie był pewien, z którym z państw pragnie związać swoją przyszłość, i zapewne, jeśli tylko miałby swobodę wyboru, krążyłby jakiś czas pomiędzy Wisłą a Sekwaną, szukając lepszego miejsca dla siebie. Po krótkiej przygodzie z Ludowym Wojskiem Polskim pragnął wrócić do matki i wuja, bo tam warunki egzystencji i możliwości startu życiowego miał bez porównania lepsze niż w Warszawie, ale mostów palić za sobą nie chciał. Dopiero gdy odmówiono mu wydania paszportu, krew w nim zawrzała. Poczul, jak ktoś, bez dającego się rozsądnie wytłumaczyć powodu, oddziela go od półnagiej kobiety z obrazu w Luwrze. Decyzję o ucieczce podjął spontanicznie, w odruchu młodzieńczego buntu, bez głębszej refleksji, kierując się podpowiedziami serca, a nie mózgu, jak dziecko, które nie licząc się z konsekwencjami, wykrada schowane za karę zabawki, czy jak nastolatek sięgający po pierwszego papierosa, jednak w momencie, kiedy usłyszał trzask przeładowywanego na granicy karabinu i z zagrzebaną w śniegu twarzą ronił łzy wściekłości, zdał sobie sprawę, że oto rozstrzygnęła się jego przyszłość, że nie zdoła pogodzić się z porażką, że nie pozwoli uwięzić się w areszcie domowym we własnym kraju, że będzie uciekał do skutku, i choć czasem zmuszony zostanie do przyczajania się, przeczekania, to i tak w końcu podejmie kolejną próbę. Tak, ucieczka to konieczność.

O Jacka przestał się martwić. Wytłumaczył sam sobie, że dla dziecka, choć z początku zmiana środowiska może być bolesna, w dalszej perspektywie wyjazd przyniesie same korzyści. A Ewa? Miała tu pozycję, była cenionym muzykiem, wykonywała pracę, jaką kocha. Z drugiej strony jednak ta praca to była tylko operetka, a nie solówki w Teatrze Wielkim czy filharmonii, na pewno stać ją na więcej i jeśli tylko jest tak dobra, jak na to wskazuje jej dotychczasowa kariera, to w tym zawodzie poradzi sobie w każdym systemie. Może rzeczywiście na początek będzie musiała zrobić krok wstecz, pochodzić na przesłuchania, występować przed mniejszą publicznością, ale gry na ulicy z postawionym przed sobą kapeluszem nikt od niej nie będzie wymagał – zakład wuja prosperuje na tyle dobrze, że na pomoc finansową przez pewien czas mogą liczyć. I tym razem saldo wychodzi na plus, Ewa również na wyjeździe skorzysta. Zresztą, kiedy wprowadził ją wreszcie w swój plan, nie miała większych obiekcji – może jedynie co do ryzyka, jakie podejmował Kochan, podrabiając dowód, ale nie do samej koncepcji emigracji na Zachód. Z przysłanym przez teściową zaproszeniem dla Jacka udała się do wydziału paszportowego, gdzie funkcjonariusze po upewnieniu się, że ojciec rodziny Andrzej Kochański tym razem, o dziwo, nie stara się o wyjazd, przyznali jej wspólny z dzieckiem dokument uprawniający do przekroczenia granicy PRL. Z wizą również nie było problemu. Kupili bilety na samolot wylatujący dzień później niż ten, którym z orbisowską wycieczką do Paryża miał lecieć obywatel Ludwik Huszcza.

Weszli na klatkę schodową i po przejściu wąskiego, ciemnego korytarza stanęli przy masywnych drzwiach windy. Kochan tęsknie spojrzął na schody, a następnie z westchnieniem rezygnacji sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu przypominającego motylka klucza. Mieszkali na szóstym piętrze. Wychowany na parterze, prześladowany od lat tym samym sennym koszmarem, Andrzej nienawidził poruszającej się wśród trzasków i chybotañ windy, która na wybranym piętrze zatrzymywała się gwałtownie z przerażającym szarpnięciem; bał się, że któregoś dnia w wyniku awarii dźwig minie drzwi prowadzące na szóste i pomknie dalej ku dachowi (blok miał siedem pięter) albo że – jak w nawiedzającym go śnie – lina zerwie się i kabina spadnie, porywając pasażerów w dół, i rozbije się w piwnicy. Raz uczestniczył w akcji uwalniania zakleszczonych pomiędzy piętrami sąsiadów. Słyszał też o wprawiających go w przerażenie zabawach, jakie urządzały sobie wyrostki, podskakując wewnątrz windy i tym samym zatrzymując ją, o jeździe z

otwartymi drzwiami wewnętrznymi – opierając się plecami i nogami o boczne ściany kabiny, można było oszukać mechanizm – i innych wygłupach nadwątlających i tak, zdaniem Kochana, mizerny stan techniczny maszyny. Mimo że mieszkał tu już sześć lat, Andrzej wciąż unikał, kiedy tylko mógł, jazdy tą piekielną machiną. Wychodząc z domu, zbiegał schodami, tłumacząc, że musi rozprostować kości i dbać o kondycję, wracając z Jackiem z przedszkola, zarządzał wyścigi – pędzili wówczas z wywieszonymi językami po stopniach na górę – a kiedy szli do domu we trójkę, z szelmowskim uśmiechem wołał: „No, Jacuś, kto pierwszy na górę?” i puszczał się pędem, pokonując po dwa schodki naraz, a Ewa z synem wskakiwali do windy. Czasem jednak, tak jak dziś, nie udawało się uniknąć podróży znieawidzonym wehikułem – Jacek był zmęczony i nie reagował na żadne podrzucane pomysły.

Wsiedli do środka, zatrzasnęli metalowe drzwi, które przy zamykaniu wydawały dźwięk przypominający Kochanowi trzask, jaki słyszał w celi, gdy klawisze zawierały więzienne wrota. Andrzej docisnął skrzydła wewnętrznych, drewnianych drzwiczek, a mały wspiał się na palce, wyciągając rękę w kierunku porcelanowych przycisków na tablicy, czubki małych paluszków ledwie sięgały rzymskiej czwórki.

– Ciągle nie sięgam – zmartwił się. – Kiedy wreszcie będę mógł sam nacisnąć?

Kochan nic nie odpowiedział, zmierzwił synowi dłonią włosy, złapał go pod pachy i podsadził. Dzieciak wdusił guzik, winda szarpnęła i z jękiem zaczęła piąć się w górę. Błady jak ściana Andrzej stanął pod lustrem i poruszał językiem, próbując zwilżyć suche usta. Wreszcie szóste. Kabina zatrzymała się.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi do mieszkania. Jacek ożywił się nagle.

– Tata, dzisiaj wtorek. – Podskakiwał podniecony.

– Zgadza się, wtorek. I co z tego?

– Jak to, co?! Jaskiniowcy!

– A, rzeczywiście. – Kochan spojrzał na zegarek. Osiemnasta pięć. – Spokojnie, jeszcze piętnaście minut.

– Oj, tata, włączmy już, bo nie zdąży się nagrzać.

Minęli wąski, siedmiometrowy przedpokój wyściełany pasiastym, potęgującym wrażenie długości chodnikiem (korytarz był na tyle duży, że mogli na nim niemal co dzień rozgrywać piłką tenisową zacięte mecze piłkarskie) i weszli do dużego pokoju. Większość mebli pozostała tu po babci – Andrzej, podkreślając epizodyczność swojego warszawskiego etapu w życiu, uparcie odmawiał inwestowania w ruchomości, kupowali wyłącznie to, co niezbędne, czego wyraźnie brakowało (niebawem miało się okazać, czy była to właściwa postawa). Na wprost wejścia stał duży, stary, pokryty dębowym fornirem, owalny rozkładany stół, otoczony wianuszkami krzesel, pod ścianą po lewej trójskrzydłowa szafa z lustrem i przeraźliwie skrzypiącymi drzwiami, po przeciwnej stronie rozkładany tapczan, a pod oknem z prawej, na niewysokiej przeszklonej szafce, telewizor.

Zresztą nie tylko duży pokój, ale i całe mieszkanie nosiło na sobie piętno tymczasowości; ściany od lat nie były odmalowywane, rozsypujących się i usuwanych bibelotów nie zastępowano nowymi, nigdzie też nie było widać rodzinnych pamiątek, zdjęć, na ścianach nie wisiały żadne obrazki. Nawet pokój Jacka, mimo że pełen porozrzucanych na podłodze zabawek, nie miał, poza łóżkiem i wielką stojącą pod oknem skrzynią, mebli. Mieszkanie państwa Kochańskich za sprawą nieprzejednanej postawy Andrzeja nie było ciepłym rodzinnym gniazdkiem. Kochan świadomie torpedował wszelkie próby nadania mu pozorów jakiegokolwiek przytulności. Najwięcej przykrości sprawiały mu wielokrotne, stanowcze odmowy, jakich musiał udzielać synowi na prośby zakupu wymarzonego przez dziecko zwierzaka – chłopcu było wszystko jedno, mógłby to być chomik, świnka morska, żółw, rybki, papuzka, byle żywe, oczywiście najlepszy byłby pies. Mimo że zgadzał się z teorią, iż dziecko lepiej wychowuje się w towarzystwie żywego stworzenia, o które zmuszone jest zadbać, pozostał konsekwentny: unikał wszystkiego, co mogłoby silniej przywiązać członków rodziny do tego miejsca. Miejsca, które – był tego pewien – opuszczą kiedyś na zawsze.

Kochan wcisnął czerwony prostokąt na obudowie telewizora, po czym razem z synem usadowili się na tapczanie i czekali. Lampy nagrzewały się długo, najpierw po kilku minutach zaczął narastać dźwięk, a dopiero potem na czarno-białym ekranie pojawiły się ciemne, niewyraźne jeszcze kontury. W końcu kineskop zaczął pracować pełną mocą i po chwili zobaczyli czołówkę ulubionej przez Jacka kreskówki. Pośmiali się wspólnie, a później, w czasie kiedy chłopak zajęty był oglądaniem dobranocki, Andrzej przygotował

kolację.

Pokryty podobnie jak krzesła białą olejną farbą kuchenny stół stał pod ścianą obok puszącej się obłymi kształtami lodówki Mińsk, której wypełnienie w gospodarce niedoboru należało do zadań z gatunku ekstremalnych. Jedli kanapki. Andrzej, gryząc bułkę, zastanawiał się, jak wybrnąć z komplikacji, która pojawiła się nagle w jego doskonałym, wydawało się, planie ucieczki. Mieli lecieć do Paryża dwoma oddzielnymi samolotami, najpierw on, a następnego dnia Ewa z Jackiem, jednak pięć dni temu, kiedy składał w Orbisie paszport, w który miała zostać wstemplowana francuska wiza, dowiedział się, że termin wycieczki został przesunięty o jeden dzień – do stolicy Francji grupa miała udać się tym samym samolotem co jego żona i dziecko. Wściekły próbował dowiedzieć się, skąd ta nagła zmiana, ale pracownica biura tylko wzruszyła ramionami, zwałając wszystko na obiektywne trudności. Andrzej, mając na uwadze cienki lód, po jakim stapał, zwiesił z rezygnacją głowę i powlókł się do domu. Teraz musiał wymyślić jakiś sposób na zmuszenie Jacka do milczenia w trakcie lotu, na zminimalizowanie ryzyka zdemaskowania Ludwika Huszczy jako Andrzeja Kochańskiego. Tym razem na wpadkę nie mógł sobie pozwolić.

– Jacuś, mam pomysł na nową grę. – Kochan starał się zainteresować syna.
– Pojutrze jedziemy do babci, wiesz o tym? Mamusia ci mówiła. Urządzimy taką zabawę, że się w ogóle nie znamy. Oszukamy wszystkich, co?

– Ale jak to, że się nie znamy? – Malec otworzył szeroko oczy.

– Będziemy lecieć samolotem i zrobimy w ten sposób: ty z mamą wyjdziecie z domu pierwsi, a ja przyjadę na lotnisko później. I od wyjścia z mieszkania będziemy udawać, że się nigdy nie widzieliśmy, że się po prostu nie znamy. Ja będę udawał, że jesteś dla mnie zupełnie obcym chłopcem.

– I nie będziemy lecieć razem? – Jackowi zakręciły się łzy w oczach.

– Nie. To znaczy tak. Razem w jednym samolocie, ale nie obok siebie. Jeśli przez całą drogę uda nam się wszystkich wykiwać, to na miejscu dostaniesz nowego żelazniaka [15](#). Takiego, jakiego sobie wybierzesz. Co ty na to?

Mały zastanawiał się, dopijając kakao.

– Ja bym wolał żołnierzyki – targował się, ocierając usta.

– Niech będą.

– To zgoda. Tylko niech tata mi jeszcze przypomni, dobrze?

– Oczywiście, a teraz, smyku, leć umyć zęby i do łóżka. Ja obejrzę dziennik i do ciebie przyjdę.

Jacek pobiegł do łazienki, a Andrzej, po wstawieniu naczyń do zlewu, wrócił do pokoju i rozłożył się na tapczanie przed telewizorem, wsuwając dłonie pod głowę. Ziewnął.

Na ekranie pojawił się okrągły zegar; sekundnik odmierzał pozostały do dziewiętnastej trzydzieści czas, a potem w rytm głośnego, brzmiącego jak wykoślawiony polonez sygnału *Wieczoru z Dziennikiem* przed oczami Kochana wirowały dwa gilosze, przypominające poruszany podmuchem powietrza dziecięcy wiatraczek. „Zaczyna się nawijanie bawełny”, pomyślał Andrzej. W końcu uśmiechnęła się do niego krzywo sztywna jak kołek, wyondulowana Irena Falska; rozpoczął się codzienny spektakl:

– Pierwszy sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, w towarzystwie sekretarza KC, Józefa Pińkowskiego, przebywał dziś wśród rolników województwa poznańskiego, gdzie odwiedził na polach gospodarstwa Grabianowo, wchodzącego w skład Kombinatu PGR Manieczki, rolników pracujących przy zbiorze kukurydzy – przeczytała na wydechu, jednym tchem, spikerka.

Po polu, niczym bocian, człapała dobrze znana przygarbiona wysoka sylwetka ostrzyżonego na jeża blondyna z przerośniętą tarczą, opasana kręgiem służalczo uśmiechniętych działaczy i rozradowanych dumnych ze swojej pracy, czystych, wręcz wymuskanych rolników. „Jak u Orzeszkowej”, pomyślał Kochan, a z offu płynął zaangażowany kobiecy głos: „Dostojny gość z gospodarską troską zapoznał się z nowoczesnymi metodami zwiększania produkcji pasz dzięki szerokiemu zastosowaniu mechanizacji związanych z tym procesów. Kombinat PGR w Manieczkach, najstarszy w Polsce, jest pionierem uprawy kukurydzy w naszym kraju; kukurydza kiszonkowa była tu siana już w latach pięćdziesiątych, a od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku rozpoczęto jej uprawę na ziarno. Zainteresowanie tą rośliną, ze względu na jej walory paszowe i wielką wydajność, podyktowane tu było dużą ilością inwentarza. Na dziewięciu tysiącach hektarów w gospodarstwach kombinatu hoduje się: osiem tysięcy sztuk bydła, trzynaście tysięcy owiec, dwanaście tysięcy trzody i dwieście tysięcy sztuk drobiu”. Przez ekran przewijały się obsiane kukurydzą pola, kamera zaglądała do wypełnionych zwierzętami obór, chlewni, owczarni i kurników.

– Ciekawe tylko, dlaczego w sklepach są puste półki, chyba sami to było wpierdalają – wściekał się pod nosem Kochan, a tymczasem na ekran powrócił żywo zainteresowany wszystkim, co dookoła się dzieje, Gierek, pokazywał palcem, zadawał pytania, w skupieniu słuchał odpowiedzi, a głos Falskiej kontynuował: „Pierwszy sekretarz interesował się stosowanymi w Manieczkach nowymi technologiami zbioru, omłotu, rozdrabniania oraz konserwacji kukurydzy. Zapoznał się z pracą różnych typów kombajnów stosowanych do sprzętu tej rośliny. (Plan zmienił się i Troskliwy Gospodarz wraz ze swoją świtą znalazł się we wnętrzu ogromnych magazynów). Następnie Edward Gierek obejrzał stosowane w gospodarstwie Grabianowo metody kiszenia ziarna kukurydzy w tak zwanych rękawach z folii oraz udał się na plantacje buraków cukrowych, gdzie zapoznał się ze zbiorem tej rośliny przy zastosowaniu polskich i zagranicznych kombajnów”. Gierek ponownie wrócił na pole, otoczony wianuszkami przytakujących, podekscytowanych pegeerowców. „W bezpośrednich rozmowach z członkami brygad pierwszy sekretarz PZPR interesował się przebiegiem prac i zaletami poszczególnych maszyn” – czytała podniosłym tonem Falska.

Na koniec głos zabrał sam „Pierwszy Siewca”, zwracając się do stojących z rozdziawionymi gębami robotników rolnych.

– Na wasze ręce, towarzysze – mówił głośno, wyraźnie, odpowiednio akcentując ważne słowa – pragnę przekazać wszystkim poznańskim rolnikom i pracownikom obsługi rolnictwa życzenia dalszych sukcesów w unowocześnianiu produkcji rolnej i podnoszeniu jej efektywności. Pozwólcie mi wyrazić przekonanie, towarzysze, że wasze dobre doświadczenia będą upowszechniane na polach i w kombinatach rolnych całego kraju.

– Dzisiaj szesnasty, rocznica wyboru papieża, a o tym ani słowa – mamrotał do siebie coraz bardziej zirytowany Andrzej.

Do wiary od dawna stosunek miał sceptyczno-obojętny; do kościoła nie chodził, święta święcił, dewocjonaliów nie używał, wodzie święconej nie ufał, historie biblijne znał, krzyża nad drzwiami nie zawieszał, pacierza nie klepał, choć nie oponował, kiedy Ewa uczyła Jacka odmawiać „Aniele boży...”, ślub kościelny wziął, syna ochrzcił, księżom się nie kłaniał, przy przydrożnych kapliczkach przeżegnać się nie zamierzał, księdza po kolędzie przyjmował – ot, typowy polski katolik: wierzący niepraktykujący. W początkach swojej edukacji, przez chwilę, religii uczył się w szkole, potem – po wyrugowaniu jej ze szkół – wysyłany przez matkę katechezę pobierał w

kościół. Wszystkie przypisane tradycją sakramenty przyjął. Nad swoją wiarą się nie zastanawiał, bo i nie było nad czym; podążał za tłumem w owozym pędzie, bez refleksji, jak wszyscy. Przyznać się do ateizmu było czymś nie do pomyślenia. Każdy spośród szkolnych kolegów Andrzeja, nawet dzieci partyjnych prominentów i funkcjonariuszy (a byli i tacy), biegał na zajęcia z religii, choć nie wszystkim wolno było głośno o tym mówić. Dystansu do nauk Kościoła nabrał dopiero w laickiej Francji, w prowadzonym przez księżę liceum. Tam zobaczył, wprawiający go z początku w osłupienie, zaskakujący brak tak charakterystycznego w Polsce nabożnego szacunku dla osób duchownych, z czasem sam zasmakował w takiej właśnie postawie, a ponieważ uczniem był krnąbrnym, lubił z czystej przekory przeciwstawiać się prowadzącym zajęcia księżom.

Na wydarzenia sprzed roku jednak – jak wszyscy zresztą – nie pozostał obojętny. Pierwszy akord nastąpił wczesnym wieczorem. Mniej więcej około siódmej we wszystkich kościołach, jak szalone, zaczęły walić dzwony; brzmiało to podniosłe, ale i przerażająco zarazem. Do pokoju, w którym Andrzej czytał książkę, wpadł zatrwożony Jacek. Przez głowę Kochana przemknęła jedna myśl: Wojna. Tylko z kim?! Otworzył radio, włączył telewizor i czekał. Większym refleksem wykazała się radiowa jedynka; spiker dziwnym głosem, w którym mieszała się radość, zdumienie i zdenerwowanie, donosił, że Polak, arcybiskup krakowski Karol Wojtyła został papieżem i przybrał imię Jan Paweł II, był pierwszym od ponad czterech wieków zwierzchnikiem Kościoła nie pochodzącym z Włoch. Nieinteresujący się sprawami wiary Kochan nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek. Wyszyński, nazywany Prymasem Tysiąclecia, tak, owszem, ale Wojtyła, słyszał to nazwisko po raz pierwszy. Starał się całą sprawę – jej wyjątkowość, doniosłość, których tak naprawdę sam jeszcze do końca nie pojmował – wyjaśnić Jackowi, ale dzieciak niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Widząc jednak podekscytowanie ojca, a jednocześnie czując ustępujący strach, robiący miejsce rosnącej radości, sam również się uspokoił, a następnie wlepił wzrok w lecącą w telewizorze dobranockę. Potem był *Wieczór z Dziennikiem* i wierzący się na krześle Andrzej Kozera, czytający niepewnym głosem, starając się zachować beznamiętny ton, lakoniczną notatkę, ilustrowaną kilkoma krótkimi migawkami z placu Świętego Piotra; biały dym z komina na dachu Kaplicy Sykstyńskiej, falujący tłum, z którego operator wychwycił niewiele chyba rozumiejących z tego, co dookoła się działo,

Murzynów w kolorowych koszulach, i wreszcie balkon, gdzie pojawił się On, młody jak na papieża, z uśmiechniętą, budzącą zaufanie twarzą.

Następnego dnia zaczął się karnawał; ludzie padali sobie w objęcia, nie było innego tematu rozmów, a najczęściej chyba powtarzanym słowem w kraju było krótkie, ale jakże pełne treści: „cud”. Również Andrzej dał się porwać ogólnej euforii, z rozbawieniem – jak i inni – obserwował też nerwowe drgawki, jakie wybór Wojtyły wywołał u władz. Najbardziej rozśmieszyło go oświadczenie rządu wydane przez jego rzecznika Włodzimierza Janiurka: „Papieżem został wybrany Polak, współrodak narodu, który przeszedł piekło wojny, dokonał przeobrażeń w swojej ojczyźnie i idzie drogą wszechstronnego rozwoju”. „Szkoda, że nie wspomniał nic o bratnich narodach Związku Radzieckiego”, myślał wówczas Kochan.

A potem była Jego wizyta w kraju. Cała rodzina Kochańskich udała się w Aleje Ujazdowskie witać Go i rzucać kwiaty pod przejeżdżającą kawalkadę pojazdów. Tłumy. I emocje, które nie opadały przez wiele tygodni.

Jednak rządowa telewizja nie uznała za słuszne przypomnieć tego wydarzenia sprzed roku, w kraju działały się przecież ważniejsze sprawy. Falska przełożyła kartkę i radośnie odczytała kolejną istotną dla dziejów ludzkości informację:

– Biuro polityczne KC PZPR postanowiło zwołać w dniu dziewiętnastego października plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR poświęcone rozpatrzeniu projektu wytycznych na ósmy Zjazd PZPR „O dalszy rozwój Socjalistycznej Polski, o pomyślność narodu polskiego”.

Następnie przyszedł czas na informacje ze świata: Przewrót wojskowy w Salwadorze, kolejny izraelski atak na Liban, trzęsienie ziemi w Kalifornii. „Polska jednak jawi się jako oaza spokoju na tle naszego niebezpiecznego globu. Wszędzie źli ludzie, nieokiełznane żywioły, a u nas, proszę, wykopki, partia dba o pomyślność narodu...”, zdążył pomyśleć jeszcze, ziewając, Andrzej, zanim oczy same mu się zamknęły.

Obudziła go pieszczota, jaką poczuł w kroczu; na przemian delikatnie palcami i mocno wewnętrzną częścią dłoni czyjaś ręka poruszała się w górę i w dół po zapiętym rozporku dżinsów, pobudzając jego męskość. Podniósł piekące powieki i zobaczył nad sobą długie proste, rude włosy przedzielone na środku głowy idealnie równym przedziałkiem. Szeroko otwartymi oczami

Ewa śledziła jego reakcję, obserwowała budzącą się namiętność – to panowanie nad podnieceniem męża podniecało również ją samą, czuła się tak, jakby grała na jakimś dzikim, nieokiełznanym instrumencie, który pod jej mistrzowskimi ruchami robił się powolny, spokojny, choć nie przestawał być groźny. Andrzej wyciągnął zdrętwiałą rękę spod głowy, położył na rozgrzanym karku Ewy i przyciągnął twarz żony do swojej twarzy. Pocałowała go krótko, niecierpliwie, po czym, strząsając rękę Kochana z szyi, odsunęła od niego głowę i ponownie wwierciła w męża podniecone spojrzenie. Rozluźnił się i całkowicie poddał pieśszczocie.

Od samego początku, od momentu, kiedy wypatrzył ją w teatrze wśród usadzonych w szeroki wachlarz muzyków orkiestry, biorących udział w próbie, Ewa wzbudzała w nim nieporównywalną z niczym, co do tej pory przeżył, namiętność. Chodziła zwiewnie ubrana w szerokie spódnice, luźne góry, rzadko wkładała stanik, wychodząc z kanału orkiestrowego, stukała obcasami i strzelała zalotnym spojrzeniem, choć uśmiech nieczęsto gościł na jej opalonej twarzy. Przystojnego, miłego, wodzącego za nią wzrokiem pomocnika scenografa, który od kilku dni rozbierał ją spojrzeniem, uwodziła krótko, ale intensywnie. Za drugim podejściem dała zaprosić się na kawę. Poszli do kawiarni Nowy Świat. Trochę mało oryginalnie, pomyślała, jednak postanowiła dać szansę temu chłopakowi o przenikliwych, głęboko osadzonych, mądrych oczach. A on swoją szansę wykorzystał. Rozmawiali, jakby znali się od zawsze, Andrzej czarował ją opowieściami, a ona zanosila się szczerym śmiechem. Okazało się, że jest o rok starsza, ale żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Wychowana w wojskowej rodzinie, od małego zmuszana była do surowej dyscypliny, jaką w domu narzucił ojciec, apodyktyczny, często podnoszący głos pułkownik, wykładowca, postrach struchlałych słuchaczy Wojskowej Akademii Technicznej. Do czasu. Rodzice zginęli w wypadku, wracając do domu służbowym samochodem po imprezie w kantynie, w którymś z budynków resortu. We krwi prowadzącego auto oficera stwierdzono szalejące promile, co starannie zatuszowano, i pogrzeb na wojskowych Powązkach odbył się ze wszystkimi przewidzianymi regulaminem i stosownymi do zasług pułkownika honorami. Nastoletnia Ewa zamieszkała z babcią – wyzwolona z wojskowego drylu, jaki do tej pory dusił pełną fantazji jedynaczkę, po okresie przewidzianej zwyczajem żałoby zaczęła żyć kolorowo, jak na dziecko kwiat przystało, a pragnąca osłodzić wnuczce stratę rodziców babka pozwalała jej na wszystko. Ewa korzystała z

wolności, jak mogła; znikwała z domu na długie dni, włóczyła się po mieście, po Polsce, próbowała wolnej miłości, eksperymentowała z narkotykami. Ale oprócz umiłowania swobody miała jeszcze jedną pasję – muzykę. I wreszcie przyszedł moment, gdy to ona zawładnęła dziewczyną całkowicie. Wybrała klarnet. Po okresie, w którym fruwała jak motyl, nadszedł czas ustatkowania oraz ciężkich ćwiczeń i w końcu pierwszych sukcesów.

Do kawy i ciastek zamówili piekący przyjemnie przełyk koniak, potem kolejny. Fantastyczny kontakt, jaki ze sobą złapali, uczcili kilkoma namiętnymi godzinami na ławce w parku pod skarpą u stóp uniwersytetu. Już tej pierwszej nocy, mimo wrzynających się w ciało twardych desek, przy Ewie Andrzej odkrył, że seks można smakować, że nie musi być to – jak do tej pory – jedynie gwałtowny akt szybkiego zaspokojenia, ugaszenia palącego pożądania. Bardziej doświadczona, świadoma potrzeb swoich i partnera, potrafiła bawić się ciałem. Nauczył się tego i Kochan. Poznał, co to rozkosz.

Chodzili ze sobą od kilku miesięcy, kiedy wracająca do domu Ewa po przekręceniu klucza w zamku natrafiła na opór – nie mogła otworzyć blokowanych od wewnątrz drzwi mieszkania. Wezwany na pomoc sąsiad z impetem oficera LWP naparł na stawiającego zaciekły opór wroga. Przez szparę zajrzeli do środka – na podłodze leżała martwa babcia. Rok po pogrzebie Ewa i Andrzej wzięli ślub, po kolejnym roku urodził się Jacek.

Kochan z rozkoszą przyglądał się oddychającej coraz szybciej Ewie; ubrana była w granatową, wydekoltowaną suknię, którą wkładała, udając się na przedstawienia. Dotknął kostki jej opartej kolanem o tapczan nogi i podwijając brzeg sukienki, przejechał dłonią w górę, w połowie uda natrafił na brzeg pończochy. Powędrował wyżej. Ewa nie miała majtek – często chodziła bez bielizny, lubiła nie wkładać jej do pracy, podniecało ją to, że nikt – poza mężem – o tym nie wie, podniecało też to, że być może niektórzy z kolegów marzą bez większej nadziei, żeby tak było. Dłoń Kochana dotarła pomiędzy uda Ewy, wsunął palec do środka. Złapała go gwałtownie za szyję i ostrym szarpnięciem przyciągnęła do siebie. Przetoczyli się na dywan. Ewa szybkim ruchem rozpięła rozporek i uwolniła nabrzmiaty penis. Obróciła się na brzuch i podciągnęła sukienkę. Wszedł w nią tak, jak lubiła, powoli, ściskając jednocześnie dłońmi jej pośladki. Pokój pulsował sinym światłem telewizora. Kochali się długo, często zmieniając rytm, szukając przyjemności i starając się dać jej jak najwięcej partnerowi.

– To chyba będzie ostatni raz w Polsce – powiedziała Ewa, kiedy

zaspokojeni leżeli na wznak na dywanie w zmiętych ubraniach i palili rzucające czerwony blask na sufit papierosy. Zamyślony Andrzej nic nie odpowiedział. Ewa podniosła się i zaczęła odpinać pończochy. Ściągnęła przez głowę sukienkę.

– Cała poplamiona – stwierdziła. – Nie szkodzi, i tak na razie się nie przyda.

– A jutro?

– Wzięłam już urlop.

– Co grałaś na pożegnanie?

– *Skalmierzanki*.

– Co to jest? – Przekręcił się na bok i oparł głowę na ramieniu, z mieszaniną dumy i podziwu patrzył na nagie ciało przechodzącej obok Ewy, wciąż jędrne, smukłe, o klasycznych proporcjach.

– A taki głupawy wodewil Basznego. Opowiadałam ci o nim, premierę mieliśmy w grudniu, główną rolę gra Elżbieta Ryl-Górska.

– Rzeczywiście, teraz sobie przypominam. – Przyglądał się przykrytym kosmykami opadających rudych włosów, kształtnym, falującym przy każdym kroku piersiom żony. – Zasnąłem przed telewizorem, a obiecałem Jackowi, że jeszcze do niego zajrzę. – Zmienił nagle temat.

– Nic się nie martw, byłam u niego, zanim przyszedłam do ciebie. Śpi jak suseł, okryłam go kołdrą. Idę do łazienki, a ty nie zapomnij wystawić za drzwi butelki na mleko. A jutro trzeba się spakować.

Kochan podniósł się, podszedł do telewizora, przekręcił pokrętko trzy razy w prawo i pomajstrował anteną, aby poprawić obraz. Skrzywił się, na dwójce leciał czechosłowacki film. Odwrócił się i poszedł do kuchni umyć w zlewie litrową szklaną butlę.

Wyskoczył z autobusu na chodnik i zatoczył się, szarpnięty ciężarem dźwiganej ogromnej walizy, ustabilizował pozycję i pognął kłusem w stronę hali odlotów – miał już pięć minut spóźnienia. Czas wyjścia z domu obliczył precyzyjnie, przewidział zdawałoby się wszystkie, nawet te na pozór trudne do przewidzenia, okoliczności, które mogą przytrafić się po drodze i opóźnić dotarcie na miejsce zbiórki; wziął zapas na spóźniający się autobus, jakąś awarię w czasie jazdy, do tego dołożył jeszcze pół godziny, a mimo to się spóźnił. Bo w tym kraju, w tym systemie nigdy niczego nie mogłeś być pewien, poza kłopotami, oczywiście. Kiedy po zamknięciu mieszkania i ostatnim zjeździe zniechęconą windą wyszedł z ogromnej bramy bloku na szeroki trotuar, z oddali, od strony Dworca Gdańskiego, zamajaczyła sylwetka nadjeżdżającego ikarusa. Przyspieszył kroku, dotarł do skrzyżowania Nowotki z Anielewicza, gdzie zatrzymało go czerwone światło. Autobus zbliżał się. I wtedy Kochan podjął szybką decyzję; rozejrzał się na boki i korzystając z luki w sznurze przejeżdżających samochodów, przeskoczył na czerwonym. Nim zdążył dotknąć stopą krawężnika po drugiej stronie jezdni, powietrze przeciął ostry dźwięk gwizdka. Andrzej zamarł i rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie zobaczył niebieskiego munduru. Ruszył w stronę przystanku i wtedy jak spod ziemi wyrósł przed nim niewysoki jegomość w beżowym płaszczu, z metalowym gwizdkiem w zębach, którym preraźliwie gwizdnął Kochanowi prosto w ucho. „Ki czort, do chuja”, pomyślał wściekły Andrzej, obserwując zbliżający się do przystanku autobus.

– O co chodzi? – zapytał.

– Przeszliście skrzyżowanie na czerwonym świetle, obywatelu – zapiszczał wysokim głosem tarasujący drogę mężczyzna.

– Tak, wiem, ale spieszę się na lotnisko i zaraz mi autobus ucieknie.

– Ale wiecie przecież, że nie wolno przebiegać na czerwonym świetle. Stworzyliście poważne zagrożenie na drodze.

– Tłumaczę panu, że się spieszę. Jakim prawem mnie pan tu zatrzymuje?

– Jakim? A takim! – Niski człowieczek wyszarpnął z kieszeni płaszcza legitymację. – Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej. ORMÓ. Dokumenty proszę.

– O Boże! – Kochan zrezygnowany odstawił walizkę i patrząc na odjeżdżający ikarus, zaczął szperać w kieszeniach. Wówczas zorientował się, że żadnego dokumentu przy sobie nie posiada; dowód zdał w punkcie paszportowym, a z kolei paszport miał razem z wizą i biletem odebrać od przedstawiciela Orbisu przed samym odlotem na lotnisku. Wyciągnął druczek pokwitowania, który otrzymał w biurze podróży, i podał ormowcowi.

– Co to za dokument? Co wy mi tu dajecie? Jakies zaświadczenie? Gdzie macie dokumenty?

– Nie mam przy sobie. Tam wszystko jest wyjaśnione! – Kochanowi puszczały nerwy.

– Wybieracie się, obywatelu, za granicę? – Ormowiec czytał zadrukowany papier.

– Tak, jadę do Paryża i spieszę się na samolot. Tłumaczę to panu po raz kolejny – niecierpliwił się Andrzej.

– Trudno. Trzeba było nie przekraczać przepisów, obywatelu. Teraz będziecie musieli za swoje wykroczenie odpokutować.

– Ale pan, zdaje się, nie może ukarać mnie mandatem.

– Zgadza się, nie mogę, za to mogę was, obywatelu, zatrzymać i przekazać funkcjonariuszowi milicji obywatelskiej.

– A nie może mnie pan po prostu pouczyć i puścić na przystanek?

Ormowiec spojrział na Kochana, postukał papierkiem w otwartą dłoń, po czym na jego okrągłej gębie zagościł złośliwy uśmiech.

– Mowy nie ma. Odpowiedcie za swój czyn.

„To jest dopiero raj na ziemi; byle kutas, jeśli tylko ma legitymację, którą dostał za wysługiwanie się władzom, może cię zatrzymać i bez zastanowienia, bez jakiegokolwiek refleksji, zniszczyć ci życie”, myślał wściekły Andrzej, rozglądając się za milicjantem i jak nigdy wcześniej zaklinając niebieski uniform, ale jak na złość milicjanta nigdzie nie było. Kochan próbował dalszych negocjacji, ale tępy służbista nie chciał za nic ustąpić. Przystanek opuścił kolejny autobus. W końcu od strony placu

Dzierżyńskiego, wolno krocząc z założonymi za plecy rękoma, pojawił się stójkowy. Ormowiec zadał przeciągle w gwizdek i ręką przywołał funkcjonariusza MO. Milicjant podszedł i zaznajomił się z sytuacją, spojrzał współczująco na Kochana, mimo protestów ormowca podziękował mu za współpracę i kazał się oddalić; „Ja też jestem z firmy”, argumentowała gnida w beżowym płaszczu, ale milicjant był nieubłagany.

– Chodź pan na przystanek – powiedział do Kochana. – Tam pana spiszę, bo ta łajza stoi i obserwuje, jeszcze gotowy na mnie donieść. Jak przyjedzie autobus, to pan wskoczysz do środka.

Ale autobus przyjechać ani myślał – spóźniał się dobre pół godziny. Milicjant zdążył wpisać do kapownika wyciągniętego z przewieszzonej przez biodro aktówki personalia Andrzeja, to znaczy Ludwika Huszczy – trochę się dziwił, co zameldowany w Pruszkowie Huszcza robi z walizką na ulicy Nowotki, przyjął jednak z porozumiewawczym mrugnięciem oka niewyraźne tłumaczenie o pożegnalnej nocy spędzonej z dziewczyną – a Kochan wciąż czekał na przyjazd autobusu, zerkając na długą kolejkę ludzi oczekujących na postoju taksówek. „Nie ma nawet co próbować, godzina stania”, ocenił. Wreszcie w zatoczkę przystanku zajechał przegubowy ikarus. Moszcząc się na skajowym siedzeniu, stawiając obok siebie walizę, Kochan patrzył na zegarek i z przerażeniem obliczał, że nie ma szans zdążyć na czas. Tymczasem po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęło się do niego szczęście. Nie wiadomo, czy wiedziony ułańską fantazją, czy kilkoma kroplami alkoholu, czy może żyłką kierowcy rajdowego, który nie ma okazji gdzie indziej dać upustu swoim wyścigowym instynktom, kierowca autobusu pędził przez ulice miasta z ogromną prędkością, zarzucając na zakrętach przegubem i pasażerami, wzbudzając we wszystkich siedzących w autobusie – z wyjątkiem Kochana – przerażenie, i wywołując co chwila swoimi manewrami strwożone okrzyki, połykał szybko kolejne kilometry trasy i kolejne przystanki, na których czas postoju ograniczał do minimum, przez skrzyżowania przelatując na pomarańczowym świetle i na pomarańczowym z rykiem silnika spod nich ruszał. W Andrzeju zaświtała nadzieja, dzięki tej szalonej jeździe wyskoczył na chodnik Okęcia z zaledwie pięciominutowym spóźnieniem.

Wpadł do budynku i rozejrzał się po hali odlotów; po wyfroterowanych kamiennych podłogach przemykali wystraszeni pasażerowie, niepewni wyniku czekającej ich odprawy paszportowo-celnej, pod tabliczkami z nazwami państw i miast zbierały się grupki podróżnych, co chwila

rozbrzmiewał dzwonek i kobiecy głos zapowiadał rozpoczęcie lub zakończenie odprawy podróżnych wylatujących do miast całej Europy, słychać było niecierpliwe nawoływania, w kątach kryli się stojący ze spuszczoneymi głowami, zerkający niepewnie dookoła, obładowani zniszczonymi, często spiętymi paskami walizami, ubrani z prowincjonalną elegancją, wieśniackim szykiem, zagubieni przybysze ze wsi i małych miasteczek – „światowość” tego miejsca sprawiała, że nie wiedzieli, co ze sobą począć, gdzie się udać, jak załatwić formalności, nie potrafili wybrnąć z patowej sytuacji, próbowali obserwować innych „otrzaskanych” podróżnych i z marnym skutkiem ich naśladować. Andrzej przebiegł mimo, nie zwracając na nich uwagi, wyszukał grupkę stłoczoną pod napisem Orbis, w którym w oczy rzucał się wielki wpisany w literę O globus, a pod nim dopisaną czerwonym flamastrem krzyczącą nazwę Paryż, i ustawił się na końcu. Stojąca w środku kobieta wykrzykiwała nazwiska, a z ciżby wychylały się w górę ręce i odbierały paszporty z biletami.

– Szatoba! – Opiekunka grupy wywołała kolejną osobę.

– Tutaj. – Niski brunet przechwycił swój dokument i zajrzał do jego wnętrza, szukając francuskiej wizy.

– Szydłowska!

– Poproszę. – Uśmiechnięta szatynka wyciągnęła rękę.

– Twardy!

– Jestem, jestem. – Drobną, szczupłą blondynką przeciskała się do środka.

– Włodek!

– Obecny. – Wąsaty, wysoki szatyn skoczył do przodu.

– Włodek!

– Jestem. – Paszport powędrował do bruneta z równo przystrzyżoną grzywką.

– Wojszcz!

– Idę. – Krępy blondyn roztrącił stojących przed nim współpodróżnych.

– Woźniakowski!

– Tu. – Okularnik z szopą kręconych włosów złapał podany dokument.

– I Zaremba!

– Już odbieram. – Wysoki blondyn nonszalancko, z uśmiechem playboya ruszył w stronę pilotki.

– Ktoś jeszcze nie odebrał? – zapytała kobieta.

– Ja! – krzyknął Kochan, stawiając walizkę i podnosząc w górę rękę.

– Pańskie nazwisko?

– Huszcza. Ludwik Huszcza.

– Jest. Ładnie to tak się spóźniać, i to na wyjazd do Paryża? – Pilotka pogroziła Andrzejowi palcem. Zaciśnął zęby. Miał nie rzucać się w oczy, cicho i skromnie wtopić się w grupę, udawać niegroźną ofermę, tymczasem już na wstępie zwrócił na siebie uwagę całej wycieczki, wszystkie oczy przyglądały mu się z rozbawieniem i ze zdziwieniem taksowały jego ogromny bagaż, który w innej sytuacji zapewne nie wzbudziłby niczyjego zainteresowania, choć jak na zaledwie sześciodniową wycieczkę do stolicy Francji sporo tego było. Wybąkał niewyraźne przeprosiny i wziął do ręki niebieską sztywną książeczkę, w którą włożony był bilet.

– Teraz całą grupę proszę o uwagę, przekażę kilka istotnych informacji! – zawołała pilotka. – Przede wszystkim trzymamy się razem, bardzo proszę o nierozchodzenie się przez cały czas trwania naszej wycieczki. Po to, żebyśmy się nie pogubili, mam przygotowane dla każdego z państwa gustowne chusty, które proszę założyć na szyję. W ten sposób będziemy mogli się bardzo łatwo rozpoznać i odnaleźć. To ważne, bo w niektórych miejscach natrafimy na gęsty tłum. – Kobieta sięgnęła do torby i zaczęła rozdawać biało-niebieskie apaszki. – W trakcie naszej wycieczki będziemy realizowali bardzo ciekawy program, który państwo otrzymali, przewiduje on również czas wolny, którym będzie można dysponować według własnego uznania. Proszę jednak, aby nie wdawali się państwo wówczas w żadne podejrzone rozmowy, nie dali się namówić na wizyty w nieznanym miejscach. Proszę pamiętać, że reprezentują państwo naszą ojczyznę, która wyposażając państwa w paszporty, okazała każdemu z was z osobna, ale i wszystkim razem jako grupie ogromne zaufanie, którego nie wolno państwu pod żadnym pozorem zawieść.

„To jest po prostu nie do wiary – myślał, słuchając tych bredni Kochan. – Każdy, kto stąd wyjeżdża, po przekroczeniu granicy przestaje być Kowalskim, Nowakiem, Wójcikiem, a staje się przedstawicielem polskiego społeczeństwa, odtąd nie reprezentuje już Kowalskiego, Nowaka, Wójcika, a zaczyna reprezentować naród, nie odpowiada indywidualnie za swoje czyny,

bo oto został ambasadorem kraju. Od teraz ma uważać na to, co robi, bo każda głupota, której się dopuści, nie obciąża już jego osobistego konta, tylko staje się etykietą dopinaną wszystkim Polakom. Od chwili opuszczenia PRL-u cały czas, Polaku, miej się na baczności, bo każdy twój czyn jest pilnie obserwowany przez obcych – tego nie wolno, bo co sobie oni o Polakach pomyślą, tamtego nie rób, bo wystawiasz krajowi złą opinię. Nie sobie, krajowi. Bo przecież Polska to wielki zbiorowy obowiązek. I chodzą ci wszyscy rodacy na palcach i rośnie ich kompleks wobec Zachodu. Ale nie burzą się, bo przecież tak też czasami jest wygodnie, stracić na chwilę indywidualność i chować się za tłum, wyjaśniać, że jestem taki, jaki jestem – niedomyty, niedouczony, bez znajomości języków i norm dobrego wychowania – nie dlatego, że to mnie czegoś brakuje, tylko dlatego, że widać to my, Polacy, tacy już jesteśmy. I znów kompleks się pasie. I ja mam się wstydzić potem za jednego czy drugiego, pilnować i pouczać, że Polakowi tak a tak zachowywać się nie wypada. A niby dlaczego?” Kochan rozejrzał się dookoła, obserwując zafrasowane, skupione twarze stojących obok niego właśnie świeżo mianowanych ambasadorów (część z nich miała już związane na szyi chusty), na których malował się ciężar brzemienia, jaki brali na siebie, decydując się na wyjazd do kapitalistycznego kraju.

Energiczna pilotka machnęła ręką i cała grupa ruszyła tyralierą w stronę ławek, na których miała zostać przeprowadzona odprawa celna, za ławkami szpalerem stały budki, a w ich ciasnych wnętrzach na podróżnych czekali czujni wopiści. Celnicy wyłapywali ofiary i palcem przywoływali do siebie, przed nimi piętrzyły się otwarte paszcze wybebeszonych walizek, co chwila któryś z ubranych w zgniłozielone uniformy strażników nurkował w stercie prywatnych rzeczy, poszukując kontrabandy, wywożonych tajnych, jakże ważnych dla obronności kraju, informacji, szmuglowanych materiałów szkalujących socjalistyczną ojczyznę. Kochan dojrzał rudą głowę Ewy, stała przed celnikiem i tłumaczyła mu coś, podczas gdy funkcjonariusz grzebał w jej majtkach, stanikach i pończochach, obok stał Jacuś. Zdezorientowany chłopiec odwrócił się i jego wzrok przeciął się ze spojrzeniem ojca. Na twarzy dziecka pojawił się uśmiech. Kochan położył palec na ustach i porozumiewawczo mrugnął do syna. Jacek potaknął głową. „O Boże, żeby tylko smyk mnie nie wkopał. Żeby nie przyszło mu do głowy zawołać do mnie «tato»”, myślał podekscytowany Kochan.

Kolejni członkowie wycieczki podchodzili do odprawy. W końcu przysła

kolej Andrzeja, wąsaty celnik skinął na niego palcem i Kochan postawił walizkę na ławce. Padły standardowe pytania o wywożony alkohol, wyroby tytoniowe, broń, niedozwolone materiały... Wreszcie celnik zarządził otwarcie bagażu, następnie spojrzął w bilet i szperając wzrokiem wśród złożonych ubrań, ze zdziwieniem zapytał:

– Po co panu tyle ciuchów? Przecież jedzie pan zaledwie na sześć dni.

„Kiedyś uciekałem w jednej koszuli, a dziś? Z wiekiem człowiek coraz trudniej rozstaje się z rzeczami. Niby starałem się nic nie kupować, nic nie gromadzić, a tyle się tego nazbierało. Oj, żebyś ty, tępaku, wiedział, ile gratów musiałem zostawić, ilu się pozbyć?”, myślał ze złością, a głośno powiedział:

– No wie pan, Paryż. Stolica mody. Chcę porządnie wyglądać – bronił się, a celnik patrzył na niego nieprzekonany. – Nie mogę wyglądać tam jak dziad. Co by sobie Francuzi o nas, Polakach, pomyśleli? – uderzył w czułą nutę.

– Faktycznie. Masz pan rację. Ale tego jest tyle, że dwa razy dziennie będziesz się pan chyba przebierać. – Celnik zaczął gmerać w walizce.

– Podobno Francuzki są na tym punkcie czule. – Andrzej zrobił porozumiewawczą minę. – Lubią, jak facet często zmienia strój.

– Jak masz pan zamiar mizdrzyć się do żabojadek, to pańska sprawa. – Urzędnik zerknął z niesmakiem na serdeczny palec prawej ręki Kochana, na którym wyraźnie odcisnięty był ślad po noszonej przez wiele lat, a ściągniętej dopiero niedawno obrączce. – Chcesz pan targać ten cały majdan po Paryżu, to proszę bardzo. Ja tu nic nielegalnego nie widzę. – Celnik trzasnął wiekiem walizki, oddał Kochanowi paszport i zostawiając go z rozgrzebanymi bambetlami, przywoływał już kolejną osobę.

Andrzej zapinał bagaż, rozglądając się jednocześnie w poszukiwaniu Ewy. Dojrzał ją w ostatniej chwili, wchodziła w towarzystwie wopistki w umieszczone z boku hali drzwi, przerażonego Jacka inna funkcjonariuszka trzymała za rękę, po policzkach dziecka płynęły łzy. „O, ja pierdolę, kontrola osobista! – myślał gorączkowo Kochan – jak zaczną dopytywać się Jacka o ojca, to leżę”, zdenerwowany starał się stanąć w taki sposób, żeby syn nie mógł go zauważyć. Przed wyruszeniem na lotnisko razem z Ewą próbowali przewidzieć wszystkie niebezpieczeństwa, przygotowywali sobie odpowiedzi na różne dociekliwe pytania, jakie mogą paść, ale kontroli osobistej nie przewidzieli. Sama w sobie nie była niebezpieczna – Ewa nic

nie szmuglowała – poza upokarzającym wystawianiem na golasa przed wopistką i celniczką nic jej nie groziło, nie pomyśleli tylko o tym, co może w tym czasie stać się z Jackiem, że będzie musiał pozostać sam pod opieką służb mundurowych i w napadzie paniki może nieświadomie zdradzić cały plan.

Popatrzył na załadowaną na lotniskowy wózek walizkę. Na wycofanie się było już za późno. Ustawił się w kolejce do odprawy paszportowej. „Teraz tylko brakuje jeszcze, żebym się natknął na któregoś z tych dwóch gamoni, którzy mnie dziesięć lat temu przesłuchiwali”, pomyślał, starając się zajrzeć do budki wopisty. Został mu jeszcze jeden, ostatni krok. Musiał zachować czujność, przecież nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek błąd, tym bardziej że działy się nieprzewidziane rzeczy, tymczasem nachalnie atakowały go wspomnienia. Bronił się przed nimi, starał zachować koncentrację, ale myśli co chwila uciekały w bok, próbowały go zmusić do wystawienia rachunku za te jedenaście ostatnich lat. Tylko komu? Matce i wujowi za to, że namówili go na odsłużenie wojska w Polsce Ludowej? Władzom za absurdalne przepisy? Sobie za brak cierpliwości, nadmiar fantazji i zawziętość? Polskiemu przemysłowi chemicznemu, reprezentowanemu przez zakłady Stomil, za wypuszczanie wadliwych prezerwatyw na rynek? Czy w ogóle powinien mieć do kogokolwiek żal?

Otrząsnął się raz jeszcze; na takie przemyślenia przyjdzie czas w samolocie, teraz należało skupić się na sforsowaniu ostatniej przeszkody. Podszedł do okienka i położył paszport z biletem na ladzie. Tłusty, spocony wopista przejął dokumenty i zmierzył Kochana bystrym spojrzeniem, porównując zdjęcie w paszporcie z obliczem właściciela, długo badał dokument, zerkał na bok – Andrzej słyszał, że podobno z boku na stojaku pogranicznicy trzymają fotografie osób poszukiwanych – ponownie przewracał kartki w paszporcie, studiował wizę. Kochan kątem oka zerknął w głąb hali; boczne drzwi otworzyły się, stanęła w nich, poprawiając bluzkę, Ewa; Jacek z okrzykiem radości rzucił jej się na szyję, uniosła dziecko i ruszyła w głąb budynku, spoglądając ukradkiem na męża i przekazując uniesionym w górę kciukiem sygnał, że u niej wszystko w porządku. Andrzej poczuł ulgę, ale jednocześnie uświadomił sobie, że dwie strużki potu, kreśląc nierówne meandry, zaczęły spływać mu od skroni ku brodzie; wyczekał moment, kiedy wopista pochylił się nad biletem i dyskretnie starł zdradliwe krople.

Po raz kolejny przeanalizował sytuację: czy miał się czego obawiać? Paszport był oryginalny, w plan ucieczki nikogo poza Ewą nie wprowadził, nawet ojciec, siostra i brat nie byli poinformowani o wyjeździe, o jego nowej tożsamości wiedział jedynie Maniek, ale po pierwsze, jemu można było zaufać – w końcu sam też miał interes w tym, żeby milczeć – a po drugie, dawny przyjaciel sądził, że Kochanowi nowy dokument potrzebny jest jedynie po to, aby ukryć się przed porucznikiem Śmiarowskim, a nie po to, by pryskać na Zachód. Andrzej do pracy zadzwonił jeszcze wczoraj, uśmiercając jedną ze swoich ciotek i informując, że udaje się do Płocka na pogrzeb, w związku z czym przez dwa najbliższe dni w robocie się nie pokaże. Wszystko było w porządku, wopista nie miał się do czego przyczepić, a mimo to gapił się uparcie w paszport, tak jakby coś mu się nie zgadzało, w końcu podniósł czarną słuchawkę wewnętrznego aparatu i zakręcił korbą. Pod Andrzejem ugięły się nogi. Spuścił głowę z niewyraźnym uśmiechem – tak jakby jego czar mógł coś tu zdziałać – i czekał cierpliwie na wyrok. I wreszcie, chyba pierwszy raz od tych długich jedenastu lat, los pokazał mu swoje radośniejsze oblicze. Socjalistyczna technika zawiodła, wopista kilkakrotnie próbował połączyć się z przełożonym, ale bez skutku, wreszcie zniecierpliwiony rzucił słuchawkę z trzaskiem na widełki, złapał wielki stempel, którym wbił do paszportu obywatela Ludwika Huszczy wszystkie potrzebne do wyjazdu pieczętki i rzucił dokumenty na ladę. Andrzej chwycił papiery i obrócił się w stronę wyjścia. Na końcu jasnej ścieżki, którą przed sobą zobaczył, nad szklanymi drzwiami, pod którymi stała stewardesa w granatowym uniformie, wisiała tabliczka z napisem PARYŻ.

EPILOG

Drzwi gabinetu uchyliły się powoli i w szparze ukazała się pokryta blond loczkami o głębokich zakolach głowa mężczyzny około czterdziestki.

– Cześć, Gacek, można? – zapytał kędzior.

– Cześć, Wiesiek, pewnie, wchodź – odpowiedział siedzący za biurkiem niziutki, co było widać nawet w tej pozycji, brunet z krótko przystrzyżonym wąsikiem i odstającymi maleńkimi uszami. – Napijesz się?

– Nie, ograniczam. – Blondyn usiadł przy stole i nabił lulkę klubowym. Zapalił, zaciągając się z rozkoszą, a przez pokój powędrował siny wąż dymu.

– Jak chcesz. Ja się napiję. – Gacek wyciągnął z biurka butelkę wódki i postawił na blacie – na etykiecie dumnie płynął statek pod pełnymi żaglami – po czym schylił się i obok flaszki postawił maleńki kieliszek.

– Albo nalej i mnie malucha – zmienił zdanie Wiesiek.

– No, to rozumiem. – Gacek sięgnął po drugi kieliszek. Nalał. Wypili w milczeniu. Wiesiek dopalił klubowego, oczyścił firkę, wyjął z kieszeni paczkę i ponownie nabił lulkę. Trzasnęła zapalka.

– Co tam, Wiesiu, sprowadza? – przerwał milczenie Gacek, napełniając jednocześnie kieliszki.

– Pamiętasz, Gacek, takiego chłopaczka, co starał się o paszport?

– Tu wszyscy starają się o paszport, Wiesiu. – Stuknęli się kieliszkami i wypili.

– No wiem, ale takiego, co uciekał dwa razy przez zieloną, a potem dupę zawracał, składając co chwila wnioski, a to że matka chora...

– Czeka, czeka, zdaje się, że pamiętam. Do Francji chciał jechać.

– Tak, to ten.

– Pamiętam, pamiętam. – Gacek odchylił się w fotelu. – Uparty był. Ale chyba od kilku lat jakoś dał spokój, bo nie przypominam sobie, żeby składał

kolejne wnioski.

– Właśnie, przestał – przytaknął Wiesiek.

– Może zrozumiał?

– Może. Tylko... – Kędzior sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną na pół zadrukowaną kartkę. – Dostałem dziwne pismo.

– Tak? – Gacek ponownie napełnił szkło.

– Wydział meldunkowy śródmiejskiej Rady Narodowej – Wiesiek pokazał palcem na papier – w związku z prowadzoną sprawą o wymeldowanie Andrzeja Kochańskiego z zajmowanego adresu, pod którym podobno już od kilku lat nie przebywa, przysłała zapytanie, czy wydaliśmy mu paszport i czy przypadkiem nie wyjechał za granicę.

– Jemu? Paszport? W życiu!

– Ja też tak myślę, ale skoro zniknął, to może lepiej sprawdzić.

Gacek skrzywił się lekceważąco, przyglądał się chwilę Wieškowi, w końcu machnął drobną ręką.

– Dobra. Jak chcesz, mogę sprawdzić, ale to strata czasu. Siup. – Podniósł kieliszek, stuknął się z Wieśkiem i wypił. – Zaczekaj tu na mnie. Zaraz wracam.

Wiesiek zapalił kolejnego papierosa. Pamiętał doskonale tego uciekiniera, który starał się o wydanie paszportu i tłumaczył w kolejnych wnioskach, że wreszcie zrozumiał błąd, jaki popełnił (dwa razy he, he), że dwuletnim więzieniem odpokutował wszystkie grzechy (jakby to o kościół chodziło), że skazanie się zatarło (w papierach być może, ale nie w ludzkiej pamięci). Przypominał sobie też, jak podjęli z Gackiem decyzję, że tego gnoja z Polski – póki pracują w wydziale paszportowym – nie wypuszczą, żeby nie wiadomo, co się działo, to granic PRL-u łobuz nigdy więcej legalnie już nie przekroczy, będzie to przykład i nauczka dla wszystkich innych potencjalnych uciekinierów. A teraz to dziwne pismo... Wiesiek, zaciągając się klubowym, zastanawiał się, o co tu może chodzić? Czyżby gówniarz wstrzelił się w moment, kiedy obaj z Gackiem byli na urlopie albo na zwolnieniu lekarskim? A może skorzystał na tym całym burdelu, jaki w resorcie – i w całym kraju zresztą – narobił się w osiemdziesiątym pierwszym roku, i uciekł z paszportem w rękę? Nie, nie, to niemożliwe, uspokajał się.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu dziarskim krokiem,

przebierając krótkimi nóżkami, wrócił Gacek.

– Tak jak mówiłem, paszport leży grzecznie, zakurzony na półeczce. Od lat nikt do niego nie zaglądał – powiedział, sadowiąc się ponownie za biurkiem.

– To co to może oznaczać? Tutaj napisali wyraźnie: „Od kilku lat nie przebywa w miejscu zameldowania”.

– A skąd my to możemy wiedzieć? Może zapodział się gdzieś w stanie wojennym? Może zaplątał się w Solidarność? Czasy były, Wiesiek, niespokojne. – Wziął do ręki kieliszek, a widząc zdeorientowaną minę kolegi, dodał: – Najważniejsze, że u nas w papierach wszystko się zgadza. Napisz: „Drogą czynności służbowych ustalono, że... przebywa na terenie kraju”.

1. Stakańczyk (z ros.) – szklaneczka (wszystkie przypisy pochodzą od autora). [\[powrót\]](#)
2. Jagodzianka na kościach (gwar.) – denaturat. Miał fioletowy kolor, a na etykiecie trupa czaszkę z pieszczelami. [\[powrót\]](#)
3. Czemadan (gwar., z ros.) – waliza. [\[powrót\]](#)
4. Różyk – mieszczący się na warszawskiej Pradze bazar Różyckiego. [\[powrót\]](#)
5. Sałaciarz (gwar.) – dorożkarz. [\[powrót\]](#)
6. Dęciak (gwar.) – kapelusz, melonik. [\[powrót\]](#)
7. Małpka (gwar.) – buteleczka wódki o pojemności 375 ml. [\[powrót\]](#)
8. Eros – marka prezerwatyw. [\[powrót\]](#)
9. *Ki van...* (węg.) – Kto tu jest? Wyłazić! Wyłazić z łapami do góry. [\[powrót\]](#)
10. *Hányan...* (węg.) – Ilu was tam jest?! [\[powrót\]](#)
11. Cyngwajs (gwar.) – wytatuowana kropka w kącie oka, oznaczająca przynależność do więziennej subkultury „grypsujących”. [\[powrót\]](#)
12. Stanisław Szozda – jeden z najlepszych polskich kolarzy lat siedemdziesiątych XX w. Mistrz świata, wicemistrz olimpijski. [\[powrót\]](#)
13. Duchówka – rodzaj piekarnika w kuchni węglowej. [\[powrót\]](#)
14. WKD (Warszawska Kolej Dojazdowa) – podmiejska warszawska kolej wąskotorowa kursująca do Milanówka i Grodziska Mazowieckiego. [\[powrót\]](#)
15. Żelaźniak, inaczej resorak – mały, metalowy model samochodzika. [\[powrót\]](#)

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Część I GRANICE](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[Część II POCIĄGI](#)

[***](#)

[Część III ZAŁKI](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[EPILOG](#)

[***](#)

[Przypisy](#)

[Wydawca](#)

